

The background of the cover is a dramatic, dark painting of a sea under a stormy sky. A lone figure is visible in a small boat on the water. The overall mood is somber and atmospheric.

**BERNARD
CORNWELL**


AMBER

WŁADCA MÓRZ



BERNARD
CORNWELL

WŁADCA MÓRZ

John Rossendale na wieść o bliskiej śmierci matki powraca do Anglii z włóczęgi po oceanach świata. Rodzina oskarża go o kradzież zaginionych przed czterema laty *Słoneczników* van Gogha. Znany kolekcjoner, od dawna pragnący posiąść obraz, wysyła do Rossendale'a swą pełnomocniczkę. Mnożą się dziwne wypadki. John podejrzewa, że organizuje je siostra bliźniaczka, która ukradła obraz. Zwraca się o pomoc do dawnego przyjaciela – żeglarsza.



Cena det. zł 9,50 (95 000)

SENSACJA

ISBN 83-7082-772-1

BERNARD
CORNWELL

WŁADCA MÓRZ

PRZEKŁAD

ARLENA SOKALSKA
DARIUSZ ĆWIKŁAK


SENSACJA

Tytuł oryginału SEA LORD

Ilustracja na okładce

CHRIS MOORE

Redakcja merytoryczna

MONIKA KUC

Redakcja techniczna

WIEŚŁAWA ZIELIŃSKA

Korektor

ELŻBIETA GEPNER

Copyright © 1990 Rifleman Productions Ltd., 1989

The moral right of the author has been asserted.

For the Polish edition Copyright © 1995 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-772-1

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1995.

Wydanie I

Druk:

Zakłady Graficzne w Gdańsku

Część 1

Nie chciałem wracać do domu. Kiedyś przysięgłem sobie, że nigdy tu nie wrócę... a jednak proszę, oto w tę paskudną noc zbliżałem się od zachodu, niesiony wzbierającym przyptywem.

W ciągu siedmiu ostatnich lat tylko raz tu byłem. Wtedy wróciłem z rodzinnego obowiązku, który zresztą okazał się rodzinną katastrofą. Wytrzymałem jak mogłem najdłużej, ale w końcu odpłynąłem, uciekając przed odpowiedzialnością i nękającymi mnie prawnikami. Właśnie wtedy poprzysięgłem sobie, że już nigdy nie wrócę do Anglii.

Teraz jednak, po czterech latach, wracałem do domu.

I znów sprowadzał mnie rodzinny obowiązek.

Z pewnością nie przygnała mnie tęsknota za domem, bo w ciągu siedmiu lat włości po oceanach nigdy nie tęskniłem za Anglią. Próbowałem sobie wmówić, że to ciekawość pchała mnie na północ ku chłodnym wodom Kanału La Manche, ale ciekawość potrzebuje silnego bodźca, takiego jak przywiązanie czy nienawiść, a w stosunku do rodziny nie czułem nic podobnego. Mimo to, jeśli wierzyć wiadomości, którą otrzymałem, rodzina chciała, bym powrócił i dlatego – z poczucia obowiązku, a może winy – zmierzałem do domu.

Wiadomość otrzymałem w Zatoce Angielskiej na wyspie Antigua. Wzywali mnie prawnicy rodziny. Zostawili wiadomość w moim londyńskim banku, który mnie odszukał. Wysłałem tam teleks w nadziei, że to jakieś niespodziewane dochody pomogły mi wyjść z długów, ale zamiast pieniędzy otrzymałem informację, że moja matka zachorowała i chce się ze mną zobaczyć. Po raz pierwszy od czterech lat matka zauważyła, że żyję, a właściwie, jeśli mam być szczery, to również ja po raz pierwszy przypomniałem sobie o jej istnieniu. Nie chciałem wracać,

ale w tej wiadomości pobrzmiwało jakieś patetyczne wezwanie, więc postawiłem żagle i skierowałem „Słonecznika” na wschodnie morza.

Nie spieszyłem się. Tak naprawdę wydawało mi się, choć może to tylko mój wymysł, że „Słonecznik” wlokł się przez Atlantyk. Spędziłem tydzień w bezwietrznym pasie między trzydziestym a trzydziestym piątym równoleżnikiem, a potem, kiedy już złapałem zachodni wiatr, moja łajba stała się odporna na powiewy jak nigdy przedtem. Po raz pierwszy mój jacht poruszał się z taką ociężałością, aż zacząłem się zastanawiać, czy ta uparta ślamazarność nie jest czasem odzwierciedleniem mojej własnej niechęci do tej podróży. Jednak udało nam się dopłynąć do Azorów, ale wtedy, o tydzień drogi od Horty, zaczął mnie boleć ząb; tak nieznośnie, że niemal uwierzyłem, iż ten ból, podobnie jak ospałość „Słonecznika”, to cichy protest przeciwko powrotowi do Anglii. Podczas długiego rejsu ból wzrastał się coraz bardziej. W końcu zachodni wiatr zniósł mnie z wielką siłą w kierunku Kanału La Manche. Płynąłem samotnie.

Tylko „Słonecznik” i ja. „Słonecznik” był wybudowanym we Francji dwunastometrowym jachtem o stalowym, wygiętym kadłubie, który na małej fali lekko dźwięczał, ale na dużej grzmiał niczym działo podczas kanonady. Na wiosnę stuknęło mu dwadzieścia lat i to było widać. Żagiel grota na współczesnych jachtach ma tyle płótna, co majteczki bikini, ale „Słonecznik” miał grota z prawdziwego zdarzenia: morze płótna łopoczącego na wietrze. Bom „Słonecznika” też był taki jak trzeba – kawał drąga, który nieostrożnemu żeglarzowi mógł w chwili nieuwagi rozwalić głowę, nie tak jak te współczesne patyczki. Nie zainstalowałem żadnych nowoczesnych usprawnień, takich jak olinowanie wewnątrz masztu czy olinowanie foka prowadzone na rolkach. Musiałem więc po staroświecku ręcznie wiązać refy. W chłodną i mokrą noc to zabójcza praca, lecz lepiej mieć pokaleczone i pokrważone palce, niż szarpać się z zablokowanym grotem i ryzykować wywrotkę na silnym wietrze. Foki w sztywnych pokrowcach trzeba ciągnąć po pokładzie, by umieścić je na swoim miejscu i rozwinąć na wietrze. „Słonecznik” nigdy nie należał do szybkich jachtów, zwłaszcza w porównaniu z lekkimi jak piórko katamaranami, tymi morskimi sankami, które biją rekordy w żeglarstwie oceanicznym. Ale „Słonecznik” mógł popłynąć ze swą załogą nawet do piekła i z powrotem, a prawdziwy żeglarz nie wymaga niczego więcej od łajby.

Mnie też to wystarczyło. „Słonecznik” stał się moim domem, razem przebyliśmy wiele mil. Pływaliśmy po południowej półkuli, opłynęliśmy przylądek Horn, zmagaliśmy się z prądami, czuliśmy zapach afrykańskiej dżungli, rzucaliśmy kotwicę przy rafach koralowych na Oceanie Indyjskim, a teraz, wezwani przez prawników mojej rodziny, sunęliśmy w kierunku Wielkiej Brytanii przez krótkie, szare, nieprzyjazne fale, uderzające w wygięty kadłub i czasami eksplodujące białym pociskiem piany, który przeskakiwał nad burtą jachtu i wpadał do kokpitu, ochładzając mnie od stóp do głów.

Zapadła już noc, wiatr wzrastał się. Wiało od Anglii, na południowy wschód, ale nie było nic przyjaznego w tych zimnych, przenikających ciało na wylot podmuchach. O zmierzchu wiatr miał siłę mniej więcej trzech lub czterech stopni. O północy wiała już piątka, a powiewy stawały się coraz silniejsze. O trzeciej nad ranem musiałem napiąć refy, a teraz, na godzinę przed świtem, „Słonecznik” pędził gnany wichurą o sile siedmiu stopni w skali Beauforta. Opuściłem grot i płynąłem tylko na samym fok. Może ktoś pomyśli, że to zbytnia ostrożność z mojej strony, ale nie zrobiłem tego ze strachu, tylko ze śmiertelnego zmęczenia. Nie mogłem pozwolić sobie na sen, ponieważ płynąłem przez rejon szlaków morskich, a w zderzeniu z bezwładnie sunącym po falach stutysięcznikiem nie miałbym absolutnie żadnych szans. Tuż po północy spostrzegłem jeden z takich wielkich tankowców, a raczej widziałem jego potężny, oświetlony mostek. Kadłuba nie mogłem dojrzeć z powodu szarej, nieprzeniknionej mgły unoszącej się nad grzbietami szalejących fal. „Słonecznik” sunął po białych grzywach, które w ciemności wyglądały jak jaśniejsze plamki. Wiedziałem, że nikt z tankowca nawet mnie nie zauważył. Kolos minął mnie o pół mili na południe, kierując się ku Zatoce Biskajskiej.

Widok statku nieco mnie otrzeźwił, ale ożywienie nie trwało długo. Mimo tępego bólu zęba, przysnąłem. Usiadłem w kokpicie pod lewą burtą, rumpel włożyłem pod zgiętą nogę i oparłem głowę o poręcz. Uderzenia fal o kadłub jachtu podziały jak najlepsza hipnoza. Spałem kilka minut, ale po chwili zaczynałem się budzić i z nagłym przerażeniem, bezmyślnie spoglądałem na kompas. Raz czy dwa przetarłem oczy, by lepiej widzieć, ale właściwie tylko jeszcze głębiej wtarłem osadzone w kąciakach oczu kryształki szczypiącej, morskiej soli. Ząb bolał jak

diabli, ale nawet to nie wystarczyło, bym rozbudził się na dobre. Wiedziałem, że nie mogę spać. Czasami w takich sytuacjach pozwalałem się ochlapać bryzgom fal, licząc na to, że to niemiłe doznanie mnie otrzeźwi, ale tym razem sen omotał mnie natychmiast, gdy tylko usiadłem. Mój jacht, kołysząc się jak jakiś opętany koń na biegunach, gnał pchany wicherą po krótkich, wysokich falach, najniebezpieczniejszym szlakiem na świecie, a ja sobie po prostu spałem. I miałem halucynacje.

Halucynacje podczas nocnego żeglowania to dla mnie nie pierwszozna, jednak oswojenie się z nimi wcale nie pomagało mi przekonać się, że to złuda. Te zwidy to półsny rozgrywające się jak w jakiejś niewiarygodnej rzeczywistości. Tej nocy wyraźnie ujrzałem sylwetkę latarni morskiej, która przyzywała mnie do domu, a w chwilę potem zobaczyłem brzeg. Gdybym w tych marach widział rzeczy ze sfery fantazji, na przykład kobiety czy gorące jedzenie, mój umysł natychmiast by je odrzucił jako złudzenia. Ale wizje nocy przedstawiały rzeczy, które chciałem ujrzyć najbardziej: atrybuty bezpiecznego lądu. No i w delikatnej poświacie zobaczyłem brzeg, na nim wieżyczki kościołów, drzewa i skały. Ukazały się nawet ledwo widoczne światła wskazujące drogę do domu. Jakaś część mego mózgu zdawała sobie sprawę, że to tylko wyrafinowane złudzenie, a mimo to ulegałem. Dopiero kiedy coś zakłóciło rytm „Słonecznika”, umysł niechętnie oderwał się od tej przyjemnej iluzji i przyjął do wiadomości, że tak naprawdę pędzę przez coraz większe fale gnany wicherą, i nie ma żadnego światła, które zaprowadziłoby mnie do domu. Wtedy wróciłem do rzeczywistości.

W końcu przestałem walczyć z sennością. Przemoczone ubranie tak ułożyło się na moim ciele, że miałem wrażenie wygody. Każdy ruch oznaczał jednak ponowne zetknięcie podrażnionej skóry z mokrą tkaniną. Leżałem więc nieruchomo i zapadałem w sen, a „Słonecznik” płynął w górę Kanału, gdzie rozpychały się wielkie statki i czekały czarne skały.

Nadal nie wiedziałem, po co wracam do domu ani co czeka mnie w Anglii.

Uciekłem z Anglii przed czterema laty. Wróciłem wtedy do domu, ponieważ zmarł mój brat i to ja stałem się głową rodziny. Krewni liczyli, że rozwiązę ich problemy, ale ja zamiast tego kupiłem „Słonecznika”, zaopatrzyłem go i uciekłem na morze. Ten sam wiatr, który wychodził mi teraz na powitanie, wtedy pognał

mnie na południowy zachód. Czułem, że przede mną rozpościera się bezmiar wolności. Uciekłem, byłem bezpieczny i wolny. Nadmiar odpowiedzialności i oskarżenia rodziny zostały za rufą, jak odcięta kotwica.

Nigdy nie żałowałem, że wtedy odpłynąłem. Stąpałem po odległych plażach, żeglowałem w nieprzeniknionych ciemnościach i przyjaźniłem się z ludźmi, którzy nie mieli pojęcia o mojej przeszłości. Dla nich byłem po prostu Johnem Rossendale'em, z bożej łaski kapitanem dobrego jachtu o nazwie „Słonecznik”, zręcznym mechanikiem, cieślą, spawaczem i żaglomistrzem. Byłem kimś anonimowym. Wolnym.

A teraz wracałem do domu. Sam.

Nie zawsze pływałem samotnie. Siedem lat temu, kiedy wyjechałem z Anglii po raz pierwszy, płynął ze mną Charlie Barratt. Spędziliśmy razem trzy wspaniałe lata na morzach południowych, a kiedy rodzina zażądała, bym powrócił, on przyплыł razem ze mną. Wieść o śmierci mego brata otrzymaliśmy w Australii. Musieliśmy sprzedać łajbę, by zdobyć pieniądze na bilety lotnicze. Obiecaliśmy sobie, że w Anglii kupimy następną łódź i wrócimy na Pacyfik, ale Charlie zdążył się ożenić i nie w głowie mu były marzenia o błękitnych południowych morzach. Zmagałem się ze spadkiem po moim bracie, aż wreszcie zdesperowany rzuciłem wszystko, kupiłem „Słonecznika” i sam ruszyłem na morze. Nie dane mi było pływać w samotności. W Belize wzięłem na pokład pewną młodą Niemkę. Wysadziłem ją dopiero na Markizach, gdzie dołączyła do grupy jakichś obdartusów płynących na katamaranie dowodzonym przez pyszałkowego Polaka. Słyszałem, że ich jacht rozbił się gdzieś w pobliżu Trobriandów i wszyscy potonęli, ale na morskich szlakach aż roi się od takich plotek, więc może moja Niemka wciąż żyje. Na Wyspach Salomona spotkałem pewną Australijkę, która żeglowała ze mną przez okrągły rok, ale dowiedziała się, kim jestem i zapragnęła za mnie wyjść, a kiedy twardo odmawiałem, zeszła na ląd w Kalifornii. Byli jeszcze inni towarzysze podróży. Morza są pełne autostopowiczów, czekających, by ktoś ich przewiózł na drugi brzeg, wszyscy godzą się na podróże rozklekotanymi łodziami i wszyscy wierzą, że na zawsze uwolnili się od biurokracji. Niektórzy z nich toną, inni zostają zamordowani lub giną bez wieści, wiele podróżujących kobiet kończy w rynsztoku, a bardzo, bardzo niewielu wraca do domu.

A ja wracałem do domu, choć wcale tego nie chciałem. Miałem halucynacje, spałem i śniłem o dalekich, południowych morzach.

Zerwałem się nagle o świcie. Nie obudziła mnie szarówka ani ból zęba, raczej nagła zmiana wiatru na południowy. „Słonecznik” zrobił zwrot. Trwało to najwyżej kilka sekund, ułamek mojego snu, nie więcej, ale rumpel pod kolanem poruszył się i jacht obrócił się bokiem do wiatru. Przez chwilę pędził równolegle do syczącej grzywy, po czym uderzenie wody przechyliło go. Fala się załamała, a „Słonecznik” coraz bardziej przechylał się na prawą burtę. Woda lała się przez reling niczym wodospad Niagara. Przez dwie sekundy stałem zaskoczony tym nagłym uderzeniem, potem porwał mnie wir spienionej wody. Na ułamek sekundy przed tym, jak całkowicie przykryła mnie fala, ujrzałem czubek masztu niknący pod wodą. W panice zacząłem się miotać we wszystkie strony, dopóki nie poczułem mocnego szarpnięcia liny zabezpieczającej. Woda wciąż kipiała wokół mnie i przelewała się przez leżący płasko na jacht. Przez chwilę bałem się, ale w końcu niezmiennie prawa fizyki zadziałały i ciężki kil zaczął dźwigać „Słonecznika” do góry. Mnie nie mogło pomóc żadne prawo fizyki. Będę musiał wciągnąć mokre i ciężkie ciało na wysoką okrężnię? i w jakiś sposób wspiąć się na pokład. Wtem jednak jakaś miłośierna i zwariowana fala pchnęła mnie prosto na reling prawej burty. Poczulem ostre uderzenie w żebra. W miarę jak jacht się prostował, myślałem tylko o tym, by nie puścić relingu. Z początku „Słonecznik” wstawał ociężałe, lecz nagle wyrwał się gwałtownie z objęć morza, a ja z impetem przeleciałem przez burtę, prosto do pełnego wody kokpitu.

W ten sposób morze chciało przywołać mnie do porządku. Dzień dobry, witamy na wodach Kanału La Manche. Stałem w rozkroku w rozkołysanym kokpicie i łączywie chwytałem powietrze. Ból w żebrach był nie do zniesienia, ale nie miałem czasu na zastanawianie się, czy czegoś sobie nie złamałem. Kliwer łopotał, a w stronę „Słonecznika” zmierzała kolejna wysoka fala.

Pchnąłem rumpel z całej siły na lewą burtę i naciągnąłem kliwer, żeby złapać wiatr. „Słonecznik” z ociąganiem obrócił się w stronę fal. Woda wciąż spływała z pokładu szarozielonymi kaskadami w spienione, rozszalałe morze.

Dzięki otworom odptywowym kokpit również szybko się osuszał. Wątpiłem, by woda dostała się do wnętrza jachtu. „Słonecznik” miał luki z tekowych desek, a w taką pogodę zawsze zamykałem je na amen. Miałem szczęście. Wywrotka

nastąpiła z mojej winy i żyłem tylko dzięki linie zabezpieczającej. Delikatnie zbadłem zebra. Czułem ostry ból, ale chyba niczego sobie nie złamałem.

Po tym nurkowaniu byłem przemoczony do suchej nitki, ale „Słonecznik” wciąż płynął przez wzburzone fale. Unieruchomiłem rumpel i rozebrałem się do naga, drżąc z zimna. Była wiosna, ale powietrze nad Kanałem wciąż jeszcze kąsało chłodem, a woda ziała zimnem, niczym otwarty grób. Otworzyłem zejście prowadzące pod pokład, poczekałem aż przeleją się syczące fale i wskoczyłem do kabiny.

Niewiele zostało mi suchych rzeczy, ale znalazłem dwie pary dżinsów, skarpetki i trzy swetry. Włożyłem to wszystko na siebie. Rozgrzewałem się, ale wiedziałem, że w ubraniu jest pełno kryształków soli, które w zetknięciu z wilgocią zaczną wchłaniać wodę i znów będę przemoczony i trzęsący się z zimna. Prawie wytarłem włosy wilgotnym ręcznikiem, po czym wcisnąłem się do kambuza i odpiąłem termos z uchwyty. Wlałem herbatę do wielkiego kubka. Mimo że „Słonecznikiem” rzucało na wszystkie strony, nie rozlałem nawet kropelki. Praktyka w takich drobiazgach czyni z człowieka perfekcjonistę. W czasie kiedy piłem herbatę, jakiś tankowiec mógł ze mnie zrobić miazgę, ale musiałem się rozgrzać od środka. A za fajkę pełną suchego tytoniu dałbym się chyba pokrajać na kawałki.

Dogodziwszy sobie, wróciłem do kokpitu i ze sterty mokrych ubrań na podłodze wyciągnąłem sztormiak. Skrzywiłem się, bo wiedziałem, że woda ze sztormiaka przemoczy moje nowe ubranie, ale nie miałem wyboru. Zapiąłem się, założyłem suche buty, po czym podniosłem grot, częściowo już przywiązany do bomu. „Słonecznik” poczuł dodatkowe płótno i nieco się uspokoił. Jacht pędził jak złoto, smagany porywami gniewnego wiatru. Nie w głowie był mi już sen. Wraz ze światem zniknęły halucynacje. Wracałem do domu.

Ale dlaczego i do czego – nie miałem pojęcia.

Powinienem być się schronić w Falmouth albo w którymś z walijskich portów, ale nagle poczułem niechęć do przybicia do brzegu. Wiatr wciąż wiał na południe i wzmagał się coraz bardziej. Rozbijał wierzchołki fal w białą mgłę, która nie pozwalała nic dojrzeć na szarym morzu. Fale napływały z grzmiotem z południowozachodu, ale napotykały przeciwny wiatr, który powodował zamieszanie. „Słonecznik” nie przejmował się tym. To była twarda sztuka i nie takie rzeczy już przeszedł. Miał stalowy kadłub, a w ciągu tych wszystkich lat podwójnie wzmocniłem

cały takielunek. Kiedyś otarł się nawet o tajfun i stukło się tylko trochę naczyń w kambuzie. Teraz, w ten wstrętny dzień, „Słonecznik” sunął w górę Kanału. Światło dnia przyćmiewała rozpylona w powietrzu woda. Było zimno. Przyhamowałem trochę pęd jachtu, nie chciałem, by jakaś fala ponownie go wyrzuciła. Ale chociaż „Słonecznik” podskakiwał jak piłka, nic mu nie groziło. Jedyne niebezpieczeństwo stanowił jakiś większy statek lub moja nieuwaga.

Przez chwilę widziałem latarnię w Eddystone. To pierwszy zwiastun ojczyściego brzegu. Wtedy zrobiłem zwrot na Salcombe. Chyba od początku wiedziałem, że popłynę do Salcombe, bo właśnie tam mieszkał Charlie. Wychowaliśmy się razem, razem uganialiśmy się za pierwszymi dziewczynami, upiliśmy się po raz pierwszy i razem nas kiedyś zaaresztowano, a potem wspólnie wypłynęliśmy na dalekie morza. Niezależnie od tego, co czekało mnie w Anglii, na pewno był tam Charlie, a jego przyjaźń wystarczyła, by warto było płynąć do domu. Tak więc, pędzony silnym wiatrem, o świcie skierowałem jacht ku rodzinnemu portowi Charliego, Salcombe.

Na mapie Salcombe wygląda na jedną z najbardziej osłoniętych zatoczek południowego wybrzeża Anglii i tak jest w rzeczywistości, jeśli zgodzimy się, że sieć zalanych wodą rzecznych dolin o wysokich ścianach daje poczucie bezpieczeństwa. Wiele jachtów przeczekało w Salcombe sztormy na Kanale, bo samym miejscem piekielnym trudno byłoby wzburzyć powierzchnię jeziora najbardziej wsuniętych w głąb lądu, ale przy wietrze wiejącym w stronę lądu i przy odpływie, wejście do Salcombe to śmiertelna pułapka. Salcombe oznacza bezpieczeństwo, lecz skierowanie się tutaj przy wiejącej na południe wichurze to samobójczy krok. W poprzek wejścia do zatoki leży uskok, podobny do ukrytej barykady. Gnane wiatrem fale zatrzymuje nagły występ morskiego dna. Tworzy się huczący kocioł łamiących się fal, które rozbijają się w białą pianę, po czym stają się jeszcze wyższe i bardziej niebezpieczne, kiedy napotykają cofającą się wodę odpływu. Tylko głupiec wybiera Salcombe w czasie południowego wichru. O krok na wschód leży Dartmouth, gdzie można wejść przy każdej pogodzie, a nie tak daleko na zachód znajduje się Plymouth, jeszcze bezpieczniejsze niż Dartmouth. Jeśli popłynąć w górę Kanału, można dotrzeć do Torbay, najlepszego schronienia przed południowym i zachodnim wiatrem. Ale ja zdecydowałem się na Salcombe.

Pomyślałem, że jeśli nie jest mi dane wrócić do domu, powie mi o tym uskok u

wejścia do zatoczki. Będę kusił diabła i jeśli przegram, zginę tam wraz ze „Słonecznikiem”, zatone, rozbiję się, czując zapach domu, takie rozumowanie było głupim ryzykanctwem wynikającym ze zmęczenia, doprawionego śmiertelną mieszanką żalu i arogancji. Rozzaliłem się nad sobą, bo nie miałem ochoty ponownie spotykać się z rodziną, zaś arogancja brała się z determinacji i chęci zaprezentowania staremu krajowi mojej żeglarskiej wielkości.

Bom „Słonecznika” wychylił się mocno na lewą burtę. Płynęliśmy w kierunku Bolt Head. Pędziliśmy teraz na skos przez bałwany kierujące się na wschód. Przez moment znajdowaliśmy się na wierzchołku fali, lecąc triumfująco, a już chwilę później nurkowaliśmy coraz głębiej w wodnistą ciemność, a za rufą widziałem następną groźną falę z grzywą rozwianą wiatrem. Szkliste jądro śmierci miało roztrzaskać lewą burtę „Słonecznika”, ale w chwili, gdy pomyślałem, że mój jacht już się nie podniesie, wędrowaliśmy znów w górę, na wierzchołek następnej fali, skąd wypatrywałem śladu łądu. Minęło zmęczenie, nie czułem nawet chłodu i wilgoci. Pochłoneło mnie całkowicie wyzwanie morza do ostatecznego pojedynku.

A jednak to nie gnane wichrem fale były naszym największym przeciwnikiem. Wrogiem był uskok, cichy, schowany tuż pod powierzchnią wody u wejścia do Salcombe. Widzieliśmy kiedyś, ja i Charlie, jak na uskoku przy Salcombe rozbił się jacht. Wpadł na niego niesiony falą, pokazał się jeszcze na chwilę, ale wcześniej uderzył kilem o dno i siła wstrząsu zniszczyła wszystkie przegrody. Roztrzaskała nawet czaszkę mężczyzny przy stoliku z mapami. Na uskoku przy Salcombe rozbiła się nawet szalupa ratunkowa, a przy szalupach „Słonecznik” wygląda jak lupinka. Zastępy wdów przeklinały to miejsce, a teraz ja i mój jacht płynęliśmy w jego kierunku, gnani wiatrem i szaleństwem.

Wczesnym popołudniem była taka chwila, kiedy wiedziałem, że mogę zrobić zwrot na wschód i jeszcze zdążyć schronić się w Dartmouth. Przez chwilę się wahałem, kuszony przez zdrowy rozsądek, po czym górę wzięła pokusa przydeptania diabłu ogona. Byłem Rossendale’em, ostatnim z rodu, i wrócę do domu z całym szaleństwem, jakie drzemało w tej chorej, rodowej krwi.

Za lewą burtą pojawiło się nagle szare Bolt Head. Obraz łądu był zamazany i przesiąknięty wodą, wycie wiatru przypominało przeraźliwe zawodzenie śmierci, a fale pchały mnie na brzeg. Były ogromne, wysokie i coraz liczniejsze w miarę zbliżania się do łądu. Na szczycie każdego załamującego się grzbietu wpatrywałem się

w dal. Doskonale wiedziałem, czego wypatrywać, więc kiedy to ujrzałem, nadszedł strach. Zobaczyłem białe bałwany. Wyobrażanie sobie niebezpieczeństwa to jedno, ale widok prawdziwego zagrożenia, świadomość, że wyobrażenia nie jest dostatecznie przerażająca, by dorównać rzeczywistości, to coś zupełnie innego. Uskok otaczały rozszalałe fale. Ujrzałem przez chwilę rozbijające się wierzchołki grzywaczy pryskające białą mgłą, a pod nią huczący, potężny wir wody. Do tej pory na brzegu na pewno dostrzeżono moje żagle. Zapewne ci, którzy je ujrzeli, znają się na rzeczy i uznali mnie za głupca, a teraz modlą się, by mimo mojej głupoty łódź pozwoliła mi przeżyć. Bez wątplenia wezwano już szalupę, ale tylko po to, by wyłowić moje ciało z fal przybijających do brzegu.

Trzymałem się zachodniej strony wejścia do zatoczki. Woda była tam głębsza, choć jeśli nie unicestwi mnie uskok, czeka mnie jeszcze przeprawa z Bass Rock. Moje oczy dojrzały wybuch białej piany z fali, która rozbiła się na Little Mew Stone. „Słonecznik” zanurkował dziobem, gdy kolejna fala uniosła do góry rufę, ale tym razem zamiast płynąć na grzbiecie fali, wielki stalowy kadłub po prostu szybował na tonach przewalającej się wody. Wyglądaliśmy ni mniej, ni więcej tylko jak surfingowcy na Pacyfiku. To już nie była łódź, tylko skrawek metalu niesiony gniewem fali tam, gdzie szalała kipiela wokół uskoku. Dotarliśmy dokąd zamierzałem, bardzo blisko zachodnich skał. Zebrałem się w sobie, siedząc w kokpicie z rumpel między udami i obiema rękami ciągnąc grota, ponieważ wiedziałem, co teraz nastąpi.

Mocno naciągnięty grot „Słonecznika” wciąż był wychylony na lewą burtę. W każdej chwili wiatr mógł odbić się od skał i zmusić jacht do zwrotu. Powinienem zwinąć grota i pozwolić, by morze wprowadziło mnie na kliwrze, ale to byłoby tchórzostwem. Niech uskok pokaże, na co go stać. Zdecydowałem się rzucić wyzwanie morzu i nie poddam się.

Zadrzał brzeg grota. Było to zaledwie małe poruszenie szarego, ciężkiego płótna, ale to właśnie znak, na który czekałem. Zanim odbity od skały wiatr zdołał mnie pozbawić masztu, pociągnąłem żagiel obiema rękami. Zaparłem się mocniej o rumpel, ponieważ wiedziałem, z jaką siłą „Słonecznik” rzuci się na lewą burtę, kiedy nadejdzie zwrot.

I nadszedł.

O ile nie mamy do czynienia z sytuacją, w której jacht stoi dziobem do wiatru, a jego kapitan nie ma zamiaru nigdzie płynąć, żagle zawsze są wychylone na lewą bądź prawą burtę. Istnieją dwa sposoby przerzucania ich z jednej strony na drugą. Pierwszy to halsowanie: kieruje się łódź na wiatr, a wiatr z wdziękiem opływa dziób i wydyma żagle tak, że wyglądają jak łopoczące flagi i posłusznie zmieniają kierunek. Drugi sposób to ustawienie jachtu bokiem do wiatru. Wtedy wygląda to tak, jakby wiatr owinął się wokół masztu i żagiel wciska się w drzewce, zanim przesunie się w nowe położenie. Przerzucanie jest niebezpieczne i gwałtowne. Tym bardziej, że zamiast normalnego wiatru wiała wichura, która miała przerzucać ogromne płótno żagla, przymocowane do drewnianego bomu zdolnego rozbić mi czaszkę. Pod naporem wichru waga całego tego wyposażenia mogła zerwać wanty i wyrwać maszt z pokładu. Ale trzymałem w garści dość płótna, by zamortyzować siłę przerzutu. Otarłem przy tym do krwi prawą dłoń, ale to była dobra robota. Tak właśnie określiliby to Charlie. „Dobra robota” to największa pochwała z jego ust. Rzadko jej udzielał i tylko w przypadku praktycznych osiągnięć, jak na przykład dobrze połączone kawałki drewna czy ładny szew, albo szalony zwrot w pobliżu uskoku w Salcombe.

Nie miałem czasu, by podziwiać własny manewr. Przeżyliśmy zwrot, ale gdy tylko żagiel ustawił się we właściwej pozycji, poczułem, że dziób „Słonecznika” nurkuje i rozumiałem, że uskok jest tuż pode mną. To było wyzwanie szaleńca. Wpatrywałem się w przesmyk, gdzie muł i piasek zmieniły kolor wody. Nad tą rozmytą plamą kotłowała się brudnobiała piana. Pędziłem w morderczy przesmyk. Przez kilka sekund wycie wiatru zagłuszyło huk potężnej fali tworzącej się za rufą „Słonecznika”. Zostało do pokonania niewiele ponad sto metrów morza, które mogło mnie pogrzyżyć. To była najgorsza setka. Gdybym teraz ustawił się bokiem do wiatru, nic by mnie nie ocaliło, gdyż „Słonecznik” wywróciłby się, maszt połamał, a morze dokończyłoby dzieła i zrobiło z nas krwawo-stalową miazgę. Ścisnąłem rumpel obydwiema rękami, napinając mięśnie ze wszystkich sił, a grzywa fali za rufą spadała kaskadą na czarną ścianą wody jak pokruszony lód. Chryste, pomyślałem, dlaczego ja to robię?

Kliwer łopotał, zasłonięty przez grot. Zbaczaaliśmy na lewo, więc skorygowałem kurs. Fala, która nas niosła – opadła, podcięta wznoszącym się uskokiem. „Słonecznik” stał się po prostu kawałkiem żelastwa w samym sercu złamanej fali przyływu. Woda strzelała do góry na wysokość połowy masztu. Za rufą zagrziała kolejna kanonada fal, a kil „Słonecznika” zaczął się opuszczać, pędząc na spotkanie ukrytej skały, która mogła roztrzaskać kadłub jak skorupkę jajka. Szliśmy wciąż w dół i w dół, a za moimi plecami pojawiła się następna biała grzywa. Za ścianą białej piany dojrzałem potyskującą ciemność. Uświadomiłem sobie, że zostanę zmiażdżony między uskokiem a nadchodzącą falą, ale wtedy „Słonecznik”, kochany „Słonecznik” zaczął się podnosić. Walczył ze śmiercią centymetr za centymetrem. Wierzchołek żagla złapał wiatr i zaczął ciągnąć jacht do góry. Moja łajba jeszcze nie dała za wygraną i cięła wodę stalowym kadłubem. Jacht się nie poddał, ale ta huczająca fala wciąż mogła nas zatopić i wiedziałem, że wystarczy jedno uderzenie, by nas roztrzaskać i pochłonąć.

Fala się złamała. Ciemna, potyskująca ściana pękła, jakby wysadzona dynamitem. Widziałem tylko miliony białych kropeł. Gdyby nie to, że opadła dosłownie o włos za rufą „Słonecznika”, roztrzaskałaby mnie na kawałki. Uderzenie wody odbiło się od uskoku i uniosło jacht ponad spienionym kotłowiskiem fal, ponad skałami Wolf Rock i Bass Rock. Tuż przed Poundstone zrobiłem jeszcze jeden zwrot, wiedząc, że popisuję się przed ludźmi, którzy stali na brzegu, by przyglądać się mojej śmierci. Udowadniałem, że osiągnąłem mistrzostwo w pewnej dziedzinie i demonstrując tę umiejętność powracam do domu z klasą. Wykonałem jeszcze jeden zwrot, obracając „Słonecznika” i nagle wpłynąłem na spokojniejszą wodę. Okrutny wichur został gdzieś za Limebury Point. Obejrzałem się. Okolica uskoku była masą spienionej wody – jeszcze czegoś takiego tu nie widziałem. Ale „Słonecznik” jakoś przez to przeszedł.

A ja, zrobiwszy dobrą robotę, wróciłem do domu.

Charliego nie zastałem w domu. Jego żona z oporami zgodziła się przyjąć rozmowę na swój koszt i powiedziała, że wyjechał w interesach do Hertfordshire. Zrozumiałem, że nie jest zadowolona z mojego powrotu. Wierzyła, że jestem wcielonym diabłem, który znowu może porwać jej męża na morze.

– Kiedy wróci, Yvonne? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia – w jej głosie usłyszałem ostrożność. Gdzieś w dali rozlegał się płacz dziecka.

– Przekaż mi, że dzwoniłem i stoję na przystani w Salcombe.

Yvonne obiecała, że powtórzy tę wiadomość mężowi, choć nie wątpiłem, iż nie będzie się z tym spieszyć. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że mój najlepszy, najbliższy i najstarszy przyjaciel poślubił osobę, która tak mnie nie lubi.

Pożegnałem się, po czym nie zwracając uwagi na niecierpliwość ludzi czekających w kolejce do automatu, próbowałem połączyć się na koszt rozmówcy z domem matki. Nikt nie podnosił słuchawki, więc telefonistka zadzwoniła do mojej siostry-bliźniaczki do Gloucestershire. Elizabeth także nie zastałem, ale jej mąż z oporem zgodził się zapłacić za rozmowę. Kiedyś się ze mną przyjaźnił, jednak w naszej rodzinnej kłótni wziął stronę żony.

– Czy tobie się wydaje, że my śpimy na pieniądzach? – powitał mnie opryskliwie.

Nie miałem ochoty wyjaśniać, że dopiero przybiłem do brzegu i nie mam innych drobnych, niż monety ze Stanów Zjednoczonych, Antigui i Portugalii.

– Jest Elizabeth? – zapytałem.

– Nie, nie ma jej. – Wydawało mi się, że jest wstawiony.

– Próbowałem się dodzwonić do matki.

– Jest w szpitalu.

Czekałem, że powie mi coś więcej, ale się nie doczekałem.

– W którym? – zapytałem.

– South Devon General. Zabrali ją w ubiegłym tygodniu. Leży na oddziale dla prywatnych pacjentów. Płacimy za to.

Miałem się domyślić, że ja również powinienem się do tego dołożyć, ale zignorowałem tę aluzję. Zamiast tego zapytałem:

– Jak się nazywa ten oddział?

– Oddział imienia Edith Cavell. To na trzecim piętrze.

– Nie wiesz, kiedy są tam odwiedziny?

– Nie udzielam informacji w imieniu służby zdrowia – powiedział dość denotującym tonem, lecz po chwili złagodniał. – Możesz tam pójść, kiedy chcesz.

Chyba im to nie przeszkadza. Według mnie to cholernie głupie. Gdybym ja kierował szpitalem, nie chciałbym, żeby goście kręcili mi się po oddziałach dniami i nocami, ale to ich sprawa.

– Może spotkam tam Elizabeth?

– Nie wiem, gdzie ona się podziała. – Zapadła dłuższa cisza, jakby miał coś dodać, ale nagle bez słowa odłożył słuchawkę.

Nie miałem już do kogo zadzwonić. Wiedziałem, że nie będę mógł się skontaktować z młodszą siostrą, a poza Charliem tylko ona mogła się ucieszyć z mojego powrotu. Powiosłowałem zatem z powrotem na jacht, gdzie wyjąłem puszkę z fasolą, którą rozmieszałem z konserwą mięsną i ogrzałem na kuchence w kambuzie. Ból zęba ustąpił w cudowny sposób, a było to zaiste zbawienne, bo skończyła mi się aspiryna i irlandzka whisky.

Rozpadało się na dobre. Woda bębniła o pokład „Słonecznika” i szumiała, spływając do morza. Wiatr wył na przystani i od czasu do czasu uderzał fałem o maszt. Zjadłem posiłek i pomyślałem, że mógłbym być w tej chwili za siedmioma morzami i płynąć sobie bez celu w dal.

Ale zamiast tego wróciłem do domu.

Do rana zapomniałem o zębie. Po raz pierwszy od kilku tygodni obudziłem się nie czując bólu, jeśli nie liczyć żeber posiniaczonych podczas uderzenia o kadłub, ale ten rodzaj bólu to ryzyko zawodowe, a zatem nie liczył się. A ząb, ku memu zdziwieniu, już mnie nie bolał. Zaciskałem szczękę z całej siły, ale nie czułem nawet ukłucia. Nagłe uzdrowienie i porządna dawka snu napełniły mnie optymizmem.

Jednak dobry nastrój zniknął w czasie podróży autobusem.

Nie przeszkadzały mi okolice Devon, które choć podmokłe, wyglądały jakoś miękko i zachęcająco. Chodziło raczej o współpasażerów. Autobus pełen był młodych matek i wrzeszczących dzieci. Na morzu, dzięki Bogu, nie słyhać krzyku dzieciaków, więc teraz wystawiony nań, czułem się, jakbym słuchał zgrzytu gwoździ przesuwanych po szkle. Wyglądałem przez zaparowane okno na samochody rozpryskujące kałuże i zastanawiałem się, jak Charlie znosi ojcostwo.

Autobus zatrzymał się niemal dwa kilometry od szpitala. Mogłem zaczekać na inny, który zawiózłby mnie pod górę, ale na myśl o kolejnych wrzeszczących dzieciakach wybrałem marsz. Miałem na sobie ciężki sztormiak, tak że przemokły mi tylko dzinsy. Kurtka była uwalana smarem i brudem, ale nie miałem żadnego innego okrycia, więc musiała służyć jako wyjściowe ubranie. Piąłem się do góry w siekącym deszczu, po czym przeciąłem podmokłe łąki przed szpitalem. W wielkim holu wejściowym znów roilo się od krzyczących dzieci. Minąłem windy, pokonałem trzy podesty schodów i cały czas zastanawiałem się, po co w ciągu sześciu tygodni przepłynąłem trzy i pół tysiąca mil morskich.

Trochę oczekiwałem, a trochę obawiałem się, że w szpitalu spotkam Elizabeth. Ale nie było jej. Poza pacjentami, na oddziale Edith Cavell nie było nikogo. Naprzeciw dwóch łóżek stał telewizor z wyłączoną fonią. Leciąca jakaś zwariowana kreskówka. Na łóżku stojącym bliżej drzwi leżała starsza kobieta ze słuchawkami na szarych włosach. Z niesmakiem zmierzyła wzrokiem moje przemoczone dzinsy i buty. Na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi, że nie przyszedłem do niej.

– Ona śpi – ostrzegła mnie, odwracając głowę w kierunku drugiego łóżka zasłoniętego parawanem.

Przemierzyłem podłogę wykładaną płytkami PCV i odsunąłem jasną zasłonę.

Matka spała.

W pierwszej chwili jej nie poznałem. W ciągu czterech lat jej złote włosy zmieniły kolor na brudnoszary. Nawet w czasie snu wyglądała na wyczerpaną. Leżała blada, zmęczona, a siwe włosy spadały jej bezładnie z czoła. Zawsze była dumna, aż do przesady, ale teraz wyglądała na wymęczoną istotę. Oddech świszczął jej w gardle z wysiłkiem. Kiedyś z dumą nosiła diamenty godne króla, lecz teraz walczyła o życie. Miała dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat, wyglądała jednak przynajmniej o dziesięć lat starzej.

– Miała okropną noc – odezwała się jej siwowłosa sąsiadka.

Nie odpowiedziałem.

Kobieta zdjęła z uszu słuchawki.

– Nie chce namiotu tlenowego, rozumie pan. Według mnie to głupie. Mówiłam jej to, naprawdę. Mówiłam, że powinna słuchać lekarzy, ale ona nie zwraca

uwagi na nikogo, za żadne skarby świata. Mówi, że musi palić. Palić! Przecież właśnie to ją zabija, ale ona nie słucha. Mówi, że nie może palić w namiocie tlenowym. Według mnie to głupie.

Zasunąłem zasłonę za sobą, zmuszając kobietę do milczenia. Odgłosy, jakie matka wydawała przy oddychaniu, były okropne.

Przy łóżku stała butla z tlenem. Obok maski tlenowej leżała paczka papierosów i złota zapalniczka. Podniosłem maskę i usłyszałem świst ulatującego gazu. Przekręciłem zawór i odłożyłem ją na cienki koc. Poruszałem się bardzo delikatnie, ale coś musiało zakłócić sen matki, ponieważ otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Z początku chyba mnie nie poznała – słońce rozjaśniło moje włosy niemal do bieli, a twarzy nadało kolor ciemnego drewna – ale nagle, ze zdwojoną siłą, w jej oczach pojawił się błysk świadomości. Byłem jej żyjącym synem i wróciłem do domu.

– Witaj, mamó – powiedziałem.

Nie odezwała się. Zamiast tego sięgnęła po papierosy, ale nim zdążyła je chwycić, jej ciałem wstrząsnął okropny kaszel: chrapliwy, suchy i ostry, jakby ktoś rozgniatał kamieniem rozbite szkło. Dobywał się z głębi jej piersi i wydawało się, że nie ma końca, Włączyłem dopływ tlenu i założyłem jej maskę. Jakoś udało jej się pokonać kaszel i łąpczywie zaczerpnąć powietrza. Jakby w obawie, że zabiorę maskę, chwyciła prawą dłońią moją rękę. Zacisnęła szczupłe palce jak szpony. Po raz pierwszy od czternastu lat mnie dotknęła. Ostatnio, kiedy to zrobiła, miałem dwadzieścia lat. Objęła mnie na chwilę, gdy do grobu spuszczano trumnę ojca. Od tamtej chwili nigdy mnie nie dotknęła. Nigdy, aż do momentu, kiedy walczyła o życie. Położyła swą dłoń na mojej ręce i ścisnęła ją tak mocno, że wydawało się, iż to ostre szpony ptaka szukającego schronienia. Znów zamknęła oczy. Czułem ciepło jej dłoni, zaciskające się palce i paznokcie wbijające mi się w skórę. Wkrótce, bardzo powoli, oddech matki uspokoił się. Czułem, że przez jej ciało przechodzi fala odprężenia, ucisk rozluźnił się. W miejscach, gdzie paznokcie wbiły mi się w skórę, pojawiły się dwie kropelki krwi. Otworzyła oczy i popatrzyła na mnie, po czym niemal z irytacją poruszyła ręką, jakby mówiąc, żebym zabrał maskę.

Powoli, gdyż nie byłem do końca pewny, czy właśnie tego chciała, podniosłem maskę tlenową. Paroksyzm kaszlu zostawił na ustach matki kropelki krwi, zaś gruba guma odcisnęła czerwony ślad na jej białych policzkach. Jej oczy na tle kredowobiałej twarzy wydawały się bardzo ciemne i błyszczące, gdy tak na mnie patrzyła.

– Witaj, mamó – powtórzyłem. Próbowwała coś odpowiedzieć, ale to groziło kolejnym wybuchem kaszlu. – W porządku – powiedziałem kojąco. – Nie musisz mówić.

Przysunąłem maskę do jej twarzy, ale ona pokręciła głową, po czym zamknęła oczy, jakby skupiała się, zapobiegając kolejnemu atakowi. Wymagało to ogromnego wysiłku woli, ale udało jej się i zamiast zakaszleć, popatrzyła mi prosto w oczy.

– Ty draniu – odezwała się.

Wtedy znów zaniósł się kaszlem, lecz tym razem nie mógł pomóc jej tlen ani lekarze i pielęgniarki, których wezwałem. Nie pozostało już nic do zrobienia. Matka zmarła po dwudziestu minutach od mego przybycia do szpitala.

Już po wszystkich na korytarzu podszedł do mnie młody lekarz. Chciał się dowiedzieć, czy jestem krewnym i chociaż to potwierdziłem, nie przyznawałem się, że jestem synem zmarłej.

– Należę do dalszej rodziny – wyjaśniłem.

– Za dużo paliła – powiedział lekarz bezradnie.

– Wiem. – Z poczuciem winy dotknąłem fajki spoczywającej w kieszeni sztormiaka. Wciąż sobie przyrzekałem, że rzucę palenie. Kiedyś mi się udało, ale tylko dlatego, że zabrakło mi tytoniu o tysiąc mil od Auklandów. Po trzech tygodniach zacząłem eksperymentować z suszonymi na słońcu wodorostami, które smakowały okropnie, ale wolałem to od abstynencji. Wróciłem myślą do lekarza.

– Bardzo chciała zobaczyć syna. – Spojrzał podejrzliwie na mój sztormiak. – Podobno wypłynął w morze, prawda?

– Tak mi się wydaje – powiedziałem wymijająco.

Lekarz wyglądał na człowieka, który właśnie przeżył sztorm o sile dwunastu stopni w skali Beauforta, ale dzielnie walczył ze zmęczeniem, by nie okazać niegrzeczności.

– Wczoraj przyjęła ostatni sakrament – powiedział. – Chyba to ją uspokoiło.

– Na pewno.

Lekarz z trudem ukrył ziewnięcie.

– Nie chciałby pan porozmawiać ze szpitalnym kapłanem? Czasami po śmierci kogoś bliskiego taka rozmowa może pomóc.

– Nie byłem aż tak bliskim krewnym – odparłem, broniąc się.

– Zatem, jak się domyślam, w sprawie pogrzebu powinniśmy zadzwonić do najstarszej córki?

– Tak będzie najlepiej – powiedziałem. – Zdecydowanie najlepiej.

Dwaj mężczyźni wprowadzili wózek do sali. Nie chciałem patrzeć, jak odjeżdża przykryte prześcieradłem ciało, więc wróciłem na deszcz.

Coś powinienem czuć, pomyślałem. Nie można być świadkiem śmierci własnej matki i nic potem nie czuć. Przynajmniej powinienem uronić łzę. Mój Boże, nawet nieszczera matczyzna miłość i wypełniony z niechęcią synowski obowiązek powinny złożyć się na jedną przynajmniej łzę, ale nie znajdowałem w sobie odpowiedniego bodźca. Nie czułem ani radości, ani żalu, ani zdziwienia. Nic. Wypełniała mnie tylko irytacja, że zmarnowałem podróż i rozdrażnienie, że musiałem czekać dwie godziny w deszczu na autobus do Salcombe.

Po powrocie do zatoczki ponownie zadzwoniłem do Charliego, ale nikt nie podnosił słuchawki. Powiosłowałem na „Słonecznika”.

Wróciłem do domu i niczego nie czułem. Nie uroniłem nawet łzy po śmierci matki.

Pięć dni później, o dziesiątej rano, cała rodzina zebrała się w Stowey.

Stowey to nasza rodzinna rezydencja. W jednej ze swoich książek Pevsner określił ją „być może najwspanialszym w Anglii budynkiem mieszkalnym z późnego średniowiecza”, co naprawdę oznaczało, że nasza rodzina była zbyt biedna, by przystroić go w stylu rokoka czy marnego, dziewiętnastowiecznego eklektyzmu. Mimo to, Stowey wyglądało naprawdę pięknie. Niski, kamienny budynek, zaledwie dwupiętrowy, z blankową wieżą na wschodnim krańcu. Gdzieś w połowie budowy uświadomiono sobie z radością, że w Devon panuje pokój, więc zachodnie skrzydło nie zostało umocnione. Zamiast tego wstawiono tam gotyckie okna dzielone kamiennymi słupkami, wychodzące teraz na ogrody, które w każdy

letni weekend przyciągały setki gości. Stowey służy obecnie jako hotel, ale w akcie sprzedaży zastrzeżono, że stypa po pogrzebie matki odbędzie się w tych starych pokojach, a nabożeństwo żałobne zostanie odprawione w tutejszej kaplicy. Kaplica nie sprawowała już funkcji sakralnych, ale władze hotelu nic w niej nie zmieniły, a miejscowy ksiądz chętnie pospieszył wypełnić ostatnią wolę matki. Miała zostać pochowana w rodzinnym grobowcu pod kaplicą i prawdopodobnie była ostatnim członkiem rodziny grzebanym w ten sposób, gdyż nie wyobrażałem sobie, by hotel mógł znieść kolejne makabryczne ceremonie. Właściwie nie sprzeciwiali się temu pogrzebowi tylko dlatego, że nie mieli innego wyjścia. Tak nakazywało prawo, ale zauważyłem, z jakim niesmakiem przyjmowali rozrzucaną po całym świecie i przenikniętą wewnętrznym rozkładem rodzinę Rossendale'ów. Krewni przyjęli mnie z podobnym niesmakiem.

– Jestem zaskoczony, że wróciłeś, John – odezwał się najmniej zasuszony wujek.

– Dlaczego?

– No, chyba wiesz.

– Niestety, nie – rzuciłem wyzywająco.

Wycofał się, mamrocząc coś o okropnej pogodzie i o tym, że na pogrzebach Rossendale'ów zawsze pada.

– Padało, kiedy chowaliśmy Fredericka – rzekł. – I na pogrzebie biednego Michaela.

Frederick to mój ojciec, zaś Michael to starszy brat. Dla rodziny zawsze był „biednym Michaeliem”. Strzelił sobie w łeb z dwururki kalibru numer sześć i to ja zostałem dziedzicem Rossendale'ów. Michael był nudnym, bojaźliwym facetem, który pod maską porywczowości skrywał ciągle niezdecydowanie, ale od chwili śmierci stał się dla rodziny kimś w rodzaju bohatera, prawdopodobnie dlatego, że lubili go bardziej niż mnie. Ich pełne wyrzutu spojrzenia zdawały się mówić: gdyby tylko żył Michael, na pewno nie doszłoby do tego nieszczęścia.

Tylko jedna osoba cieszyła się z mojej obecności. Moja młodsza siostra uśmiechnęła się radośnie i niewinnie, gdy podszedłem do jej krzesła.

– Johnny? – Wyciągnęła do mnie ręce w pełnym radości geście powitania. – Johnny!

– Witaj, moja droga. – Wzięłem Georginę za rękę i nachyliłem się, by pocałować ją w policzek.

Rozpromieniła się. To musiał być jeden z jej lepszych dni, gdyż mnie rozpoznała. Towarzyszyła jej młoda, tęga zakonnica, jedna z siostr pielęgniujących ją w prywatnym katolickim szpitalu położonym na wyspie na Kanale La Manche.

– Jak ona się czuje? – zapytałem zakonnice.

– Jesteśmy z niej bardzo dumni – odparła, co równie dobrze mogło znaczyć, że moja młodsza siostra nauczyła się w końcu sama załatwiać.

– A co z siostrą Felicity? – Siostra Felicity zwykle towarzyszyła Georginie.

– Niezbyt dobrze się czuje – powiedziała zakonnica z delikatnym irlandzkim akcentem. – Bardzo chciałaby tu dzisiaj być, tak bardzo, ale nie czuje się najlepiej. Modlimy się za nią.

– Siostra Felicity niedługo pójdzie do nieba – odezwała się radośnie Georgina. Miała dwadzieścia sześć lat, a przy tym umysł niezbyt rozgarniętego dwulatka. Nikt nie wiedział dlaczego. Najlepiej określił to Charlie, kiedy powiedział, że kiedy Bóg wyrabiał bochenek Georginy, dodał za mało zaczynu. Była piękna, miała twarz śliczną jak anioł, ale głowę pustą jak wydmuszka.

– Siostra Felicity nie umrze – uspokoiłem ją, ale ona już zapomniała, o czym mówiła.

– Podoba mi się tutaj. – Wciąż trzymała mnie za rękę.

– Świetnie wyglądasz – rzekłem.

– Chcę tu znowu mieszkać, Johnny. Z tobą – powiedziała Georgina czule i bezradnie.

– Chciałbym, żeby to było możliwe, kochanie. Ale dobrze ci w klasztorze, prawda? – Klasztorny szpital specjalizował się w opiece nad ludźmi upośledzonymi umysłowo. Przed śmiercią ojca i ostatecznym rozpadem majątku Rossendale'ów ustanowiono fundusz, z którego miała być finansowana opieka nad Georgina do końca jej życia. Na ironię zakrawał fakt, że w całej rodzinie jedynie osoba opóźniona umysłowo nie miała kłopotów finansowych.

– Podoba mi się tutaj – powtórzyła z okrutną jasnością. – Z tobą.

Po raz pierwszy od śmierci matki napłynęły mi do oczu łzy. Nasza rodzina nie była warta funta kłaków, ale ja i Georgina zawsze się lubiliśmy. Kiedy była mała,

często ją rozśmieszałem i czasami myślałem, że trzeba naprawdę niewielkiego cudu, by wydobyć z głębi jej umysłu ukryty rozsądek. Ale ów cud nigdy się nie zdarzył. Zamiast tego matce zaczęła przeszkadzać jej obecność, więc moja młodsza siostra została umieszczona bezpiecznie daleko, wyrzucona z pola widzenia i pamięci. Zamieszkała w klasztorным domu. Przykucnąłem przy jej krześle.

– Jesteś nieszczęśliwa? – zapytałem.

Nie odpowiedziała. Chwila rozsądku minęła i Georgina wpatrywała się teraz we mnie pustym wzrokiem. Wątpiłem czy wie, po co przywieziono ją do Stowey.

– Ludzie są bardzo mili – powiedziała beznamiętnie, po czym podniosła głowę, by spojrzeć na kogoś, kto zbliżał się do nas.

Podeszła moja druga siostra, bliźniaczka Elizabeth, ale w oczach Georginy nie pojawił się nawet błysk rozpoznania.

Elizabeth nie tolerowała obecności Georginy. Podobnie jak matka, czuła się upokorzona posiadaniem w rodzinie osoby upośledzonej umysłowo. Nie zauważała Georginy i czekała, aż puszcze jej ręce i wyprostuje się. Trzymała w dłoni kieliszek hotelowej sherry. Peter, jej mąż – niegdyś mój towarzysz w żeglarskich wyprawach, a teraz podupadły właściciel majątku Cotswold – rzucił mi niechętnie spojrzenie z drugiego końca sali. Na tej stypie wyglądałem jak duch. Wszyscy obwiniali mnie o utratę rodzinnego majątku i zhańbienie rodu, do którego ta posiadłość należała od czasów, kiedy pierwszy Rossendale zdobył ją unurzonym we krwi mieczem, ów przodek przybył do Devon w XII wieku, a teraz jego potomkowie w XX wieku przemykali z zakłopotaniem po hotelowym salonie. Wszyscy, poza Elizabeth, której postawa była wyniosła, a nawet wyzywająca. Odciągnęła mnie od krzesła Georginy.

– Nie wiem, dlaczego ją tu przywieziono – powiedziała zirytowana.

– A niby dlaczego nie?

– Ona nie rozumie, co tu się dzieje. – Elizabeth pociągnęła łyk z kieliszka, po czym zmierzyła mnie długim, pogardliwym spojrzeniem. – Nie wiem także, po co ty się tu zjawiłeś.

– Ostatni synowski obowiązek – powiedziałem chyba nieco zbyt beztrzesko.

– Wyglądasz nieprzyzwoicie zdrowo. – Te słowa przyszły jej z trudem. Starła się być uprzejma, udawać, że nie jesteśmy zaciętymi wrogami.

– Słońce i morze – odparłem gładko. – Ty także wyglądasz świetnie. Nadal uprawiasz jeździectwo?

– Oczywiście. – Elizabeth kiedyś prawie dostała się do brytyjskiej olimpijskiej drużyny jeździeckiej kobiet. Być może, gdyby wtedy jej się udało, byłaby teraz mniej zgorzkniała.

Ruch przy drzwiach oznaczał przybycie ojca Maltraversa z Londynu. Ojciec Maltravers był ulubionym spowiednikiem matki, a teraz miał ją pochować. Widok księdza pozbawił Elizabeth resztki uprzejmości.

– Pójdziesz na mszę? – powiedziała wyzywająco.

– Chyba nie.

– Matka chciałaby, żebyś w niej uczestniczył. – Przerwała, by spojrzeć mi w oczy, jakby spodziewała się tam znaleźć jakąś wiadomość. Elizabeth była wysoka, niższa ode mnie zaledwie o jakieś pięć centymetrów, a ja mierzyłem metr osiemdziesiąt. Miała charakterystyczne dla naszej rodziny jasnozłote włosy i nieco więcej urody, niż normalnie przypadało na osobę w rodzinie Rossendale'ów. – Oczywiście – zaczęła mówić niby nie bezpośrednio, ale bardzo jadowicie – musisz się najpierw wypowiadać. Czy spowiadałeś się w ciągu czterech ostatnich lat, John?

– A ty? – odparowałem niezbyt ostro. Rossendale'owie to jedna ze starych katolickich rodzin. Prześladowali nas fanatycy za Tudorów, ale gorliwie trzymaliśmy się swej ziemi i przy frontowych drzwiach Stowey umieściliśmy pięć muszelek ostryg. Stąd wziął się fragment wyliczanki: „Pięć – to znaczki na twych drzwiach”. Te pięć muszelek oznaczało, że w tym domu praktykuje się starą religię, a zatem można tu znaleźć księdza, który odprawi mszę. Dziś hotel z lubością pokazuje gościom kryjówkę księży, w której duchowni ukrywali się przed ludźmi królowej Elżbiety I. Owa kryjówka mieściła się rzekomo w dawnej sypialni ojca. Goście dowiadują się, że w latach osiemdziesiątych XVI wieku pewien jezuita zmarł tu z głodu, ale to bzdury. Prawdziwa kryjówka znajdowała się w stajniach Stowey, ponieważ Rossendale'owie nigdy nie wpuściliby księdza do prywatnych apartamentów. Rzekoma kryjówka pokazywana w hotelu była w rzeczywistości niska szafka, w której dziadek trzymał buty do jazdy konnej, ale turyści i tak wierzyli w tę historię.

– Widziałeś się z matką przed śmiercią? – zapytała Elizabeth.

- Tak.
- I? – czekała, aż powiem coś więcej.

Wzruszyłem ramionami i postanowiłem zatrzymać dla siebie prawdę o ostatnich słowach matki.

- Nie była w stanie mówić.
- Elizabeth przerwała, najwyraźniej podejrzewając kłamstwo.

- Ale wiesz, dlaczego chciała cię zobaczyć? – zapytała po kilku sekundach.
- Mogę się domyślać.

Elizabeth nie drażyła dalej tematu. Zauważyłem, że pozostali goście trzymali się od nas z daleka, jakby zostawiając nam miejsce do bójki. Zapewne domyślili się, że Elizabeth będzie mnie drażnić, i w zatłoczonej sali dała się wyczuć atmosfera wyczekiwania. Na pozór nie zwracali na nas uwagi, kręcili się wokół ojca Maltraversa, ale wiedziałem, że wszyscy w napięciu czekają na moje starcie z Elizabeth.

– Widziałeś testament matki? – To pytanie, podobnie jak poprzednie, stanowiło próbę zaczepki.

- Nie.
- Niczego ci nie zapisała.

– Niczego się nie spodziewałem. – Mówiłem łagodnie, ponieważ wyczuwałem niebezpieczeństwo w postawie Elizabeth. Miała temperament Rossendale'ów. Ja również, ale morze chyba nauczyło mnie opanowania. A teraz w jasnych oczach Elizabeth widziałem kipiący gniew.

– Niczego ci nie zostawiła, bo ją zdradziłeś. – Głos mojej siostry zabrzmiał na tyle głośno, by spojrzeli na nas krewni stojący najbliżej. Wszyscy poza Georgina, która z namaszczeniem liczyła coś na palcach.

– Nienawidziła cię – mówiła dalej Elizabeth. – I dlatego to mnie zapisała obraz.

To oświadczenie dowiodło, że Elizabeth nie mogła się powstrzymać przed najostrzejszym atakiem.

- Świetnie – odparłem beztrzesko, co tylko rozwścieczyło ją jeszcze bardziej.
- No więc, gdzie on jest? – zapytała z niepohamowaną wściekłością w głosie.

Byliśmy bliźniętami, dzieliło nas zaledwie osiem minut, a nienawidziliśmy się. Nie potrafię tego wyjaśnić. Charlie często mawiał, że byliśmy zbyt do siebie podobni, jakby to coś tłumaczyło. Ale nie potrafię znaleźć w swojej duszy winy, która usprawiedliwiłaby obsesyjną nienawiść, jaką Elizabeth mnie darzyła. Nie wydaje mi się także, byśmy byli podobni do siebie. Brak mi wybujałej ambicji Elizabeth. To uczucie było u niej zdumiewające, tak widoczne, że aż żal było patrzeć. Pożądała życiowej pozycji, która odzwierciedlałaby minioną świetność naszej rodziny. Chciała bogactwa, podziwu i sukcesów, a mimo to, tak jak mnie, brakowało jej szczęścia. Ja pogodziłem się z brakiem ambicji i zacząłem wieść żywot morskiego wędrowca, zaś Elizabeth z każdym nieszczęśliwym zrzędzeniem okrutnego losu stawała się coraz bardziej zgorzkniała. Dobrze wyszła za mąż, ale małżeństwo zaczęło się rozpadać. Urodziła się w bogatej rodzinie, a teraz zubożała i chyba ten upadek dotknął ją najbardziej.

– Gdzie jest obraz? – zapytała ponownie, tym razem na tyle głośno, że wszyscy, nawet nic nie rozumiejąca Georgina, zwrócili głowy w naszą stronę. Wydawało mi się, że mąż Elizabeth, który podpierał ścianę, krzywi się na mnie. Ojciec Maltravers zrobił krok do przodu, jakby chciał przyjąć rolę rozjemcy, ale powstrzymało go napięcie w głosie Elizabeth.

– Gdzie jest obraz? – zapytała ponownie.

– Odpowiem ci jeszcze raz – powiedziałem. – Tym razem po raz ostatni: nie wiem.

– Jesteś kłamcą, John. Jesteś żalnym, małym kłamcą. Zawsze nim byłeś. – Gniew Elizabeth wyrwał się z jej wnętrza, sprowokowany moją obecnością. Później będzie się nienawidziła za utratę panowania nad sobą w miejscu publicznym, ale nie mogła nad tym zapanować. Milczenie, którym odpowiedziałem na ten atak, jeszcze bardziej wzmogło gniew mej siostry. – Wiem że kłamiesz, John. Mam dowód.

Nadal milczałem. Podobnie jak reszta rodziny. Wątpię, czy ktokolwiek z nich spodziewał się ujrzeć mnie na pogrzebie, a kiedy do tego doszło, z pewnością trochę się obawiali, a trochę cieszyli, że rodzinny upiór, czyli ja, spowoduje jakąś scenę. Tak też się stało i nikt nie chciał tego przerwać. Elizabeth wyczuła to poparcie i moje zmieszanie, więc zaatakowała ponownie:

– Radzę ci, zabieraj się stąd, John, zanim policja dowie się, że wróciłeś.
– Jesteś histeryczką. – Gniew kipiał mi we wnętrzościach, ale postanowiłem tego nie okazywać. Mimo wszystko nie potrafiłem ukryć śladu wzburzenia w głosie. – Może powinnaś się położyć albo zażyć pigułkę?
– Niech cię diabli. – Machnęła dłonią i lepka zawartość kieliszka znalazła się na mojej twarzy i tanim, czarnym garniturze, który kupiłem na tę okazję. – Niech cię diabli – powtórzyła. – Niech cię wszyscy diabli, do cholery.

Sherry skapywała mi z podbródka na czarny krawat. Żaden z krewnych się nie poruszył. Wszyscy popierali Elizabeth. Uważali mnie za drania, który doprowadził ich do ubóstwa. Gdyby nie ja, Stowey wciąż należałoby do rodziny, porto lałoby się strumieniami w czasie Bożego Narodzenia i nikt nie słyszałby o natrętnych bankierach ani o hańbie szlacheckiej rodziny doprowadzonej do nędzy. Nie grałem tak jak oni, nie byłem jednym z nich, więc wszyscy mnie nienawidzili.

Nie zostałem na pogrzebie. Zerknąłem na Georginę, ale ona żyła we własnym świecie. Ojciec Maltravers próbował mnie zatrzymać, lecz odsunąłem go i wyszedłem, zostawiając rodzinę pogrążoną w ciszy. W hotelowej łazience obmyłem twarz z sherry, zdjąłem z kołka mój sztormiak i wyszedłem na zalaną deszczem wiejską drogę w Devon. Z telefonu znajdującego się poza Rossendale Arms wykręciłem numer Charliego, ale nikt nie podnosił słuchawki.. Wrzuciłem do rowu lepiący się czarny krawat i zapaliłem fajkę, czekając na autobus. Nagle znów rozboleł mnie ząb. Zbadałem to miejsce językiem, zastanawiając się, czy to cierpienie nie miało przypadkiem podłoża psychicznego. Stwierdziłem jednak, że tak ostry ból nie mógł być jedynie wytworem mojego umysłu, nawet sprowokowanego bolesnym powrotem do domu.

Do diabła z całą rodziną. Wróciłem do domu i nie chcieli mnie. Ponad strzechami wioski zielone łąki wiły się aż do gęstego lasu, gdzie jako dziecko nauczyłem się tropienia i zabijania zwierząt. To Charlie mnie tego uczył. Wychował się w jednej z wiosek należących do rodziny, byliśmy przyjaciółmi. Oczywiście matka go nienawidziła. Nazywała go wiejskim gnojem, brudnym chłopakiem ze złej rodziny, ale on wciąż był moim najlepszym przyjacielem. Cztery, lata rozłąki nie zmieniły tego. Chciałem się z nim zobaczyć, ale nie mogłem czekać. Zamierzałem

wrócić na morze do wiatrów smagających „Słonecznika”. Rodzina na pewno znów zarzuci mi ucieczkę i w pewnym sensie będzie miała rację, ale nie uciekałem ze strachu, lecz właśnie od nich; od rodziny.

A wszystko przez ten przeklęty obraz.

To był dobry obraz, bardzo dobry. Tak dobry, że mógłby ocalić los rodziny.

Śmierć ojca okazała się finansową katastrofą, ale matka ze ślełą furią walczyła o utrzymanie Stowey i wszystkiego, co w nim się znajdowało. Prawne potyczki ciągnęły się przez dziesięć lat i w końcu udało się jej zwyciężyć w tej kampanii, a kluczową rolę odegrał w niej ten obraz.

Kiedyś dom był pełen malowideł. W waszyngtońskiej Galerii Narodowej znajduje się mnóstwo dzieł Gainsborougha i Reynoldsa pochodzących z naszej kolekcji, zaś pewna galeria w Kalifornii prezentuje wybór naszego malarstwa holenderskiego i dwa dobre płótna Constable’a, na które wielką ochotę miała londyńska Galeria Narodowa, lecz była na nie zbyt biedna. Obrazy po kolei znikwały ze ścian Stowey, pokrywano nimi karciane długi lub wydatki na pogrzeby, i kiedy zmarł ojciec, nie zostało już nic o jakiegokolwiek wartości.

Chociaż właściwie niezupełnie. Zostało płótno, które, jak przysięgała matka, namalował Stubbs, ale dom Sothebys nie chciał go wystawić na aukcję pod tym nazwiskiem. Był jeszcze obraz Poussina, który jednak prawdopodobnie nie był jego dziełem, a nawet jeśli, to stary mistrz musiał mieć wtedy zły dzień. Mieliśmy też szkic Constable’a, bez wątplenia oryginalny, lecz jednym dziełem Constable’a nie można było spłacić wszystkich długów. Pozostawała sprzedaż Stowey i przyległości, ale tego matka nigdy nie brała pod uwagę. Stowey należało do rodziny od XII wieku.

W domu jednak nadal znajdował się jeden prawdziwy skarb. Dość niezwykły, jak na taki dom. Właściwie ów skarb należał nie tyle do rodziny, co do matki. To był obraz van Gogha.

To dzieło zupełnie nie pasowało do naszego starego domu, wyglądało jak pijany obwieś w bibliotece, chociaż było znakomite. Wspaniałe, cudowne, szalone

plótno, jeden z wczesnych obrazów przedstawiających słońcezniki: osiem kwiatów w lekko połyskującym wazonie; eksplozja żółci, z lekką domieszką błękitu i niezdarny, jakby wykonany ręką dziecka, podpis Vincenta na wazonie. W słoneczne dni, kiedy średniowieczne ogrody Stowey jaśniały światłem, obraz wydawał się częścią tego blasku uwięzioną i zamkniętą w domu.

Obraz trafił do rodziny wraz z matką. Ona z kolei otrzymała go od swego ojca. Powiesiła dzieło van Gogha na obitej lnem ścianie w sypialni w Stowey. Nie chciała wypożyczać go na żadne wystawy, choć co jakiś czas historycy sztuki i znani malarze ubiegali się o pozwolenie na przyjazd do Stowey. Pamiętam, z jakim nabożeństwem patrzyli na to piękne plótno.

Obraz był dobrze zabezpieczony. Sypialnia matki znajdowała się w zakończonej blankami wieży we wschodnim skrzydle domu, którą wybudowano z myślą o obronie. Poza tym ten średniowieczny bastion wyposażono we wszelkie najwymyślniejsze alarmy. Nikt nawet nie próbował przeniknąć przez te zapory. Do czasu.

A czas ten nadszedł w dziesięć lat po śmierci ojca. Matka dotąd dzielnie walczyła, przeklinając i wyrzucając poborców podatkowych. Podważała ich szacunki i zwodziła ich małymi sumami, które z trudem uzyskiwała ze sprzedaży najdalej położonych łąk. Radziła sobie nieźle, ale wtedy nastąpiła katastrofa: mój brat poszedł do zbrojowni i jednym strzałem rozbił w proch jej wysiłki.

Samobójstwo brata jeszcze bardziej rozochociło urzędników skarbowych. Matka wiedziała, że nieuchronnie zbliża się chwila decyzji: musiał odejść van Gogh albo Stowey. Zwyciężyło Stowey. Przystała na cenę czterech milionów funtów za obraz, ale dokładnie w dniu, kiedy plótno miało opuścić nasz dom, skradziono je. Okazało się, że ubezpieczenie wygasło na miesiąc przed śmiercią brata. Policja była przekonana, że tylko osoba doskonale znająca system alarmowy mogła dostać się do zbrojowni, gdzie obraz czekał na opancerzoną furgonetkę. Policja była także pewna, że to ja byłem tą osobą.

To ja przecież umieściłem obraz w zbrojowni, by tam czekał na odbiór. To ja miałem klucz do pokoju i systemów alarmowych. Prawdopodobnie tylko ja wiedziałem, gdzie jest obraz. Na zamkach drzwi widniały moje odciski palców. W dzień po kradzieży przepłynąłem Kanał La Manche jachtem mojego przyjaciela,

przypuszczalnie zabierając ze sobą łup. Wszystkie dowody były pośrednie i niezbitcie wskazywały sprawcę. Nigdy mnie nie oskarżono, ponieważ nic nie udało im się udowodnić, niemniej cała rodzina była przekonana, że to ja ponosiłem winę. Zrobiłem to, mówili, by obrazić matkę i nie oddać łupu poborcom podatkowym. Moi krewni stwierdzili, że jestem oszustem, zawsze byłem oszustem, a teraz pograżyłem rodzinę Rossendale'ów z powodu samolubnej chciwości.

Obrazu nigdy nie odnaleziono. Przepadły wysiłki matki i cztery miliony funtów, a jeszcze musieliśmy zapłacić urzędowi skarbowemu i prawnikom, więc sprzedano Stowey, które teraz służy nadzianym turystom otwierającym usta na widok szafki na buty, w której jakoby pewien ksiądz zagłodził się na śmierć. Matka przeprowadziła się do starego probostwa na skraju bagna i tam powoli umierała. Rodzina uznała mnie za wyrzutka. Musiałem zatem uciekać na morze.

Na jachcie nazwanym „Słonecznik”.

W Salcombe nie bardzo miałem co robić, ponieważ nie zamierzałem w Anglii gruntownie odnawiać zapasów. Chciałem odświeżyć zapasy wody, zatankować paliwo do silników i dokupić trochę puszek i tyle jedzenia, by starczyło mi do Vigo lub Lizbony. Miałem zamiar się dowiedzieć, ile kosztowałby nowy gafel, ale nawet jeśli mógłbym sobie na niego pozwolić, nie czekałbym na dostawę, tylko raczej poprosił Charliego, by przesłał żagiel na Teneryfę. Było jeszcze mnóstwo drobnych problemów. Zepsuła się jedna z wciągarek, musiałem wymienić kawałek pokładu w części dziobowej, a dno „Słonecznika” było pokryte wodorostami i małżami. Zamierzałem przy niskiej wodzie wyciągnąć jacht na brzeg jednego z przybrzeżnych jezior w Salcombe, a potem wziąć się za brudną robotę i zeskrobać nieczystości z kadłuba. Wtedy będzie można go pomalować nową farbą zapobiegającą przyczepianiu się wodorostów i małży. Chciałem wyczyścić „Słonecznika” wewnątrz i na zewnątrz, a ubrania należało przepłukać w czystej wodzie. Dobrze byłoby znaleźć szalupę z włókna szklanego, która zastąpiłaby nadmuchiwany ponton, który z kolei kiedyś zastąpił sztywną szalupę skradzioną mi na Antigui, ale to mogło jeszcze zaczekać. Chciałem też kupić mały silnik do szalupy, by nie być

zmuszonym do wiosłowania. W składanym rowerze, który miałem na pokładzie, powinienem wymienić hamulce. Należało też gdzieś dostać smar do silnika. Wewnątrz kadłuba pojawiło się kilka plam rdzy, którymi musiałem się szybko zająć. No i był jeszcze ten cholerny ząb, ból odezwał się znowu z dawną siłą.

Na początku nie zważałem na niego, wyznając zasadę, że nie zauważany ból sam przejdzie. Ale nie przeszedł. Zamiast tego wzmógł się jeszcze bardziej, do tego stopnia, że trzy dni po pogrzebie powiosłowałem do brzegu i zadzwoniłem do kilku dentystów, aż znalazłem takiego, który zgodził się przyjąć mnie od razu. Wiązało się to z kolejną jazdą autobusem, a u celu nadęty mały lekarzyna pouczył mnie, że sam jestem sobie winien, bo nie szczotkowałem dokładnie dziąseł. Powiedział, że będę musiał zgłosić się kilka razy na wizytę: najpierw osuszy ubytek, po czym wyczyści kanał, by uratować ząb.

– Nie chcę go – powiedziałem zirytowany. – Niech pan po prostu wyrwie to cholerstwo.

– Ale można go uratować, panie Rossendale.

– Niech pan go wyrwie – nalegałem. Zęby, podobnie jak wyrostek, to z natury zawodna część ludzkiego organizmu. A wszystkie zawodne części na morzu stanowią zagrożenie dla życia. To był trzonowy ząb, więc moja uroda za bardzo nie ucierpi z powodu jego braku. Poza tym wyrwanie zęba w Anglii jest znacznie tańsze niż po drugiej stronie Atlantyku, gdzie zanim człowiek odważy się pójść do dentysty, musi najpierw zaciągnąć pożyczkę hipoteczną. Dumny mały dentysta był nieszczęśliwy, ale wreszcie zrobił to, czego zażądałem, mruczając pod nosem i ociągając się. Środek znieczulający chyba pochodził z wybrakowanej partii, ponieważ zabieg bolał jak cholera, ale i tak było to lepsze niż samodzielne wyrwanie tysięcy mil od brzegu. Robił to kiedyś mój przyjaciel. Pochłonęło mu to pół dnia i ponad połowę butelki szkockiej whisky, a kiedy było już po wszystkim, stwierdził, że wyrwał niewłaściwy ząb.

Ukoiliśmy ból dużą whisky w pubie, po czym wróciłem do miejskiej przystani gdzie zostawiłem ponton ze „Słonecznika”. Nikt mi go nie ukradł, być może dlatego, że na wyblakłej czarnej gumie nakleiłem kilka fałszywych łat, tak że łódka wyglądała, jakby za chwilę miała wydać z siebie ostatnie tchnienie i zatonać. Wiosła znajdowały się pod wodą, obciążone kawałkiem łańcucha i związane

kawałkiem wątlej linki. Wyjąłem je i powiosłowałem przez szarówkę. Wciąż padało. Nad Goodshelter krążyły ciężkie, szare chmury, z których nad przystanią spadał deszczowy pył, przesłaniający widoczność. Jakiś dychawiczny silnik wreszcie zaskoczył, ale poza tym w zatoczce panował spokój jak w zimie. Zamierzałem popłynąć „Słonecznikiem” na silniku w górę wysychającej rzeczki Callapit Creek. Kilka dni zajmie mi skrobanie kadłuba, potem wrócę na morze. W myślach układałem listę zakupów: niklowane szkle, sprężyny do zaworów, elektrody do spawarki, szlifierka kątowa, bezpieczniki. Twarz miałem spuchniętą, zdrętwiałą i wrażliwą.

Przerwałem wiosłowanie i odwróciłem się, by sprawdzić czy płynę opornym pontonem we właściwym kierunku. Znajdowałem się o ćwierć mili od „Słonecznika” i znacznie zoczyłem z kursu, wszystko przez wiatr, który zniósł ponton zbyt daleko na północ. To jeden z powodów, dla których nie znoszę nadmuchiwanym łódek. Stają się łupem najłżejszych podmuchów wiatru i morskich prądów.

Ale o ile ponton był koszmarem, „Słonecznik” prezentował się wspaniale. Oparłem się o wiosła, podziwiając go. W porównaniu z jachtami na innych nabrzeżach wyglądał nieco zwalście i ubogo, ale to zaniedbanie było wynikiem wielu mil morskich i przydawało mu piękna właściwego rzeczom praktycznym. „Słonecznik” był wysmagany przez wiatr, zahartowany i wytrzymały. Gdy tak patrzyłem na swój jacht, na jego pokładzie ukazała się głowa jakiegoś mężczyzny. Rozejrzał się po nabrzeżu, przez chwilę musnął mnie wzrokiem, po czym schował się na powrót w kabinie.

Na moment znieruchomiałem zaskoczony. Nawet zastanawiałem się, czy to, co widziałem, było prawdą. Wiele lat spędzonych na podróżach przez oceany nie pozbawiło mnie przekonania, iż pospolite kradzieże zdarzają się częściej za granicą, niż w portach Anglii, a już na pewno nie w wytworknym, dystyngowanym Salcombe.

A intruz, o ile oczywiście nie był tylko wytworem mojej wyobraźni, musiał być złodziejem. Wejście do kabiny „Słonecznika” zostawiłem zamknięte na głucho, zatem aby się dostać do środka, musiał wyłamać wielką kłódkę. Nie był to Charlie, ponieważ intruz miał ciemne włosy, a Charlie miał tak jasną strzechę jak moja. Nie miałbym nic przeciwko, gdyby to Charlie włamał się do kabiny i wypił mi całą whisky, jaką miałem na pokładzie, ale jeśli ukradłby to ktoś obcy, lepiej niech uważa na siebie. Wróciłem do wiosła. Tymczasem głowa z ciemnymi włosami

ponownie pojawiła się nad pokładem. Wiosłowałem równo, kierując się z daleka od „Słonecznika”, a mężczyzna widocznie uznał, że nie stanowią dla niego zagrożenia, ponieważ schował się z powrotem w kabinie. Nie przestawałem wiosłować. Kierowałem się w stronę jachtu, ale wiedziałem, że intruz może mnie obserwować przez jeden z bulajów, więc udawałem, iż płynę na nabrzeże położone na północny wschód od „Słonecznika”. Nie spieszyłem się. Nie robiłem niczego, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenia.

Chciałem go zaskoczyć. Kradł na moim jachcie i chciałem, żeby tego pożałował. Wiedziałem, że muszę uważać, ponieważ intruz na pewno obawiał się powrotu właściciela. Odpływałem od „Słonecznika”, ale tym razem miałem go przed sobą i mogłem cały czas obserwować. Mężczyzna nie wystawił już głowy z kabiny, więc pewnie poczuł się bezpiecznie.

Odpływałem dobre dwieście jardów od miejsca, gdzie stał „Słonecznik”, po czym skręciłem na południe, płynąc pośród gąszczy jolek cumujących w Salcombe. Wiosłowałem, dopóki dziób „Słonecznika” nie znalazł się dokładnie naprzeciwko mnie, po czym pozwoliłem, by łagodny przypływ niósł mnie w jego kierunku. Sterowałem za pomocą wiosła wystawionego za rufę pontonu. Nie zauważyłem przy „Słoneczniku” żadnej łódki, co wydało mi się dziwne, ale znalazłszy się zaledwie o dwadzieścia jardów od jachtu, usłyszałem jakieś głosy i szybko zapomniałem o tej niezwykłości. Było jasne, że na pokładzie znajdowało się dwoje intruzów: mężczyzna i kobieta. Ostry i przenikliwy głos kobiety chyba protestował, ale mężczyzna zagłuszył ją.

Wyciągnąłem rękę i chwyciłem reling „Słonecznika”. Przypływ chciał znieść ponton wzdłuż kadłuba jachtu do miejsca, gdzie stałbym się widoczny przez bulaje w kabinie, ale przytrzymałem łódkę, zaczerpnąłem powietrza i powoli podciągnąłem się na dziób jachtu. Wielki kadłub lekko się zakołysał pod moim ciężarem, ale nie na tyle, by ostrzec intruzów o moim przybyciu. W rękę trzymałem linkę pontonu. Szybko przywiązałem ją do relingu. Łódka będzie miękko uderzać w stalowy kadłub, ale miałem nadzieję, że te ciche odgłosy ich nie wystraszą. Ponownie odezwał się mężczyzna. Mówił niskim i natarczywym głosem, ale nie rozróżniałem słów.

Zrobiłem krok nad lukiem dziobowym. Przypuszczałem, że nieproszeni

goście siedzą w głównej kabynie. Dostrzegłem resztki powykrzywianego skobla na luku zamykającym wejście do kabiny. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wkroczyć tamtędy, ale moje kroki po dachu kabiny mogły ich ostrzec, a ja chciałem ich zaskoczyć. Wyjąłem z kieszeni pęk kluczy i starając się nie narobić hałasu, odszukałem mały kluczyczek do kłódki zamykającej luk dziobowy. Smagany wiatrem ponton uderzał miękko i nieprzerwanie o stalowy kadłub jachtu. Deszcz spływał po tekowych deskach pokładu.

Klucz opornie wchodził do kłódki, na chwilę się zablokował, ale przekręciłem go. Zdjąłem kłódkę ze skobla i położyłem ją wraz z kluczami na pokładzie, a następnie chwyciłem oba zamki.

Nagle przeraźliwy ryk zmusił mnie, bym się odwrócił. Powinienem się domyśleć, że kobieta i mężczyzna znajdujący się na pokładzie musieli skorzystać z innej łodzi, by dostać się na jacht, i dla uniknięcia podejrzeń łódź oddaliła się na bezpieczną odległość. Ich współlnik z łodzi dostrzegł mnie zbyt późno i teraz spieszył na pomoc swym kompanom. Wybawca okazał się potężnym mężczyzną, zbudowanym jak zawodowy bokser, i kierował małą łódką z widoczną niezdarnością. Łódź miała płaskie dno i była wykonana z aluminium, a napędzał ją ogromny zewnętrzny silnik, który bryzgał na obie strony spienioną wodą. Hałas musiał zaalarmować intruzów, ponieważ głowa mężczyzny znów pojawiła się w luku prowadzącym do kabiny. Ujrzałem ciemne, połyskujące włosy gładko przylizane do wąskiej czaszki. Mężczyzna odwrócił się i zaskoczony wpatrywał we mnie.

Ze stojaka na dachu kabiny chwyciłem bosak. Miałem tam dwa bosaki. Jeden z nich wykorzystywałem do przyciągania łodzi przy nabrzeżach, ale drugi, ten który chwyciłem, przeznaczony był do bardziej wyrafinowanych celów. Naostrzyłem go tak, że przypominał igłę do szycia żagli. Następnie wygiąłem ostrze w łuk, po czym obciążyłem całość ołowiem. W rezultacie otrzymałem miniaturowy przyrząd do abordażu, który nie raz dowiódł swej wartości. Każdy jacht na dalekich wodach staje się łatwym łupem dla złodzieja, a samotny żeglarz powinien się zabezpieczyć, inaczej skończy jako pokarm dla rybek. Teraz, w Salcombe, rzekomo spokojnym porcie, rzuciłem obciążonym bosakiem wprost w czarnowłosego mężczyznę. Uchylił się od ciosu, ale i tak uderzyłem go w kark. Albo powalił go mój rzut, albo sam upadł, bo zniknął w luku kabiny.

Krzyczałem, po części z wściekłości, że intruzi ośmielili się wtargnąć na

pokład „Słonecznika”, a po części, by przestraszyć mężczyznę. Przeskoczyłem przez tratwę ratunkową i wskoczyłem do kokpitu. Odwróciłem się i wysunąłem bosak przed siebie jak harpun. Łódka intruzów brała zakręt, bryzgając potężną falą mgły. Silnie zbudowany facet, siedzący za jej sterami, krzyczał coś do swych kompanów na pokładzie jachtu. W kabinie dostrzegłem nogi kobiety. Siedziała na koi przy prawej burcie, ale nie widziałem jej towarzysza.

– Stać, dranie! – krzyczałem. Zamierzałem zamknąć intruzów wewnątrz „Słonecznika”, zmiękczyć ich, po czym wezwać policję przez radio. Mężczyzna na łódce miał kłopoty z jej opanowaniem, co było darem niebios, gdyż nie miałem ochoty zmierzyć się z kimś jego postury i wagi.

Miałem już schodzić do kabiny, kiedy odblokowany luk dziobowy podniósł się do góry i ciemnowłosy mężczyzna swobodnie wyskoczył na pokład. Był szczupły. Miał ogorzałą twarz mieszkańca wsi, a ubrany był w kraciastą koszulę, na którą założył ciepłą, tweedową marynarkę. Oprócz tego nosił żółtą kamizelkę, buty do golfa i spodnie do jazdy konnej. Ubranie pasowało raczej do konnego wyścigu, niż na morze. Łódka objęła się o stalowy kadłub „Słonecznika”, dźwięcząc niczym dzwon.

– No chodź! – krzyczał sternik do swego kompana. – Skacz!

Rzuciłem się do przodu. Szczupły, ciemnowłosy mężczyzna nie skoczył do łódki, lecz odwrócił się do mnie. Strząsnął jakiś pyłek ze swej tweedowej marynarki i nie wiedząc czemu, ten pospolity gest opóźnił mój atak. Mężczyzna spojrział na mnie. Miał bardzo pewny siebie wzrok. Był przystojny, dociągał do czterdziestki, a jego ostra, wąska twarz nadawała mu sardoniczny, pewny siebie wygląd. To była twarz człowieka, któremu ludzkie słabości znane są nie od dziś, ale także twarz urodzonego przywódcy.

– Naprawdę nie ma powodu, by się tak ekscytować – odezwał się do mnie aroganckim głosem.

– Co pan u diabła robi na moim jachcie? – Wciąż zbliżałem się do niego, ale teraz powoli, z bosakiem wysuniętym do przodu jak pika.

– Oczywiście chcę z panem porozmawiać. – Miał bardzo swobodny głos, bezwstydnym głosem człowieka z wyższych sfer, wyostrzony przez prywatną szkołę i zaufanie zdobywane bez wysiłku. – Możemy zejść na dół?

– Dopiero wtedy, kiedy zapłaci mi pan za wyrządzone szkody.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

– Będziemy się droczyć, prawda? I na miłość boską, proszę schować ten hak.

Sternik z łódki, bardziej z gruba ciosany niż szczupły mężczyzna, wciąż przytrzymywał się relingu „Słonecznika”. Był wielki, łysy i patrzył z uwagą na wymierzone ostrze bosaka, ale jego towarzysz już zajął się niebezpiecznym narzędziem. Sięgnął prawą ręką, by odsunąć hak. Opierałem się, i w nagłym gniewie mężczyzna chwycił bosak i niemal wyrwał mi go z ręki.

Jak na takiego szczupłego człowieka był zadziwiająco silny, ale w chwilę potem, gdy chwycił hak i pociągnął, jego mózg zarejestrował ostry ból, którego wcale się nie spodziewał. Zwiększyłem jeszcze bardziej jego cierpienie przekręcając bosak. Z ręki mężczyzny trysnęła krew na pokład „Słonecznika”. Na twarzy intruza ujrzałem nagły skurcz bólu. Zabrał prawą rękę cieknącą krwią, a lewą sięgnął pod kurtkę, skąd wyjął cienki, długi nóż, który miał przytroczony do paska. Jego wielki kompan z łódki najwyraźniej nie był pewien, czy powinien spieszyć mu z pomocą, czy utrzymywać łódkę przy burcie jachtu, więc nie robił nic. Zaatakowałem, kierując zaostriżony koniec bosaka w ramię mężczyzny. Zaklął i próbował zasłonić się nożem, ale ja już cofnąłem bosak i natarłem ponownie.

Intruzy miał dość i z desperacją rzucił się przez reling jachtu. Ale był zbyt powolny, by umknąć przed moim rzutem, i obciążony bosak uderzył go w tył głowy. Na jego błyszczących włosach pojawiła się jasna krew. Wpadł na wielkiego sternika, a ten puścił reling „Słonecznika”. Łódka zakotłowała się niebezpiecznie. Podbiegłem do burty, podniosłem bosak i uderzyłem z całej siły, mając nadzieję, że uda mi się przebić jej aluminiowy kadłub. Zamiast tego trafiłem w zapasowy kanister z benzyną, która zaczęła się mieszać na dnie łódki z krwią rannego mężczyzny.

Szczupły mężczyzna, którego trafiłem, był znacznie szybszy od swego towarzysza. Rzucił się do silnika łódki i wrzucił wsteczny bieg. Silnik zaryczał, po czym łódka zaczęła się cofać jak przestraszony krab, a wielki mężczyzna omal nie wypadł za burtę.

– Dranie! – krzyknąłem. Szczupły tylko patrzył na mnie. Krew lśniła na jego ocieplanej kurtce. Zraniłem go, a oczy mówiły, że on nie zapomina ani nie wybacza porażek. Ale niech sobie ziejie nienawiścią – pomyślałem. – Za tydzień będę już płynął na południe i może sobie najwyżej zawyć do księżycy.

Obserwowałem, jak wrzucił bieg w łódce. Był lepszym sternikiem niż jego wielki kompan i podejrzewałem, że potrafił jeszcze wiele innych rzeczy. Był bardzo pewny siebie, ale ze mną mu się nie powiodło. Podniosłem w jego kierunku dwa palce, a mała łódka przyspieszyła i odpłynęła w gąszcz zacumowanych jachtów, zostawiając za sobą błękitny obłok spalin i plamę jasnej krwi na ostrzu mego bosaka.

Była jeszcze kobieta. Zostawili ją.
Zszedłem więc pod pokład.

Jasna cholera! Przez chwilę stałem jak wryty, po czym rzuciłem się do kabiny. Dziewczyna leżała na pryczy pod prawą burtą i widziałem wyraźnie, że szczyły mężczyzna się do niej dobierał. Na jej twarzy, piersiach i rękach zobaczyłem krew. Miała na sobie wełnianą spódnicę, bluzkę i sweter, a właściwie jego resztki. Bluzka była rozerwana i poplamiona krwią. Przy wejściu do kabiny wały się resztki jej płaszcza, które wyglądały, jakby rozszarpały je psy. Patrzyła na mnie smutnymi, przerażonymi oczyma.

Ten drań dobierał się także do „Słonecznika”. Przewrócił wszystko w kabynie do góry nogami, ale ta sprawa mogła zaczekać.

– Kim pani jest? – Pompowałem świeżą wodę ze zbiorniczka do ocalałego kubka.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Rękoma próbowała ściągnąć do siebie kawałki rozdartego swetra.

Uklęknąłem obok niej, a ona odsunęła się jak oparzona.

– Na miłość boską – rzekłem. – Próbuję pani pomóc. Niechże pani leży spokojnie.

Nie wydaje mi się, bym ją uspokoił, prawdopodobnie ostry ton mojego głosu nakazał jej podporządkować mi się. Tak czy inaczej leżała bez ruchu, a ja wycierałem jej twarz z krwi jakimś czystszy kawałkiem szmaty. Kiedy pierwszy raz poczuła materiał na twarzy, wzdrygnęła się, ale potem uznała, że jej pomagam.

– Chyba nic sobie pani nie złamała – powiedziałem, co miało znaczyć, że nos ma wciąż w jednym kawałku. Krew ciekła jej właśnie z nosa, ale krwotok już ustał. Jeden z policzków miała mocno podrapany, ale nie było to nic poważnego, tylko groźnie wyglądało. Nie wiedziałem, w jakim stanie znajdują się zębra, ale nie miałem zamiaru tego sprawdzać. Napastnik prawie obnażył ją do pasa, a ja nie

zamierzałem okazać się takim samym niegodziwcem. – Co on pani zrobił? – zapytałem.

– Groził mi nożem – zdołała wykrztusić. – Potem mnie uderzył. – Głos się jej łamał, była wyraźnie przestraszona. Nic dziwnego, wciąż znajdowała się w szoku.

– Tylko panią uderzył? – indagowałem. – Nic więcej?

Kiwnęła stanowczo głową.

– Nic poza tym. – Chciała przez to powiedzieć, że nie napastował jej seksualnie. – Mówił, że przyjechałam tu, żeby zawrzeć z panem układ, a kiedy nic mu nie powiedziałam, podarł mi ubranie. – Z trudnością wymówiła ostatnie słowa, wykrztusiła je szlochając. – Co mu miałam powiedzieć! – poskarżyła się mnie, jachtowi i całemu światu, a potem zaczęła drżeć. Ze schowka w podłodze wyjąłem śpiwór i okryłem jej ramiona. Skuliła się pod moim dotykiem. Agresja szczupłego mężczyzny tak bardzo ją zaskoczyła i przestraszyła, że wszelkie wyjaśnienia musiały poczekać, aż dziewczyna odzyska spokój.

– Proszę przejść do kajuty dziobowej – poleciłem stanowczo. – I doprowadzić się do porządku. W szufladach znajdzie pani swetry. Są może niezbyt czyste i trochę wilgotne, ale lepsze to niż nic.

Ponownie skinęła głową, ale nie poruszyła się. Ścisnęła kurczowo śpiwór zakrwawioną lewą ręką. Wciąż szlochała, a każdy oddech zmieniał się w ukłucie bólu.

– W porządku – odezwałem się. – Nie zamierzam pani krzywdzić.

Odsunąłem się znacznie do tyłu i usiadłem na wolnym miejscu na pryczy pod lewą burtą.

Siedziała bez ruchu. Siłą powstrzymywała szloch, który powoli ustawał. Odechnęła kilka razy głęboko i wreszcie, kiedy uznała, że już panuje nad swym głosem, zapytała czy jestem księciem Stowey.

Pytanie padło tak niespodziewanie, tak zupełnie nie na miejscu, że spojrzałem na nią oczyma okrągłymi jak spodki. Zmarszczyła brwi.

– Jest pan księciem? – zapytała ponownie, ale tym razem zdesperowanym tonem, jakby uwolnienie od koszmaru, który przeżyła, zależało wyłącznie od mojej odpowiedzi.

– Tak, to ja. – Od śmierci brata byłem dwudziestym ósmym księciem

Stowey, ale wolałem anonimowość Johna Rossendale'a, ponieważ na morzu tytuł na nic się nie przydaje. – Ale nie używam tego tytułu – wyjaśniłem. – Więc proszę mówić do mnie po prostu John, zgoda? – Przerzuciłem trochę rzeczy w kabinie i znalazłem buteleczkę ze środkiem dezynfekującym i prawie czysty ręcznik. Podałem jej obie rzeczy. – Niech pani pójdzie na dziób i trochę się umyje. Zrobię herbatę. – Wciąż wpatrywała się we mnie. – No, proszę – zachęcałem ją.

Wzięła buteleczkę i ręcznik, ale nadal siedziała bez ruchu, więc wyszedłem na górę, do kokpitu, jakbym się upewniał, czy nikt nie został na pokładzie. W porcie panował spokój, zakłócony jedynie deszczem uderzającym w szarą wodę. Z miejscich kominów unosił się dym. Usłyszałem, że dziewczyna się poruszyła. Przeszedłem na dziób i zamknęła się w kajucie. Zdjąłem lornetkę ze specjalnego uchwytu w szafce w kokpicie i spojrzałem przez nią na miasto, ale po małej aluminiowej łódce nie pozostał nigdzie nawet ślad. Intruz zniknął.

Wróciłem pod pokład i zakląłem pod nosem. Szczupły mężczyzna wywrócił wszystko do góry nogami. Otworzył drzwi pozamykane na zamki, po czym wysypał zawartość szafek na podłogę. Rozdarł wykładzinę i szukał czegoś w podłodze kabiny. Zniszczył radiostację. Jej obudowa wyglądała, jakby ktoś potraktował ją łomem. Włączyłem ją, ale nie dała znaku życia. Zniszczenia nie wyglądały przerażająco, ale rachunek, który przyjdzie mi zapłacić za ich naprawę, będzie bolesny. Jeszcze raz przekląłem tego drania, a następnie, jako że nie mogłem się zabrać do sprzątania, wyszedłem na pokład, włączyłem gaz w szafce na rufie i zszedłem na dół, by zapalić małą kuchenkę gazową. Mały kambuz był chyba jedynym miejscem, które uszło uwagi intruza, prawdopodobnie dlatego, że odciągnąłem go, zanim zdążył dokonać ostatecznego dzieła zniszczenia. Stolik do map wyrwano z zawiasów, którymi był przytwierdzony do ściany, a wszystkie moje cenne, rzadkie mapy zostały pogięte i podarte. Sekstant ocalał, dzięki Bogu. Prawdopodobnie nic nie zginęło, ale nie mogłem mieć pewności, dopóki gruntownie nie przeszukam jachtu.

Zaparzyłem imbryk mocnej herbaty, wlałem do niej trochę mleka i wcisnąłem go na wolne miejsce na stole. Nabiłem fajkę, zapaliłem ją i czekałem.

Upłynęło dziesięć minut i dziewczyna wyszła nerwowym krokiem z kajuty dziobowej. Miała na sobie jeden z moich swetrów Arana, który do niej pasował.

Miała krótkie, czarne włosy, ciemne oczy i skórę koloru miodowego brązu. Domyśliłem się, że chyba już się uspokoiła, choć wciąż patrzyła na mnie z ostrożnością.

– Herbata – wskazałem. – Mam też mleko. Cukru?

– Dziękuję, nie. – Przeszła przez zdemolowaną kabinę i nerwowo usiadła na przeciw mnie. – Za mleko też.

– A może rumu zamiast mleka?

Potrząsnęła głową, po czym musnęła palcami włosy. Spostrzegłem, że jest ładna, mimo pokaleczonej twarzy, przerażonych oczu i mokrego, wyświechtanego swetra.

– Czy ten drań zdemolował także kajutę dziobową? – zapytałem.

– Nie aż tak, jak tę kabinę. – Nagle wzdrygnęła się. – Czekałam na pana w kokpicie, kiedy się pojawili. Było ich dwóch, ale tylko jeden wszedł na pokład. Myślałam, że to pańscy znajomi. – Znow zadrżała i na chwilę zamknęła oczy. – Dziękuję, że ich pan odstraszył.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Postawiłem przed nią kubek herbaty. – Przepraszam, ale nie mam cytryny. Czy dym z fajki pani nie przeszkadza?

– Nie. – Chwyliła cynowy kubek w obie ręce, ale okazał się zbyt gorący i szybko go odstawiła. Rozejrzała się po kabinie i skrzywiła się. W chłodnym, wilgotnym powietrzu pomieszczenia mieszkalne „Stonecznika” wyglądały odpychająco i nieprzytulnie. Dziewczyna wzięła głęboki oddech, po czym popatrzyła na mnie zza stołu. – Nazywam się Jennifer Pallavicini.

Nie zareagowałem. Chyba spodziewałem się, że powie mi coś więcej na temat szczupłego mężczyzny, a ona zamiast tego oficjalnie mi się przedstawiła, więc tylko uśmiechnąłem się, przyjmując do wiadomości jej informację.

– Czy to nazwisko coś panu mówi? – w jej głosie dała się słyszeć nutka gniewu.

– A powinno?

– Piszemy do pana od trzech lat!

Wzruszyłem ramionami, dając do zrozumienia, że nie dotarł do mnie żaden list, po czym pociągnąłem łyk kawy, którą sownie okrasilem rumem. Gorący płyn uraził miejsce, gdzie jeszcze niedawno miałem ząb. Skrzywiłem się.

– Pani listy utknęły zapewne gdzieś na ścieżkach światowej poczty. Przykro mi.

– Wysyłałiśmy je na adres pana matki.

Uśmiechnąłem się pod nosem.

– Nie byłem jej ulubionym dzieckiem. Nigdy nie dostałem od niej nawet kartki na urodziny, nie mówiąc już o listach od innych ludzi.

– Zatem kiedy dowiedzieliśmy się, że przybywa pan na pogrzeb matki, a nie odpowiedział pan na żaden list, wysłano mnie, bym pana odnalazła.

Dla niej wszystko układało się w logiczną całość, dla mnie nie miało sensu. Matka nigdy nie przekazała mi żadnego listu, nigdy nie słyszałem o Jennifer Pallavicini. Zastanawiałem się, w jaki sposób dowiedziała się, że „Słonecznik” stoi w Salcombe. Zauważyłem też, że wysłano ją do mnie, co oznaczałoby, że spełnia tylko rolę posłańca.

– Kto panią przysłał? – zapytałem.

Popatrzyła na mnie niemal wrogo. Było jasne, że panna Jennifer Pallavicini bardzo szybko doszła do siebie po spotkaniu ze szczupłym napastnikiem. Podejrzewałem, że była twardą dziewczyną, i z tego powodu przyjrzałem jej się uważnie. W twarzy mojego gościa było dużo stanowczości. Fizys mej rozmówczyni stanowiła mieszkankę inteligencji, piękna i determinacji. Wyborna dziewczyna, pomyślałem, niełatwa do zdobycia.

– Słucham? – nalegałem.

– Pracuję dla sir Leona Buzzacotta.

– Aha – powiedziałem neutralnym głosem, choć tak naprawdę ta odpowiedź rozjaśniła mi w głowie. Buzzacott to bogacz, który prawie kupił obraz van Gogha ze Stowey, po czym go nie dostał. Nigdy nie krył gorzkiego rozczarowania. Był jednym z najbłyskotliwszych finansistów londyńskiego City, założył we własnym domu na wsi kolekcję dzieł sztuki, zwaną Galerią Buzzacotta. Uważał, że zbyt wiele brytyjskich skarbów sztuki wędruje za Atlantyk i do Japonii, więc poprzysiągł zatrzymać masowy odpływ malarstwa z kraju. Van Gogh miał być najcenniejszym obrazem w jego kolekcji. Najwyraźniej Buzzacott wciąż nie mógł przeboleć, że obraz nie wisi na jednej ze ścian jego muzeum.

– A co konkretnie robi pani u sir Leona? – zapytałem.

– Jestem kustoszem XIX-wiecznego malarstwa europejskiego.

Wyglądało to na potężne zadanie albo wielkie przechwałki, więc uśmiechnąłem się, co ją rozdrażniło.

– Niech pana diabli wezmą – powiedziała.

– Niech mnie diabli wezmą? – Byłem zaskoczony tym nagłym przypływem wrogości. Oszczędziłem jej jeszcze gorszego pobicia, pożyczylem ubranie, zaparzyłem herbatę, a ona traktuje mnie jak łobuza.

Z wściekłości aż przymknęła oczy.

– Sir Leon nigdy nie przestał wierzyć, że odzyska obraz. Naturalnie trzeba będzie wynegocjować nową cenę, ale sir Leon przebiję każdą ofertę, którą jest pan w stanie uzyskać. Zatem, milordzie...

– John – przerwałem jej.

– Zatem, panie Rossendale – mówiła dalej, zupełnie na mnie nie zważając. – Sir Leon przystanie na każdą rozsądną cenę, która w obecnych warunkach rynkowych powinna wynieść przynajmniej dwadzieścia milionów funtów.

Łatwo jest udawać, że ma się gdzieś pieniądze, mówić, że żeglarzowi niebieskich mórz potrzeba tylko tyle gotówki, by nie rdzewiał kadłub, a żagle nie świeciły dziurami oraz by od czasu do czasu kupić kilka butelek gorzałki i puszek mielonki. Ta pogarda dla pieniądza to domena morskich cyganów: uciekliśmy od pospolitej chciwości tego świata, czujemy nawet współczucie dla szefów firm odzianych w prążkowane garnitury, pędzących do psychoanalityków z powodu stresu wywołanego zarabianiem pieniędzy, i jesteśmy tacy dumni, że uniknęliśmy przywiązania do tego świństwa. Udajemy, że nas to nie obchodzi, ba, nawet brzydzi, ale kiedy pojawia się ciemnowłosa dziewczyna, która ostrożnie daje do zrozumienia, że jej pracodawca jest gotów wyłożyć dwadzieścia melonów, to... No i gapiłem się na nią i zachodziłem w głowę, czy to ona jest szalona, czy to ja zaczynam mieć problemy ze słuchem.

– Dwadzieścia? – zapytałem nieśmiało.

– Milionów – dokończyła stanowczo.

– O rany! – Uśmiechnąłem się. Mówiłem sobie, że pieniądze mnie nie obchodzą, ale dwadzieścia milionów funtów? W ciągu czterech ostatnich lat świat sztuki musiał chyba upaść na głowę. Matka sądziła, że miała szczęście wynegocjowawszy cztery miliony i zapewniano ją, że to i tak przynajmniej o milion ponad najwyższą cenę aukcyjną. Ale dwadzieścia? Przynajmniej dwadzieścia, jak powiedziała Jennifer Pallavicini. – Za dwadzieścia melonów można kupić kawał jachtu – powiedziałem w zamyśleniu.

- Rzeczywiście – odrzekła lodowatym tonem.
- Jest tylko jeden drobny kłopot – ciągnąłem. – Ja nie mam tego obrazu.
- Ale wie pan, kto go ma. – To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. Ta dziewczyna, podobnie jak moja siostra i reszta rodziny, była przekonana o mojej winie.
- Niestety – powiedziałem delikatnie. – Nie wiem.

Jennifer Pallavicini westchnęła, jakbym umyślnie ją rozdrażnił.

– Przed śmiercią – powiedziała beznamytnie – pańska matka znalazła dowody pańskiej winy. Tyle nam powiedziała. Jeden ze współników przyznał się do kradzieży.

– A to dopiero – odezwałem się. – Szkoda, że to nieprawda.

– Pańska matka chciała przedstawić panu ten dowód. – W ogóle nie dostrzegła, że wszystkiemu zaprzeczałem. – I jeszcze raz do pana zaapelować.

Oparłem się. Luk był otwarty i deszcz zaczął do środka. Potarłem twarz i skrzywiłem się, gdy dotknąłem opuchniętego dziąsła. Zerknąłem na barometr, który na szczęście uniknął stłuczenia, i stwierdziłem, że ciśnienie rośnie. Za wcześnie jak dla mnie. Potrzebowałem kilku dni na niezbędne naprawy, ale gdy tylko nad kanałem przejdzie następny niż, skorzystam z fali północnych wiatrów, która poniesie mnie daleko od Anglii.

– A ten człowiek – Jennifer Pallavicini zadrżała na wspomnienie szcuplego mężczyzny – powiedział mi, że wrócił pan do domu, by sprzedać obraz.

Zainteresowałem się.

– Co powiedział?

– Że wrócił pan do domu, by sprzedać obraz. Ale mówił też, że płótno nie należy do pana i nie może go pan sprzedawać.

Poruszyłem gasnący tytoń w fajce.

– Zatem jeśli miał pretensje do mnie – zapytałem – dlaczego dobierał się do pani?

Najwyraźniej zastanawiała się, czy odpowiedzieć na to pytanie, po czym lekko wzruszyła ramionami.

– Kiedy wszedł na pokład, od razu zapytał, czy wiem coś o obrazie, a ja byłam na tyle głupia, że się przyznałam. Kiedy powiedziałam mu, że pracuję dla sir Leona, chciał się dowiedzieć, ile zapłacimy panu za ten obraz, no i oczywiście

kiedy nam pan go przekaże. Wyjaśniłam mu, że niczego nie ustalaliśmy, ale on mi nie wierzył.

– No i zbił panią na kwaśne jabłko?

Zamilkła na chwilę, po czym kiwnęła głową.

– I chyba z satysfakcją – dodała.

– Przykro mi – powiedziałem, ale moje współczucie tylko ją zirytowało.

– Najważniejsze – powiedziała chłodno – że wreszcie do pana dotarliśmy.

Prosimy teraz pana tylko o to, by negocjował pan z nami, a nie z kimś innym.

Pokręciłem głową.

– Ale nie mogę się z państwem układać, ponieważ to nie ja ukradłem ten obraz i nie wiem, gdzie on jest.

– To pan tak twierdzi.

Ta grubiańska odpowiedź omal nie doprowadziła mnie do wybuchu. Łatwo mogłem pozwolić się ponieść impulsowi, ponieważ byłem zmęczony i poirytowany, ale z drugiej strony zacząłem dostrzegać, że ona jest naprawdę bardzo ładną dziewczyną. Zdziwiająco, jak piękne dziewczęta potrafią wygładzić maniere mężczyzny. Ukryłem swój gniew.

Jennifer Pallavicini zbierała do torebki rzeczy, które szczerzyły mężczyzna rozrzucił na koi.

– Powinien pan wiedzieć – powiedziała zakończywszy tę czynność – że obraz w świetle prawa należy do pana. Testament pańskiej matki nie może tego zmienić.

Wzruszyłem ramionami.

– Nawet go nie czytałem.

– Zapisała obraz pańskiej siostrze-bliźniaczce, ale ponieważ przed śmiercią pańskiego brata właścicielem obrazu stał się Fundusz Stowey, tego punktu testamentu nie można wykonać. – Popatrzyła na mnie. – W rezultacie, milordzie, okradł pan sam siebie.

Czułem pulsowanie w opuchniętej twarzy w miejscu po wyrwanym zębie. Słowa Jennifer Pallavicini przypomniały mi o uciążliwych obowiązkach, od których uciekłem po zniknięciu obrazu. Fundusz Stowey był tak naprawdę majątkiem Rossendale'ów. Nadano mu formę funduszu, by jak najbardziej zmniejszyć podatki i uprościć sprawy związane ze śmiercią kogoś z rodziny. Obecnie Fundusz bankrutował, głównie z powodu straty obrazu. Jednak głównym jego udziałowcem

był wciąż książkę Stowey, co oznaczało, że istotnie, gdybym skradł tego van Gogha, obrabowałbym sam siebie. Nikt nie pomyślał, że to nieco dziwny pomysł, ale stało się tak zapewne dlatego, że wszyscy byli przekonani, iż jestem nie tylko winny, ale i głupi.

– Sir Leon chce zapomnieć o jakimkolwiek pańskim udziale w zniknięciu obrazu, pod warunkiem, że pomoże go pan odnaleźć – powiedziała mi Jennifer Pallavicini.

– Jakże to miło z jego strony – rzekłem.

Usłyszała drwinę i wzruszyła ramionami.

– Próbuje tylko panu pomóc, milordzie.

– Niechże mnie pani w ten sposób nie nazywa! – Mimo jej wyglądu, w moim głosie zabrzmiał gniew. Usłyszałem nagłe emocje i nie spodobało mi się to.

– Proszę posłuchać – odezwałem się cierpliwie. – Moja matka nie miała żadnych dowodów, że ukradłem ten obraz, bo tego nie zrobiłem. Gdyby rzeczywiście miała taki dowód, powinna iść z tym na policję. Zakładam, że tego nie zrobiła, ponieważ od mojego przyjazdu żaden przedstawiciel prawa nie złożył mi jeszcze wizyty, zatem dowód był tylko wytworem jej wyobraźni. Niech więc pani wraca do pana Buzzacotta i powie mu, że nie ukryłem obrazu, nie wiem, gdzie jest i nie mogę mu pomóc. Proszę mu także przekazać, że cztery lata temu policja maglowała mnie przez dwa dni i nie zostałem oskarżony z braku dowodów. Krótko mówiąc, nie wiem nic o tym obrazie i koniec, kropka.

Jennifer Pallavicini nie mrugnęła nawet okiem.

– Sir Leon proponuje za obraz dwadzieścia milionów, panie Rossendale, w dowolnej walucie i w kraju przez pana wskazanym. – Przerwała, oczekując na odpowiedź, a kiedy milczałem, ciągnęła dalej: – Może pan to potraktować jako wstęp do negocjacji, a nie jako ostateczną cenę, panie Rossendale.

Innymi słowy mogę wyznaczyć cenę za zwrot dzieła, a pieniądze zostaną wypłacone i to bez wiedzy wścibskich pracowników urzędu skarbowego. Jedyną łyżką dziegiu w tej beczce miodu było to, że po pierwsze nie ukradłem tego van Gogha, a po drugie nie wiedziałem, gdzie jest. Miałem też już dość owych ciągłych zarzutów. Cztery lata nie osłabiły w nikim pożądania tego obrazu, ani przekonania, że to ja go ukradłem. Bez wątplenia matka uważała, że wezwanie z łoża śmierci

zmusi mnie do ujawnienia miejsca ukrycia płótna, teraz zaś sir Leon Buzzacott wysłał do mnie atrakcyjnego posłańca, by spróbować wyłudzić ode mnie tę informację. Ale ja nie podzielałam obsesyjnego zainteresowania obrazem van Gogha i czułam się urażony zarzutami. Obrażało mnie też, że Jennifer Pallavicini z góry zakładała, iż jestem winny, i aby okazać irytację wzięłam ze stolika jej herbatę i wylałam do zlewu.

– Żegnam, panno Pallavicini.

Nawet jeśli moja reakcja ją zaskoczyła, była zbyt dumna, by dać to po sobie poznać. Wzięła torebkę.

– Liczy pan na to, że dopłynę wpław do brzegu, milordzie?

Odwiozłem ją. Nigdzie nie został nawet ślad po aluminiowej łódce i jej dwóch pasażerach. W czasie podróży Jennifer Pallavicini nie odezwała się ani słowem, ale wiedziałem, że nie podoba się jej ta przejażdżka. Na „Słonecznika” przyплыnęła w jednej z wodnych taksówek z Salcombe, ale bez radia nie mogłem wezwać dla niej takiego pojazdu. Zamiast tego wioślowałem przez siąpiący deszcz w zupełnej ciszy. Nie odezwała się, dopóki nie przybiliśmy do brzegu. Wysiadła z pontonu i odwróciła się do mnie.

– Jak mam zwrócić panu sweter?

– Proszę go oddać na cele charytatywne. Wracam na morze.

Przez sekundę kusiło ją, by zdjęć sweter i rzucić ze złością w ponton, ale przewagę wzięły skromność i deszcz. Okręciła się na pięcie, po czym, ku memu zdziwieniu, odwróciła się do mnie ponownie.

– Mogę zadać ostatnie pytanie, panie Rossendale?

– Proszę bardzo.

Zmierzyła mnie swymi ciemnymi oczyma.

– Dlaczego pański jacht nazywa się „Słonecznik”?

– Kupiłem go od pewnego Francuza. On nazwał go „Tournesol”. Zmiana nazwy łodzi może przynieść nieszczęście, więc po prostu ją przetłumaczyłem. Innymi słowy, panno Pallavicini, ta nazwa to czysty zbieg okoliczności.

Wpatrywała się we mnie, najwyraźniej niepewna, czy może wierzyć memu wyjaśnieniu. Wreszcie, bez słowa, odwróciła się, a ja wróciłem na „Słonecznika”.

Siedziałem w zdemolowanej kabinie i próbowałem powiązać kilka faktów. Sir Leon Buzzacott wciąż pragnął obrazu, a co za tym idzie chciał wiedzieć, gdzie się obecnie znajduje. W tym błędzie utwierdziła go rodzina, przekonując że posiada dowody mojej winy.

W porządku, tylko że ja nie byłem winny. Żaden mój współnik nie mógł sygnąć, bo nie miałem żadnych współników. Podejrzywałem, że całą historijkę wymyśliła matka, przekonana o mojej winie.

Ale to nie wyjaśniało, dlaczego dwaj mężczyźni, a raczej ten szczupły, pięknie wystawiający się mydłek, zniszczył kabinę „Słonecznika”. Z tego, co powiedziała Jennifer Pallavicini, jasno wynikało, że jest przekonany, iż mam obraz i chcę go sprzedać. Czyżby wierzył, że trzymam to płótno na „Słoneczniku”? Czy sądził, że schowałbym skarb wart dwadzieścia milionów funtów w szafce na jachcie? No i kto mu powiedział, że mogę mieć ten obraz? I co miał na myśli mówiąc, że obraz nie należy do mnie, więc nie mogę go sprzedać? Jennifer Pallavicini powiedziała, że obraz jest mój, ale testament matki najwyraźniej starał się mi go odebrać. Cała ta sprzeczność wyglądała mi na pieczęć przyrządzoną przez znakomitego prawnika, a to znaczyło, że powinienem zwięzać gdzie pieprz rośnie. Życie nauczyło mnie paru rzeczy: zawsze ściągaj żagiel, kiedy pojawi się oznaka niepogody, nigdy nie pływ pod wiatr, chyba że nie masz innego wyjścia, a już przynigdy nie powierzać swoich spraw prawnikom.

Zresztą to nie była moja sprawa. Nie miałem obrazu, nie chciałem go i nie obchodził mnie testament matki. Szczupły mężczyzna, Jennifer Pallavicini i wszyscy, którzy sądzili, że to ja mam van Gogha byli w błędzie. Zatem najlepiej zapomnieć, że kiedykolwiek proponowano mi dwadzieścia milionów funtów i odpłynąć na dalekie morza.

Ale najpierw musiałem popracować. Z grubsza posprzątałem kabinę i zacząłem robić spis rzeczy uszkodzonych. Większość narzędzi i ubrań, które leżały razem z zapasowymi żaglami w kajucie dziobowej, rozrzucono po kabinie, choć na szczęście nieproszony gość nie skorzystał z noża, by przeszukać żagle w pokrowcach. Z całą pewnością gdyby miał więcej czasu podarłby żagle na strzępy, ale mój niespodziewany powrót mu przeszkodził. Szczupły mężczyzna nie znalazł śladu van Gogha, ponieważ go po prostu nie było, ani nie dobrał się do moich pieniędzy. Gotówka, składająca się z wielu banknotów różnych państw, spoczywała

w puszcze na smar, która leżała wraz z innymi brudnymi i poobijanymi puszkami na blacie z narzędziami obok silnika. Nikt nie zaszczyciłby jej nawet krótkim spojrzeniem. Ale w końcu intruz nie szukał pieniędzy, tylko obrazu wartego dwadzieścia milionów funtów, którego zresztą nie znalazł.

Ale też i nie skończył poszukiwań, i jeśli naprawdę sądził, że van Gogh znajduje się na pokładzie „Słonecznika”, mógł tu jeszcze wrócić. Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

Stwierdziłem, że głód wzmaga strach, więc znalazłem jakąś puszkę z mięsem i puszkę ziemniaków. Zmieszałem wszystko razem, po czym podgrzałem tę miksturę na kuchence. Usiadłem w kokpicie i rzuciłem się na jedzenie. Smakowało wyśmienicie. Działo wciąż miałem opuchnięte, ale na szczęście nie czułem już bólu zęba.

Jednak posiłek wcale nie zmniejszył moich kłopotów. Po pierwsze miałem niewiele pieniędzy, a naprawy „Słonecznika” pochłoną znaczną część oszczędności. Będę miał szczęście, jeśli zostanie mi choć pięćdziesiąt funtów, a to nie wystarczy, by zaopatrzyć „Słonecznika” na długą podróż na południe. Musiałem zatem znaleźć miejsce, gdzie będę mógł sam dokonać większości napraw i zarobić trochę gotówki. Chciałem także zniknąć z oczu tym dwóm intruzom. Nie dlatego, bym się ich bał, ale dlatego, że nie zamierzałem brać udziału w ich polowaniu na zaginiony obraz. Cztery lata temu uciekłem od tego wszystkiego na morze i prędzej szczenę, niż dam się wciągnąć z powrotem w ten wir chciwości i podejrzeń.

Tej nocy nikt nie próbował się wdrzeć na pokład „Słonecznika”. Oczywiście to nie oznaczało, że ani mnie, ani jachtowi nic nie grozi. Potrzebowałem kryjówki, pracy i jakiegoś miejsca na wykonanie napraw i wiedziałem już nawet, gdzie mogę to wszystko znaleźć. Spałem niespokojnie, obudziłem się rano i wypłynąłem o świcie.

W ciągu nocy pogoda się poprawiła. Mimo wczesnej pory w zatoce roiło się od żagli. Sunałem do przodu na kliwrze i sztakslu, a obok mnie przemknęły trzy jolki z Salcombe, małe, piękne, drewniane jachty. Z piskiem radości zatokę opuszczały wielki francuski sloop, wypełniony po brzegi chyba z tuzinem wielodzietnych rodzin. Słońce powodowało, że żagle na wodzie wyglądały jak rozwijające się płatki białych kwiatów. Dołączyły do nich potargane, szare płótna „Słonecznika”.

Wiatr wiał znów na południowy zachód. Korzystając z silnika wyprowadziłem jacht aż do uskoku, który tego ranka był łagodny jak baranek. W miejscu, gdzie kilka dni temu wykonałem samobójczy skok przez kaskady białej piany, teraz trudno było wypatrzeć nawet mały wir. Kiedy wypłynąłem już z zatoki, wyłączyłem silnik i płynąłem prawym halsem. Morze błyszczało we wschodzącym słońcu. Po nieprzyjemnych wydarzeniach ostatnich kilku dni czułem się wspaniale. Obok przepłynął biały katamaran z kabiną wielkości kamienicy. Mężczyzna stojący za sterem krzyknął ciepłe „Dzień dobry!”. Wraz z nim płynęła zabójczo piękna, długowłosa dziewczyna. Pomachała do mnie, a ten przyjazny gest nagle sprawił mnie w doskonały nastrój.

Lubię swój styl życia. Lubię tę chwilę, kiedy po wypłynięciu z portu odwracam się i widzę tylko puste morze. Czasami jest jeszcze zamglony zarys zostającego z tyłu lądu, ale wiem, że wkrótce zniknie i on. Od tej chwili nie jestem z nikim związany, odpowiadam tylko za siebie i mogę polegać jedynie na jachcie i własnej sile. Na morzu nie ma prawników, księgowych, agencji nieruchomości, rodziny, oczekiwań, najemców, kredytodawców, komorników, bankierów, maklerów ani dzierżawców. Uciekłem od tych waśniaków w ciemnych garniturach. Po śmierci brata wezwano mnie do domu, bym został głową rodziny i księciem, lordem Stowey, ale zamiast tego utknąłem między wybujałymi ambicjami matki i niewiarygodnie nudnymi sztywniakami w garniturach. Wasza lordowska mość musi podpisać ten dokument, wasza lordowska mość powinien rozważyć korzyści podatkowe płynące z rezygnacji z tej dywidendy, wasza lordowska mość musi natychmiast spotkać się z księgowym albo z bankierem i tak dalej, aż wreszcie jego lordowska mość powiedział im, że ma to wszystko gdzieś. Do dziś, kiedy jakiś zapyziały biurokrata robi mi problemy, każę mu się wynosić do diabła. Pierwszy książę Stowey był Normanem i zdobył ziemię dzięki ostrzu swego miecza, i prędzej mnie piekło pochłonie, niż dam się zaszczyć bandzie nudziarzy w prążkowanych garniturach. Aby się od nich uwolnić, wróciłem na morze.

I unikałem ich aż do tego powrotu. Ale ucieczka też ma swoją cenę – samotność. Patrzyłem na piękną dziewczynę na katamaranie i poczułem ukłucie żalu. Nie znosiłem tego uczucia. Mój Boże, przecież sam wybrałem sobie takie życie i powinienem się do niego przyzwyczaić, bo inaczej świat będzie ze mnie drwił.

To дума, ale przyznaję, byłem dumnym człowiekiem. Nie lubię co prawda, gdy mówi się do mnie „milordzie”, ale krew płynąca w moich żyłach była tak stara, jak Anglia. Do diabła więc z samotnością. Zawsze można ją oddalić. W tropikalnych przystaniach wszędzie czekają jakieś dziewczyny z torbą na ramieniu, patrzące pustym wzrokiem. Wystarczyło skinąć, by któraś z nich weszła na pokład i wszystko było w porządku, dopóki związek nie rozpadł się z powodu nudy czy rozdrażnienia. W takich związkach nie było żadnych zobowiązań, hipoteki, płaczących dzieci ani powolnie zżerającej nudy, tylko towarzystwo. Zmieniłem kurs. Minąłem już Bolt Head. Morze ukwiecone było jachtami, z których wiele, podobnie jak ja, płynęło na zachód. Nie wybierałem się w długą drogę, zaledwie trochę dalej wzdłuż wybrzeża Devon. Nie spieszyłem się. Unieruchomiłem ster i zszedłem do kabiny, gdzie posmarowałem masłem kromkę chleba i zrobiłem sobie herbatę. Jadłem w kokpicie i patrzyłem na mewy bombardujące powierzchnię morza. Wiatr był łagodny i stały, a fala niewysoka. „Słonecznik” dobrze trzymał kurs w takich warunkach. Niekiedy tylko hamował, co groziło odpadnięciem od wiatru, a od czasu do czasu, gdy jakaś większa fala uderzyła w kadłub, na dnie chrobotaty jakieś śmiecie.

Kiedy minąłem Bolt Tail, skręciłem o kilka stopni na północ i „Słonecznik” chyba trochę się uspokoił. Czuł się teraz jak ryba w wodzie i kusiło mnie, by skierować jego dziób w stronę otwartego morza i pozwolić mu odpłynąć hen w siną dal. Ale najpierw musiałem naprawić jacht, ponieważ tylko wtedy ja i on mogliśmy wrócić tam, gdzie było nasze miejsce.

Do południa w złotym, błyszczącym słońcu dopłynęliśmy do Cieśniny Plymuth. Minęliśmy Wyspę Drake’a i kierowaliśmy się w stronę Hamoaze. Po tych wodach kręciły się jednostki handlowe i marynarki wojennej. Pełno tu było ropy, a okolica wyglądała romantycznie niczym oczyszczalnia ścieków. Mimo to właśnie stąd wypływały wszystkie statki, które zapisały się w angielskiej historii: „Victory”, „Mayflower”, „Revenge” i „Golden Hind”.

Ale miejsce, do którego dążyłem, nie było ani wielkie, ani historyczne, a jedynie beznadziejnie chylące się ku upadkowi. Zmierzałem do przystani składającej się z nabrzeża, ciemnego doku, brudnego molo, warsztatu, magazynu i opuszczonego biura. Przy pomoście cumowało kilka remontowanych łodzi, ale wszystkie

czekały chyba na skrobanie w doku. Jednak w małej stocznicy nikt nie pracował, choć koło biura ujrzałem zaparkowanego starego, zielonego jaguara, a to znaczyło, że ktoś tu jednak jest. Nie spodziewałem się, że po czterech latach jeszcze ujrzę tę przystań, ale ona wciąż trwała, będąc pomnikiem brudu i zaniedbania.

Przycumowałem „Słonecznika” obok zniszczonego kutra rybackiego, po czym wspiąłem się po rdzewiejącej drabinie do doku. Obok drzwi do biura stała damka. Na drzwiach, w miejscu gdzie kiedyś z pewnością była szyba, przybito prostą deskę. Podobnie niezdarnie zreperowano drzwi na górze. Otworzyłem je, budząc zaskoczenie sekretarki, która siedziała za starym biurkiem. Posłałem jej całusa.

– Wciąż tu pracujesz, Rito?

– Wielki Boże! – Rita była poważną dziewczyną o łagodnym charakterze, która całe dni spędzała na czytaniu czasopism w rodzaju „Prawdziwa miłość”. W tej przystani nie miała do roboty nic poza parzeniem kawy i odbieraniem telefonu. – Johnny? Czy to naprawdę ty?

– To naprawdę ja. – Wziąłem jej rękę, ukloniłem się wyszukanie i złożyłem pocałunek na wymalowanym paznokciu. – Jest ten stary zrzęda?

– Pewnie śpi. – Patrzyła na mnie. – Prawie wcale się nie opaliłeś! – Wtedy coś sobie przypomniała i z obowiązku zmarszczyła brwi. – Czytałam w gazetach o twojej matce. Przykro mi, John.

Wzruszyłem ramionami, jakbym nie mógł wyrazić swego żalu. Otworzyłem drzwi do drugiego pokoju.

George Cullen zbudził się kaszląc. Próbował udawać, że pracuje i rzucił mi skrzywdzone spojrzenie, jakbym obraził go, wchodząc bez pukania. Wreszcie, rozbudziwszy się na dobre, poznał mnie. Uśmiechnął się, lecz doszedł do wniosku, że uśmiech jest nie na miejscu i wstał, by podać mi rękę.

– Milordzie!

– Dla ciebie Johnny – powiedziałem. – No, jak się masz, stary oszuście?

Potrząsnął moją ręką.

– Johnny – powiedział cicho, jakby wypróbując nowe słowo, choć znał mnie na wylot, a spotkaliśmy się, kiedy miałem trzynaście lat. Mimo to George był jednym z tych ludzi, którzy szanowali przyjaciół. – Johnny – odezwał się

ponownie, tym razem z przyjemnością, naprawdę ciesząc się z mojego widoku. – Co za niespodzianka! Napijiesz się czegoś, stary druhu, prawda?

Wyjął butelkę szkockiej z etykietką, jakiej jeszcze nie widziałem i mam nadzieję, że już nigdy nie ujrzę. W Mozambiku, którego nie polecam żadnemu żeglarzowi, piłem płyn, który udawał szkocką whisky. Nazywał się „Sbell”, a butelka miała etykietkę nieudanie naśladowującą prawdziwą whisky „Bells”. „Sbell” była trunkiem dla prawdziwego desperata, ale stanowiła całkiem dobry rozpuszczalnik. Szkocka George’a należała mniej więcej do tego samego gatunku. Wypiłem łyk i skrzywiłem się.

- Skąd u licha wytrzasnąłeś to świństwo, George?
- To prezent od jednego ze współników, Johnny. Od partnera.
- Jasna cholera. – Wypiłem mimo wszystko i podstawiłem szklanekę, by nalał mi jeszcze.

George ponownie wlał mi whisky. To sympatyczny szuja. Jest cwany jak każdy polityk z pierwszych stron gazet, a do tego ma wielki brzuch od piwa, jowialną twarz i małe, podejrzliwe oczka, ale wręcz uwielbia plotki i bardzo się boi więziennego spacerniaka. Przysiań Hamoaze odziedziczył po ojcu, ale mała stocznia nie przynosiła już dochodów. George zarabiał, sprzedając rzeczy kradzione z jachtów. Policja musiała o tym wiedzieć i to, że wciąż pozostawał na wolności, można było wytłumaczyć jedynie tym, że miał kogoś w kieszeni. Znałem George’a od dwudziestu jeden lat. Dawniej spędzałem wakacje, pracując w jego stoczni. Wtedy Stocznia Cullena przypominała jeszcze firmę, ale teraz te pozory już dawno zniknęły.

Potoczył się do okna i zerknął na „Słonecznika”.

- Daleko na nim pływałeś, Johnny?
- Dookoła świata, George.
- Naprawdę? – Patrzył na mój jacht, nabijając fajkę tytoniem. – Zawsze marzyła mi się podróż dookoła świata. Ale oczywiście nigdy nie miałem po temu okazji. Byłem zbyt zajęty.

George nie potrafiłby nawet wypłynąć za Plymouth Breakwater, nie mówiąc już o podróży dookoła świata, ale uśmiechnąłem się życzliwie. Wzruszył ramionami, po czym gościnnie podał mi woreczek z tytoniem.

– Wpadłeś tu z wizytą, co Johnny?

Pokręciłem głową.

– Muszę wyciągnąć jacht na brzeg i skorzystać z resztek twojego warsztatu.

– Oczywiście, Johnny, oczywiście. Będę musiał sprawdzić, czy nie mam nikogo na liście, ale...

– Przymknij się, George. Dobrze wiem, że nie masz nikogo na liście. Nie martw się, zarobię na siebie.

– Aha. – George zmarszczył czoło. Prawdopodobnie spodziewał się, że mu zapłacę, tymczasem ja proponowałem, by to on płacił mi za wykonywanie różnych prac, ale snobizm wziął w nim górę nad chciwością. W końcu lord jest zawsze lordem, nawet jeśli nie ma grosza przy duszy. George zapalił fajkę i wrócił do zagraconego biurka. – Coś wymyślimy, Johnny.

– Jest jeszcze coś, George.

Usłyszał ostrożność w moim głosie i sam odparł podobnym tonem:

– Jeszcze coś?

– Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział, że tu jestem.

George może i był małą, wstrętną kreaturą, ale miał nosa jeśli chodzi o kłopoty. Opał na obite materiałem krzesło.

– Znowu policja, Johnny?

– Nie, to nie policja. Dwóch drani, którym się wydaje, że ja coś mam. Wczoraj przyszli, żeby to znaleźć, i mogą jeszcze wrócić. Nie chcę więc, by wiedzieli, gdzie jestem.

– Czy to ktoś, kogo znam?

Opisałem dwóch intruzów, nabijając fajkę czarnym tytoniem George'a. Nie mogłem zbyt dokładnie opisać wielkiego, łysiejącego faceta za sterem łódki, ale podałem szczegółowy rysopis szczupłego mężczyzny, który mówił z tak doskonałym akcentem z prywatnej szkoły.

– Garrard – przerwał mi George, kiedy wspomniałem o głosie napastnika.

– Garrard?

– Trevor Garrard. Kiedyś służył w wojsku. To kawał eleganckiego drania. Miał przy sobie nóż?

– Tak.

– W takim razie to Garrard. O jego kompana nie musisz się kłopotać, to

po prostu góra mięśni i nic więcej, ale na Garrarda powinieneś uważać. To łotr. – Nie zdziwiłem się, że George znał tych dwóch, bo na południowym zachodzie niewielu było przestępców, o których George nie słyszał. – Garrarda wyrzucono z wojska – kontynuował George. – I trafił do przestępczego światka, a obecnie jest wykurzaczem. Trochę się bawił w bukmacherstwo, ale teraz chyba nie ma odwagi pojawić się na jakichkolwiek wyścigach. Rozumiesz, był zbyt porywczy i gliny mają na niego oko, więc został wykurzaczem.

– Wykurzaczem? – zapytałem, zastanawiając się czy Wykurzacze to jakaś znana przestępcza rodzina.

George dolał sobie whisky.

– Wykurzacz – odezwał się z patetyczną godnością – to kontroler najemców.

– Mógłbyś powtórzyć, George?

Westchnął.

– Załóżmy, że masz jakąś nieruchomości, Johnny, w której mieszka jakiś najemca i płaci ci za to psie pieniądze, a prawo nie pozwala ci wyrzucić tego darmozjada na bruk. Tracisz pieniądze i chcesz wynająć nieruchomości komuś, kto zapłaci ci przyzwoitą sumę. I co robisz? Nie możesz zatrudnić kolejnego prawnika-krwiopijcy, bo jeszcze raz dostaniesz tę samą odpowiedź, więc wynajmujesz wykurzacza. Twojemu najemcy zaczynają przytrafiać się różne rzeczy. Przykre rzeczy. Zaczynają się braki wody, po budynku harcują szczury, a czasami wali się pół dachu. Ukochany kotek się dusi, ktoś przebija opony w samochodzie. Wreszcie najemca ma dosyć, wyprowadza się, a ty płacisz wykurzaczowi za robotę. Rozumiesz, wykurzył go – łaskawie dodał ostatnie wyjaśnienie.

– Znasz tego Garrarda? – zapytałem.

– Osobiście nie. – Teraz George odpowiedział wymijająco. – Ale pracował trochę dla tutejszych biznesmenów. Pochodzi, zdaje się, z Bristolu. Ronny jest z Londynu, ale on nie jest taki całkiem zły.

– Ronny to ten łysy?

George skinął głową.

– Ronny Peel. Gdyby mu kazano, zbiłby cię na kwaśne jabłko, ale nie jest potworem, wiesz o co mi chodzi? Ale ten Garrard... – George pokręcił głową z zaskaniem. – Na twoim miejscu bym go nie ruszał, Johnny. To pachnie kłopotami.

- Wcale nie chcę go ruszać. Nie chcę tylko, żeby wiedział, gdzie jestem.
- Będę trzymał gębę na kłódkę – obiecał i uwierzyłem w tę obietnicę, ponieważ George miał naturę przestępczą, ale nie gwałtowną. Założę się nawet, że pewnie nie znosi widoku krwi. Poza tym znamy się z Georgem od tylu lat. W zamierzonej przeszłości uciekałem do niego od rodziny, a on, o tyle, o ile umiał, wprowadził mnie w żeglarski świat. Właśnie w tej podupadłej stoczni nauczyłem się spawania i obróbki drewna. Właśnie tutaj znalazłem pierwszą poważną pracę jako członek załogi jachtu wychodzącego w morze. George znał mnie od dawna, lecz to nie gwarantowało mi żadnych przywilejów. Ale pomagało mi to, że byłem Johnem Frederickiem Albertem Rossendale'em, dwudziestym ósmym księciem Stowey. Nie powinno mi pomóc, ale jednak pomogło. Zatem, dzięki arystokratycznym ciągotom George'a, „Słonecznik” i ja byliśmy bezpieczni.

Myliłem się, gdy myślałem, że będę korzystał ze stoczni George'a przez kilka dni. Na miejscu okazało się, że naprawa potrwa raczej kilka tygodni. Kiedy wyciągnąłem „Słonecznika” na ląd, ujrzałem, w jak opłakanym stanie jest jego kadłub: biedak wyglądał raczej na pływający kompost, a nie jacht dalekomorski. Nic dziwnego, że tak opornie brnął przez Atlantyk. Powinienem go wyczyścić jeszcze w Ameryce albo na Karaibach, ale nie miałem zamiaru przepłacać za farbę ochronną.

Jednak przez tę zwłokę łajba była w strasznym stanie. Musiałem oczyścić kadłub z wodorostów i małży. Miejscami stara farba odłaziła aż do epoksydowej warstwy. Teraz należało oskrobać cały kadłub do czystego metalu i pomalować od nowa. Powinienem wyciągnąć jacht na brzeg za pomocą dźwigu, dokładnie wszystko obejrzeć i wreszcie wykonać, jak mawiał Charlie, dobrą robotę. Kłopot w tym, że nie miałem ani czasu, ani pieniędzy na taką skrupulatność.

Zamiast tego na platformie w stoczni George'a zrobię, co będę mógł. W czasie odpływu powinienem umieścić tam jacht bez kłopotu. Przy średnio niskim odpływie „Słonecznik” znajdowałby się około ośmiu stóp nad wodą, a między odpływem a przyptywem miałbym siedem godzin, by pracować, nim podnosząca się woda wymusi na mnie przerwę. Potrzebowałem zatem serii niskich odpływów.

Jacht dobrze się usadowił w ciemnym doku George'a, ale musiałem coś zrobić, żeby nie kołysał się na boki. Poprowadziłem półcalową linę od górnych rozpór „Słonecznika” i przywiązałem ją do trzpienia z kółkiem, który znajdował się na zewnętrznej ścianie warsztatu. Na linie zawiązałem czerwone szmatki, a na trzpieniu powiesiłem wielką kartkę „Nie ruszać tej liny!”. W Brittanii widziałem kiedyś, jak piękny duński kecz spada z platformy o wysokości dwunastu stóp. To nie był przyjemny widok.

Uruchomiłem zabytkowy kompresor George'a, rozebrałem się do pasa i podłączyłem piaskarkę. A raczej błotniarkę, bo nie miałem za co kupić właściwego piasku i musiałem skorzystać z mokrej kupki pięt rzęcej się za magazynem. Olej napędowy do kompresora także pochodził z zapasów George'a i był, co tu dużo ukrywać, kiepski. Kiedy już zmusiłem maszynę do pracy, co kilka minut dyszę zatykał wilgotny piasek. Postępy były więc raczej niewielkie. Przerwy wykorzystywałem, by na świeżo oczyszczone fragmenty kadłuba „Słonecznika” nałożyć żywicę zapobiegającą rdzewieniu. Między kolejnymi pływami zdrapywałem ją, nakładałem podkład gruntujący, cztery warstwy żywicy epoksydowej, warstwę podkładu pod farbę zapobiegającą przyczepianiu się małży i dwie warstwy samej farby. Przy takiej pracy można zwariować, ale wiedziałem, że jeśli wykonam ją solidnie, kadłub posłuży mi kolejne dziesięć lat. Kiedy przyплыw zmuszał mnie do przerwania pracy, szedłem do kabiny i naprawiałem zniszczone szafki. Szło mi całkiem dobrze, ale z puszek po smarze wciąż ubywało pieniędzy.

Potrzebowałem gotówki. To ironia losu, zwłaszcza jeśli zważyć, że Jennifer Pallavicini kusila mnie dwudziestoma milionami funtów, a szanse na zarobienie choćby kilku pensów w stoczni George'a były co najmniej marne, bo w zakładzie najwyraźniej nic się nie działo.

- Dlaczego nie sprzedasz tego śmietnika? – zapytałem go któregoś dnia.
- Dzięki temu mam co robić, Johnny. I mogę uciec od żony – zachichotał. Stał obok kompresora i przyglądał się mojej pracy. Właśnie zatkała się dysza i musiałem przerwać oczyszczanie, by nałożyć warstwę żywicy na błyszczącą stal kadłuba „Słonecznika”. – Jest jeszcze druga strona medalu – ciągnął George.
- Pamiętam. – Ta druga strona, to kradzione rzeczy, które przechodziły

przez jego magazyn. George skupiał się na starym sprzęcie specjalistycznym: handlował bardzo wysłużonymi radarami i radiostacjami.

– Ale muszę ci powiedzieć, że od jakiegoś czasu myślę o sprzedaży. Ludzie coraz chętniej spędzają wolny czas na wodzie. Ktoś mógłby nieźle zarobić, gdyby zmienił stocznię w przystań jachtową.

– A dlaczego sam się za to nie weźmiesz, George?

– Nie czuję się najlepiej, Johnny. – Zapomniałem już, że zawsze cierpiał na jakąś nową, nie rozpoznaną jeszcze chorobę.

– Zatem stocznia jest na sprzedaż?

Wzruszył ramionami.

– Za godziwą cenę. W końcu jest nieźle położona. – Zatoczył ręką koło, jakby sprzedawał kawał nabrzeża w St Tropez, a nie kupkę starych ruder i śmierdzący dok. – Interesuje cię to, Johnny?

– Mnie? – roześmiałem się. – Na samo malowanie „Słonecznika” spłukam się co do grosza, nie wspominając już o odnowieniu wyposażenia. – Wróciłem do jachtu i spróbowałem ponownie uruchomić kompresor, ale woda, którą George „chrzczył” olej napędowy, nie służyła silnikowi. Zakląłem, bo wiedziałem, że będę musiał wypompować paliwo i oczyścić silnik. Oczywiście to moja wina, bo sam zdecydowałem się na tę stocznię. Gdybym miał pieniądze, kazałbym porządnie oczyścić jacht, ale teraz musiała mi wystarczyć ta stara piaskarka.

George patrzył jak wysysam paliwo z kompresora.

– Johnny – odezwał się po chwili.

– Słucham, George? – powiedziałem, wylewając do doku rozwodniony olej napędowy.

– Ten obraz... – przerwał. Musiał wiedzieć, że moje przejścia z Garrardem miały coś wspólnego z van Goghem, ale wspominał o tym po raz pierwszy. – Znaleźli go u ciebie?

– George, gdyby tak się stało, siedziałbym w kiciu i czyścił wychodki.

Zastanowił się nad tą odpowiedzią i w końcu doszedł do wniosku, że jest przekonująca.

– Oczywiście – odparł. – A teraz, po śmierci twojej matki, obraz chyba należy do ciebie?

– Zgodnie z testamentem – nie. Zapisała go mojej siostrze – powiedziałem to, by George nie kombinował już więcej, choć podejrzewałem, że Jennifer

Pallavicini miała rację i gdyby obraz kiedykolwiek się odnalazł, należałby do mnie. Dwadzieścia milionów funtów dla mnie, chociaż oczywiste, że gdyby płótno rzeczywiście się odnalazło, stanowiłoby łakomy kęs dla stada prawników i porboców podatkowych, którzy jeden przez drugiego staraliby się uszczknąć trochę tych pieniędzy dla siebie. Ale nawet ci drapieżni dranie nie zdołaliby rozszarpać dwudziestu milionów.

– Na pewno wart jest kilka pensów. – George chyba czytał w moich myślach.

– Kilkadziesiąt milionów, George.

– To znaczy ile?

Wyprostowałem się znad silnika.

– Sir Leon Buzzacott proponował mi przedwczoraj dwadzieścia milionów, a to znaczy, że wart jest pewnie więcej.

George wypuścił kłąb dymu z fajki. Najwyraźniej nie był pewien, czy powinien mi uwierzyć. W jego pojęciu dobry nocny skok mógł przynieść kilka tysięcy, ale nie milionów.

– Nie lubię obrazów – powiedział w końcu. – Kiedyś bawiłem się w handel, ale większość to były bohomazy. Morskie widoczki i takie inne, ale nigdy nie były warte aż tyle. – Wzruszył ramionami, prawdopodobnie żałując jakiegoś dawnego skoku. – A ci dwaj faceci, myślisz, że im też chodziło o ten obraz?

– Oczywiście, że tak. Tak jak i sir Leonowi Buzzacottowi. I tak jak mojej siostrze-bliźniaczce. Połowa tego cholernego świata goni za tym obrazem, a ja chciałbym tylko znaleźć czysty olej napędowy. Masz może coś takiego?

Pokręcił głową, rozwiewając moje nadzieje na czyste paliwo.

– A więc mógłbyś być miliarderem, Johnny?

– Mówiłem ci. Ten obraz należy do mojej siostry. A teraz odczep się, George. Chcę popracować.

Odczepił się, a ja pracowałem nad kompresorem aż do piątej. Później wspiąłem się do biura Rity, gdzie czekała na mnie filiżanka herbaty. Zadzwoiłem do Charliego, ale jeszcze nie wrócił z Hertfordshire.

– Czy nie można go tam znaleźć pod jakimś numerem? – zapytałem Yvonne. Odparła, że owszem, tak, ale Charliego nigdy tam nie ma. Powiedziała, że on telefonuje do niej, kiedy chce, ale na wszelki wypadek dała mi ten numer. Głos

miała bardzo zmęczony. Poprosiłem, żeby przekazała Charliemu, że jestem w stoczni George'a Cullena. Obiecała, że to zrobi, ale jej głos brzmiał niezbyt przyjaźnie. Próbowałem się dodzwonić pod ten numer w Hertfordshire. Był to terenowy oddział pewnej firmy budowlanej. Jakiś niezbyt rozgarnięty człowiek powiedział, że nie widział Charliego Barratta już od dwóch dni. Odłożyłem słuchawkę.

– Co u diabła Charlie robi w Hertfordshire? – zapytałem Ritę zrezygowany. Nie oczekiwałem jednak odpowiedzi.

Dmuchięła na świeżo pomalowany paznokieć.

– Charlie to teraz ważna figura. Bogaty jak mało kto.

– A ja jestem papieżem. – Wiedziałem, że Charliemu nieźle się powodzi od kiedy osiedlił się na łodzi, ale podniosły ton głosu Rity sugerował lekką przesadę.

– Naprawdę – upierała się. – Ma wypożyczalnię sprzętu budowlanego. Wszystko czego zapragniesz: spychacze, dźwigi, ciężarówki, koparki, buldożery. – Wzruszyła ramionami. – Ma nawet ładny jacht.

– To znaczy żaglówkę?

Pokręciła głową.

– Wielki, oceaniczny jacht kabinowy. Na dziobie ma taki bajerek.

Próbowałem się domyśleć, co to może być za bajerek.

– Antenę radaru?

– Basenik – przypomniała sobie. – Wspaniały jest ten jacht. Kupił go w ubiegłym roku.

Charliemu najwyraźniej się powiodło. Kiedy wyjeżdżałem z Anglii, był właścicielem i kierowcą starej ciężarówki marki Commer, ale teraz, o ile Rita nie pomyliła go z kimś innym, jego interes musiał kwitnąć. Ucieszyłem się, bo jeśli ktokolwiek zasłużył na taki sukces, to właśnie Charlie. Zawsze wytrwale pracował, potrafił robić wiele rzeczy. Kiedy byliśmy jeszcze chłopcami, często pracowaliśmy razem w stoczni George'a Cullena i już w wieku czternastu lat Charlie zdradzał umiejętności dorosłego mężczyzny. Nauczyciele w szkole brali go naturalnie za tępego chłopka, ale Charlie był zbyt inteligentny by pozwolił komukolwiek z nich wtrącać się w jego sprawy i ambicje.

Dokończyłem herbatę, zszedłem na dół i rozebrałem układ zasilania paliwem w kompresorze. Do wieczora udało mi się go naprawić, był gotowy do pracy

następnego dnia. Charlie nazwałby to dobrą robotą, więc aby to uczcić, wlałem sobie do szklanki obrzydliwej whisky George'a, przyrządziłem kolację i zasnąłem.

Obudziłem się o pierwszej.

Na początku myślałem, że to odpływ opuścił kil „Słonecznika” na platformę i obudził mnie ten hałas. Jednak w małej smudze światła prześwitującej przez szczelinę dostrzegłem, która jest godzina i uświadomiłem sobie, że od najniższego odpływu upłynęło zaledwie dwadzieścia trzy minuty, a to znaczyło, że jacht stoi na platformie już od czterech godzin. Nasłuchiwałem. Dobiegał mnie odgłos fałów uderzających o maszt. W nocy na morzu najmniejszy dźwięk albo ruch jachtu natychmiast mnie budził, a teraz, w bezpiecznym doku George'a, coś uruchomiło ten system alarmowy. Sięgnąłem do włącznika światła i zamarłem.

Zaskrzypiała brama stoczni. Uświadomiłem sobie, że obudził mnie ten sam skrzyp nie naoliwionych zawiasów. Ten dźwięk zawsze stawiał mnie na nogi, nawet w dzień. Chciałem być tu sam i kiedy tylko skrzypiały zawiasy, upewniałem się na wszelki wypadek, że gość nie jest jakąś nie chcianą postacią z mojej przeszłości. Teraz, w głębi nocy, ten ostrzegawczy dźwięk mnie obudził. Nie zapalałem światła w kabynie, tylko stoczyłem się z koi i wciągnąłem dzinsy. Nie zamykałem na noc wejścia do kabiny, więc teraz bezgłośnie przemknąłem do kokpitu. Stąd dokładnie mogłem obserwować pomost.

Na teren stoczni George'a powoli wjeżdżała czarna furgonetka na wygaszonych światłach. Nie ruszałem się. Równie dobrze mogli to być jacyś kolesie George'a, którzy mieli pozwolenie, by korzystać z magazynu. Prawdopodobnie ciężarówka była wyładowana skradzionymi rzeczami. Niepokoiło mnie tylko to, że George o niczym nie wspominał. Zwykle kiedy zbliżał się jakiś transport, mówił mi o tym, żebym się nie niepokoił nocnym hałasem.

Furgonetka stanęła. Silnik zamarł.

Zdjąłem specjalny bosak z zaczepu.

Przednie drzwi otworzyły się po cichu. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn. George zawsze zostawiał włączoną małą lampę przed biurem i w jej mdłym świetle ujrzałem, że jeden z nocnych gości jest duży i łysy, zaś drugi szczupły i ma władczy wyraz twarzy i ciemne włosy. Obok furgonetki stali Garrard i Peel.

Patrzyli na platformę, nad którą sterczały maszty „Słonecznika”. Ale jak u diabła mnie znaleźli? To na pewno sprawka George’a. Bez wątpienia miał wobec kogoś dług, który spłacił zdradzając miejsce mojego pobytu. Obiecałem sobie, że kiedy tylko nadarzy się okazja, skopię mu ten gruby brzuch, aż spuchnie mu jeszcze bardziej. Sam byłem winny, bo chyba nie należało wspominać George’owi, że obraz jest wart przynajmniej dwadzieścia milionów funtów. Zapewne chciwość wzięła u George’a górę nad przywiązaniem do lorda.

Gdybym spróbował wspiąć się na pomost, intruzi zauważyliby mnie. Nie chciałem, żeby mnie spostrzegli. Sądzili, że spałem jak zabity, więc nie powinienem wyprowadzać ich z błędu. Zerknąłem w stronę ciemnej kabiny „Słonecznika” i zastanowiłem się, czy zdołam jeszcze skoczyć po swój żeglarski nóż, ale wiedziałem, że nie mogę sobie pozwolić na stratę nawet jednej sekundy.

Wahanie wpędziłoby mnie w pułapkę. Dwaj intruzi już zmierzali po cichu w stronę jachtu, więc przeskoczyłem rufę i opuściłem się na platformę. Poda mną ziała czerń wody. Opuszczając się ponownie, tym razem w czarną, brudną i zimną jak diabli wodę, usłyszałem zbliżające się kroki. Zadrzałem i odepchnąłem się. Kierowałem się w stronę jednego z obskurnych kutrów rybackich na końcu doku. Obciążony bosak ciągnął mnie pod wodę, ale nie miałem wiele do przepłynięcia, a siła, z którą odepchnąłem się od platformy, niemal doniosła mnie do ściany doku, gdzie mogłem chwycić się zardzewiałego sworznia. Odepchnąłem się ponownie, tym razem kryjąc się w nieprzeniknionych ciemnościach między kutrem a ścianą.

W doku błysnął snop światła latarki i prześliznąwszy się po wodzie, zatrzymał się na „Słoneczniku”. Światło przez chwilę migotało, po czym zgasło. Parłem do przodu, chowając się pod grubymi oponami, które służyły George’owi jako zde-rzaki. Musiałem obejść róg doku, gdyż po drugiej stronie znajdowała się drabinka, po której mogłem wejść na pomost.

Usłyszałem, jak jeden z nich zeskakuje na pokład „Słonecznika”. Znow pojawiło się światło latarki. Nie kryli się już, ale ptaszek zdołał im się wymknąć i planował własny atak. Spieszyłem się, bo nie chciałem dawać im zbyt dużo czasu na przeszukiwanie jachtu, a tym samym zniszczenie mojej pracy przy szafkach. Minąłem kuter, sięgnąłem do liny biegnącej od jego dziobu i okrążywszy róg,

wpadłem w prąd odpływu. Przez chwilę obawiałem się, że ten ostatni, wąty zryw wody poniesie mnie ku morzu, ale wyrzuciłem bosak i zdołałem zaczepić go o jeden ze szczebli drabiny. Uderzył głucho o metal, ale dwaj intruzi robili sporo hałasu, więc mnie nie usłyszeli. Rozmawiali. Obawiałem się, że za chwilę usłyszę trzask pękającego drewna, kiedy zaczną przeszukiwać wykończoną do połowy kabinę „Słonecznika”, ale na razie rozlegał się tylko szmer głosów.

Wspiąłem się po szczeblach zardzewiałej drabiny. Po głowie prześliznął mi się snop światła latarki, zupełnie jak światło latarni morskiej. Zamarłem.

– Drań uciekł – doszedł mnie znany głos Garrarda. Słyszałem, że zaklął wychodząc na pomost. – Sprawdź biuro.

Usłyszałem, jak Peel szarpie drzwi do biura, ale były zamknięte i łysy nie próbował sforsować ich siłą. Latarka znów zaczęła omiatać teren stoczni. Wspiąłem się na szczyt drabiny, odczekałem, aż napastnik skierował światło na zaśmiecony kąt za magazynem, po czym przetoczyłem się w cień jednej z wielkich stert złomu, których w stoczni George’a było pełno.

Lepiej byłoby, gdyby dwaj mężczyźni zostali na pokładzie „Słonecznika”, ponieważ wtedy stojąc na pomoście znajdowałbym się wyżej od nich. Rozważałem możliwość złapania ich tam w pułapkę i wymuszenia od nich za pomocą bosaka odpowiedzi na kilka pytań. Ale teraz obaj buszowali po stoczni. Pomyślałem, że jeśli będę siedział cicho, może zaprzestaną poszukiwań i zostawią mnie w spokoju. Nie chodzi o to, że bałem się walki, ale nie ma sensu stawać przeciw silniejszemu, o ile nie jest to konieczne. Siedziałem więc cicho jak mysz pod miotłą.

Garrard został przy „Słoneczniku” i mówił Peelowi, gdzie powinien szukać. Łysy mężczyzna miotał się bezskutecznie, a Garrard stał bez ruchu na pomoście przy jachcie. I właśnie z tamtego miejsca dojrzał linę, którą przywiązałem „Słonecznika” do sworznia w ścianie warsztatu.

Wyjął małą latarkę i w jej świetle obejrzał moją skomplikowaną konstrukcję z lin, po czym sięgnął wzdłuż naprężonej liny, aż do ściany warsztatu. Podszedł tam i dotknął napiętej liny. Zauważył, że kiedy ją nacisnął, maszt „Słonecznika” pochyłał się w jego kierunku. Znów nacisnął linę. Wiedziałem, co knuje w swym

wrednym mózgu. Bez tego zabezpieczenia jacht znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie. Spoczywał na długim, głębokim kilu i mimo że ważył kilka dobrych ton, niewiele trzeba by wtedy, żeby go przewrócić. Odplyw osiągnął właśnie swój najniższy poziom i jednym dobrym pchnięciem można by przewrócić łajbę, która upadłaby w płytką wodę osiem stóp poniżej platformy. Złamałby się maszt i Bóg jeden wie, co jeszcze mogłoby się zdarzyć. Garrard zerwał moją wywieszkę ostrzegającą, by nie dotykać liny, i podarł ją na strzępy. Czekałem w napięciu, gotów rzucić w niego bosakiem, ale zamiast wyciągnąć nóż i przeciąć linę, on zapalił papierosa i oparł się o ścianę warsztatu. Wyglądało na to, że nie ma zamiaru niszczyć „Słonecznika”, podobnie jak nie miał zamiaru go przeszukiwać. Najwyraźniej ci dwaj mieli dzisiejszej nocy jeden cel: odnaleźć mnie.

– Nie ma tego palanta. – Peel ukazał się w świetle lampy.

Przez chwilę rozmawiali przyciszonymi głosami, zbyt cichymi, bym cokolwiek usłyszał. Jeszcze raz omietli latarkami teren stoczni, a promienie prześliznęły się za ledwie o włos nad moją głową, ale na szczęście żaden z nich nie spojrział na niską kupkę żelastwa, za którą się skrywałem. Poświecili jeszcze na łodzie w przystani, ale chyba stracili nadzieję, że mnie odnajdą.

– Przyrowadź furgonetkę – polecił Garrard.

Peel zapalił silnik samochodu i włączył światła. W silnym świetle ujrzałem, że Garrard miał na sobie ten sam strój, co poprzednio: spodnie do jazdy konnej, kamizelkę i tweedową marynarkę. Ujrzałem też, że prawą rękę ma zabandażowaną, to pewnie skutek rany zadanej bosakiem. Wyglądał na jednego z tych mężczyzn, których niegdyś dobrze znałem: głośno mówiący, pewni siebie, zawsze można ich było spotkać na wyścigach konnych. Niemal zawsze znali jakiegoś chłopca stajenego, który pracował przy mało znanym koniu, na którego warto było postawić. Tacy mężczyźni potrafili przejrzeć człowieka na wylot i zawsze długo pamiętali urazy. Można z nimi spędzić wieczór, ale nie dłużej.

Peel wrzucił bieg. Bandaż na prawej ręce Garrarda nie przeszkadzał mu, ponieważ niemal zupełnie bez wysiłku wyjął nóż i sięgnął do liny przytrzymującej „Słonecznika”. Nóż musiał być ostry jak brzytwa, gdyż przeciął półcalową linę bez najmniejszego wysiłku.

Znów zadrzałem.

W świetle reflektorów furgonetki dojrzałem jednak, że „Słonecznik” się nie poruszył. Jacht był nieco pochylony w stronę doku, co dawało mi pewien margines bezpieczeństwa, ale i tak moje serce trzepotało, jak mokry żagiel na wietrze. Garrard obserwował jacht i chyba spodziewał się, że za chwilę łajba zwali się w czarną przepaść, ale stała bez ruchu. Szczupły mężczyzna zdusił prawym butem niedopałek papierosa, otworzył drzwi od strony pasażera i wszedł. Furgonetka odjechała.

Czekałem. Samochód zniknął za warszatem. Usłyszałem skrzyp otwieranej bramy, potem ryk silnika i trzask zamykanych wrót do stoczni. Nasłuchiwałem, jak ciężarówka odjeżdża ulicą, zatrzymuje się na skrzyżowaniu, po czym przyspiesza.

Cisza.

Wiatr miotał liną po ziemi, ale „Słonecznik”, mój kochany „Słonecznik” stał prosto i pewnie.

Podniosłem się powoli. Zmarzłem na kość. Nie miałem na sobie nic poza wilgotnymi džinsami i mięśnie stwardniały mi jak drewno. Zdjąłem mokre spodnie, podszedłem do pomostu i wrzuciłem je do kokpitu. Nie miałem czasu, by się przejmować nagością, najważniejsze, by złapać tę latającą linę i ponownie ją przywiązać, a to – wiedziałem na pewno – wymaga trochę wysiłku.

Linę przecięto, więc potrzebowałem jeszcze kawałka, by związać oba końce. W stoczni George’a leżała jakaś lina, ale nie ufałem jej. Zamiast tego, ostrożnie, by nie spowodować przechyłu, opuściłem się do kokpitu „Słonecznika”. W schowku miałem kilka zapasowych zwojów. Wyciągnąłem jeden z nich i rzuciłem na pomost. Wciąż uważając, by nie zachwiać równowagi jachtu, sięgnąłem bosakiem po linę.

Wiatr porwał jej koniec na ciemne wody doku. Sięgnąłem po niego bosakiem, ale ołowiane obciążenie na końcu sprawiło, że nie nadawał się do tak delikatnego zadania. Odłożyłem go na miejsce i wybrałem inny, nie obciążony. Teraz poszło mi szybko i już po chwili chwyciłem linę i przyciągnąłem do siebie. Trzymałem ją mocno, wychodząc na pomost.

Pięć minut zajęło mi odplątanie liny z want, gdzie zamotał ją wiatr. Podmuchy wiatru osuszyły mnie podczas tej pracy, ale wciąż byłem zmarznięty na kość.

Związałem linę z zapasowym zwojem. Wolny koniec przewlokłem przez

kółko trzpienia i powróciwszy do węzła mocno ją naciągnąłem i zawiązałem. Powtórzyłem całą operację, by wszystko było pewne i odetchnąłem. „Słonecznik” znów był bezpieczny.

– Cwana bestia – odezwał się Trevor Garrard.

Odwróciłem się.

Stał nie więcej, niż pięć kroków ode mnie. W zabandażowanej ręce trzymał swobodnie nóż, ale bardziej od długiego ostrza zaniepokoił mnie wyraz jego twarzy oświetlonej lampą przed biurkiem George’a. Był pewny siebie jak mało kto. Cokolwiek by się miało zdarzyć, a musiało się zaraz wydarzyć coś okropnego, ten facet się nie bał.

– Ale nie tak cwana, jak się jej wydaje – ciągnął drwiącym głosem. – Wiedziałem, że zabezpieczysz łódź, gdy tylko odjedziemy, wystarczyło zatem zaczekać w stocznii. – Uśmiechnął się w uznaniu dla własnej inteligencji, po czym skłonił mi się drwiąco. – Dobry wieczór, milordzie.

Nie odzywałem się. Stojąc nago czułem się zupełnie bezbronny. Nie miałem broni, a chłodna zarozumiałość tego mężczyzny bardzo mnie zaniepokoiła. Co prawda uśmiechał się do mnie, ale oczy zdradzały dzikość człowieka, który nie znał litości ani wyrzutów sumienia. Człowieka zgorzkniałego, wypadłego z łask i mściwego. Cofnąłem się przed nim, ale nie mogłem uciekać, chyba że do rzeki, lecz tę drogę ucieczki odcinał mi Garrard.

Cofałem się do rogu warsztatu i wtedy usłyszałem ponowny skrzyp otwieranej frontowej bramy.

– To wraca Peel – poinformował mnie Garrard. – Jeszcze dobrze nie poznał pan Peela, prawda? Za chwilę przedstawię was sobie.

Prawą stopą zawadziłem o jakiś kawałek żelastwa. Pochyliłem się szybko i podniosłem rdzewiejący kawałek metalu wygięty pod kątem ostrym, o długości około dwóch stóp. Ta broń dodała mi otuchy, ale na Garrardzie najwyraźniej nie zrobiła wrażenia.

– Peel! – krzyknął.

– Tu jestem, panie Garrard.

– Znajdź jakiś kawał brezentu. – Garrard wydawał rozkazy, jakby wciąż był w wojsku. Spojrzał na mnie. – Peel nie jest bynajmniej najzdolniejszym produktem państwowego szkolnictwa, ale ma ogromną zaletę w postaci potężnej siły mięśni.

Kiedys był zawodowym zapaśnikiem. Jeśli zaatakuję mnie pan tym kawałem żelaza, milordzie, będę zmuszony pana skrzywdzić i to raczej dość poważnie.

– Nie mam tego obrazu – powiedziałem, chwytając się nadziei, że zaprzeczenie powstrzyma go choć przez chwilę.

– Oczywiście, że go pan nie ma. Moim zadaniem po prostu jest pilnować, by nie dostał go pan z powrotem.

Był tak bezczelnie pewny siebie, że zbił mnie z tropu. Dlaczego był tak pewny, że nie mam obrazu? Z całą pewnością podejrzewał mnie, kiedy przeszukiwał „Słonecznika”, ale teraz nawet nie pofatygował się do kabiny. Próbowałem dojrzeć odpowiedź we mgle i nagle przeszył mnie strach.

– Pan ma ten obraz? – zapytałem go.

Roześmiał się, ale nic nie powiedział.

– Wie pan, kto go ma? – nie dawałem za wygraną. Nie spodziewałem się teraz odpowiedzi. Po prostu starałem się zająć go rozmową i czekałem na okazję, by zaatakować. Trzymałem żelazo nisko, jak nóż. Wydawało mi się, że udałoby mi się zadać jeden porządny cios, nim Garrard dobyłby swego ostrza. Asekurowałem się, ale to nie była moja pierwsza walka i wiedziałem, że te kilka chwil trzeba dokładnie zaplanować, a potem starannie wykonać. To jak pływanie w paskudną pogodę: im lepiej jest się przygotowanym, tym większe ma się szanse na przeżycie. Mieli nade mną przewagę liczebną, a Garrard wierzył bez zastrzeżeń w swe umiejętności, ale nadal miałem doskonałą okazję. Musiałem się tylko dostać do rzeki. Ponieważ byłem nagi, wiedziałem, że w pełnym ubraniu żaden z nich mnie nie dogoni. Tymczasem musiałem zachowywać się tak, jak mi kazali.

– Czy wie pan, kto ma obraz? – zapytałem ponownie.

– Powiedzmy, milordzie, że wiem, iż pan go nie ma.

– No to dlaczego u diabła przeszukiwał pan mój jacht? – Omal go wtedy nie uderzyłem, ale w oku Garrarda ujrzałem błysk czujności i to mnie powstrzymało.

– Przeszukałem pańską łódkę – wyjaśnił – by się przekonać, czy znajdę jakąś korespondencję. Ale najwyraźniej jeśli zamierza pan odzyskać obraz, ustalił pan wszystko telefonicznie.

– Oszalał pan! Niczego nie ustalałem!

– Ale negocjuje pan z Buzzacottem. Musimy położyć temu kres, milordzie.

– Mam! – Peel znalazł starą, brudną płachtę z brezentu, która połowicznie zabezpieczała kupkę piasku George’a. Przyciągnął szmatę bliżej i skrzywił się, gdy ujrzał moje gołe pośladki. Odwróciłem się do niego, ale wciąż patrzyłem za siebie, upewniając się, czy Garrard stoi w miejscu. Stał.

– Jego lordowska wysokość najwyraźniej drży z zimna – zawołał Garrard do swego kompana. – Zawiń go zatem. Ale żadnych śladów!

Peel zbliżył się do mnie. Rozwinął płachtę przed sobą, jak matador pelerynę. Byłem tak przerażony, że czułem gęsią skórkę na nagim ciele i słyszałem jak krew mi huczy w uszach, ale wciąż miałem nadzieję, że jeszcze uda mi się ich przechrzyć i dotrzeć do rzeki. Bałem się tego, co może się stać ze „Słonecznikiem”, ale przynajmniej ja uniknę wypatroszenia. Nagle dotarło do mnie to, co przed chwilą powiedział Garrard. Nie chciał żadnych śladów. A to przecież znaczyło, że z pewnością nie użyje noża.

– Spokojnie, mistrzuniu. – Peel mówił z szorstkim, wschodniolondyńskim akcentem. Stał ode mnie zaledwie o kilka kroków i rozpostarł płachtę szeroko, by mnie owinąć.

Odwróciłem się i zamierzyłem na Garrarda. Zaatakowałem z krzykiem. Nóż w zabandażowanej dłoni wyglądał jak błysk odbity w lustrzanej tafli. Zamierzałem uderzyć go w bark, a potem dźgnąć zakrzywionym, zardzewiałym prętem prosto w brzuch. Wyglądał na zastygłego z zaskoczenia moim niespodziewanym atakiem i przez chwilę poczułem gwałtowną szaloną radość z rychłego zwycięstwa. Cofnąłem pręt, by wykonać ostatnie pchniecie.

Garrard poruszył się. W jednej chwili przykucnął, a potem natychmiast odskoczył w bok jak zając. I wystawił po prostu nogę.

Potknąłem się o jego stopę i runąłem jak długi na bruk stoczni. Żelazny pręt poleciał z łoskotem na bok.

Wszystko to okazało się dla Garrarda dziecinnie prostą igraszką. Stał teraz nade mną z nożem.

– Czy wasza lordowska wysokość życzy sobie znowu nas rozbawić?

Zamachnąłem się na niego pięścią, lecz bez trudu uchylił się od ciosu. Sięgnął po mnie lewą ręką. Próbowałem ją odtrącić, ale wbił mi po prostu palce w szyję i nagle sparaliżował mnie ból. Chwytałem ustami powietrze, nie mogłem się poruszyć

i mogłem tylko leżeć z szeroko otwartymi oczyma, patrząc jak Peel owija mnie w brezent. Okrył mnie płachtą niczym czuła matka.

– No i proszę – powiedział uspokajająco. – Nie bolało, prawda?

Płonęły we mnie wściekłość i ból. Byłem wściekły, że tak łatwo dałem się upokorzyć i nagle przeraziłem się, ponieważ teraz byłem zdany tylko na ich łaskę. Ból ustąpił i odkryłem, że już mogę się poruszać, ale płótno spowijało mnie tak dokładnie, jak kaftan bezpieczeństwa.

– Obiecałem, że nie będzie żadnych śladów, milordzie, ale bynajmniej nie mówiłem, że nie stanie się panu krzywda. – Nade mną stał sardoniczny Garrard. – Zatem radzę panu współpracować z nami.

Patrzyłem na niego mściwie i nienawistnie, ale też zupełnie bezradnie. Dostałem nauczkę: ten Garrard był specjalistą od przemocy i zadawania bólu. Nauczył się tego w wojsku. Na wolności – poza kontrolą – był niczym dzikie, niebezpieczne zwierzę. Schował nóż do pochwy.

– Zawsze uważam, że należy dać jakieś wyjaśnienie, więc powiem tylko, że pańskim grzechem, milordzie, stało się odziedziczenie obrazu.

– Nie wiem, o czym pan u diabła mówi. – Prawda i desperacja przydały moim słowom siły, ale na Garrardzie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Nadszedł zatem czas, by zapłacił pan za swój grzech. Wszyscy kiedyś musimy to zrobić, prędzej czy później. Przyprowadź jego lordowską wysokość, Peel.

Peel podniósł mnie, niczym dziecko. Próbowałem uwolnić jedną rękę, by wbić mu palce w oczy, ale wyczuł co zamierzam i po prostu zgniótł moje owinięte w brezent ciało w niedźwiedzim uścisku. Przeniósł mnie przez całą stocznię i postawił na stopniu pomostu, gdzie uklęknął przy mnie, by udaremnić wszelkie próby uwolnienia się z przemoczonego i lgnącego do ciała materiału.

– Cel ćwiczenia – oznajmił pewny siebie Garrard – to sprawić, by wszystkim wydawało się, że utonął pan we śnie. – Wskoczył na pokład „Słonecznika” i w chwilę później wrócił na pomost z moim śpiworem. – Często dochodziłem do wniosku, milordzie, że ludzie z pewnym wykształceniem powinni częściej parać się zbrodnią. Czy nie przyszło panu nigdy do głowy, że sukcesy policji niemal

zawsze są skutkiem niskiego ilorazu inteligencji przestępcy? Zamierzam sprawić, że pańska śmierć będzie zupełnie poza podejrzeniami. Właśnie dlatego ja, a nie Peel, dowodzę tą akcją. Zgadza się, Peel?

– Tak, panie Garrard.

– Nie wiem, o czym u diabła pan mówi – powiedziałem. Strach spowodował, że wyszedł z tego raczej szloch. Nie przerażała mnie wizja walki, mogłem nawet sobie wyobrazić, że zostaję ranny, ale teraz wiedziałem, że umrę, a zawziętość tych dwóch typów mówiła mi, że nie zdołam uciec. Bałem się. Bałem się jak nigdy dotąd. – Na miłość boską... – zacząłem.

– Zamknij się, kurwa – odezwał się Garrard i po raz pierwszy usłyszałem w jego głosie prawdziwą dzikość. Do tej pory bawił się, grając przede mną światowca, ale teraz przystępował do realizacji swych właściwych planów. – Trzymaj go mocno, Peel.

Peel posłusznie ścisnął brezent. Szarpnąłem się nagle, próbując wyrwać się z jego objęć, ale to było beznadziejne. Spróbowałem jeszcze raz, wijąc się, szarpiąc i rzucając na wszystkie strony, ale wielki Peel trzymał mnie z zadziwiającą łatwością. Bez wątpienia na zapaśniczej macie dawał sobie radę z potężniejszymi ode mnie.

Miałem umrzeć, ale najpierw dane mi było obejrzeć upadek „Słonecznika”. Garrard powoli rozplątywał węzeł liny, która trzymała jacht przy pomoście. Tym razem nie przecinał jej, ponieważ cięcie wzbudziłoby podejrzenia. A tak miało wyglądać, jakby lina sama się rozwiązała, „Słonecznik” się przewrócił, a ja utknąłem w pułapce zatopionej kabiny.

– Na miłość boską, Garrard! – krzyknąłem. – Nie mam pojęcia, o co u diabła w tym wszystkim chodzi!

Garrard nie zwrócił na mnie uwagi, ale jego wielki kompan wydawał się naprawdę poruszony moim zdenerwowaniem.

– Uspokój się, mistrzuniu. – Poklepał mnie po ramieniu. – Całe to wydzieranie się nic tu nie pomoże. – Zachowywał się jak miły tatuś uspokajający nerwowe dziecko u dentysty.

– Na miłość boską! – Strach utknął mi w gardle, niczym wielka kula. Zajrzałem śmierci w oczy i byłem bezbronny. Płakałem i wstydziłem się tego płaczu. Jednocześnie próbowałem się jakoś wywinąć z krępującego mnie brezentu.

– Uspokój się, mistrzuniu – odezwał się ponownie Peel. – To nie będzie długo trwało. Mam poprosić pana Garrarda o szluga?

Garrard rozwiązał linę i teraz szedł z nią wzdłuż jednej ze ścian doku, w stronę rzeki. Kiedy zacznie ciągnąć, będzie odsuwał „Słonecznika” od tylnej ściany doku.

– Nie! – krzyknąłem.

– W porządku. – Peel najwyraźniej bardzo się o mnie martwił. – Na pewno nie chce pan szluga, mistrzuniu?

– Nie!

Krzyk był rozpaczliwy.

„Słonecznik” poruszył się.

Garrard musiał wyżyć wszystkie siły swego chudego ciała. Na początku nie mógł ruszyć wielkiego jachtu z miejsca, ale kiedy pociągał rytmicznie, kadłub zaczął poddawać się cal po calu. Usłyszałem, jak burty zgrzytają o ścianę doku. Próbowałem protestować. Prawie nic nie widziałem, ponieważ oczy zalały mi łzy wściekłości, ale jednak dostrzegłem top masztu kołyszący się na tle zachmurzonego nocnego nieba.

– Nie! – jęknąłem w proteście.

Czubek masztu przesunął się o całą stopę, ale tym razem nie wrócił do poprzedniej pozycji. „Słonecznik” chwiał się na krawędzi swego długiego kila. Garrard stęknął, naprężył się, i ujrzałem, jak maszt odsuwa się ode mnie.

– Nie! – Tym razem nie był to krzyk, lecz szloch. Wychyliłem się na krawędź doku, by zobaczyć, jak przewraca się mój jacht.

„Słonecznik” upadł. Sprężyny natychmiast osłabiły jego upadek, ale stalowy kadłub był za ciężki i usłyszałem, że z pokładu wyskakują kliny. Jacht nabierał szybkości. Garrard włączył latarkę.

Wręgi kadłuba uderzyły o brzeg platformy. Cały jacht podskoczył i zatrząsł się. Ujrzałem bryzgi w miejscu, gdzie maszt poszedł prosto pod wodę, a następnie usłyszałem zgrzyt i trzask łamanego drewna – to spadający kadłub wdusił wysoki maszt pod wodę w doku. Kil wciąż trzymał się platformy. Przez chwilę wydawało mi się, że cały kadłub się odwróci, ale wtedy kil wyrwał się z uciskających go klinów i stalowy jacht uderzył o taflę płytkiej wody. Mała fala wywołana tym upadkiem zakołysała kutrami zacumowanymi przy ścianie doku. Fala rozbiła się o ściany i powróciła. Spodziewałem się, że być może otworzy się kapsuła z tratwą

ratunkową, ale woda w doku huczała, bulgotała i uspokajała się, a kapsuła nie dawała znaku życia.

– Doskonale – powiedział Garrard radośnie, oświetlając latarką dok.

„Słonecznik” leżał na lewej burcie, do połowy zanurzony w czarnej wodzie. Maszt był złamany i zaplątany w sieć want i fałów. Z mojej pozycji wyglądało, że kadłub ucierpiał stosunkowo mało, ale wiedziałem, że reling i okrężnica lewej burty są prawdopodobnie zmiażdżone. Wraz z przypiływem „Słonecznik” będzie nabierał wody i w końcu zatonie.

– A teraz, milordzie – Garrard wrócił do mnie i do pilnującego mnie Peela – zostało nam tylko utopić pana.

– Mam go włożyć do spiwora? – zapytał Peel.

– Łatwiej będzie nim manewrować, jeśli najpierw zginie. Tak jak wszyscy inni. Spuść go tam, Peel i zrób mu porządny chrzest. Całkowite zanurzenie. – Garrard ironicznie zasalutował. – Dobranoc, milordzie.

– Na miłość boską! – Nie miałem już woli walki, nie czułem nic poza zwykłym, nieopanowanym przerażeniem. Naprawdę miałem umrzeć w tym nędznym doku i nawet nie wiedziałem dlaczego. – Na miłość boską! Niczego nie zrobiłem!

– Odziedziczył pan spadek, milordzie. To właśnie był pana błąd. – Garrard roześmiał się. – Był zadowolony z siebie i chyba miał po temu powody. Scenariusz mojej śmierci wymyślony przez niego był rzeczywiście błyskotliwy. Nie miałem pojęcia, jaką śmierć przeznaczył mi wcześniej, ale kiedy odkrył, w jakim stanie jest jacht, zaimprovizował ten wypadek, który nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Rankiem, kiedy Rita i George znajdują „Słonecznika”, przyjmą, że utonąłem, bo nie zabezpieczyłem jachtu.

Wciąż jednak nie rozumiałem, dlaczego ktoś tak bardzo chce mojej śmierci. Wiedziałem tylko, że ma to jakiś związek z van Goghkiem.

– Kto cię przysłał? – zapytałem.

Ale Garrard już ze mną skończył. Odsunął rękaw, by zerknąć na zegarek.

– Bierzmy się do roboty, Peel!

Peel zawahał się. Bynajmniej nie z nagłego przypiływu miłości do mnie, ale dlatego, że zastanawiał się, jak najlepiej opuścić moje owinięte w brezent ciało wzdłuż gołej ściany doku.

– Zwiąż go! – krzyknął zdenerwowany Garrard. – Na miłość boską, Peel, ruszże resztkami swojego cholernego mózgu!

– Ale nie mam liny.

– Niech mnie Bóg broni przed zatrudnianiem kiedykolwiek więcej kretynów.

– Garrard odszedł, by poszukać kawałka liny.

– Kto was nasłał? – zapytał Peel.

– Wie pan, mistrzuniu, że nie możemy tego powiedzieć. Na pewno nie chce pan szluga?

– Kto? – nie dawałem za wygraną.

– Jezu Chryste!

To nie była odpowiedź na moje pytanie, ale raczej objaw strachu. Peel, który do tej pory pochylał się nade mną, wyprostował się.

– Panie Garrard! Policja! – Właściwie nie musiał krzyczeć, ponieważ nagle w stoczni zrobiło się jasno od świateł. W ich strudze stał także Garrard, który próbował osłonić oczy przed światłem.

Głośno zaryczał silnik. Kiedy Peel wrócił furgonetką do stoczni, musiał zapomnieć o bramie, ponieważ nic nie słyszałem.

Do stoczni wjechał samochód. Garrard uskokczył w zaułek za magazynem. Krzyczałem. Kierowca chyba zaciągnął ręczny hamulec, bo tylne koła samochodu aż zarzuciło, a snop światła z reflektorów minął mnie.

Samochód zatrzymał się. Peel już mnie porzucił i biegł ile sił w nogach w cień za warsztatem. Wierciłem się na wszystkie strony, próbując się uwolnić z krępującego mnie brezentu. Usłyszałem, że Peel ucieka, a następnie ujrzałem, że Garrard biegnie przez środek stoczni w kierunku otwartej bramy.

– Zatrzymajcie go! – krzyknąłem.

Uwolniłem się z brezentu i stanąłem na nogi. Światła samochodu teraz mnie oślepiały. Ujrzałem sylwetkę wysokiego mężczyzny. Nie zważał na napastników, ale po prostu zbliżył się do mnie.

– Powinien pan ich zatrzymać – zaprotestowałem słabo.

– A niech mnie wszyscy diabli i ogień piekielny. – Mężczyzna zatrzymał się o kilka kroków ode mnie. Wciąż stał w pełnym blasku świateł, więc widziałem jego sylwetkę. Roześmiał się. – Popatrz no tylko, jak ty wyglądasz, chłopcze! Jesteś

goły, jak cię Pan Bóg stworzył, zupełnie jak wtedy, kiedy nakryłem cię w przyczepie Sally Salter. Tyle że wtedy chyba lepiej się bawiłeś niż teraz.

– O mój Boże. – To nie policja. To Charlie Barratt. Kolana zaczęły mi drżeć. Chwiałem się z wyczerpania, ulgi, szczęścia i wspomnień o niepohamowanym strachu. – O mój Boże.

– Witaj, Johnny. – Podbiegł, zauważywszy, że słaniam się na nogach.

– Nic mi nie jest – powiedziałem, ale nie była to prawda.

– Już w porządku, Johnny. – Objął mnie ręką, podtrzymał, po czym delikatnie oparł o ścianę warsztatu.

– O mój Boże. – Oczywiście miałem zaciśnięte, ale wciąż wyraźnie widziałem ciemną wodę, w której o mały włos nie zanurzono mnie głową w dół. Wyobraziłem sobie, jak brudna, zimna woda wdziera mi się do nosa i to uczucie było tak realistyczne, że zacząłem się dusić. Upadłem na kolana i zwymiotowałem. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek znajdę się tak blisko śmierci. Drżałem, trząłem się, płakałem i szlochałem.

Charlie przyniósł z samochodu koc i zarzucił mi go na ramiona. Próbowałem go przeprosić. Wstydziłem się. Płakałem z bezsilności. Drżałem, płakałem i wymiotowałem, a mimo to Charlie przykucnął obok mnie i przycisnął mi do ust butelkę.

– Wypij, Johnny.

To była szkocka. Zadławiłem się i splunąłem, po czym chwyciłem butelkę, by przystawić ją do ust.

– Przepraszam – powiedziałem. – O Boże, przepraszam.

– Zamknij się, cholerny głupku. Pij.

I nagle zdałem sobie sprawę, że wszystko będzie w porządku, ponieważ odnalazłem przyjaciela. A raczej to on mnie odnalazł. I ocalił.

Część 2

Dranie. – Charlie wyjął z bagażnika latarkę i w jej świetle patrzył na przewróconego „Słonecznika”. W jego głosie brzmiało niedowierzenie, niesmak i szok. Wydawało mi się, że Charlie jest do głębi poruszony tym, co zrobił Garrard z moim jachtem. – O Boże, co za dranie – powtórzył, po czym dodał z dawną pogodą ducha, bo jak zawsze zachował optymizm w nieszczęściu: – Ale nie martw się, Johnny. Naprawimy łódź! Mam tu kilku chłopaków i dźwig, zaledwie o rzut kamieniem stąd. Podniesiemy go, załadujemy na przyczepę i przewieziemy do mnie. Będzie jak nowy, co?

Byłem zbyt osłabiony, by odpowiadać. Wciąż drżałem i miałem za mało siły, by mu pomóc. A on tymczasem zeskoczył do doku i przywiązał linę do „Słonecznika”. – Przynajmniej będziemy mieli pewność, że nigdzie nie odpłynie! – krzyknął do mnie i sprawnie wdrapał się z powrotem na pomost. – Nie martw się, chłopie. Naprawimy go. Widywałem już gorsze rzeczy.

Charlie nic a nic się nie zmienił, tyle tylko, że lepiej mu się powodziło. Wciąż miał żywy uśmiech, te same zmierzwione włosy i wciąż wszystko robił dobrze. Był wielkim człowiekiem, ogromnie zdolnym i nie zważającym na żadne trudności, niekiedy aż do przesady. – To jeszcze nie koniec świata, Johnny – rzekł do mnie. – Wsiadaj do bryczki i jedziemy do domu.

Miał jaguara, prosto spod igły, z głębokimi skórzanymi siedzeniami i deską rozdzielczą jak w myśliwcu. Zaprotestowałem, że nie powinienem siadać na skórzanych siedzeniach w przemoczonych dżinsach, które Charlie wyłowił z doku, ale mój przyjaciel nawet nie chciał o tym słyszeć.

– Przecież siedzenia można oczyścić, durniu. Wsiadaj już.

Powiedział mi, że dzień wcześniej dzwonił do domu.

– Nie było ze mną kontaktu, rozumiesz, ale kiedy tylko Yvonne powiedziała, że tu jesteś, rzuciłem wszystko i przyjechałem.

– Mam cholerne szczęście, że przyjechałeś. – Drżałem i wciąż byłem w szoku, wciąż było mi wstyd, że Garrard i Peel tak mnie poniżyli.

– Zawsze mieliśmy szczęście, i ty i ja. – Charlie uśmiechnął się do mnie, po czym zadzwonił z samochodu i obudził swego brygadzystę. Kazał mu o świcie sprowadzić dźwig i platformę do Stoczni Cullena. Brygadzista najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, że obudzono go w środku nocy albo był do tego przyzwyczajony.

Charlie zapalił papierosa dla siebie i dla mnie. Moja fajka leżała gdzieś na dnie doku George'a Cullena, podobnie jak paszport, pieniądze i wszystkie inne rzeczy. Niech go diabli, tego George'a, tego zdrajcę, pomyślałem.

– Przypuszczam – odezwał się Charlie – że nie chcesz dzwonić na policję? – Podał mi jednak telefon, ale pokręciłem głową. Nie chodziło o to, że mam coś do ukrycia, lecz po doświadczeniach sprzed czterech lat nie chciałem mieć więcej z nią do czynienia. Chciałem po prostu odpłynąć. – No to wynośmy się stąd do diabła. – Charlie trzasnął drzwiami i włączył silnik. – Co ci dranie chcieli zrobić?

– Zamierzali mnie zabić. – Znów zacząłem drzeć, więc napiłem się jeszcze trochę whisky i zaciągnąłem się papierosem, podczas gdy samochód przetoczył się przez stocznię i odjechał z rykiem silnika. Nigdzie nie było śladu Garrarda, Peela ani ich ciemnej furgonetki.

– Opowiedz mi wszystko – polecił Charlie.

Przedstawiłem mu wszystko, co się wydarzyło. Zmiał w ustach okropne przeświadczenie, kiedy dowiedział się, że najprawdopodobniej zdrajcą musi być George Cullen, ale nie odezwał się więcej, aż do chwili, kiedy oznajmiłem mu, że zamach na mnie jest w jakiś sposób powiązany ze zniknięciem obrazu van Gogha.

– Ten cholerny obraz! – powiedział z niesmakiem.

– To dobre płótno – rzekłem niepewnie.

– Daj spokój, Johnny. To cholerny bohomasz, no nie? – Akcent z Devon był w głosie Charliego wciąż tak wyraźny, jak Mount Everest oglądany z podnóża Himalajów w pogodny dzień. – Widywałem lepsze kwiatki na kartkach imiennowych.

- Ale kartek nie wycenia się na kilka milionów. Konkretnie na dwadzieścia. To go zaskoczyło.
- Jezu Chryste. Mówisz poważnie?
- Dwadzieścia milionów. Właśnie tyle mi zaproponowano.
- Kto to zrobił?
- Buzzacott.

Gwizdnął cicho. Rozumiałem jego niedowierzenie. Charlie mógł zrozumieć, że kawałek ziemi może być wart dwadzieścia milionów, bo ziemia może przynieść dochody, ale obraz? Przez kilka minut prowadził w milczeniu. Wreszcie roześmiał się ironicznie.

– Ależ to wszystko pochrzanione, Johnny. Ile proponowano twojej matce? Cztery? Pięć?

– Cztery.

– A więc w ciągu czterech lat zdrożał o pięćset procent? Niech mnie jasna cholera, dlaczego ja nie prowadzę takiego interesu. Jutro sprzedam ciężarówkę i kupię sobie przybory do malowania. Mówię ci, Johnny, na tym cholernym świecie jest więcej forsy, niż zdrowego rozsądku. Żaden obraz nie może być wart dwudziestu milionów.

– Być może, ale ci dranie właśnie próbowali mnie za niego zabić.

– Czy oni myślą, że ty go masz? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie, ale wyglądali na zaniepokojonych, że mógłbym go zdobyć i sprzedać. – Przerwałem i uświadomiłem sobie, że to wszystko nie ma sensu. – Powiedzieli, że moim grzechem było odziedziczenie tego obrazu.

– Dranie – określił ich krótko i zapalił kolejnego papierosa. Charlie zawsze palił za dużo, ale on w ogóle przesadzał we wszystkim. Przypuszczałem, że kiedyś ta nadmierna uległość doprowadzi go do zguby, ale na razie, w mdłym świetle tablicy rozdzielczej, wyglądał zadziwiająco zdrowo i rześko.

Prowadził jak samobójca, ale zawsze miał ogromne szczęście, więc wątpiłem, czy dane mu jest zginać za kółkiem. Włączył ogrzewanie, by wygonić ze mnie zimno, po czym opowiedział mi o swojej firmie.

– Zajmuję się głównie podwykonawstwem przy budowie dróg, ale robię wszystko, co przynosi zysk. Mam dwa pola biwakowe w Kornwalii. Podrasowałem trochę te trzy odrapane domki na końcu wsi i sprzedałem je za kupę forsy

jakimś ludziom z Londynu. Oczywiście jestem po uszy w długach, ale kto dziś nie jest?

– Ja.

– Zawsze byłeś durniem – powiedział przyjaźnie. – Nie ma sensu ryzykować swoimi pieniędzmi, kiedy banki chcą ci pożyczyć własne. Półtora roku po twoim wyjeździe wziąłem okrągły milion i dalej pożyczam. W końcu skoro mam większe zyski, niż bank odsetki, to dlaczego u diabła nie? – Wyjechaliśmy teraz na proste drogi Devon i jaguar Charliego pędził między wąskimi żywopłotami na poboczach, niczym kula w lufie strzelby. Raz czy dwa w ostrych światłach pojawiały się oszołomione króliki, które Charlie po prostu rozjeżdżał. Wychował się na wsi i nie rozczulał nad zwierzętami.

– Nadal masz psy? – zapytałem go.

– Oczywiście. – Charlie uwielbiał polowania z terierami. Właśnie w ten sposób go poznałem. Miał wtedy osiem lat, a ja siedem. Przyłapałem go, jak kłusował na ziemi mego ojca. Od tamtego czasu uczył mnie różnych sztuczek.

Rozległo się puknięcie, zginął kolejny królik. Skrzywiłem się. Charlie zmarszczył czoło, ale nie z powodu królika.

– Wiem, że zmarła twoja matka.

– I zdążyła mnie przekląć przed śmiercią.

Roześmiał się.

– Ależ to było babsko, nie?

– Nigdy cię nie lubiła.

– Z wzajemnością. A co z Georginą?

– Bez zmian.

– Biedna dziewczyna – westchnął. Charlie zawsze był miły dla Georginy, choć ta uprzejmość nie obejmowała już mojej drugiej siostry. Nazywał Elizabeth „gównianą lady” i zauważyłem, że teraz nie raczył nawet o nią zapytać. Zamiast tego, po chwili ciszy, uśmiechnął się w zadumie. – Zabawne, jak się o tym pomyśli.

– O czym?

– Nie wiem. – Przez chwilę milczał. Reflektory jasno oświetlały wysokie żywopłoty. Chwilami, gdy zjeżdżaliśmy ze wznesienia, światło prześlizgiwało się po łąkach. W tej pustej okolicy nie widać było żadnych świateł, choć na zachodzie od

chmur odbijała się poświata znad Plymouth. Tylko na morzu można zanurzyć się w prawdziwej ciemności, pomyślałem, w całkowitej, nieprzeniknionej, czarnej jak smoła nocy. Na łądzie wszystko jest wybrakowane, nawet noc.

Charlie podjął poprzednią myśl.

– Kiedy dorastałem, chodziłem patrzeć na twój dom i robił na mnie ogromne wrażenie. Kiedy byłem jeszcze pędrakiem, myślałem że w Stowey mieszka Bóg i prawie miałem rację. W tym domu mieszkał nasz lord, a my byliśmy tylko prostymi farmerami i nasz lord chyba nie słyszał nawet o naszym istnieniu. Ale popatrz teraz na nas. Mam więcej pieniędzy, niż ty całego dobytku.

– Zuch Charlie.

Uśmiechnął się.

– A teraz ty jesteś naszym lordem. – Mieszkańcy wioski zawsze nazywali mego ojca „naszym lordem”. Tak naprawdę nie lubili naszej rodziny, mieli zbyt wiele przykrych wspomnień z przeszłości, niekiedy sięgających aż pięćset lat wstecz, ale na swój sposób byli dumni, że w ich społeczności mieszkali książę i księżna Stowey.

Teraz „nasz lord” był bez grosza przy duszy, a syn wieśniaka wioził go jaguarem.

I mieszkał w domu wielkości połowy Stowey. Fasada domu mignęła mi w świetle reflektorów. Ujrzałem surową cegłę i wielkie tafle szkła. Charlie wcisnął jakiś guzik w samochodzie i otworzyły się potrójne drzwi garażu. Z budy zaszczeakał pies, lecz Charlie uciszył go głośnym poleceniem.

– To nawet niezły domek – powiedział zaparkowawszy samochód. – Parę pensów mnie kosztował.

Była czwarta nad ranem, ale Charlie nawet nie próbował zachowywać się cicho. Wpadł do domu, włączał światła, trząsał drzwiami. Poszedł do pralni i przyniósł mi suche dzinsy i sweter. Przebrałem się w kuchni, gdzie na drzwiach lodówki wisiły dziecięce rysunki przybite magnesami.

– Ile masz teraz dzieci? – zapytałem.

– Wciąż dwoje, Johnny’ego i Sheilę. – Mimo protestów żony, która mnie nie lubiła, Charlie nazwał syna na moją cześć. Sheila nosiła imię po matce Charliego. Zdałem sobie sprawę, że Yvonne nie ma chyba zbyt wiele do powiedzenia w tej rodzinie.

Charlie wyjął lód i wrzucił go do dwóch szklanek. Już kiedy byliśmy nastolatkami, lubił pić drinki przyrządzone na amerykańską modłę. Dla Charliego był to szczyt wyrafinowania i pod tym względem się nie zmienił. Uśmiechnął się, grzechocząc lodem w mojej szklance, po czym napełnił ją po brzegi szkocką whisky.

– Na zdrowie, Johnny.

– Na zdrowie, Charlie.

Dobrze było mi w tym domu. Stuknęliśmy się szklankami i wypiliśmy. Gdzieś na górze zapłakało dziecko. Po chwili usłyszałem kroki. To Yvonne poszła je uspokoić. Musiała słyszeć, że Charlie wrócił, ale nie zeszła na dół.

– Chodź, Johnny, pogadamy sobie spokojnie. – Charlie zaprowadził mnie do pokoju dziennego. Nim włączył światło, ujrzałem, że okna wychodzą na łąki opadające ku jednej z zatoczek Salcombe; po chwili światło żarówki nie pozwoliło mi dostrzec nic więcej. Charlie postawił butelkę z whisky na stole, posadził mnie w skórzanym fotelu i nalegał, bym jeszcze raz zrelacjonował mu nocne wydarzenia.

– Już ci opowiadałem – zaprotestowałem.

– Ale chcę to usłyszeć jeszcze raz, Johnny.

No i opowiedziałem mu wszystko po raz drugi. I wciąż nic mi się w tej historii nie zgadzało.

Obudziłem się w południe. Słońce świeciło przez żółte zasłony. Na stole przy łóżku stał termos z kawą, dzbanek soku pomarańczowego i paczka papierosów. Moje dzinsy, świeżo wyprane i wyprasowane, leżały złożone na fotelu wraz z czystą koszulą. Gdzieś w domu grało radio.

Umyłem się, ogoliłem maszynką, którą ktoś zostawił dla mnie w łazience i zszedłem do kuchni. Yvonne łuskała groch do dużej miski. Była wysoką, szczupłą kobietą o długich, ciemnych włosach i bardzo bladej cerze. Wychowała się w wiosce położonej przy Stowey i kiedy Charlie się z nią zenił, była tam najładniejszą dziewczyną. Wciąż mogła się podobać, ale teraz jej delikatną urodę mąciło napięcie widoczne w jej ruchach i zachowaniu. Nie była zadowolona z mojego przyjazdu.

– Znowu masz kłopoty, Johnny? – Dziwnie brzmiało w jej ustach „Johnny”, ale Charlie i ja bardzo długo oduczaliśmy ją odruchu tytułowania mnie „milordem”.

– Ale wcale nie z mojej winy, Yvonne.
– Zawsze jesteś niewinny, prawda? Chcesz kawy?
– Już sobie wlałem. – Uniosłem kubek, w którym miałem kawę z termosu. – Ładny dom, Yvonne.

– Jemu się podoba. Sam go zbudował – powiedziała zniechęcona.
– Tobie się nie podoba?
– Podobało mi się życie w wiosce. Tęsknię za przyjaciółmi. – Wyrzuciła puste strąki do zlewu, puściła wodę i włączyła młynek siekający śmieci spływające do kanalizacji. Maszyna cięta odpadki, a Yvonne patrzyła przez szeroką tafłę szkła na pływające w dali jachty. – Ale jemu się tu podoba – powiedziała, kiedy maszyna skończyła pracę. Potem rzuciła mi cyniczne spojrzenie. – Wiesz, on lubi obnosić się ze swoim majątkiem.

– A dlaczego miałby tego nie lubić?
– To nie nasze pieniądze, tylko z banku. – Pociągnęła nosem. – Prawdopodobnie zostaniesz u nas na kilka dni?
– Nie zastanawiałem się nad tym.
– Zostaniesz, jeśli Charlie zechce. On dostaje wszystko, czego zapragnie. Masz teraz do niego jechać.

– Dokąd?
– Do firmy. To przy drodze do Exeter. Musisz trafić, bo nad bramą jest ogromny napis. Kazał ci wziąć dzipa.

Dżip okazał się potężnym japońskim samochodem z napędem na cztery koła, Charlie na pewno nazywał go dobrym wózkiem. Wyjechałem nim na drogę do Exeter i dotarłem na ogromny teren jego firmy. Na platformie ciężarówki stał już „Słonecznik”. Jacht ustawiono odpowiednio i zabezpieczono drewnianymi klinami. Widać było, że tego ranka pracował nad tym ktoś bardzo sprawny i uważny.

– Nie mogłem zasnąć – pozdrowił mnie Charlie z kokpitu. – Pojechałem więc do stoczni George’a i sam przywiozłem ci łódkę. Dobra robota, co? – pogratulował sam sobie i podał mi zapalonego papierosa. – Wyglądasz dużo lepiej.

– I czuję się lepiej. – Wspiąłem się na drabinę opartą o prawą burtę „Słonecznika”.

– Jezu – westchnąłem gorzko i zakląłem pod nosem. Poręcz na lewej burcie była zupełnie zniszczona, z masztu pozostał kikut, a w czasie upadku wyrwał się

kawał pokładu. Przy prawej burcie wypadły deski i teraz ziały tam dziury o średnicy dwóch stóp, najeżone ostrymi drzazgami. Pokład aż lepił się od szlamu. Tratwa ratunkowa musiała się uruchomić już po naszym odjeździe, bo teraz – porwana i pocięta przez liny dźwigu – leżała mokra i bez życia na pokładzie dziobowym. Zszedłem do kabiny, która śmierdziała jeszcze brudną, rzeczną wodą. Wszystko było przemoczone. Szafki z narzędziami w forpiku roztrzaskały się w drzazgi. Odnalazłem fajkę, paszport i pieniądze. Zagięły bosaki i boje. Niemal wszystko, co nie było przymocowane do pokładu, utonęło lub odpłynęło. Jacht był w opłakanym stanie.

– Uważasz, że to szkody? – zapytał Charlie beztrasko. – To głupstwo! Każę, żeby do jutra osuszonoabinę, a potem wpuścimy tam paru fachowców, żeby wszystko naprawili. Kadłub porządnie wypiasujemy, nie tak po partacku jak robięś do tej pory, pomalujemy i za kilka tygodni ustawimy nowy maszt. Żagle już się suszą u mnie w malarni.

– Nie mam pieniędzy na nowy maszt – powiedziałem gorzko.

– I pewnie nie masz też pieniędzy, by postawić mi kolację, ale może nie będziesz musiał. Daj spokój, stary draniu, rozchmurz się!

– Charlie, mówię poważnie. Nie mogę sobie pozwolić na taki wydatek.

Zatrzymał się na szczycie drabiny.

– Po co jest przyjaźń, jeśli nie po to, by pomagać kumplom, co? Nie rób takiej zdziwionej miny, nie będziesz musiał za nic płacić. Zamówiłem już ten cholerny maszt. A teraz chodź, jestem głodny jak wilk.

Zawiózł nas do pubu, gdzie barmanki powitały go całusami. Znał tu wszystkich i o każdym potrafił coś powiedzieć. Pozdrowiał obecnych ręką, jak polityk podczas kampanii wyborczej, ale w końcu zaprowadził mnie do odosobnionego kąta, gdzie mogliśmy w spokoju porozmawiać.

– Kazałem im przygotować porządny stek i cynaderki – oznajmił siadając. – Musisz coś wrzucić na ruszt.

– No, to brzmi nieźle.

– Ale żadnych sałatek. – Wypił od razu pół kufła. – Yvonne je tylko te cholerne sałatki. Przeczytała jakiś artykuł o diecie. Jezu, mówię ci, mam żonę-królika. Powiedziała mi, że powinienem się pożegnać z piwem i wołowiną. Nic z tego. Zapowiedziałem jej, że w moim domu na stole ma być porządne jedzenie i żeby to sobie dobrze zapamiętała.

Uśmiechnąłem się.

– Jesteś szczęśliwy w małżeństwie, Charlie?

– Wiesz, jak to jest, Johnny. – Zapalił papierosa. – Babom ciągle czegoś brakuje, zgadzasz się? Dajesz im cały świat na tacy, a te zawsze się do czegoś przycepią. Ale Yvonne to dobra dziewczyna. – Wyznał to z oporem. – No i jest dobrą matką. Ja nie bywam za często w domu. Interesy.

– Co robisz w Hertfordshire?

Położył szelmowsko palec na ustach.

– Właściwie nie byłem w Hertfordshire, Johnny. W znacznie przyjemniejszym miejscu. – Roześmiał się i zmienił temat. – Dziś rano uciałem sobie pogawędkę z Georgem Cullenem.

– Mam nadzieję, że rozkwasisz mu gębę.

– Twierdzi, że nikomu nie mówił, gdzie jesteś. Wydaje mi się, że był szczery. Sam też się zdenerwował.

Nie przekonało mnie to.

– Oczywiście, że im powiedział! Wiedział, kto to był, o wszystkim mi opowiedział!

– Wiem. Mnie też mówił. – Charlie posmarował sobie rogała grubą warstwą masła. – Ale nie sądzę, że to George ich poinformował. Chyba cię po prostu znaleźli. W końcu co to za filozofia odszukać jacht na wybrzeżu Devon. Ile można szukać – w Plymouth, Yealm, Salcombe, Dartmouth, Torquay i Exeter? Nie tak długo, naprawdę, stary. Wydaje mi się, że po prostu miałeś pecha.

– Chcę, żeby to oni mieli pecha – powiedziałem w bezsilnej goryczy. – I chcę się dowiedzieć, co za drań ich na mnie nasłał i dlaczego.

Charlie oparł się i zmarszczył czoło.

– Naprawdę? – To było dziwne pytanie i zadał je jakimś zagadkowym tonem.

– Próbowali mnie zabić – wyjaśniłem mu z wściekłością. – I chcę wiedzieć, kto ich na mnie nasłał. – Do przedwczoraj guzik mnie obchodził obraz, jego los i ludzie, którzy go szukali, ale moje nocne upokorzenie wywołało we mnie jakies atawistyczne pragnienie zemsty.

Kiedy podano stek i cynaderki, zamilkliśmy. Charlie przyniósł jeszcze dwa piwa, po czym naładował mi na talerz cynaderek, ziemniaków, fasoli i sosu.

– Chodzi mi o to – rzekł – czy chcesz mieć dalej do czynienia z tym

cholernym obrazem?

– Niech mnie ręka boska broni.

– No to znikaj. Odpuść. – Wymierzył we mnie czubkiem noża. – Bo dopóki tu będziesz, będą cię tropić.

Patrzyłem przez okno.

– Elizabeth – odezwałem się cicho.

– Co z nią?

– Jeśli zginę – wyjaśniłem – nie będzie żadnych prawnych niejasności co do tego, kto jest właścicielem obrazu. No właśnie, Charlie! Nie rozumiesz? – Przerwałem. Właśnie próbowałem mu wmówić, że Elizabeth chce mnie zabić, żeby móc odziedziczyć obraz, ale chociaż to wyjaśnienie mnie przekonywało, nie mogłem uwierzyć, że moja siostra-bliźniaczka mogła być do tego zdolna.

– Na miłość boską! – zaprotestował Charlie z obrzydzeniem. – Ten obraz dawno zniknął, Johnny. Pewnie teraz leży w jakimś sejfie w Teksasie albo w szwajcarskim skarbcu.

– Czyżby? – zacząłem się głośno zastanawiać, po czym sam odpowiedziałem:

– Tak, chyba masz rację.

– Oczywiście, że tak! – powiedział Charlie z dużą dozą zdrowego rozsądku. – A więc odpuść stąd i zapomnij o całej tej cholernej sprawie. Ale najpierw zjedz cynadereki.

Oparłem się.

– Właśnie dowiedziałem się czegoś o sobie.

– Nie lubisz steku i cynaderek?

– Wkurzam się, kiedy ktoś nastaje na moje życie.

Charlie odłożył sztucce.

– Posłuchaj, Johnny. Jeśli to ci pomoże, popytam o tego Garrarda. Znajdę go dla ciebie i obedrę żywcem ze skóry. Ale nie kręć się tu i nie wystawiaj na cel. Wracaj na morze!

To była dobra rada, ale wciąż cierpiałem, wspominając ze wstydem poprzednią noc.

– Garrard powiedział, że upewnia się, iż nie dostanę obrazu. A to sugeruje, że płótno gdzieś tu musi być, Charlie...

– Oczywiście, że go nie ma. Rusz głową, Johnny. Cztery lata temu ktoś musiał wywieźć ten obraz. Garrard po prostu blefował. Ale obiecuję ci, że go odnajdę i powiem ci, kto go naraił. A ty wracaj na morze.

– Pomogę ci go znaleźć.

– Nie – rzekł stanowczo. – Miałeś już dość kłopotów, Johnny. Zostaw to fachowcom.

Uśmiechnąłem się.

– Ty jesteś fachowcem?

– Dość już o tej sprawie – powiedział pochmurnie. – Nie pakuj się w to, Johnny. Musisz po prostu wrócić na morze.

– Muszę też zdobyć jakiś transport.

– Transport? – zapytał podejrzliwie.

– Jakieś kółka, Charlie. Rozumiesz, dziewczyna.

Ten powód zrozumiał od razu. Roześmiał się.

– Co to za jedna?

– Po prostu dziewczyna. – Myślałem o zdolnej młodej kobiecie o ciemnych włosach i impulsywnym temperamencie. O dziewczynie, która miała włoskie nazwisko. – Kłopot w tym – rzekłem – że ona mieszka ładny kawałek drogi stąd.

– A ciebie przypiliło. Nie ma sprawy. – Charlie rozłożył ręce, dając do zrozumienia, że wszystkie moje problemy jest w stanie rozwiązać jednym pstryknięciem palcami. – Bierz dzipa i ruszaj do niej!

– Naprawdę się zgadzasz?

– Jesteś moim kumplem. Co jest moje, to i twoje, a nic twojego nie tknąłbym za żadne skarby świata. A teraz wcinaj te cynaderki.

Zabrałem się do jedzenia

Comerton Castle, czyli wiejska posiadłość sir Leona Buzzacotta, nie przypominała ani zamku, ani domu. Było to osiemnastowieczne monstrum, rezydencja, która miała raczej eksponować majątek właściciela, niż służyć mu za dom. Comerton pełne wieżyczek, skrzydeł, ozdóbek, portyków i kolumn, słowem wybudowane z przepychem, niegdyś należało do książęcej rodziny, ale tak jak w naszym przypadku komornicy nachodzili ich dopóty, dopóki nie zmusili do sprzedaży domu. Buzzacott kupił go przed dziesięcioma laty. Zastanawiałem się, co robił z tyloma

pokojami, podobno mógł mieszkać każdego dnia w innym przez cały rok. Ale nie zamierzałem tego sprawdzać, ponieważ nie miałem czego szukać w głównym budynku. Kierowałem się za to w stronę wielkiej oranżerii wybudowanej obok ogrodowych tarasów poniżej południowego frontonu.

Sama oranżeria przypominała rozmiarami Stowey. Był to długi, parterowy budynek ozdobiony białą sztukaterią. Niedgdyś mieścił szklarnię, letnią altanę, i był arkadyjską ucieczką dla księcia i jego gości. Teraz za astronomiczną sumę sir Leon przekształcił go w galerię sztuki. Wielu ludzi krytykowało ten przybytek sztuki, twierdząc, że leży zbyt daleko od dużych miast i jest wyłącznie snobistycznym przedsięwzięciem, które miało pomóc sir Leonowi w zdobyciu upragnionego tytułu szlacheckiego. Być może krytycy mieli rację, przynajmniej jeśli chodzi o to pierwsze, ponieważ na ogromnym parkingu zauważyłem zaledwie kilka samochodów.

Przy wejściu zapłaciłem za wstęp. Do właściwej galerii, którą umieszczono dwadzieścia stóp pod ziemią, zawiozły mnie ruchome schody. Całą tę pracę wykonano bez naruszenia starej konstrukcji oranżerii. Powietrze pod ziemią utrzymywano w odpowiedniej temperaturze i wilgotności. Automatyczne zasłony regulowały natężenie światła, wpadającego przez szklane kopuły i ogromne, wysokie okna, które po obniżeniu podłogi wyglądały jak okna w kościele.

Przy wejściu nie spytałem o Jennifer Pallavicini. Najpierw chciałem na własne oczy obejrzeć fantazję bogatego człowieka. Krytycy sir Leona nazywali go drugorzędym, brytyjskim Johnem Paulem Gettym. Twierdzili, że lepiej by się stało, gdyby ofiarował swą kolekcję jednej z dużych, londyńskich galerii. Mówili, że muzeum Buzzacotta to nikomu niepotrzebny, monstualny wybryk. Ale trzeba przyznać, że to wspaniałe miejsce. Widywałem zdjęcia galerii i czytałem w prasie o jej przedziwnej konstrukcji, ale nigdy tu nie byłem, więc nie doświadczyłem jeszcze niezwykłego uczucia spokoju, który panował w tych podziemnych pomieszczeniach. Właśnie owa cisza stała się powodem zarzutów, że sir Leon buduje świątynię sztuki, podczas gdy według najnowszych londyńskich trendów sztuka powinna być integralną częścią codziennego życia. Przypuszczam, że jeśli ktoś zapragnąłby pociąć płótno Rubensa na kawałki, równie dobrze uznano by to za doskonałą terapię, jak i nie oszczędzono krytyki. Na szczęście te obrazy znajdowały się daleko od Londynu.

Kolekcja nie była duża. Sir Leon starannie dobierał dzieła do swych zbiorów i kiedy już coś kupił, było to najwyższej klasy. Niewielka liczba obrazów pozwalała rozmieścić je tak, by jak najlepiej wyeksponować ich zalety. Zamiast tłoczyć się na ścianach, każdy obraz miał własną przestrzeń. Niekiedy, gdy porównanie pomagało wyjaśnić powiązania obrazu – znajdował się w sąsiedztwie innych płócien, ale większość dzieł wisiała w dumnej samotności. Obrazy umieszczono na ścianach galerii i otoczono suchą fosą. Goście wchodzili na małe balkony, z których można było podziwiać każde płótno. W galerii nie zauważyłem zwiedzających, co jeszcze bardziej potęgowało nastrój spokoju i odosobnienia. Na ścianach korytarzy prowadzących na poszczególne balkony wisiały tablice opisujące powstanie dzieła i jego znaczenie. Korytarze odchodziły od głównego traktu galerii, w którym przesuwali się bezgłośnie ruchomy chodnik. Wszystko było tu wykonane z najwyższą jakością i wyszukany smakiem. Pomyślałem, że byłoby to odpowiednie miejsce dla van Gogha ze Stowey.

W kolekcji sir Leona znajdował się już jeden van Gogh. Był to szkic wykonany czarną kredą, na którym artysta przedstawił kobietę kopiającą na pustym polu. Objasnienia w korytarzu szczerze stwierdzały, że nie jest to najlepsze dzieło van Gogha, ale Buzzacott wywiesił je w swej galerii, ponieważ nie posiadał na razie innych obrazów tego artysty.

– To jedna z wczesnych prac. – Nagłe pojawienie się Jennifer Pallavicini zaskoczyło mnie. – Wykonał ten rysunek w 1883 roku. Jest trochę niezdarny.

– Czyżby? – Odwróciłem się do niej. W niej nie było nic z niezdarności. Przeciwnie, była niezwykle piękna. Miała na sobie prostą, kremową spódnicę i jedwabną bluzkę w paski. Wyglądała świeżo, chłodno, opanowanie i wyjątkowo nieprzyjaźnie.

– Pan Buzzacott jest tego świadomy. – Patrzyła raczej na obraz niż na mnie. – Kiedy dostaniemy odpowiedniego van Gogha, ten trafi do prywatnych apartamentów sir Leona. Co pan tu robi?

– Przyjechałem do pani.

Zmierzyła mnie przez chwilę brązowymi oczyma.

– Obawialiśmy się, że przyjedzie pan ukraść kolejnego van Gogha, panie Rosendale.

Udałem, że nie zauważyłem tej kąśliwej uwagi.

– Skąd pani wiedziała, że przyjechałem?

Wskazała ręką do góry i ujrzałem, że każdy balkon obserwują kamery telewizyjne.

– Jak dotąd – rzekła – nie zjawił się tu żaden szaleniec próbujący grozić obrazom, ale nigdy nic nie wiadomo. Cały czas obserwujemy. Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać?

– Ci dwaj mężczyźni – zacząłem, ale przerwałem, gdyż jej spojrzenie było tak deprymujące i karcące, że poczułem się jak prostak.

– Przypominam ich sobie – odparła lodowato.

– Dwa dni temu próbowali mnie zamordować.

– I jak widać nie udało im się. – Oparła się o poręcz balkonu, tyłem do dzieła van Gogha. – Przyjechał pan tu po współczucie?

– Musimy tutaj rozmawiać? – zapytałem.

Nagle cisza zaczęła mnie krępować. Ledwie słyszalny szum klimatyzatorów wydał mi się trochę groźny.

Wzruszyła ramionami, ale bez słowa wyszła korytarzem. Ruszyłem za nią. Przeszliśmy przez poruszający się powoli chodnik do drzwi, które Jennifer Pallavicini otworzyła kluczem. Poprowadziła mnie po pomalowanych na biało schodach, potem przez kolejne drzwi do małego, oficjalnego ogrodu. Szedłem bez słowa za nią po żwirowej ścieżce. Okrążyliśmy bogato zdobioną fontannę i zbliżyliśmy się do kamiennej balustrady, z której rozciągał się widok na Wiltshire. Daleko na polu terkotał traktor, ale poza tym wszystko trwało w bezruchu.

– Słucham? – odezwała się.

– Nie znoszę, jak ktoś próbuje mnie zabić – powiedziałem i od razu zdałem sobie sprawę, jak idiotycznie to zabrzmiało.

– No tak, to chyba zrozumiałe. Mnie też nie bardzo się podobało, kiedy ten mężczyzna mnie napastował. – To były najbardziej przyjazne słowa, jakie padły z jej ust do tej pory i napełniło mnie to otuchą.

– Zaatakowali najpierw panią – odparłem. – A teraz mnie. Pomyślałem, że może wspólnie doszlibyśmy, o co im chodziło.

– Czy przypadkiem nie jest to zadanie dla policji? – rzuciła zaczepnie.

Uśmiechnąłem się pod nosem.

– Poszła pani na policję?

Zawahała się, po czym pokręciła głową.

– To, co stało się w Salcombe, to drobnostka. Na pewno nie była to próba zabójstwa. Powinno mi pochlebiać, że pomyślał pan sobie, iż mogłabym panu pomóc, ale proponuję, by zgłosił się pan do prawdziwych ekspertów na policję.

Oparłem się o pokrytą mchem kamienną balustradę,

– Gdybym poszedł na policję, musiałbym im opowiedzieć, co zdarzyło się w Salcombe. Chcieliby wtedy z panią porozmawiać.

– Nie mam nic do ukrycia, panie Rossendale.

– Ani ja – rzekłem nagle z mocą. – Wydaje mi się, że nie rozumie mnie pani, tak jak wszyscy. Nie ukradłem tego obrazu, nie miałem z tą kradzieżą nic wspólnego, a mimo to wszyscy, łącznie z panią, są przekonani, że to ja jestem złodziejem. Jaki miałbym w tym cel, u diabła?

– Powszechna teoria głosi, że zrobił pan to na złość matce. Nienawidził jej pan, prawda?

Zawahałem się.

– Wcale nie, po prostu za nią nie przepadałem.

– Zatem teoria jest prawdziwa tylko częściowo. Jeśli dodamy do tego pozostałe dowody, musi pan przyznać, że jest pan najbardziej prawdopodobnym sprawcą kradzieży.

– Na miłość boską! Wszystkie tamte dowody były tylko pośrednie!

Odczekała, aż mój protest umilknie, po czym bezlitośnie zaczęła wymieniać owe dowody.

– Tydzień przed odwiezieniem obrazu wyniósł pan go z pokoju matki.

– Poprosiła mnie o to. Nie chciała, żeby wciąż jej przypominał, że musiała go sprzedać.

– Twierdzi pan, że obraz stał w zbrojowni, do której tylko pan miał klucz.

– Bzdura. Było dziesięć kluczy. Miała go moja siostra i połowa służby.

– Policja twierdzi coś innego. Pan się opiekował obrazem, na zamku znalezione tylko pańskie odciski palców, a matce powiedział pan, że schował obraz i nikomu nie mówił o tym, gdzie jest. – W jej głosie brzmiało wyraźnie niedowierzanie i wyrzut. – A jednak rano tego dnia, kiedy miał odjechać, nie było go! Wspomniała zagadka, prawda? Zamknięty pokój, milczące alarmy i obraz, który zniknął.

Zapewne teraz powie mi pan, że krocie ludzi wiedziało, jak unieruchomić system alarmowy?

– Jedna lub dwie osoby wiedziały – odezwałem się niepewnie.

– A gdzie pan był następnego dnia? Kiedy wszyscy inni starali się pomóc policji ze wszystkich sił? Płynął pan na drugi brzeg Kanału La Manche! Bez wątpienia wiózł pan ze sobą obraz, ale oczywiście wtedy nikt tego nie podejrzewał, bo i dlaczego? Był pan księciem Stowey, ofiarą przestępstwa, ale od tamtego czasu pańskie bajki o niewinności nieco straciły na wiarygodności. Czyż to nie prawda, że każdy winny dowodzi swej niewinności i to w tak ostry sposób jak pan teraz?

– Ale dlaczego, u diabła, miałbym okradać sam siebie? – zadałem jej oczywiste pytanie.

– Najwyraźniej z powodu niechęci do matki. Dopóki żyła, musiał pan dzielić z nią władzę nad Stowey Trust i niewątpliwie wydałaby pieniądze za obraz nie tak, jak pan by sobie życzył.

Była niewiarygodnie chłodna. Większość dowodów, które przedstawiła, rzeczywiście brzmiała przekonująco, ale wszystkie były pośrednie i zupełnie przypaddingowe. Nie ukradłem „Słoneczników”. Zamknąłem oczy i zachodziłem w głowę, jak mam ją przekonać.

– Proszę posłuchać – odezwałem się. Otworzyłem oczy i napotkałem jej niezmaczone, osądzające spojrzenie. – Ci dwaj mężczyźni przyjechali, by mnie zabić. Próbuje się dowiedzieć, dlaczego to zrobili, bo proszę mi wierzyć, nie rozumiem. Powiedzieli, że chcą mieć pewność, że nie otrzymam obrazu, ale to niemożliwe, ponieważ nie wiem, gdzie on jest.

Roześmiała się, słysząc dowód mojej niewinności.

– Chyba wiem, dlaczego dybali na pańskie życie.

– Na miłość boską, dlaczego?

Zawahała się, po czym najwyraźniej zdecydowała się wyjawić mi swoją okrutną wersję prawdy.

– Przecież to oczywiste, czyż nie? Od kradzieży obrazu upłynęły cztery lata i w ciągu tych czterech lat o niczym nie słyszeliśmy. Nikt nie pisał nawet słówka. A nasłuchiwaliliśmy uważnie, panie Rossendale, bo są w świecie sztuki sprzedawcy, którzy wiedzą o skradzionych obrazach i płaciliśmy im, by przekazali nam każdą plotkę, którą usłyszą, ale żeby nic w ciągu czterech lat? Naprawdę nic? Aż tu nagle

zaczęło się. Jakiś mężczyzna brutalnie na mnie napada i chce wyciągnąć informacje, ten sam człowiek próbuje rzekomo pana zabić. A co się zmieniło? Dwie rzeczy, panie Rossendale. Po pierwsze zmarła pańska matka, a po drugie, pan wrócił do domu. Czy to nic panu nie mówi?

– Mnie nie.

– No nie, niech pan przestanie! – zaprotestowała przeciw mojemu rzekomemu uporowi. – Gdyby obraz znalazł się za życia pańskiej matki, musiałyby dostać część dochodów z legalnej jego sprzedaży. Ale teraz, w świetle przepisów, pan jest jedynym jego właścicielem i spadkobiercą. Jasne, że teraz najbardziej panu zależy na ujawnieniu van Gogha i wystawieniu go na licytację.

– To już gruba przesada – rzekłem w bezsilnej złości. Doskonale sobie to wszystko wymyśliła.

– Nie jest moją rzeczą spekulować na ten temat – powiedziała Jennifer, ale nie zamilkła, tylko ciągnęła dalej. – Ale przypuszczam, że ci dwaj mężczyźni pracują dla tego, komu sprzedał pan obraz. Ta osoba najwyraźniej nie chce, by zdradził pan informacje o tym, że posiada ona kradzione dzieło sztuki, więc próbują pana uciszyć. Niewątpliwie sprzedał pan go cztery lata temu za śmiesznie niską sumę, gdyż w przeciwnym razie nie musiałby pan go teraz odzyskiwać. To klasyczny przypadek kłótni między złodziejami i trochę to obrzydliwe, a dla mnie wręcz uwłaczające, że próbuje mnie pan wykorzystać, by uniknąć kłopotów.

– Nie jestem złodziejem – zaprotestowałem bezsilnie.

– To pan twierdzi. Ale powinien pan wiedzieć, że dla sir Leona pana wina czy niewinność nie ma najmniejszego znaczenia. Jeśli udzieli nam pan informacji, które doprowadzą do odzyskania van Gogha, otrzyma pan nagrodę oraz uczciwą sumę za sam obraz.

– W nosie mam nagrodę sir Leona – rzekłem szorstko. – Ale bardzo chcę znaleźć tych, którzy próbowali mnie zabić.

– Cała męska duma – skwitowała drwiąco. – Pokorą zdaje się pan nie grzeszy.

– Co pani może o mnie wiedzieć – odparłem opryskliwie.

Uśmiechnęła się.

– Wiem o panu bardzo dużo, milordzie – zatytułowała mnie obraźliwym tonem. – Cztery lata spędziliśmy na szukaniu obrazu, a na początku i na końcu naszej drogi zawsze pojawiała się pańska osoba. Zatem, milordzie, jestem czymś

w rodzaju znawcy pańskiego niecnego żywota. Wyleciał pan z trzech prywatnych szkół, czterokrotnie pana aresztowano...

– Tylko za alkohol i awantury – zaprotestowałem. – Tylko za to. Każdy może się wkurzyć.

– Jeden zarzut poważnego uszkodzenia ciała – ciągnęła niewzruszona. – Spędził pan z tego powodu dwa miesiące w więzieniu na Tasmanii.

Nieźle wywiązała się ze swego zadania. Nikt nie wiedział, że wtedy w więzieniu siedział dwudziesty ósmy książę Stowey, ale ona w jakiś sposób do tego doszła. Trzeba jednak wspomnieć, że ten drań, którego drasnąłem nożem sam się prosił o guza, ale nie wydawało mi się, by Jennifer Pallavicini zechciała przyjąć to wyjaśnienie.

– To było tak dawno – odezwałem się niepewnie.

– Jest pan bardzo zepsutym człowiekiem. – Puściła mimo uszu moją prośbę o ulaskawienie. – Dawniej, milordzie, zesłano by pana w jakiś zapomniany zakątek imperium jako wygnańca. Zapewne pańska rodzina musiała odetchnąć z ulgą, kiedy pan i ten pana przyjaciel postanowiliście wypłynąć w morze. Aha, o panu Barracie też sporo wiem. Co pana w nim pociągało? Czy po prostu zrobił pan na złość swojej rodzinie, która go nienawdziła?

– Nie – odparłem. – To mój przyjaciel.

– Ale on się ustatkował i został pan bez przyjaciela, i zapewne także bez grosza przy duszy. Czyż nie dlatego pan tu wrócił, milordzie? Chce pan pieniędzy, by wynająć sobie osiłków, którzy będą pana strzegli, podczas gdy pan będzie się starał wykiwać byłych współników?

Ton jej głosu był wyraźnie obraźliwy, ale nie odpowiadałem. Wpatrywałem się w zielone łąki, przesuwający się wolno traktor i długie rzędy żywoptów, jasnych od kwiatów. Nagle zaskoczyła mnie myśl, że nie chcę znowu odpływać. Chcę zostać. Przeżyłem już trochę przygód i czas byłoby zapuścić korzenie. Widziałem, jak kończyli morsecy cyganie, jak zabijała ich gorączka i ospa, widziałem jak sprzedawali swoje ciała w małych, brudnych miasteczkach, jak wracali do domu w łodziach powiązanych resztkami sznurka i nagle poczułem się samotny. Nie znośłem tego uczucia. Zapomniałem o nim, kiedy spróbowałem po raz ostatni przekonać Jennifer Pallavicini o mej niewinności:

– Czy naprawdę pani sądzi – rzekłem – że gdybym to ja ukradł ten obraz, robiłbym teraz tyle szumu? Gdybym go wtedy komuś sprzedał i teraz próbował odzyskać, sam bym pewnie trafił do więzienia! Po co miałbym tak ryzykować?

– Ponieważ pewnie nie wierzy pan, że grozi panu więzienie. – Odsunęła się od balustrady. – Wie pan, gdzie jest obraz?

– Oczywiście, że nie. Już pani mówiłem.

– Ukradł go pan?

– Nie!

– Czy może mi pan powiedzieć cokolwiek, co pomogłoby go odzyskać?

– Nic poza tym, co już pani powiedziałem.

– Zatem nie widzę sposobu, w jaki mógłby pan nam pomóc. Za tą bramą znajduje pan parking. Do widzenia, milordzie. – Odeszła.

– A mój sweter? – krzyknąłem za nią.

Nie odwróciła się, ale machnęła niecierpliwie ręką. Pomyślałem, że chyba podniosła w tym geście dwa palce. Była bardzo piękna, a ja bardzo żałosny.

A więc wracam na morze, powiedziałem do siebie w myślach; na morze, gdzie nic się nie liczy, poza wiatrem i zimnymi gwiazdami wysoko na niebie. Tu, na lądzie, wszyscy chcieli zrobić ze mnie kozła ofiarnego, a ja nie byłem gorszy od innych, a może nawet lepszy niż większość ludzi. I mimo nagłego pragnienia zostania na lądzie, muszę wracać na morze, bo właśnie tam jest moje miejsce.

Kiedy wróciłem do firmy, Charlie ostrzył dłuta.

– Co tak zwiesiłeś nos na kwintę? – zapytał.

Opowiedziałem mu o odwiedzinach w galerii Buzzacotta i o dziewczynie pracującej dla niego. Charlie zganiał mnie za amatorskie śledztwo.

– Jesteś osłem, Johnny, patentowanym osłem. – Przeciągnął ostrzem po dłoni i obdarzył mnie długim, ironicznym uśmiechem. – Dobrze wiesz, że nie powinieneś się w to angażować.

– Zaofiarowałem jej pomoc w odnalezieniu obrazu – wyjaśniłem.

– Jakiego obrazu? Już go nie ma, Johnny. Jeśli tak za nim tęsknisz, kup sobie puszkę żółtej farby i namaluj drugi. – Sprawdził dłuto na palcu i zadowolony z wyniku testu, wrzucił je do skrzynki z narzędziami. – Zrobiłem ci nowy stolik do map. Podziękuj.

– Dziękuję – odrzekłem. Za nami stał „Słonecznik”, nakryty płóciennym

namiotem i przygotowany do fachowego czyszczenia, które miało się rozpocząć następnego dnia. Nie mogłem znieść myśli o kosztach tego przedsięwzięcia i powiedziałem o tym Charliemu.

– Niech cię o to głowa nie boli – odparł. – Powiedziałem, że zapłacę, to zapłacę. Zrobiłeś kiedyś dla mnie wystarczająco dużo, więc teraz nie musisz się czuć zażenowany.

Ale czułem się zażenowany, ponieważ Charlie zamierzał wydać na naprawę „Słonecznika” małą fortunę. Co prawda w miarę upływu dni widziałem coraz lepiej, jak wiele przyjemności sprawia Charliemu ta praca.

– Zapomniałem już, ile przyjemności może sprawić przygotowanie jachtu do rejsu – powiedział do mnie któryś raz z rzędu.

Rzucił się do pracy tak entuzjastycznie, że mogło się wydawać, iż „Słonecznik” należy do niego, a nie do mnie. Przywoził wszystko, co było jachtowi potrzebne, zawsze w najlepszym gatunku. Wychodził z domu o świcie, jechał do zakładu i brał się do pracy. Gdy odkrył rdzę na nitach mocujących sonar, oczywiście natychmiast wyborował je z kadłuba i zamówił nowe mocowania dla sonaru i logu firmy Pitot. Przyspawał nowe uchwyty i po starym pogratulował sobie dobrze wykonanej pracy. – No, dobra robota.

W ciągu kolejnych dni pracownicy wykonali sporo „dobrej roboty” przy „Słoneczniku”. Oczyszczony piaskiem kadłub pomalowali najpierw farbą ochronną, a potem na niebiesko w części poniżej poziomu wody i na olśniewająco biało – powyżej. Tratwę ratunkową odesłano do naprawy i ponownego umieszczenia w kapsule. Wymieniono uchwyty relingu i naciągnięto na nie nowe liny. Kabinę wykończono pięknym jasnym dębem, ale najpierw Charlie wymienił wszystkie instalacje.

– Od dawna potrzebowałem wakacji – powiedział mi, kiedy zastanawiałem się, jak firma daje sobie radę bez niego. Właściwie na jakiś czas Charlie przeniósł swoje biuro na „Słonecznika”. W skrzynce z narzędziami trzymał telefon komórkowy. Dopiero gdy problemu nie dało się załatwić krzykiem przez telefon, schodził z jachtu i ruszał do prawdziwego biura. Byłem mu wdzięczny za tę stałą obecność. To, że Charlie był przy mnie, dawało mi poczucie fizycznego bezpieczeństwa, ochrony przed Garrardem i Peelem, zaś wspólna praca przypomniała mi dawne, szczęśliwe czasy.

Największą różnicą pomiędzy tamtym okresem, a obecnym, była ilość pieniędzy ładowana w „Słoneczniku”. Zainstalował nową radiostację, w której od razu zaprogramowano wszystkie europejskie i amerykańskie częstotliwości. Charliemu nie wystarczyła ta droga zabawka i nalegał, by zamontować jeszcze radio na fale krótkie.

– Wtedy będziesz mógł słuchać tych wszystkich elegancików z BBC. – Poklepał drewnianą szafkę, która miała ukryć oba radia. – Dobra robota, co?

Musiałem nieźle się zapierać, by sprzeciwić się niektórym jego propozycjom. Kusiło mnie, by założyć zestaw do nawigacji satelitarnej, który potrafił odczytać pozycję jachtu dzięki sygnałom wysyłanym przez satelity na orbicie okołoziemskiej, ale trochę się boję zbyt wielu elektronicznych zabawek na pokładzie i nie pozwoliłem mu zamówić tego zestawu. Miał urządzenie Decca, które rzekomo zostało po jednym z jego starych jachtów i nalegał, bym zainstalował je nad stolikiem do map na „Słoneczniku”. Nie mogłem odrzucić tego prezentu, ale ponieważ Decca podaje pozycję tylko na niektórych wodach, nie obawiałem się, że ulegnę jego elektronicznej magii i zapomnę jak korzystać z sekstansu. Charlie chciał, bym zainstalował radar, ale twardo odmawiałem. Radar pobiera zbyt dużo prądu, a anteny szpecą sylwetkę jachtu. Tę bitwę wygrałem, lecz Charlie wygrał inne: nalegał, by na nowym maszcie zamontować elektroniczne czujniki prędkości i kierunku wiatru, które pokazywały informacje na dwóch wyświetlaczach w kokpicie i nad mapami. Sporządził nowe szuflady i wypełnił je nowiutkimi mapami. Cieszył się jak dziecko, zaskakując mnie nowymi nabytkami: radiowym zestawem nawigacyjnym, osłonką na śrubę, daszkiem przeciwsłonecznym przydatnym w gorącej strefie i jasnoczerwonymi proporcami z nazwą „Słonecznik” wyhaftowaną błyszczącymi złotymi literami. Jednak najlepszym zakupem była mała szalupa z włókna szklanego, z przymocowanym do rufy małym silniczkiem.

– Teraz możesz spalić ten stary ponton – powiedział.

To wszystko kosztowało. Tyle forsy. Nie do wyobrażenia. Zagadnąłem Charliego o koszt, ale on po prostu nie zwracał uwagi na moje zakłopotanie.

– Johnny, ja się tym po prostu świetnie bawię. A to najważniejsze.

– Musisz mi pozwolić, bym ci za to zapłacił.

– A czym? Kapslami? – Uśmiechnął się. Pracowaliśmy do wpół do dziesiątej i zajechaliśmy do pubu Rossendale Arms na kufel piwa na dobranoc. Niektórzy goście z hotelu w Stowey rzucali na mnie ukradkowe spojrzenia. Gospodarz zapewne im powiedział, że mieszkają w moim rodzowym domu, ale na ich twarzach malowało się niedowierzanie, że to pochłapane farbą indywiduum jest prawdziwym księciem.

– Ile kosztuje cię naprawa „Słonecznika”? – nie dawałem za wygraną.

– Nie liczę. – Oparł się i wyprostował długie ręce. – Świetnie się bawię, Johnny. Mnóstwo czasu upłynęło już, odkąd ostatni raz zrobiłem tak dobrą robotę. Za dużo czasu spędzałem ostatnio w biurze, uczepiony tego cholernego telefonu. Lubię pracować tym. – Wyciągnął do mnie swoje wielkie i pokryte bliznami dłonie. – Poza tym w ten sposób ci się odwdzięczam.

– Odwdzięczasz się? – zapytałem zaskoczony.

– Skocz po kufel, to ci opowiem.

Przyniosłem dwa kufle. Pomyślałem, że właśnie tego mi brakowało, dobrego smaku porządnego piwa, nie tych popłuczyn, które Niemcy wmuszali całemu światu.

Charlie zapalił papierosa.

– Zawsze czułem się winny, że cię opuściłem – wyjaśnił.

– Nie żartuj.

– To prawda – mówił najzupełniej poważnie. – Kiedy przylecieliśmy z Australii, naprawdę chciałem wrócić na morze. Dobrze nam było razem. Ale wtedy Yvonne zaszła w ciążę, więc musiałem się zachować przyzwoicie, jak frajer.

Mówił o wydarzeniach sprzed czterech lat, które rozegrały się po samobójstwie mojego brata. Dla mnie był to fatalny okres, nachodzili mnie wtedy księgowi, prawnicy i bankierzy. Myślałem wtedy, że wpadnę w pułapkę tych wszystkich obowiązków i chociaż często rozważaliśmy powrót na morze, nie miałem pewności, czy to będzie możliwe. Uciekałem od beznadziei Stowey, pływając jachtami po Kanale, ale wątpiłem, czy jeszcze kiedykolwiek wrócę na dalekie morza. Kłopoty w Stowey nie bardzo pozwalały na takie luksusy. Charlie czuł się winny, że mnie opuścił, ale nie wiedział, że ja także myślałem o zostawieniu jego. Wyznałem mu to, ale on pokręcił głową.

– Oczywiście, że i tak wróciłbyś wtedy na morze! Wiedziałem o tym. Nie

wierzyłem, byś mógł zostać z tymi ważniakami w prążkowanych garniturach dłużej, niż to było konieczne! – Roześmiał się. – Wyobrażasz sobie siebie i matkę pod jednym dachem? Uśmiechnąłem się

– Nie.

– No właśnie. Ale powinienem wtedy z tobą popłynąć, Johnny. Naprawdę.

– Ale nie żałujesz?

– No wiesz, zarobiłem trochę forsy. – Zabrzmiało to trochę melancholijnie. Zerknął na zegarek. – Musimy zacząć jutro wcześniej rano, więc lepiej dopijmy to piwo.

W tydzień później „Słonecznik” został odwieziony do Kingswear, gdzie spuszczone go na wodę. Następnego dnia pojechaliśmy wraz z Charliem do portu, gdzie przy nabrzeżu stał już jeden z jego ruchomych dźwigów.

– Opuszczajcie! – Charlie wydał polecenie od razu, kiedy wysiadł z jaguara. – Uwważaj, Tom! Ostrożnie teraz! – krzyknął do operatora dźwigu.

Ustawialiśmy maszt na „Słoneczniku”. Nowy, piękny maszt z wyciąganego aluminium. Oczywiście zapłacił za niego Charlie, podobnie jak za czyszczenie wszystkich żagli i za uszycie nowego gafla. Uparł się, by pod masztem przykleić srebrną sześciopensówkę na szczęście, ale po tym obrzędzie pozwolił specjalistom zająć się takielunkiem, a my przenieśliśmy się dla większej wygody na „Baraterię”.

„Barateria” to jacht Charliego. Kilka dni wcześniej, przewidując to, co nastąpi na River Dart, przeprowadził ją do portu w Kingswear. „Barateria” miała pięćdziesiąt cztery stopy długości i była motorowym jachtem oceanicznym, wyposażonym w dwa monstrualne silniki wysokoprężne i podgrzewany basenik, który zrobił takie wrażenie na Ricie. Nazwa jachtu była swobodną interpretacją nazwiska Charliego, ale w terminologii morskiej to słowo oznacza również akt szalbierstwa. Dla Charliego zawierała też echa piractwa, którego był wielbicielem.

– Wiesz, kiedyś chciałem go nazwać „Mokrym snem” – roześmiał się Charlie. – Ale nie podobało się to żadnej dziewczynie.

W południe na pontonie „Baraterii” przyplłynęła jedna z tych dziewcząt. Charlie przedstawił ją jako znajomą od interesów, ale jednocześnie znacząco do mnie mru-gnął.

– Ale pamiętaj, porządny obiad! – ostrzegł ją Charlie. – Żadnych cholernych sałatek, pamiętaj, dziewczyno. Johnny wybiera się za kilka dni do Indii Zachodnich i musi się porządnie najeść.

Joanna była rudowłosą dziewczyną, szczupłą jak trzcina, ubraną w obcisłe džinsy i drogą koszulę. Wyglądało na to, że nie przeszkadza jej niepohamowany męski szowinizm Charliego rodem z jaskini, ale przecież Charlie zawsze traktował kobiety w ten sposób. W jego przypadku ta metoda się sprawdzała.

Zjedliśmy obiad na „Baraterii”, a w tym czasie specjaliści napinali wanty na „Słoneczniku”. Joanna przygotowała dwa pieczone kurczaki. Jeden był przeznaczony wyłącznie dla Charliego, który mimo wilczego apetytu w ogóle nie przybie-
rał na wadze.

– Naprawdę płyniesz do Indii Zachodnich? – Joanna skubnęła kawałek skrzydełka, a teraz malowała sobie paznokcie, podczas gdy my jeszcze jedliśmy.

– Prawdopodobnie tak. – W rzeczywistości było trochę za późno na korzystne wiatry, ale być może uda mi się jeszcze dopłynąć przed sezonem huraganów. – Najpierw popłynę na południe, a potem zdecyduję.

– Kiedy wypływasz?

– Kiedy tylko zrobi zapasy – odpowiedział za mnie Charlie. – Chyba nie masz z tym kłopotów, co Johnny? – Charlie otworzył dla mnie rachunki kredytowe w kilku sklepach w Dartmouth. Ja i „Słonecznik” mieliśmy mieć wszystko, czego mogliśmy potrzebować: żywność, ubrania, czego tylko dusza zapagnie.

– A dokąd popłyniesz w tych Indiach Zachodnich? – nalegała Joanna.

– Prawdopodobnie na jedną z francuskich wysp. Mają tam lepsze jedzenie.

– I dziewczyny. – Charlie był w doskonałym humorze. Słońce wyszło zza chmur, najadł się, a Joanna przebrała się w skromniutkie bikini. – Zastanawiam się, czy nie polecieć tam i nie dołączyć do ciebie – powiedział. – Moglibyśmy sobie nieźle popływać, co?

– Pamiętasz jeszcze jak się żegluję? – drażniłem się z nim. – Mój Boże, Charlie, i pomyśleć, że kupiłeś sobie jacht motorowy!

– Mniej z tym kłopotu, niż z wieszaniem szmat – wzruszył ramionami. – Wiesz, czasami brakuje mi żeglowania, ale jacht motorowy ma mnóstwo zalet.

– No to wymień chociaż jedną.

– Ma szersze koje. – Uśmiechnął się. Mimo że wszem i wobec głosił swoją tęsknotę za żaglami, był wyraźnie dumny z „Baraterii”. – To dobry, morski jacht! – zawołał z taką werwą, że zacząłem podejrzewać, iż to bujda. Oprowadził mnie po swoim cacku i z dumą zaprezentował system radarowy, bliźniacze kabiny mieszkalne z ogromnymi łózkami i telewizorami, nieskazitelnie czystą maszynownię i wreszcie słynny basenik. – Rzadko kiedy korzystam z tego cholerstwa – wyjaśnił przepraszająco. – Strasznie ciężko to uruchomić, a poza tym dwie osoby ledwo się tu mieszczą, ale ten cholerny sprzedawca mi to wcisnął.

Po obiedzie włączyliśmy silniki i wyprowadziliśmy „Baraterię” na wody Kanału. Był jasny, ciepły dzień i Charlie dał tyle gazu, że jacht zostawiał za sobą spieniony ślad na błyszczącym morzu. Jacht trochę skakał na małych falkach i rozbijał ich grzywy, jedna za drugą, ale mimo tej drobnej niewygody był imponującym przykładem mocy.

– Jaką ma maksymalną prędkość? – krzyknąłem.

– Kiedyś wydusiłem z niego trzydzieści osiem węzłów. – Zmniejszył gaz, pozwalając kadłubowi osiąść nieco na falach. Straciliśmy już z oczu ląd, ale system nawigacyjny Decca na mostku w każdej chwili mógł nas zaprowadzić z powrotem prościutko do Dartmouth. Charlie zostawił wielki jacht bez ruchu na falach i otworzył dwie butelki piwa. Z kabiny poniżej nas wyszła Joanna i przeszła na pokład dziobowy, gdzie bez skrępowania zdjęła górę kostiumu i wyciągnęła się na pokładzie.

– Niezła laseczka, co? – Charlie czekał na potwierdzenie.

– Na każdym jachcie powinna taka być – zgodziłem się.

– Pracuje w firmie budowlanej, dla której często wykonuję zlecenia. Mówi mi czasami, do jakiej sumy licytować na przetargach, a jeśli nawet jej szef zastanawia się, skąd ona ma pieniądze na BMW, to pewnie ma wystarczająco dużo rozsądku, by nie pytać. Może i trochę naginam zasady, Johnny, ale też i zapewniam im pierwszorzędną usługę. Hej! Joanna! Nie widzimy cię dokładnie! Chodź tu bliżej!

– Spadaj, Charlie.

Roześmiał się. Wyglądał na bezgranicznie szczęśliwego. Usiadł na fotelu sternika i rozebrał się do pasa. Zobaczyłem, że jest umięśniony jak dawniej. Zawsze

był twardy, miał dużo siły i sukces finansowy nie zrobił z niego mięczaka. Skórę miał pełną gojących się oparzeń i skaleczeń. Wyglądał jak jedno z jego ulubionych, silnych i poobijanych narzędzi. Ale dzięki temu, że razem spędziliśmy na „Słoneczniku” wiele dni, ujrzałem w jego oczach nowy wyraz zmęczenia. Charlie stał się twardy także psychicznie i przypuszczałem, że prowadzenie z nim interesów było bardzo trudne. Ja byłem starym przyjacielem, więc owo niebezpieczeństwo nie mogło mnie dotyczyć.

– Wiesz, mogę to zrobić – powiedział nagle.

– Co możesz?

– Polecieć do Indii Zachodnich. Niedługo będę musiał zrobić sobie przerwę i mógłbym popływać z tobą tydzień lub dwa. Popijemy whisky, zabawimy się z kobietami, popływamy po błękitnej wodzie.

– Niezła myśl, Charlie.

– Jak za dawnych czasów. – Przestał patrzeć na Joannę, wpatrywał się teraz melancholijnie w południową część horyzontu. – Mój Boże, ależ się wszystko pozmiało. Pamiętasz naszą pierwszą łódź? – Była to piętnastostopowa łupina z ukośnym grotem i kliwrem wielkości chusteczki do nosa. Nagle Charlie wybuchnął śmiechem. – Pamiętasz te dwie pokraki, które zabraliśmy w Cherbourgu? Jasna cholera, myślałem, że będziemy musieli je wypchnąć siłą za burtę.

Uśmiechnąłem się.

– Pamiętam, że ścigali nas wtedy ich chłopcy.

– Ale daliśmy im odprawę, nie? – Właściwie to Charlie ich odprawił. Pomagałem mu, ale to jego siła budziła respekt. Mieliśmy wtedy po osiemnaście lat i pusto pod sufitem. Byliśmy napaleni i czuliśmy się panami Kanału. Popłynęliśmy wtedy łódką do Francji w noc tak przejmująco chłodną jak cmentarz w zimie, lecz kiedy przybyliśmy do Cherbourga, byliśmy gotowi do zabawy.

– To był dobry weekend – rzekłem.

– I było takich więcej. Dużo więcej, stary. – Zapalił papierosa. – Było też kilka niezbyt udanych. Pamiętasz jak się zatruliśmy rybami?

Charlie omal nie wyzionął ducha po zjedzeniu jakichś ryb, złowionych w okolicach raf Polinezji Francuskiej. Przywróciłem go do zdrowia, ale niewiele brakowało. Skrzywił się.

– Od tamtego czasu nie tknąłem ryby.

– A pamiętasz Morze Tasmana? – zapytałem. To była kolejna przykra przygoda, okropny, zabójczy sztorm, który omal nas nie pokonał. Ale ocaliła nas niezwykła siła Charliego. Ja byłem już u kresu sił, a prawdę mówiąc nawet jeszcze dalej, ale Charlie wytrzymał.

Uśmiechnął się na wspomnienie tamtych chwil, ale nic nie powiedział. Zamiast tego pokręcił głową.

– Naprawdę ci zazdrościsz, Johnny.

– Nie rozumiem czego.

– Rozumiesz aż za dobrze. – Delikatnie kuksnął mnie w ramię. – Przecież jesteś wolny jak ptak, prawda? Żadnych dzieci, żony, księgowych. Gdzie się nie ruszysz, wszędzie czekają takie Joanny.

– Nie zawsze, Charlie.

– Ale wystarczająco często, co? – zapytał poważnie.

– Wystarczająco – zapewniłem go.

– Ależ z ciebie szczęściarz, draniu.

– A z ciebie nie? – wskazałem półnągą Joannę na pokładzie dziobowym.

– Obowiązki – rzekł ponuro. Wyrzucił pustą butelkę za burtę i zapalił papierosa. – Nie wiem, Johnny. Lubię zarabiać pieniądze, ale im więcej się ich ma, tym więcej drani próbuje się do nich dobrać, więc trzeba ciężiej pracować, by ich nie stracić. Haruję teraz jak wół i zaczyna mi to przeszkadzać w oddawaniu się uciechom. Ale kiedy pływaliśmy razem, widziało się tylko piwo i nagie ciała.

– To dlatego, że ja wykonywałem za ciebie całą robotę.

Roześmiał się. O milę od lewej burty „Baraterii” ujrzeliśmy wielki kecz płynący w stronę Francji. Wyglądał na porządny jacht, taki który nie boi się szerokich wód. Charlie obserwował go z melancholią.

– Gdybym tylko mógł jutro zarobić dwa miliony, spakowałbym wszystko i popłynął z tobą.

Uśmiechnąłem się.

– Do tego nie trzeba zaraz dwóch milionów, Charlie.

– Niestety, Johnny, trzeba. Koniecznie. Widzisz, muszę załatwić wszystko w bankach. No i nie mogę tak po prostu zostawić Yvonne i dzieciaków. Będę musiał im zostawić jakieś pieniądze. Ale gdybym miał teraz dwa miliony, spłaciłbym długi, sprzedał firmę i nigdy więcej już bym nie pracował. Może za pięć lat będę

mógł to zrobić, ale teraz? Teraz potrzebuję dwóch milionów, by poczuć bezpieczeństwo. – Otworzył kolejną butelkę piwa. – Wiesz, Johnny, ci dwaj faceci jakby się pod ziemię zapadli.

Zmiana tematu była tak nagła, że przez kilka sekund nie wiedziałem o czym mówić. W ciągu ostatnich kilku dni tak bardzo zająłem się pracą przy „Słoneczniku”, że niemal zapomniałem o Garrardzie i Peelu.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Bo szukałem, pytałem, Johnny. Ale nikt nie wie, gdzie oni mogą być. Co prawda ludzie mówią, że gówna wypłynęły zawsze w Londynie, więc prawdopodobnie i oni tam trafią, ale rozpowiedziałem gdzie trzeba, że jeśli zobaczę te szkaradne mordy w Devon, zatłukę ich jak psy. – Dotknął lekko mojego ramienia. – Zapomnij o nich, Johnny. Myśl tylko o powrocie na morze.

No i o tym właśnie myślałem. Wspomnienie tamtej okropnej nocy w stoczni Cullena zacierało się. Z początku chciałem odszukać Garrarda i odplącić mu pięknym za nadobne, doznałem jednak upokorzenia, kiedy poprosiłem Jennifer Pallavicini o pomoc, więc teraz postanowiłem dać temu wszystkiemu spokój.

– Charlie? – Joanna usiadła na pokładzie. – Natrzyj mi plecy mleczkiem, dobrze?

Charlie mrugnął do mnie i przekazał mi ster, po czym zszedł na pokład dziobowy. Siedział z Joanną, najwyraźniej nacierając jej nie tylko plecy, a ja zszedłem do niższej sterówki i usiadłem tak, by nie widzieć, co się dzieje na pokładzie. Nagle poczułem się zazdrosny.

Zapewne popełniłem błąd, wracając do domu. Do chwili, kiedy rzuciłem się w kipiela nad uskokiem u wejścia do Salcombe, byłem szczęśliwy. Teraz nagle z nie wyjaśnionych powodów byłem przygnębiony. Jakaś część mojej osobowości nie chciała wracać na morze. Nie chodziło o to, by na zawsze porzucić żeglowanie, bo dopóki będę żył, będzie mnie ciągnęło na szerokie morza, ale teraz chciałem jakiejś odmiany. Chciałem mieć gdzie wracać. Chciałem mieć do kogo wracać.

Ale nie było ani takiego miejsca, ani osoby. Nikt mnie nie chciał, poza moją siostrą Georgina, ale ona była nie w pełni władz umysłowych, więc będę musiał wrócić na morze, bo nie ma dla mnie innego życia.

Wypłynąłem w tydzień później. Zaopatrzyłem się w Dartmouth, lecz przed pożegnaniem z Anglią zahaczyłem jeszcze o Salcombe, by pożegnać się także z Charliem. Zacamowałem przy „Baraterii”, niedaleko Frogmore Creek, a Charlie przyprowadził na jachty Yvonne i dzieci. Nie omieszkął także przynieść dwóch butelek szampana: jedną rozbiliśmy o kadłub „Słonecznika”, a drugą wypiliśmy. Charlie upierał się, by i dzieci napiły się szampana, nawet dwuletni szkrab. Wyglądało na to, że Yvonne starannie maskowała niechęć do mnie i dobrze się bawiła, albo po prostu cieszyła się, że znowu znikam z jej życia. Przyniosła ze sobą piknikowy koszyk z ciastem i kanapkami, a w kambuzie „Baraterii” przygotowała herbatę. Charlie napełnił podgrzewany basenik na dziobie i wpuścił do niego dzieci, a my rozmawialiśmy o starych czasach. Śmieliśmy się, wspominając kłusownicze wyprawy Charliego. Yvonne nieśmiało przypominała, jak jej mąż ukradł kiedyś bentleya mojego ojca i zaparkował go przed domem znanej okolicznej dziwki. To było wspaniałe popołudnie i cieszyłem się z tego, bo nie chciałem mieć gorzkich wspomnień związanych z Charliem i Yvonne.

Zeszli na brzeg około piątej po południu. Przytrzymałem na chwilę Charliego, nim wszedł do łódki.

– Chciałem ci podziękować, Charlie.

– Nie ma za co. – Był zakłopotany. Rozejrzał się, by upewnić się, że Yvonne go nie słyszy. – Spotkamy się na Karaibach, dobrze?

– W porządku.

– Może przywiozę Joannę. Chyba że powiesz mi, że panienki chodzą tam stadami.

Uśmiechnąłem się.

– Tam zawsze chodzą stada, Charlie.

Dał mi kuksańca w ramię.

– Do zobaczenia, Johnny.

– Trzymaj się, Charlie.

Zatrzymał się i uściśnął mnie niezdarne.

– Masz szczęście, draniu – powiedział i zeskoczył na swoją szalupę. Silnik łódki zakaszłał, a ja ją odcumowałem. Charlie pomachał mi i odpłynął wraz z całą rodziną. Przypłył właśnie miał zmienić kierunek, a ja znów zostałem sam.

Jacht był zaopatrzony, wypełniłem już formularze celne, byłem gotowy do

drogi. Musiałem jeszcze zawinąć do jednego portu, potem będę już wolny. Nie widziałem powodu, by czekać, więc wystawiłem za burtę mój nowy silnik i uruchomiłem go. Wiatr wiał od wejścia do zatoki i aby się wydostać na morze, musiałem z niego skorzystać. Kiedy już się znajdę na otwartych wodach, nie będę się spieszył i zdam się tylko na żagle. Odrzuciłem liny, które łączyły mnie z „Baraterią”, wciągnąłem odbijacze i skierowałem dziób „Słonecznika” pod wiatr. Silnik pchał jacht na morze, a ja zajmowałem się żaglem grota. Na rufie załopotowała czerwona bandera, osmagana setkami huraganów ze wszystkich stron świata. Obejrzałem się w stronę brzegu, ale łódź Charliego już wtopiła się w gąszcz innych małych łódek. Nikt mnie nie zęgnął.

Dodałem gazu.

Zabawiłem w domu trochę dłużej niż miesiąc. Zmarła mi matka, siostra mnie obraziła, dwóch mężczyzn próbowało zabić, a ja teraz odpływałem. Powinienem czuć jakiś żal, ale niczego nie czułem: ani żalu, ani smutku, tylko podniecenie, które zwykle odczuwam na początku podróży. Owo znajome uczucie oznaczało, że litość nad samym sobą i chęć zostania na brzegu już mnie opuściły. Byłem wyleczony. Im szybciej płynął „Słonecznik”, tym bardziej poprawiał mi się nastrój. Silnik perkotał wesoło, a mocno ściągnięte żagle beztrudno łopotwały.

U wyjścia z zatoki skręciłem prosto na południe i nabrałem wiatru w żagle. Zmniejszyłem gaz, by wiatr zastąpił silnik. Nim dopłynęliśmy do uskoku, na morzu widać było tylko niewielkie fale. Dopiero za uskokiem dziób „Słonecznika” trafił na pierwszą prawdziwą falę i biała piana przelała się przez reling jachtu. Odpływ zaczął mi pomagać, więc wyłączyłem silnik. W ten sposób w moim świecie dźwięków został tylko hałas wody, łopot żagli i trzeszczenie lin. „Słonecznik” kierował się na wiatr, więc musiałem mocniej ścisnąć ster.

To był dobry wiatr, taka piątka lub szóstka, która podnosi kobietom sukienki i sprawia, że fale przelewają się przez dziób „Słonecznika”. W wielkich żaglach mojego jachtu czułem teraz surową, cudowną siłę. „Słonecznik” ślizgał się po wodzie, rozbijał fale na jeszcze większą pianę i parł przez pięciostopowe grzywaczę bez najmniejszego wysiłku. Wiatr wiał bardziej na zachód niż na południe – doskonałe warunki dla kogoś, kto chce przepłynąć Kanał. Przed opuszczeniem ojczystych wód musiałem jeszcze zajrzeć na Jersey. Potem będę mógł popłynąć, gdzie mnie oczy poniosą. Jeszcze jeden obowiązek i będę płynął sam, a ci dranie

nie będą mogli mi nic zrobić, ponieważ po raz kolejny będę samotny, wolny i nieuchwytny.

Nazywano tę instytucję Szpitalnym Klasztorem, ale w rzeczywistości był to po prostu duży wiktoriański dom położony na wzgórzach w pobliżu Corbière Point. Siostry i ich pacjenci korzystali z sześciu akrów ziemi, która spadała ostro ku morzu. Zostawiłem „Słonecznika” w przystani St Helier i wynajawszy rower popedałowałem południowym brzegiem wyspy.

– Ucieszy się z twojej wizyty, o tak. – Siostra Felicity kuśtykała obok mnie, gdy szliśmy alejką wijącą się pośród laurów i krzewów różanych. Próbowaliśmy ją wyperswadować i prosiłem, by została w łóżku, gdyż wyglądała na zmęczoną i przygniecioną brzemieniem starości, ale ona się uparła. – Nie jestem jeszcze tak stara, bym nie mogła się wesprzeć na ramieniu przyjaciela – rzekła. – Kiedy usłyszałam, że przyjeżdżasz, Johnny, obiecałam sobie, że na jeden dzień wstanę z łóżka. A jak ty się miewasz?

– Wciąż nie opuszczają mnie kłopoty, nianiu. Wcale ich nie chcę, ale i tak się trafiają.

– To twoja irlandzka krew, Johnny. Ale wierzę w ciebie, o tak. Kiedyś weźmiesz za kogoś odpowiedzialność i wtedy osiądziesz gdzieś na stałe. – Siostra Felicity była czystej krwi Irlandką. Kiedyś opiekowała się nami w Stowey jako niania, ale kiedy trochę podrośliśmy, wyjechała, by przywdziać habit zakonny. Jej czułość i zażyłość z Georgina sprawiły, że ten przyjemny dom stał się schronieniem dla mojej młodszej siostry. – Ale musisz pamiętać – ciągnęła siostra Felicity – że już najwyższy czas, byś się ustatkował. Nie możesz się włóczyć przez całe życie.

– A dlaczego nie?

Przystanąła, by zaczerpnąć powietrza. Martwiłem się o jej zdrowie, ale ona jeszcze bardziej martwiła się o mnie.

– Powinieneś mieć dzieci, Johnny. Co się stanie z księstwem, jeśli nie będziesz miał dziedzica?

– Księstwa już nie ma, nianiu – powiedziałem głucho. – Zniknęło wraz z domem. Teraz nic już nie znaczymy. Jesteśmy po prostu starą, zmęczoną rodziną,

z której uszło życie. W ciągu kilku lat wszyscy pomrzemy i nikt nie będzie nas pamiętał.

– Gadasz głupoty, aż ci się uszy trzęsą! – Uśmiechnęła się, uświadomiwszy sobie swoją obcesowość. Zarówno jako dziecko, tak i teraz kochałem tę kobietę znacznie bardziej niż matkę. W siostrze Felicity nie było żadnego zła, a jedynie serce przepełnione czystą miłością. Teraz nie czuła się dobrze i mocno wsparła się na moim ramieniu, nim ruszyliśmy dalej. – Przepraszam, że nie mogłam popłynąć do Anglii na pogrzeb twojej matki – rzekła. – Nie był to mój najlepszy dzień.

Zastanawiałem się, czy w ogóle czekają ją jeszcze jakiekolwiek zdrowe dni.

– Nianiu, powinnaś odpocząć.

– Ech, Pan da mi odpocząć, kiedy przyjdzie na to pora. Ale opłakiwałam twoją matkę, mój drogi.

– Ja nie – wyznałem okrutnie. – Nawet nie zamówiłem za nią mszy.

– A powinieneś, Johnny. Nigdy nie była dla ciebie dobra, ale przecież dała ci życie.

– I oskarżyła mnie o kradzież jej obrazu.

– Kogo obchodzi jakiś obraz? – Zatrzymała się w miejscu, gdzie schody skręcały ku morzu. Ujrzelśmy mały taras, na którym na żelaznych krzeselkach siedziało troje pacjentów i jedna z sióstr. – Proszę, tam jest kochana istotka! – rzekła siostra Felicity. – Idź sam, Johnny. Chyba nie dam rady wspiąć się po tych schodach.

„Kochaną istotką” siostra nazwała lady Georginę Rossendale. Nie od razu jednak zszedłem na taras, wolałem zostać jeszcze przez chwilę z siostrą Felicity.

– Czy wszystko jest tu w porządku, nianiu?

– Z bożym błogosławieństwem, będzie dobrze. Diecezja wciąż mówi o sprzedaży naszego domu. Starają się o to tak bardzo, bo zapewne nasz dom jest wart niezłą sumkę. Dzięki Bogu, jakoś do tej pory im się nie udało. Ale jeśli to zrobią, spakujemy habity i poszukamy nowego miejsca. Nie martw się.

– A Georgina?

– Kiedy ma dobre dni, tęskni za Stowey. – Siostra Felicity machnęła ręką z rezygnacją. – Niezbyt często miewa te dobre dni, ale wtedy wydaje mi się, że ma

już tylko krok do normalnego świata, że jest jak bańka mydlana, którą wystarczy lekko dotknąć, by prysła. Ona jednak znowu powraca do dawnego stanu. Nigdy nie sprawia kłopotów. Ucieszy się z twojego przyjazdu.

Zszedłem na taras, ale okazało się, że nie trafiłem na dobry dzień Georginy. Na początku nie byłem nawet pewien, czy mnie rozpoznała. Była spokojna, uśmiechała się niepewnie. Opowiedziałem jej o „Słoneczniku” i chyba zrozumiała część z tego, o czym mówiłem, gdyż wskazała ręką na morze, gdzie kilka jachtów niesionych przez odpływ kierowało się na północ w stronę Guernsey. Na taras przyniesiono obiad na tacach. Ostrożnie nakarmiłem Georginę, wycierając jej przy tym usta.

Zostawiłem ją po południu. Wspinałem się po schodach i dopiero wtedy dowiedziałem się, że Georgina mnie pamięta, ponieważ w ostatniej chwili, nim zniknąłem za ścianą krzewów, zawołała mnie:

– Johnny? Johnny?

Wróciłem do niej.

– Tak, kochanie?

Płakała. Bardzo cicho, ale łzy ciekły jej jak groch z głębokiej rozpacz. Sięgnęła szybko po moją rękę.

– Chcę do domu.

– Jesteś nieszczęśliwa?

– Tęsknię za tobą.

– Ale niania tu jest – powiedziałem. A na wypadek, gdyby Georgina nie pamiętała dzieciństwa w Stowey, dodałem:

– Siostra Felicity tu jest.

– Ona umrze! Ona umrze, Johnny, a ja zostanę sama.

– Nie, nie, nie. – Obejmowałem ją mocno przez długą chwilę i sam się rozpląkałem, bo tylko tyle mogłem zrobić. Trzymałem ją długo. Dobry Boże, co za nieszczęście spotkało tę dziewczynę. Przypominałem sobie, że ostatni raz siedziałem tu z Georgina po śmierci brata. Czy gdzieś w zawłościach swego umysłu kojarzyła mnie ze śmiercią? John, ksiązę Stowey, posłaniec śmierci? Objąłem ją mocniej.

Kiedy rozluźniłem uścisk, by spojrzeć jej w twarz, zobaczyłem, że wróciła już do swego tajemniczego świata łagodnej nicości. Ucałowałem jej policzki, a ona uśmiechnęła się do mnie. Nie pamiętała już swoich strasznych obaw. Wyglądała

teraz na szczęśliwą, ale ja wciąż płakałem.

Wspiąłem się po schodach do ogrodu i wszedłem do głównego budynku, by odszukać siostrę Felicity, ale jakaś młoda zakonnica poinformowała mnie, że siostrze Felicity polecono wrócić do łóżka. Podziękowałem jej, po czym wyjąłem z kieszeni wszystkie drobne, jakie miałem, i wrzuciłem do skarbonki przy drzwiach. Brytyjskie monety nie będą mi na razie potrzebne, może nigdy.

– Cud się stał pewnego razu! Księżę Stowey daje coś na cele dobroczynne! – Odwróciłem się zaskoczony i ujrzałem, że z pomieszczeń klasztornych wychodzi moja siostra, Elizabeth. Jej mąż, lord Tredgarth, szedł dwa kroki za nią. Skinął do mnie głową z wyrazem niechęci, zaś Elizabeth patrzyła po prostu ironicznie. – Słyszałam, że przyjeżdżasz dziś rano, ale nie spodziewałam się, że cię tu zastanę o tej porze.

– Przyjechałem się pożegnać.

– Wybierasz się gdzieś?

Wzruszyłem ramionami.

– Gdziekolwiek.

– Nie zatrzymuję cię więc, braciszku.

Nie ruszyłem się. Spotkanie było niespodziewane i nagłe, a jednak mimo opryskliwości Elizabeth, wydawało mi się grubiaństwem tak po prostu pójść sobie. Bardzo mnie ciekawiło, co ją tu sprowadzało. Wyglądała bardzo elegancko w czarnej, letniej sukience i z krótko obciętymi blond włosami. Na szyi miała sznur pereł, a w rękę torebkę, która wyglądała na drogą. Peter Tredgarth z pewnością nie wydawał pieniędzy na takie głupstwa, a zatem kto? Rzuciła mi gniewne spojrzenie, sądząc że odejdę, ale ja stałem jak zaczarowany. W dużym holu, pachnącym pastą do podłóg i środkami dezynfekującymi, zapadła głucha cisza. Pierwszy nie wytrzymał lord Tredgarth.

– Jaką znajdujesz Georginę, John?

– Nie czuje się dobrze – odparłem. – Boi się przyszłości.

– Nie bądź śmieszny, John – warknęła Elizabeth. – Jej brakuje piątej kleпки, więc skąd może w ogóle wiedzieć, co to przyszłość?

– Przestraszyła się, że niania umrze, a ona zostanie sama.

– Ale jeśli to nastąpi, to raczej nie powinna szukać w tobie oparcia, prawda?

Czy coś kiedykolwiek dla niej zrobisz?

– Kochałem ją.

– Nie zachowuj się jak impertynent. Wszyscy kochamy Georginę. Ale niektórzy z nas muszą także myśleć praktycznie. – Zerknęła na zegarek, po czym skrzywiła się, widząc moje brudne dzinsy i nie wyprasowaną koszulę. – Wracasz na ląd?

– Nie.

– W takim razie nie muszę cię odwozić na lotnisko. – Chyba poczuła ulgę. – Chodźmy, Peter.

Zmarszczyłem czoło.

– To znaczy, że nie przyjechaliście do Georginy?

– Przyjechałam tu, braciszku, by sprawdzić, czy wystarcza pieniędzy na jej utrzymanie. Jak już wspominałam, niektórzy próbują myśleć praktycznie. Naprawdę nie ma sensu marnować czasu na odwiedzin u niej. Nie odróżniłaby mnie od Katarzyny Wielkiej, ale to nie przeszkadza, bym troszczyła się o jej sytuację. A teraz chodźmy, Peter, taksówka czeka.

Zaskrzypiały wysokie obcasy jej butów i zaczęły stukać o podłogę. Poszedłem za nią. Zatrzymała się i rzuciła mi aroganckie spojrzenie.

Gdzieś w głowie cicho zadzwonił mi dzwonek alarmowy. Nie ufałem Elizabeth, kiedy mówiła o pieniądzach Georginy. Elizabeth wciąż brakuje pieniędzy, a to z powodu jej męża, niedoświadczonego farmera i inwestora.

– Czy z pieniędzmi Georginy wszystko w porządku? – zapytałem siostrę.

– Całkowicie. Nie musisz się martwić. Zresztą dotąd cię to nie obchodziło. A teraz odsuń się, proszę.

– Powiedz mi coś – odezwałem się pod wpływem nagłego impulsu. – Czy poleciałś dwóm mężczyznom, by mnie zabili?

W oczach Elizabeth zapłonął ogień.

– Peter, jeśli John nie zejdzie mi z drogi, proszę cię, byś go z łaski swojej usunął.

Peter zbliżył się do nas. Był ogromnym, krzepkim mężczyzną, ale czego się nie tknął, wszystko mu nie wychodziło.

– Odwal się, Tredgarth – odezwałem się niegrzecznie, a Peter odsunął się, tak jak przewidywałem. – Wysłalaś ich? – zapytałem ponownie Elizabeth.

Zatrzymała się i zbierała myśli, by odparować.

– Jesteś głupcem, John – rzekła wreszcie. Zachowałeś się niepoprawnie na po-grzebie matki, a teraz oskarżasz mnie o planowanie morderstwa. Spróbuj nie być

taki patetyczny i śmieszny zarazem. Naprawdę poważnie się tobą martwię. Najwyraźniej nad naszą rodziną ciąży widmo szaleństwa. Georgina jest niepoczytalna, a teraz ty zaczynasz się zachowywać jak niespełna rozumu. Nie, nie wysłałam żadnych mężczyzn, by cię zamordowali. Choć czasami żałuję, że tego nie zrobiłam. Jest jeszcze coś, o co chciałbyś mnie oskarżyć? Nie? Świetnie. Zatem ustąp mi z drogi, z łaski swojej.

Przepuściłem ją. I wciąż nie rozumiałem, co takiego zaszło w Anglii, ani dlaczego i kto to wszystko rozpętał. Wiedziałem tylko, że w St Helier czeka na mnie jacht i ocean, który mam przepłynąć. Zatem wciąż nie znając odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, odszukałem wynajęty rower i popedałowałem na spotkanie szerokiego świata.

Następnego dnia w południe dobry zachodni wiatr przepchnął mnie przez cieśninę Fromveur między wyspą Ouessant a francuskim lądem. Ouessant lepiej było omijać od strony oceanu, daleko za horyzontem, unikając w ten sposób gęstego ruchu wokół Finisterre, ale zapragnąłem nagle poigrać z przypyływami w pobliżu lądu, ponieważ moje życie stanowiło teraz jedną wielką igraszkę. Pozwoliłem „Słonecznikowi” iść własnym kursem.

Przypyływ w przesmyku był tak silny, że przemknąłem przez cieśninę z prędkością niemal piętnastu węzłów. Wiatr był na tyle silny, że rozbijał fale na skałach u stóp latarni w Kereon. Nad oświetlonymi słońcem wyspami, jasnymi od kwiatów janowca, krzyczały morskie ptaki. Przez przesmyk płynął też inny brytyjski jacht, ale kiedy tylko minął boję przy Pierres Vertes, wziął kurs na południe, ku Raz de Sein, ja zaś płynąłem na zachód, w stronę otwartego oceanu. O zmierzchu, obejrawszy się, ujrzałem jasne światło latarni w Le Cre'ach i to był ostatni fragment lądu, jaki widziałem. Następnym przystankiem to Lizbona – pomyślałem – i zaraz się zastanowiłem, dlaczego? Prawdopodobnie dlatego, że kiedy pierwszy raz odpłynąłem z Devon, właśnie to był mój pierwszy port. Teraz nie miałem po co tam płynąć. Postanowiłem płynąć zamiast tego prosto na Azory. Popłynę do Horty i tam, na przyjaznych pomostach, znowu spotkam morskich włóczęgów. Oni rzadko wypuszczali się dalej na północ, niż na Azory, a tu przyplýwało ich naprawdę

niewielu, ale wiedziałem, że znajdę tam garstkę oszpeconych przez pogodę łodzi i usłyszę pierwsze, drobne plotki ze świata, który na jakiś czas opuściłem. Być może znajdę kogoś do załogi, by przepłynąć przez Atlantyk. A może zmienię plany i popłynę na południe, opłynę Afrykę wokół Przylądka Dobrej Nadziei i znajdę się na rajskim Oceanie Indyjskim. Nie przejmowałem się już niczym, więc w przypływie fantazji postanowiłem nie zawijać do Lizbony.

„Słonecznik” i ja wróciliśmy do starych przyzwyczajęń. Spałem głównie w dzień, kiedy inne jachty zazwyczaj baczniej obserwują morze niż nocą. Na topie masztu miałem nowy reflektor radarowy, ale wątpiłem, czy jakkolwiek nocna wachta na statku handlowym obserwuje radary. Raczej będą oglądać sprośne filmy na wideo i nawet nie poczują, jak poślą „Słonecznika” na dno. Cielska wielkich statków to znacznie częstsza przyczyna śmierci żeglarzy niż ich własne błędy. Zatem nocą, kiedy niebiosa łaskawie zapalały na firmamencie miliony gwiazd, stałem z szeroko otwartymi oczyma przy automatycznym sterze. Chwilami przysypiałem. „Słonecznik” płynął cudownie, a jego świeżo oczyszczony kadłub czuł się niczym ryba w wodzie. Smagały nas dość silne podmuchy wiatru, ale pogoda była ładna. Kołysała mnie do snu i skłaniała do refleksji.

Anglia stała się już nierzeczywistym, złym snem. Czy naprawdę dwóch mężczyzn usiłowało mnie zabić? Wiedziałem, że tak, ale teraz wspomnienie, które jeszcze niedawno powodowało, iż oblewałem się zimnym potem, wydawało się po prostu śmieszne. Na pewno wszystko było wielką pomyłką. Policja zupełnie nie zainteresowała się moim powrotem, no bo niby dlaczego mieliby się interesować? Urazę czuła do mnie jedynie rodzina i współpracownica sir Leona, który sądził, że pozbawiono go podstępem wspaniałego obrazu. Czy to oni nasłali tamtych dwóch? Ta możliwość mnie zaintrygowała, ale wystarczyło na chwilę wyobrazić sobie, jak Jennifer Pallavicini rozkazuje mnie zabić, by stwierdzić, że to bzdura. Z tego co wiedziałem, nie miała najmniejszego powodu. Bardziej prawdopodobną zleceniodawczynią była Elizabeth, ale to wszystko już się nie liczyło. Wszystkie wspomnienia rozwiął północno-zachodni wiatr i przestwór oceanu.

Pomyślałem, że Charlie ma rację. Obraz już dawno zniknął. Pewnie spoczywał już gdzieś w sejfie jakiegoś teksańskiego milionera, w rezydencji Japończyka albo w skarbcu któregoś szwajcarskiego banku. Ten, kto kupił ten obraz, dopełni

wszelkich starań, by przez następne pokolenia nikt o niczym się nie dowiedział. Być może za kilkadziesiąt lat obraz znów wypłynie i historycy sztuki przypomną sobie, że kiedyś skradziono go jakiejś nieznannej brytyjskiej rodzinie. Ale teraz dla mnie i dla Elizabeth, mógł się równie dobrze znajdować po drugiej stronie księżycy.

Na niczym mi już nie zależało. Wróciłem na morze, tnąc dziobem długie fale oceanu. Spałem rano. W południe, rozejrzawszy się jak zwykle, przyrządzałem sobie posiłek. Popołudniami zawsze znajdowała się jakaś praca. Nową stolarkę w kabinie należało jeszcze polakerować. I tak, dzień za dniem, warstwa za warstwą, nowe szafki nabierały coraz większego połysku. Późnym popołudniem ucinalem sobie krótką drzemkę, znów jadłem i czytałem, dopóki nie zaszło słońce. Miałem na pokładzie jakiegoś starego, zniszczonego Szekspira, Prousta, „Oksfordzką antologię poezji angielskiej” i relację Joshui Slocuma z samotnej podróży dookoła świata. Te cztery książki były chyba niezniszczalne. Przemoczyły się dokładnie, kiedy Garrard zrzucił „Słonecznika” z platformy, ale kartki wyschły i chociaż się posklejały mogłem je odczytać. Kiedy światło stawało się już tak słabe, że nie mogłem czytać, przygotowywałem sekstant na pojawienie się pierwszej gwiazdy i tak upływał czas.

W nocy ślad, który zostawiał za sobą jacht, fosforyzował. Niekiedy do kadłuba podpływała jakaś ryba i widziałem, jak zostawia za sobą ślad podobny do ogona komety. Oglądałem to już od siedmiu lat, ale jeszcze mi się nie znudziło i uważałem, że się nie znudzi. Im dalej płynęliśmy na południe, tym stawało się coraz cieplej. W dzień rzadko nosiłem ubrania. Po co niszczyć rzeczy, za które trzeba potem słono płacić? Na noc wciągałem dzinsy i sweter, a potem szedłem na pokład dziobowy, gdzie ćwiczyłem dotąd, aż cały nie oblałem się potem. Na jachcie nie ma zbyt wielu okazji do ćwiczeń. Najtrudniejsze zadanie to wciągnięcie grota, ale przy dobrej pogodzie czasami w ogóle się go nie opuszcza.

Raz musiałem opuścić żagle. Upłynęły dwa tygodnie od chwili, gdy minąłem Ouessant i pogoda się zmieniła. Świt ukazał moim oczom ponure, ciężkie fale, a żagle wisiały bezwładnie pod czystym niebem. Barometr spadał przez cały ranek, a od zachodu nadciągały ciężkie chmury, które zasnuły niebo ciemnością. W południe morze zaatakował ulewny deszcz, który ustał równie nagle, jak się zaczął. Ster zaczął mocno drgać.

Przeczuwałem szkwał. Nie dostrzegłem go na horyzoncie, ale wystarczył mi instykt. Na morzu najlepiej zawierzyć pierwszemu impulsowi, bo na zastanawianie się może już nie starczyć czasu. Opuściłem kliwra i związałem go, po czym zdjąłem grot. Przywiązałem ciężkie płótno do bomu i wyłączyłem automatycznego sternika. Zamknąłem dokładnie wszystkie luki i wejścia pod pokład.

W minutę później uderzył. Nadbiegł od zachodu, niczym pociąg ekspresowy. Wiatr i deszcz natarły z niebywałą wściekłością, ale uderzenie było tak szybkie, że nie zdołało wzburzyć powierzchni morza w groźne fale. Wydawało się, że deszcz miesza się z morską wodą, która rozbryzgiwała się w drobną mgiełkę. Kropelki uderzały w „Słonecznika”, niczym piasek wyrzucany przez piaskarkę podczas czyszczenia kadłuba. Furia natury rzuciła mnie na kolana i czułem, jak deszcz smaga moje nagie plecy, aż się zaczerwieniły. Nie słyszałem niczego, poza ogłuszającym sykiem. Zerknąłem w górę i ujrzałem, że maszt zaczyna się przeginać. Przednie wanty były napięte niczym struny, ale tylne zwisały dość luźno. Bałem się na to patrzeć. Nacisk wiatru na pusty maszt pchał jacht do tyłu, a napór wody groził złamaniem steru. Nigdy dotąd nie spotkałem na Atlantyku równie gwałtownego szkwału. Owszem, zdarzały się na Pacyfiku, ale ten atak należało potraktować jako słuszne memento: nigdy nie lekceważ morza. Nagle szkwał odszedł, tak szybko jak się pojawił.

Wiatr ucichł. Zaczął padać drobny deszcz. Za rufą morze pieniało się, zaś przed dziobem i wokół „Słonecznika” woda była po prostu czarna. Wydawało się, że kadłub jachtu drży.

Nadeszły jeszcze dwa szkwały, ale żaden nie był tak silny jak ten pierwszy. W godzinę po ostatnim, czarne chmury ustąpiły miejsca słońcu. Przed nastaniem nocy znów wciągnąłem wszystkie żagle i płynęliśmy na zachód jak gdyby nigdy nic. Pograłem trochę na harmonijce i otworzyłem butelkę dobrego wina. Przez pół nocy koło jachtu kręciły się dwa delfiny i obserwowały moje poczynania.

Następnego ranka pierwsze promienie świtu błysnęły różowo na spodniej stronie skrzydeł dwóch mew. To był znak, że zbliżałem się do Azorów i o zmierzchu mogę dojrzeć białe chmury piętrzące się wokół gór Graciosa. W pół doby później, po miłym nocnym rejsie „Słonecznik” cumował już bezpiecznie w Horta. W zatłoczonej zatoce rozpoznałem dwa jachty. Jeden z nich należał do pewnej gościnnej pary Amerykanów, których poznałem na Tasmanii, zaś drugi, nienagannie

utrzymana drewniana jolka, był własnością nieznośnego Szweda, uważanego za przekleństwo każdego żeglarza. W Café Sport zapytałem o Amerykanów.

- Mieli jakieś kłopoty rodzinne i polecieli do domu, Johnny.
- To niemożliwe – zaprotestowałem gorąco.

Ale ja sam popełniłem błąd, wybierając się do Café Sport. Właśnie adresowałem jakąś wyświechtaną pocztówkę do Charliego, kiedy Ulf, ten okropny Szwed, klepnął mnie w plecy.

– Zobaczyłem „Słonecznika”. Powiedziałem sobie: ani chybi to Johnny. Jak się masz?

Jako że wróciłem do swego właściwego świata i z tego powodu czułem się przyjaźnie nastawiony do wszystkich ludzi, nawet do takich nieprzyjemnych indywiduów jak Ulf, powiedziałem mu, że czuję się doskonale, co chyba trochę go rozczarowało. Zapytałem o jego samopoczucie.

– Jak na pewno dobrze wiesz, to zbędne pytanie, Johnny. Nigdy nie choruję. Choroba fizyczna to po prostu oznaka jakichś problemów w podświadomości. – Zaczął i nie można mu było przerwać ani tego znieść. Słyszałem kiedyś, jak pewien Australijczyk groził, że połamie mu jego cholerne kulasy, żeby sprawdzić słusność głoszonej przez niego teorii, iż wszelkie dolegliwości biorą się z umysłu. Problem jednak w tym, że nieznośny Ulf wyrasta dobre dwa metry nad ziemię i wygląda jak reklama sterydów.

Pił lemoniadę, a ja sączyłem piwo. Kiedy już wyłożył swą teorię ludzkich chorób, przyczepił się do „Słonecznika”.

– Zafasowałeś sobie nowy maszt, co?

– To ten kijek tak się właśnie nazywa? Całą drogę się nad tym zastanawiałem.

– Pamiętam, że ci mówiłem, żebyś sobie sprawił nowy maszt. Dobrze zrobiłeś, że posłuchałeś mojej rady, Johnny. Ale powinieneś sobie kupić drewniany maszt. Drewniany łatwiej zreperować. A przednie wanty masz za bardzo wysunięte do przodu.

– Wcale nie.

– Znam się na tym. Jeśli nie chcesz odczepiać ich od pokładu, powinieneś skrócić maszt o jakieś trzy stopy. Skończyłyby się problemy z opornym chodzeniem na wietrze.

– Chrzanisz. „Słonecznik” chodzi jak złoto. – No, może jest trochę ociężały,

przyznałem w duchu, ale nie ma się czym martwić. – Chrzanisz – powtórzyłem.

Uśmiechnął się. Ulf zawsze się śmiał, kiedy ktoś go obrażał, a obrażano go często, bo zawsze wiedział, co jest nie tak z jachtami innych i bez pytania proponował swe natrętne rady.

- Przyjdę go obejrzyć, Johnny.
- Nie chcę.
- Zrobię to za darmo. Chodzi mi tylko o twoje bezpieczeństwo.

Zamówiłem następne piwo. Próbowiałem przypomnieć sobie jakąś poważną wadę jolki Ulfa, którą mógłbym mu wytknąć, ale nie starczało mi wyobraźni. Jacht tego draba był bez zarzutu.

- Ktoś o ciebie pytał w zeszłym tygodniu – rzekł nagle Ulf.
- Kto?
- Nie wiem. Przekazuję ci tylko co wiem.
- Mężczyzna? Kobieta? Szwed?

Ulf nie zrozumiał tego niezbyt lotnego dowcipu. Zupełnie nie miał poczucia humoru, tylko skórę grubą jak u rekina.

– Jakiś mężczyzna – powiedział od niechcenia. – Chyba Portugalczyk. Miał na sobie garnitur. Nie jest stąd, przynajmniej nie spotkałem go od tamtego czasu.

Nie podobało mi się, że pytał o mnie ktoś w garniturze. W moim mniemaniu ten człowiek od razu był podejrzany, ale przynajmniej nie był Anglikiem, a to oznaczało, że nie mógł to być Garrard.

- Czy powiedział, że mnie szuka?
- Nie.
- Twoja pomoc jest wręcz nieoceniona, Ulf.

– Staram się jak mogę. – Uśmiechnął się do mnie łaskawie. – To mój życiowy cel: pomagać ludziom. Ale ten mężczyzna powiedział coś bardzo, moim zdaniem, godnego uwagi.

- Co takiego?
- Że jesteś angielskim księciem. Prawdziwym arystokratą.

Prychnąłem w kufel z piwem.

- O rany, daj spokój, Ulf. Na miłość boską! Od jak dawna mnie znasz?
- Pierwszy raz spotkaliśmy się na Markizach, pamiętam to. No to w takim razie będzie już trzy lata.
- Naprawdę myślisz, że jakiś książę pływałby jako żeglarz-gołodupiec?

– Przyznaję, że to mnie zaskoczyło.
– To nieprawda. Więc nie rozpowiadaj ludziom, że tak jest. Mój ojciec hodo-
wał szczury laboratoryjne, a matka pracowała w biurze matrymonialnym, dopóki
nie puściła się z jednym z klientów.

Ulf wciąż miał wątpliwości.

– Skoro tak mówisz, Johnny.
– Naprawdę tak jest.
– W takim razie muszę ci uwierzyć. – Łyknął lemoniady. – A jeśli ten pomy-
lony facet znowu się pojawi, to co mam mu powiedzieć?
– Żeby spieprzał stąd w podskokach, to oczywiste.
– Często dochodzę do wniosku – odezwał się monotonna – że my w Szwecji
nie mamy tak nieprzyzwoitego języka, jak wy, Anglicy.

Biedna, cholerna Szwecja, pomyślałem.

– Nie widziałeś mnie, Ulf – wyłożyłem mu kawę na ławę. – Rozumiesz? Nie
istnieję, zniknąłem.

– Rozumiem, Johnny. Możesz mi zaufać.

Nie obchodziło mnie, kto mnie szukał. Chciałem wreszcie zostać sam.

Albo prawie sam. Przez kilka dni kręciłem się w Horcie, próbując zaobserwo-
wać jakąś prawidłowość w pogodzie na Atlantyku i z nadzieją, że jakaś dziewczyna
zapropONUje swoją kandydaturę na członka załogi „Słonecznika”. To opóźnienie
pozwoLIło Ulfowi wprosić się na mój jacht. Poinformował mnie, że mam niewła-
ściwy odpływ wody z kokpitu, krzywy pokład na dziobie, a cały jacht nie ma wi-
goru. Poradził mi też, by zastąpić aluminiowy stelaż dla kliwra prętami z włókna
węglowego, a kiedy zapytałem go, skąd mam u diabła wziąć włókno węglowe na
zagubionych wyspach pośrodku cholernego Atlantyku, poradził mi, bym kupił
drewniane. Właściwie to był niezły pomysł. Właśnie tak było z UlfeM: zwykle
miał rację, ale większość ludzi z przekory postępowała dokładnie wbrew jego
radom. Poradził mi, bym rzucił palenie, więc dmuchałem w niego dymem z fajki,
dopóki sobie nie poszedł.

Tego wieczoru poznałem pewną młodą Dunkę, którą niemal przekonałem, by

uciekła z jachtu przyjaciół i przepłynęła Atlantyk ze mną, ale rano przemyślała wszystko jeszcze raz i odjechała na północ, do matki. Zacząłem się zastanawiać na samotnym rejsie. Sezon był niezbyt odpowiedni na przepłynięcie Atlantyku, a mapy pogody służyły niewielką pomocą. Postanowiłem więc płynąć na południe, daleko na południe. Przypominałem sobie, jak Joshua Slocum wyruszył, by opłynąć świat z zachodu na wschód, ale kiedy przy afrykańskim brzegu zaczęli go ścigać piraci, nagle zmienił decyzję i postanowił płynąć ze wschodu na zachód. Jeśli takie zmienne decyzje były dobre dla Joshui i jego „Spraya”, będą także dobre dla Johnny’ego i „Słonecznika”. Wyciągnąłem mapy mórz południowych. Na afrykańskim wybrzeżu była rzeka, gdzie poznałem kiedyś przyjaciół. Tam mogłem również uzupełnić zapasy. Mimo mrocznych prognoz Ulfa, „Słonecznik” był w świetnej formie i gotowy do drogi.

Zatem następnego ranka kupiłem wino, ser, świeże owoce i warzywa. Postanowiłem wypłynąć wraz z nadejściem nocy. W południe skończyłem uzupełnianie zapasów, wysłałem pocztówkę do Georginy i siostry Felicity, po czym zszedłem do kabiny, by się przespać. Było gorąco, a w powietrzu unosił się jeszcze zapach lakieru do drewna. Co gorsza, dochodził do tego zapach kwasu bornego w proszku, który rozsypałem w dużych ilościach, jako śmiertelny poczęstunek dla azorskich karaluchów. Nie miałem na sobie nic poza wyblakłymi krótkimi spodenkami z dżinsu, ale i tak ociekałem potem. Zamknąłem wejście do kabiny, by stworzyć półmrok, który miał sprzyjać sspaniu. Jednak zamiast spać, wierciłem się na koi. Słuchałem plusku wody uderzającej o stalowy kadłub i próbowałem potraktować to jako kotysankę.

Już udało mi się trochę zdrzemnąć, kiedy usłyszałem, że po kładce ktoś wchodzi na pokład „Słonecznika”. Zakląłem. Może mam szczęście i to tylko jakiś żeglarz, który chce zacumować w pobliżu. Usłyszałem jednak kroki w kierunku kokpitu, a potem delikatne pukanie do kabiny.

- To ty, Ulf? – krzyknąłem. – Spadaj.
- Panie Rossendale? – To był głos kobiety.

Zsunąłem się z koi i otworzyłem kabinę. Nagły zalew światła oślepił mnie, więc przymknąłem oczy. Byłem tak zaskoczony, że na początku pomyślałem, iż śnię i mam jakieś omamy.

– Wielki Boże na niebiosach – pozdrowiłem mego gościa.

– Dzień dobry. – To była Jennifer Pallavicini.

– Witam. – Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Ona najwyraźniej także nie, ponieważ opuściła ją zwykła pewność siebie. Czowała się bardzo nieswojo, być może dlatego, że nie była w klimatyzowanej galerii sztuki, a jedynie na maleńkiej wyspce, na obskurnym jachcie, z mężczyzną, którego niedawno pomówiła o kradzież. Wyglądała na dość chłodną, mimo upiornego upału. Miała na sobie białą bluzkę i jasne, markowe džinsy, ale w jej oczach czaiła się nieśmiałość, która nie pasowała do tej niezwykle zdolnej dziewczyny. Oparłem się o wejście do kabiny.

– Zastanawiałem się – rzekłem bez związku – skąd u Angielki nazwisko Pallavicini?

– To proste, mój ojciec był Włochem. Matka jest Angielką.

– Był?

– Ojciec zmarł dziesięć lat temu.

Powiedziała to niemal agresywnie, jakby wyzywając mnie, bym znalazł właściwą odpowiedź. Wymamrotałem jakieś zwyczajowe kondolencje, po czym otworzyłemabinę do końca i zaprosiłem Jennifer do środka.

– Mogę zaproponować pani kawę – zaofiarowałem się gościnnie. – Kiepskie azorskie wino, irlandzką whisky, piwo, sok pomarańczowy albo kawę rozpuszczalną.

– Nie przyjechałam tu w gości, panie Rossendale. – W tej wypowiedzi po-brzmiewał już cień jej dawnej wyniosłości.

– Tylko niech pani mi potem nie mówi, że chce się pani pić, do cholery. – Wlałem sobie do kubka trochę azorskiego cienkuszka, zabrałem kubek i butelkę do kokpitu i usiadłem. Jennifer Pallavicini wciąż stała.

– Przysłał mnie sir Leon – powiedziała, jakby chciała do końca wyjaśnić powód swojej obecności.

– A ja myślałem, że nie mogła się pani oprzeć memu urokowi. A może przyjechała pani mnie przeprosić? – Ujrzałem na jej twarzy urażoną dumę. – Na miłość boską, dziewczyno, siadaj i pij. Przecież cię nie otruję.

– Poproszę herbatę – powiedziała siadając.

Żadne z nas się nie odzywało, kiedy parzyłem herbatę. Zapowiadała się niezbyt miła herbatka. Przypomniałem sobie, że Jennifer piła herbatę bez cukru i mleka,

więc podałem jej gorzką, z plasterkiem cytryny. Podziękowała. Zapytałem, jak mnie tu znalazła.

– Sir Leon postawił na nogi wszystkie porty, do których mógł pan zawinąć. Kilka dni temu przyjechał tu nasz człowiek i umówił się z pewnym szwedzkim żeglarzem, że ten powiadomi nas, kiedy pan się tylko pojawi.

Ulf, pomyślałem, ty sprytny, zdradliwy, cholerny draniu. Miałem nadzieję, że jego cenna jolka kiedyś zatonie. Nawet się nie odezwałem. Zamiast tego, z powodu skwaru, rozpiąłem nad kokpitem płócienny daszek. Nawet jeśli Jennifer Pallavicini była wdzięczna za troskę, nie pokazała tego po sobie.

Usiadłem i pociągnąłem łyk ciepłego wina.

– Przypuszczam, że sir Leon tym samym po raz ostatni apeluje do mnie? – Nie odpowiedziała i pokręciła głową. – Nie ukradłem tego cholernego obrazu. Nie miałem z nim absolutnie nic wspólnego.

Puściła mimo uszu moje zapewnienia. Zapytała za to podniesionym głosem, czy kiedykolwiek podobało mi się to płótno.

Zarówno pytanie, jak i szczerść głosu, którym je zadała, zaskoczyły mnie.

– Tak, obraz podobał mi się. Bardzo. – Uśmiechnąłem się. – Wyglądał jak odprysk słońca powieszony na ścianie.

– Pod względem kolorów był bardzo dobry – powiedziała beznamiętnie. – Być może najlepszy ze wszystkich.

– Kiedyś chodziłem do pokoju matki, by na niego popatrzeć – ciągnąłem dalej. – Nie podobało jej się to, ale ona nie pochwalała większości moich poczynań. W końcu kazała zamknąć wschodnie skrzydło, by ukrócić moje, jak to nazywała, wtargnięcia.

– Ale mógł pan zdobyć klucze do zamków?

– No tak, panno Pallavicini. I często to robiłem. Ale czy to czyni ze mnie złodzieja?

Nie odpowiedziała. Nagle zacząłem się zastanawiać, czy aby na pewno była „panną” Pallavicini. Nie nosiła obrączki.

Spostrzegła, że patrzę jej na ręce i chyba ją to rozbawiło. Z kolei ona zerknęła na moje dłonie. Byłem spocony, pokryty bliznami, opalony i brudny. Sądziłem, że Jennifer jest dziewczyną, która lubi, kiedy mężczyzna stosuje talk pod pachy i skrapia się wodą kolońską, a to dawało mi raczej marne szanse na jakąkolwiek bliższą znajomość. Uświadomiłem sobie nagle, że naprawdę chciałbym zawrzeć z

nią bliższą znajomość, ale może było to związane z wczorajszą odmową młodej Dunki?

– Sprawdziliśmy pana opowieść o nazwie jachtu – odezwała się nagle Jennifer. – Powiedział pan prawdę.

– Dziękuję, wysoki sędzie. – Skłoniłem się ironicznie w ciasnym wnętrzu kokpitu.

Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Jak pan zarabia na życie?

– Dzięki temu – podniosłem ręce. – Za miesiąc lub dwa znajdę się na wodach, gdzie nie ma stoczni, zakładów kowalskich, ani żaglomistrzów, ale jest dość popsutych jachtów, które wymagają paru napraw. Będę reperował silniki, napinał takielunki, remontował kadłuby. Jeśli nie potrafię czegoś naprawić, prawdopodobnie nikt inny tego nie zrobi.

– I utrzymuje się pan z tej działalności? – zapytała z niedowierzaniem.

– Mam trochę pieniędzy. Miałem wuja, niejakiego Thomasa, który podzielał moje poglądy na resztę rodziny, więc zostawił mi spadek. – Nalałem sobie jeszcze trochę wina. Było słabe, ale przywykłem do takich trunków. – O co chodzi, panno Pallavicini? Krzyżowy ogień pytań?

Wpatrywała się we mnie, jakby spodziewała się odnaleźć prawdę na dnie moich oczu.

– Gdybym tylko wiedziała, czy to pan ukradł ten obraz – powiedziała po chwili.

– Nie zrobiłem tego. Przysięgam na co tylko pani zechce, to naprawdę nie ja.

Milczała, czekała chyba, aż strzeli we mnie piorun po złożeniu tej przysięgi. Ale wciąż żyłem.

– Jeśli pan tego nie zrobił – zapytała – dlaczego tamci dwaj myśleli, że wie pan gdzie on jest?

– Bo mieli nierówno pod sufitem. – Przerwałem. – Myślałem, że to sir Leon ich przysłał.

– To śmieszne! – Była naprawdę zaskoczona moim zarzutem. – Mnie też napadli!

– A może to było upozorowane? – wysunąłem przypuszczenie, ale niezbyt śmiało. – Po to, bym sądził, że pani ich nie zna.

– Jest pan idiotą – powiedziała zdenerwowana do granic, ale nie tak wrogo, jak zwykle.

Wzruszyłem ramionami, ale nic nie powiedziałem. Na rufie „Słonecznika” przysiadła mewa. Przez chwilę dreptała, po czym odleciała. Jakiś jaskrawo pomalowany kuter rybacki włączył silnik i kaszlnął chmurą dymu, która uniosła się nad zatoką.

– Potrzebujemy pańskiej pomocy, panie Rossendale – odezwała się Jennifer Pallavicini, kiedy cisza zaczęła się stawać niezręczna.

– Płynę na południe – odparłem. – Właśnie zrobiłem zapasy, opracowałem kurs i płynę na południe. Prawdopodobnie zawinę do Las Palmas na Wyspach Kanaryjskich, bo w tamtejszym porcie kręci się zawsze mnóstwo dziewczyn czekających na jacht, który powiezie je gdziekolwiek. Potem popłynę w okolice pewnej afrykańskiej rzeki, które odwiedziłem dwa lata temu. Mieszkańcy tamtejszej wioski nie widują żeglarzy przez cały rok, więc są przyjaźni. Trochę ciężko się tam dostać, bo kurs wytycza tylko jedna zardzewiała boja, a wokół pełno mielizn, które wiją się jak węże w śpiworze, ale...

– Proszę – przerwała mi Jennifer Pallavicini.

– Kiedy byłem tam ostatnio, wyremontowałem im prądnicę. – Puściłem mimo uszu jej prośbę. – Obiecałem wrócić i sprawdzić, czy wciąż działa.

Jennifer Pallavicini nie odezwała się. Kusiło mnie jak diabli, by zaferować jej pomoc, ale tylko dlatego, że była taką piękną dziewczyną. Zastosowałem się jednak do rad feministek i podejmując decyzję przyjąłem, że Jennifer jest brzydka jak zadek pawiana.

– Niestety, muszę odmówić – odparłem. – W ubiegłym miesiącu zaproponowałem pani pomoc, a pani ją odrzuciła.

Otworzyła torebkę i wyjęła kopertę. Przez chwilę pomyślałem, że proponuje mi autograf sir Leona na czeku, ale ona wyjęła z koperty fotografię. Podała mi ją.

Na zdjęciu ujrzałem bladeżółty trójkąt, obok którego znajdowała się białoczarna miarka, która mówiła, iż każdy bok trójkąta ma trzy cale długości.

– Nie jestem znawcą współczesnej sztuki – powiedziałem. – Ale na pani miejscu nie kupowałbym tego.

Nie zwróciła uwagi na tę delikatną uszczypliwość.

– To róg obrazu – powiedziała pedantycznie. – A nasze testy dowiodły, że

niemal na pewno pochodzi ze „Słoneczników”, które wisiały w Stowey. Wraz z nim, panie Rossendale, przesłano list z żądaniem czterech milionów funtów za resztę obrazu. List nadano dwa tygodnie temu. Napisano w nim, że jeśli nie dostarczymy okupu do końca sierpnia, obraz zostanie spalony, a popiół otrzymamy pocztą.

– No to zapłaćcie te cztery miliony – odezwałem się beztrąsko. – To chyba uczciwa cena za obraz wart dwadzieścia milionów.

– Zapłacić cztery miliony funtów jakiemuś szantażyście? Człowiekowi, który jutro zażąda jeszcze więcej? Który po odebraniu pierwszych pieniędzy potnie „Słoneczniki” na kawałki i zażąda kolejnych czterech milionów? – Nagle zaczęła grzmieć z pasją. – Na miłość boską, panie Rossendale, czy pan nie rozumie? Ci złodzieje okaleczą ten obraz dla pieniędzy! To barbarzyńcy i trzeba ich powstrzymać!

– Chwileczkę – przerwałem jej. – Jeszcze miesiąc temu uważała pani, że to ja jestem złodziejem. Teraz wybrała pani bandę barbarzyńców.

– Może to ten, komu sprzedał pan obraz – odparła gniewnie.

Wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową.

– Nie poczuwam się do winy.

– A może to pan – powiedziała. – Może wydaje się panu, że najpierw zapłacimy okup, a potem jeszcze kupimy obraz od pana.

– Proszę dać mi czek na cztery miliony i obraz jest pani – rzuciłem poirytowany.

– Do diabła – rzekła wzburzona i wepchnęła fotografię do torebki.

Za moimi plecami do zatoki wchodził francuski ślup. Odwróciłem się, by zobaczyć jak składa żagle i ujrzałem dziewczynę w bikini, która przeszła na dziób, by złapać cumę. Ulf wychodził z siebie i wyginał się na wszystkie strony, by dostrzec jakieś wady w nowo przybyłym jachcie. Dziewczyna była w porządku, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Zerknąłem na Jennifer Pallavicini i doszedłem do wniosku, że ona też wyglądałaby bardzo ładnie w bikini.

– Do czego jestem wam potrzebny? – zapytałem. – Na pewno wynajęliście specjalistów od szantażu. Powiadomiście policję?

– Oczywiście, że tak. Przydzielono nam oficera, który poprzednio zajmował się sprawą kradzieży.

– Tylko nie Harry Abbott!

– Detektyw inspektor Abbott – poprawiła mnie. – Zgadza się.

– Jasna cholera! – powiedziałem z obrzydzeniem. Harry Abbott to jedna z tych wstrętnych pełzających istot. To właśnie przede wszystkim on próbował mnie wrobić w kradzież van Gogha. Wtedy mu się nie udało, ale nie uśmiechało mi się dawać mu kolejną szansę. – Co ten drań kazał wam zrobić? Nie poszedłbym nawet do raju, gdyby to Harry mnie namawiał.

– Ale to nie zmienia faktu, że powinien pan zrobić wszystko, co w pańskiej mocy, by nam pomóc. W końcu jest pan prawnym właścicielem obrazu.

– Jeszcze przed chwilą oskarżała mnie pani o szantaż – przypomniałem jej.

– Inspektor Abbott – z tonu jej głosu można było wywnioskować, że nie do końca zgadza się z policjantem – twierdzi, że szantażyści odczekali, aż pan odplynie i dopiero wtedy zwrócili się do sir Leona.

– A dlaczego mieliby tak zrobić?

Wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma pojęcia.

– Wiem za to na pewno, że potrzebujemy pańskiej zgody na podjęcie jakiegokolwiek próby odzyskania obrazu. W innym przypadku sir Leon może zostać oskarżony o przyjmowanie skradzionych dóbr. Zatem potrzebujemy pańskiej zgody na negocjacje.

To wyglądało dość uczciwie.

– Czy to oznacza, że jeśli sir Leon odzyska obraz, będzie musiał mi go oddać?

– Oczywiście – powiedziała wyzywająco, jakby już proponowała mi obraz.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Nie chciałbym go. Gdzie bym go powiesił? Może znalazłoby się trochę miejsca w toalecie, ale na pewno ciężko byłoby się wtedy dostać do szafki.

Ten drobny żarcik uderzył o ziemię niczym wielki głaz. Westchnąłem, zszedłem do kabiny i wyrwałem kartkę z notesu. Znalazłem ołówek i napisałem krótką notatkę: „Sir Leon Buzzacott i oddani mu niewolnicy mają moje pełne błogosławieństwo do bezpiecznego odzyskania obrazu Vincenta van Gogha, znanego powszechnie jako »Słoneczniki« ze Stowey. Niniejsze zezwolenie podpisał John

Rossendale, lord Stowey, księżę Stowey i z boskiego nadania kapitan wspianego jachtu »Słonecznik«». Opatrzyłem pisemko aktualną datą, przyozdobiłem wyszukaną pieczętą, na której umieściłem napis „Słonecznik”, pseudokrólewską koronę i jakieś cyfry nie mające żadnego znaczenia. Korzystałem z tej pieczętą, by zrobić wrażenie na celnikach w nic nie znaczących, ale zadufanych krajach. Nie zmniejszało to biurokracji ani wysokości łapówek, ale czasami ułatwiało pewne drobności.

– Proszę bardzo. – Podałem karteczkę Jennifer Pallavicini. – Tego właśnie chcecie, prawda? Szkoda, że musiała pani lecieć po to aż tutaj. Gdyby ładnie mnie pani poprosiła, wysłałbym to pocztą. Ale i tak miło było panią znów zobaczyć. Zje pani wczesną kolację, zanim wypłynę? Robię wspianą boeuf à la Bourguignonne. Mam nawet świeże warzywa.

Nie zwracała uwagi na moją paplaninę. Podała karteczkę na strzępy i wbrew apelom Greenpeace wrzuciła papierki do wody.

– Potrzebujemy pańskiej osobistej pomocy, milordzie.

Przystanąłem.

– Zawsze robię się podejrzliwy, kiedy tytułuje mnie pani „milordem”. Co zamierzacie zrobić po moim powrocie do Anglii? Wymusić przyznanie się do winy za pomocą tortur?

– Jeśli zgodzi się pan nam pomóc – powiedziała – naturalnie uwierzemy w pana niewinność.

Udałem niezmiernie zaskoczenie.

– O mój Boże! Jacy wyście mili!

Zarumieniła się, ale ciągnęła dalej.

– Potrzebujemy pańskiej wiedzy. Może pan sobie przypomnieć, co się stało cztery lata temu. Wie pan znacznie więcej niż ja o tych dwóch draniach. Ktoś boi się tego, co pan wie, ale jeśli pan zniknie gdzieś na morzu, ten ktoś ukryje się i nigdy już nie ujawni. Zatem proszę, milordzie, niech pan wróci i nam pomoże.

Poprosiła tak ładnie i była tak piękna, że już niemal się zgodziłem. Ale za każdym razem, kiedy wracałem do domu, później tego żałowałem. Byłem na morzu i już zdążyłem poczuć jego smak, marzyłem o palmach nad brzegami rzek i nieprzyzwoicie niebieskich lagunach.

– Macie moje ustne zezwolenie – powiedziałem zmęczonym głosem. –

Możecie zrobić, co uznacie za stosowne, więc róbcie to. Ale zostawcie mnie w spokoju.

Skinęła głową, jakby była przygotowana na tę odmowę.

– Mam dla pana jeszcze jedną wiadomość.

Machnąłem niedbale ręką, dając jej do zrozumienia, że nie obchodzi mnie ta wiadomość, może mówić albo nie.

– Pańska siostra, lady Elizabeth Tredgarth, wszczęła postępowanie, by sprowadzić pańską młodszą siostrę z powrotem do Anglii.

Mówiła bardzo opanowanym, niemal pokerowym głosem. Zaskoczyła mnie, tak jak przewidywała.

– Co takiego? – Nie potrafiłem ukryć gniewu w głosie.

Jennifer Pallavicini wrzuciła ramionami, dając do zrozumienia, że niezbyt ją to obchodzi.

– Zdaje się, że pewna zakonnica szczególnie lubi lady Georginę?

– Tak, siostra Felicity.

– Lady Elizabeth uważa, że siostra Felicity jest już za stara i nazbyt chora, by opiekować się lady Georgina. Istnieje też niebezpieczeństwo, że klasztor może zostać sprzedany, więc lady Elizabeth chce sprowadzić młodszą siostrę do domu.

– Do domu?

– Oczywiście tam, gdzie mieszka. Do Gloucestershire, prawda?

Patrzyłem z przerażeniem na Jennifer Pallavicini.

– To śmieszne – rzekłem. – Elizabeth nie znosi nawet widoku Georginy!

Nie odpowiedziała.

– Skąd u diabła wiecie o tym wszystkim? – Zapytałem gniewnie.

– Bardzo interesujemy się pańską rodziną – odpowiedziała równie wzburzona.

– Pańska rodzina może przynieść naszej galerii ogromny skarb.

– Pani to zmyśla – rzekłem. – Opowiada mi pani bzdury licząc na to, że wrócę do Anglii!

– Pańska siostra nie chciała, żeby pan się o tym dowiedział – odparła. – Nie rozpoczynała postępowania, dopóki pan nie odpłynął. Oczywiście nie musi mi pan wierzyć, ale pomyślałam, że może zainteresuje pana ta wiadomość.

Kłopot w tym, że jej wierzyłem. Jak inaczej wytłumaczyć obecność Elizabeth w klasztorze?

– Ale zapłaciliśmy za Georginę – zaprotestowałem. – Za opiekę do końca życia!

– Na fundusz opieki nad pańską siostrą przelano sporą sumę – powiedziała spokojnie Jennifer Pallavicini. – Ale nasi radcy prawni poinformowali nas, że opiekunowie funduszu zachowują prawo do określania sposobu wydatkowania tych pieniędzy. Jeśli lady Elizabeth jest przekonana, że potrafi zająć się siostrą, nie ma powodu, by nie powierzyć jej środków z funduszu.

Tak, to miało sens, wszystko stało się jasne. Elizabeth, która poślubiła zubożałego i bezużytecznego człowieka wyciągnie pazury po pieniądze Georginy, a moja młodsza siostra zostanie umieszczona pewnie w chałupie na farmie Tredgarthów pod strażą jakiejś staruchy.

– Nie podjęto jeszcze żadnej decyzji – ciągnęła Jennifer Pallavicini. – Opiekunowie funduszu muszą być przekonani, że lady Elizabeth może zapewnić odpowiedni dom swojej młodszej siostrze, ale nie ma chyba wątpliwości, że uda się jej ich przekonać.

– Do diabła – odezwałem się do Jennifer Pallavicini. – Do diabła, do diabła, do diabła. – Krępowaly mnie coraz mocniej więzy obowiązków. Mogłem zostawić Stowey, mogłem patrzeć na śmierć matki nie uroniwszy nawet łzy, ale Georgina to zupełnie inna sprawa. Jej okropnej choroby nie wyśmiewała tylko niania, Charlie i ja. Teraz potrzebowała mnie.

– Sir Leon – Jennifer Pallavicini nie mogła się oprzeć malutkiemu uśmieškowi, gdy wyciągała atutowego asa – pragnie zagwarantować bezpieczną przyszłość lady Georginie niezależnie od tego czy obraz się odnajdzie, czy nie.

Nie odezwałem się. Przypomniałem sobie, z jakim okrucieństwem Elizabeth traktowała Georginę w dzieciństwie. Nie było to rozmyślne, raczej wynikało z niecierpliwości Elizabeth. Ale tak czy inaczej, nie dopuszczałem nawet myśli, że Georgina może się dostać pod opiekę Elizabeth.

Jennifer Pallavicini obserwowała mnie, po czym wyjęła z torebki bilet lotniczy, który położyła na stoliku.

– Jeśli uda się pan do radców prawnych rodziny, milordzie, z pewnością natychmiast zatrzyma pan całe to bezsensowne zamieszanie.

Wziąłem bilet do ręki. Pierwsza klasa, z Azorów do Lizbony i z Lizbony do Londynu.

– Jeśli chodzi o rodzinę – powiedziałem twardo – nie potrzebuję waszej cholernej pomocy. – Podarłem bilet na strzępy i wrzuciłem je do wody. – Żegnam, panno Pallavicini.

Rozgniewałem ją, ale udało mi się też zaskoczyć. Doszła do siebie dopiero po kilku sekundach i próbowała wywołać we mnie poczucie winy.

– Pisanie do radców nic nie da, milordzie. Pańskie zastrzeżenia co do losu lady Georginy nie zostaną potraktowane serio, o ile nie zjawi się pan tam osobiście i nie weźmie za nią odpowiedzialności.

– Powiedziałem, że nie potrzebuję waszej pomocy, by opiekować się rodziną, panno Pallavicini. Żegnam.

– Nie pomoże pan młodszej siostrze? – zapytała z niedowierzaniem.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Zamierzam odpłynąć, Jennifer. – Strzeliłem palcami, jakby nagle przyszła mi do głowy doskonała myśl. – Może popłynie pani ze mną? Potrafi chyba pani gotować?

Wstała.

– Wprost nie mogę w to uwierzyć – powiedziała bezradnie i wyniośle – że może pan być tak nieczuły na los młodszej siostry. – Przerwała, najwyraźniej szukając jakiejś miażdżącej wypowiedzi na pożegnanie. – Jest pan z całą pewnością najbardziej egoistycznym i nieczułym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

– A pani zajmuje miejsce na moim jachcie, więc jeśli nie chce pani ze mną płynąć, proszę sobie iść.

Odeszła.

Godzinę później, gdy zdejmowałem pokrowiec z grota, ujrzałem, że ktoś odwozi ją na jolkę Ulfa. Przypuszczałem, że płynie zapłacić swemu informatorowi, więc odczepiłem od rufy szalupę z włókna szklanego i popłynąłem do nich. Nie zwracałem uwagi na pannę Pallavicini. Zgasiłem silnik i dryfując w stronę jachtu Szweda, powiedziałem tylko Ulfowi, że jest draniem.

– Johnny, jak miło znowu cię widzieć! Zapewne znasz pannę Pallavicini? Napijesz się z nami?

– Nie wypiłbym twego zasranego soku śliwkowego, nawet gdybym miał umrzeć z zatwardzenia. – Wyszedłem z szalupy, przywiązałem ją do jednej z want i podszedłem do Ulfa. – Mówiłem ci, żebyś trzymał tę swoją szwedzką gębę

zamkniętą na kłódkę.

Oczy Jennifer Pallavicini rozwarły się szeroko z przerażenia. Przycisnęła torebkę do brzucha, ale nie była w stanie wykonać żadnego innego ruchu. Z pewnością sądziła, że potężny Szwed rozgniecie mnie na kwaśne jabłko i na pewno uważałyby, że mi się to należało. Ale co innego pomyśleć o bijatyce, a co innego ujrzeć prawdziwą krew na pokładzie. Ja także uważałem, że Ulf mnie rozgniecie, ale miałem dość tego drania i chciałem mu dołożyć.

– To był tylko interes – odparł gładko Ulf.

– A to twój zysk. – Wskoczyłem do nieskazitelnie czystego kokpitu i uderzyłem go w brzuch. Chwycił ustami powietrze, lecz nie oddał mi, więc uderzyłem go z całej siły w twarz. Głowa mu odskoczyła do tyłu, a na ustach Szweda pojawiła się strużka krwi.

Wciąż nie miał ochoty do walki.

– Johnny! – Otarł usta. – To do ciebie niepodobne.

– To dlatego, że mnie jeszcze nie znasz. A więc słuchaj. Jeśli kiedykolwiek jeszcze piśniesz komukolwiek choćby słówko, znajdę twoje cielsko nawet na końcu świata i rzucę rekinom na pożarcie. Zrozumiano?

Odsunął się. Na twarzy Jennifer Pallavicini ujrzałem bezgraniczne przerażenie. Cicho zaprotestowała, ale nie zwróciłem na to uwagi. Ulf pomachał pojednawczo ręką.

– Próbowaliśmy ci tylko pomóc, Johnny. Może to było dla ciebie ważne, co?

– A może to nie twój interes, ty szwedzki draniu. – Portugalskie escudo, które otrzymał w zamian za informację, leżały rozrzucone na podłodze kokpitu.

– To był tylko interes, Johnny, tylko interes. – Jego głos brzmiał żałośnie, a ja byłem trochę zaskoczony, że Ulf jest galaretą, a nie twardzielem. Spodziewałem się, że da mi wycisk, ale on był po prostu przerażony. Nie było sensu, żebym go bił dalej, bo nie miał zamiaru walczyć.

– Jesteś mięczakiem, Ulf. Prawdziwym dupkiem.

Pokiwał ochoczo głową, zgadzając się z moim osądem.

– Ale jesteś prawdziwym angielskim księciem, co Johnny? – Cofnął się i oparł o maszt, który przechodził przez kokpit. Kiwał głową w stronę Jennifer Pallavicini, dając do zrozumienia, że to od niej się o tym dowiedział.

– A ty jesteś królową cholernych elfów. Odwal się, Ulf.

Prawie nie zauważałem Jennifer Pallavicini, choć jeśli mam być szczerzy, trochę przed nią grałem. Współczesne kobiety mogą twierdzić, że wolą oświeconych mężczyzn, którzy zmieniają pieluszki, prasują i produkują smaczne suflety, ale podejrzewam, że tak naprawdę imponują im mężczyźni, którzy potrafią przestraszyć na śmierć wrednych Szwedów.

Wróciłem na „Słonecznika”. Po tym starciu poczułem się znacznie lepiej, co było pewnym pocieszeniem. Dwie godziny później odcumowałem jacht, wciągnąłem żagle i zrobiłem to, co obiecałem Jennifer Pallavicini.

Odpłynąłem.

Część 3

Odpłynąłem, ale nie na południe. Ruszyłem na północ. To była samobójcza podróż, prosto w paszczę złośliwego wiatru. Sytuację pogarszała jeszcze nie milknąca wichura, która cały czas próbowała wepchnąć „Słonecznika” do Zatoki Biskajskiej. Na szczęście dotarłem wystarczająco daleko na zachód, by przetrwać dwa dni i dwie noce wietrznej pogody, ale i tak pozostała mi jeszcze długa walka, by wejść do Kanału. I znowu stwierdziłem, że mój „Słonecznik” nie pali się z powrotem do Anglii: zerwał się kliwer, pękła linka do wciągania grota i wyskoczył jeden z nitów przy automatycznym sterze. Nie wymagało to skomplikowanych napraw, ale należało je wykonywać przy spokojniejszej pogodzie. A taka właśnie pogoda nastąpiła, kiedy minęliśmy Lizard. Wiatr ucichł, a z zachodu napływały tylko długie, ciężkie fale, które łatwo pokonywaliśmy dzięki silnikowi.

Minąłem Salcombe. Nie mogłem spojrzeć Charliemu w twarz. Wyremontowałem mój jacht, zaopatrzyłem mnie na drogę i wiedziałem, że cała ta hojność była dla niego tylko namiastką przygody. Nie potrafiłby już wieść życia morskiego wędrowca, ale za to umożliwił mi powrót na morze. A ja teraz wracałem z podkulonym ogonem. Przyjdzie czas, że wyjaśnię mu wszystko, ale na razie nie mógłbym znieść rozczarowania na jego twarzy, więc płynąłem dalej wzdłuż wybrzeża Devon, aż do rzeki Exe. Tam nikt nie mógł mnie rozpoznać. Zacumowałem „Słonecznika” przy wolnej boi. O zmierzchu niebo zaczęło się zasnuwać chmurami, a w nocy rozpadła się deszcz. Witamy w Anglii.

O trzeciej nad ranem obudził mnie jakiś wściekły mężczyzna, który właśnie przyplął z Guernsey i chciał, żebym oddał mu jego boję. Uczyniłem zadość temu

życzeniu i przeniosłem się na inne miejsce. O piątej znów się obudziłem, tym razem dlatego, że podczas odpływu kil „Słonecznika” uderzył o dno. O siódmej rano jacht leżał na prawej burcie pośrodku wysychającego, piaszczystego brzegu. Wciąż padało.

Przez resztę dnia szukałem pubu, w którym ktoś mógłby wskazać mi człowieka, który chciałby wynająć mi boję. W końcu znalazłem faceta, który nie wziął ode mnie ani grosza. To był rybak, którego kuter stał na lądzie od zimy.

– Nie ma sprawy – powiedział. – Nic tam nie ma, nawet drzazgi. Wszystko wyczyścili! Możesz tam stać choćby i tydzień, najwyżej przemoczysz dupę. – Pocieszyłem go kuflem piwa i powiedziałem, że muszę wyjechać na dwa dni do Londynu. – Twoja łajba będzie bezpieczna, chłopie. Ale wiosła schowaj za moją szopą w ogrodzie, bo ci je rąbną, pewne jak dwa razy dwa. – Płynąc na brzeg szalupą wiosłowałem, ponieważ nie chciałem używać silnika, żeby ktoś mi go nie ukraść.

Następnego dnia rano wsiadłem do pociągu, ale nie znalazłem wolnego miejsca, więc stałem przez całą drogę z Devon do Londynu. Kiedy pociąg zajeżdżał na dworzec Paddington, miałem odpowiednio zepsuty humor.

A Londyn bynajmniej nie poprawił mi nastroju. Spędziłem sześć tygodni na Atlantyku, gdzie największą niedogodnością było wysłuchiwanie zrządzącego Szweda, ale Londyn to po prostu koszmar. Zafłoczony, śmierzący i wyniosły. Ludzie mieli twarze blade jak mleko. Przemykali się jak szczury przez hałaśliwe tunele, śmiecili i wszędzie robili mnóstwo hałasu. Hałas, hałas, cholerny hałas. Stukot pociągów, pisk opon samochodów, klaksony, głosy, syreny i młoty pneumatyczne atakowały powietrze. Od czterech lat nie byłem w Londynie i miałem nadzieję, że nigdy więcej tu nie przyjadę.

Złapałem autobus jadący na Strand. Odnalazłem kancelarię prawniczą. Sir Olivera Bulstrode’a nie było w budynku, ale dziewczyna w recepcji spytała, czy chciałbym zostawić wiadomość. Dawała mi jasno do zrozumienia, że mało eleganccy mężczyźni wchodzący prosto z ulicy nie byli mile widziani jako klienci kancelarii Bulstrode, Finch, Finch i McElroy.

– Zaczekam – odparłem twardo.

Usiadłem na antycznym krześle i wziąłem do ręki magazyn „The Field”.

– Jest pan klientem? – Recepcjonistka wyglądała, co rozumiałe, na zaniepokojoną. Włożyłem najczystsze dżinsy, najmniej wyświechtaną koszulę i dość nowe tenisówki, ale wciąż trochę mi brakowało, bym mógł przypominać tych dystyngowanych palantów, którymi zajmował się Bulstrode.

– Tak, jestem klientem – odparłem. – Nazywam się Rossendale.

– Rossendale?

– Tak, Rossendale, księżę Stowey – wyjaśniłem.

Na chwilę zapadła cisza.

– Może napije się pan kawy, milordzie? A może czegoś mocniejszego?

Uśmiechnąłem się do niej. To nie jej wina, że British Rail nie potrafi utrzymać linii kolejowych, że wkurzał mnie Londyn, że rozgniewała mnie siostrzaliżniaczka, albo że ubrałem się jak włóczęga.

– Tak naprawdę to chciałbym panią zaprosić na obiad – odparłem. – Ale ponieważ muszę porozmawiać z sir Oliverem, muszę się zadowolić szklanką szkockiej.

Sir Oliver przybył pół godziny później. Bulstrode to pulchny mężczyzna o miłej twarzy, prawdziwy Święty Mikołaj, ale ten niewinny wygląd jest wielce mylący, ponieważ, jak wszyscy prawnicy, ma serce z kamienia i przebiegłość lisa. Kiedy mnie ujrzał, aż podniósł pulchne rączki ze zdziwienia.

– Milordzie! Nie miałem pojęcia o pańskiej wizycie! Czyżbym zapomniał o umówionym spotkaniu?

– Nie, Oliver, nie zapomniałeś. To wizyta niespodziewana.

– Ale jak miła! Przebóg, to wyjątkowa przyjemność. Muszę natychmiast odwołać moje spotkanie i obiad. – W ten sposób dał mi do zrozumienia, że podwoi stawkę godzinową za to nie umówione spotkanie, ale się nie zmartwiłem, ponieważ nie miałem zamiaru mu płacić. Sir Oliver i jego partnerzy posyłali dzieci do najlepszych szkół, a żony do najdroższych sanatoriów dla otyłych, to wszystko za odsetki ze sprzedaży Stowey. Uważałem, że najwyższy czas, by i on coś dla mnie zrobił. – Widzę, że podano ci whisky – zauważył. – Dobrze! Doskonale! Proszę, wejdź do mojej świątyni, John! – Zawsze witał mnie jako „milorda”, a potem używał imienia, by podkreślić swe zażyłe stosunki z arystokratą. Ten facet był

draniem, ale bardzo sprytnym.

Wprowadził mnie do gabinetu pełnego skórzanych foteli i starych obrazów ze scenkami z polowań. W weekendy bawi się w myśliwego, objeżdżając sześć akrów mokradeł w Essex z dubeltówką i rasowym spanielem.

– Rozsiądź się, John, proszę! Jeśli pozwolisz, od razu przełożę ten obiad.

Dziesięć minut później podano nam do gabinetu sałatkę z łososia. Bulstrode otworzył butelkę entre-deux-mers.

– Tak mi przykro, że nie uczestniczyłem w pogrzebie twojej matki – rzekł, nalewając wino. – Miałem wtedy spotkanie, którego nie mogłem odwołać. Tak mi przykro. – Oczywiście kłamał. Gdyby rodzina Rossendale’ów miała choć cień majątku, zjawiliby się tam w te pędy, ale zapewne doszedł do wniosku, że wycisnął z nas wszystko i nie opłaca mu się jechać. – Tak mi przykro – mamrotał.

– Ja też nie uczestniczyłem w pogrzebie – powiedziałem. – Wyszedłem, zanim się zaczął.

Musiał już o tym wiedzieć, bo nie okazał zaskoczenia, nawet nie zapytał, dlaczego opuściłem ceremonię. Zamiast tego uśmiechnął się dobrotliwie.

– Muszę powiedzieć, John, że bardzo dobrze wyglądasz. Słońce i morze, co? I nadal jesteś taki szczupły! Zawstydzasz nas wszystkich. – Przerwał na ułamek sekundy. – Sądziłem, że płyniesz teraz gdzieś w nieznanie. Zawsze sobie myślę, jakie to odważne. – Rzucił mi spojrzenie pełne podziwu. Był radcą prawnym naszej rodziny odkąd pamiętam, a kiedy odziedziczyłem tytuł, doszedł do wniosku, że będę na tyle naiwny, by wykonywać jego polecenia bez mrugnięcia okiem. W końcu kazałem mu się wypchać i odpłynąłem. Nigdy mi tego nie darował i chyba nigdy nie wybaczy.

– Wróciłem, jak widzisz.

– No tak, najwyraźniej. – Uśmiechnął się i wepchnął sobie do ust kawałek łososia w majonezie. – Przypuszczam, że niepokoisz się o testament matki?

– Nawet go nie widziałem.

– Ach tak. – Z całą pewnością pożałował, że podjął ten temat. Szybko zaczął z innej beczki. – Zatem czemu zawdzięczam tę miłą wizytę?

– Przyjechałem do ciebie, Oliver, z powodu tego, co ta suka Elizabeth zamierza zrobić Georginie.

Otarł usta chusteczką.

– Droga lady Elizabeth.

– Moja odpowiedź brzmi: nie.

– Nie? – Uśmiechnął się błogo. – Nikt bardziej ode mnie nie potrafi docenić zalet zwięzłości, mój drogi Johnie, ale muszę wyznać, że to co powiedziałeś na chwilę zwiodło nawet mnie.

– Georgina nie zamieszka z Elizabeth. To chyba jasne, prawda?

– Jak słońce. – Pociągnął łyk wina. Gdzieś za ciężkimi zasłonami rozległ się warkot świdra.

Podniosłem głos, by przekrzyczeć hałas.

– Jeśli chcesz, żebym coś podpisał, podpiszę. Jako głowa mojej szlacheckiej rodziny, oświadczam ci, Oliverze, że Georginę należy zostawić w spokoju.

– Nie sądzę, byśmy byli gotowi do jakichś podpisów – odparł wymijająco. Nalał kolejne dwie szklanki wina. – Czy mogę zapytać, dlaczego tak gwałtownie się temu sprzeciwiasz?

– Ponieważ Elizabeth to chciwa na pieniądze wiedźma, która nienawidzi Georginy. Chce ją tylko wyciągnąć z Jersey, żeby położyć łapska na funduszu. Wiesz o tym, więc dlaczego pytasz?

Obrócił się na krześle, by zerknąć na przedstawiający Stowey obraz, który wisiał nad skórzaną sofą.

– Przypuszczam – zaczął beztróskim tonem – że na morzu musisz postrzegać świat w czarno-białych barwach. Na oceanie nie ma miejsca na wątpliwości, prawda? Ale na brzegu, John, wszystko się tak diabelnie komplikuje.

– Przestań mącić, Oliver. Mów prosto z mostu.

Odwrócił się do mnie.

– Wszystko to kwestia wyboru. Twoja matka, dopóki żyła, chciała, by Georgina mieszkała w Jersey, ale teraz wszystko się zmienia. Dobre siostrzyczki z klasztoru znajdują się pod wielkim naciskiem, by sprzedać nieruchomość. I ta sprzedaż z każdym dniem staje się coraz bardziej prawdopodobna, co oznacza, że zakonnice będą musiały wrócić do swego macierzystego klasztoru w Nantes. Czy lady Georgina będzie się dobrze czuła we Francji? – Rozłożył ręce, by pokazać, że

nie zna odpowiedzi. – Trzeba też rozważyć sprawę siostry Felicity. Biedaczka nie czuje się zbyt dobrze, John, naprawdę nie. I wszyscy się obawiamy, co będzie z lady Georgina, kiedy siostra Felicity odda ducha Bogu. Wyobraź to sobie, jeśli potrafisz: Georgina będzie samotna i opuszczona, w obcym kraju, bez żadnego pocieszenia, może nawet poza sakramentami.

Nagle spadł na mnie ciężar tego wszystkiego. Zrozumiałem, co sir Oliver Bulstrode knuł w swym niecznym umyśle. Ostatnie zasoby mojej rodziny znajdowały się w funduszu Georginy. Gdyby Elizabeth dostała te pieniądze, Oliver też otrzymałby swoją część. Oczywiście należało jeszcze przekonać opiekunów funduszu, ale niewiele osób potrafiło lepiej mydlić oczy, niż sir Oliver Kanalia Bulstrode. Krótko mówiąc, świnie dorwały się do koryta, a żadna z nich ani trochę nie przejmowała się losem Georginy.

– Ale przecież można umieścić ją w dobrym zakładzie w Anglii? – próbowałem.

– Och, niewątpliwie! – odparł Oliver z udawanym entuzjazmem. – Na pewno znalazłoby się wiele instytucji, które z chęcią zajęłyby się twoją siostrą! Ale pytam cię, czy którykolwiek sąd przedłożyłby taką instytucję nad miłość i opiekę członka rodziny? Nie, i mam nadzieję, że ta sprawa nigdy nie trafi na sądową wokandę – dodał pospiesznie. – Jestem pewien, że wszystko załatwimy polubownie.

– Nazwałbyś Elizabeth kochającą i opiekuńczą osobą? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Lady Elizabeth Tredgarth – rzekł ostro – podjęła się otoczyć twoją siostrę jak najlepszą opieką. Ku memu najgłębszemu żalowi zauważam, że masz zastrzeżenia co do lady Elizabeth, ale muszę ci szczerze powiedzieć, milordzie, że nie wydaje mi się, by jakikolwiek sąd odmówił jej opieki nad Georgina. Zwłaszcza, jeśli rozważą inne możliwości.

Zauważyłem, że nazwał mnie „milordem”. To niebezpieczny znak, że trzymał z Elizabeth. Wziął jej stronę, bo miał nadzieję na zgarnięcie gotówki. Sir Oliver był obrzydliwym draniem, podobnie jak większość znanych prawników. Właśnie dlatego tyłu zostaje politykami.

– A gdybym zapewnił Georginie dom? – zapytałem.

Udał przyjemne zaskoczenie.

– Mój drogi Johnie! Cóż to za wyborny pomysł! To takie typowe dla twojej

hojności! Naturalnie musiałbyś jej zapewnić stałą opiekę pielęgniarską. Oczywiście warunki też musiałyby być odpowiednie... A może zamierzasz zrobić z niej członka załogi? – Zachichotał rozbawiony własnym dowcipem. – A mówiąc poważnie, John, taka odpowiedzialność wymaga ogromnej ilości pieniędzy!

– Jest przecież fundusz Georginy.

– Ale nie sądzę, by wypłacono z niego pieniądze komuś, kto był notowany przez policję. – W jego głosie usłyszałem teraz stalowe brzmienie. – Musiałbyś poprosić opiekunów o udzielenie ci prawa dysponowania ogromnymi pieniędzmi. Zanim w ogóle zaczną to rozważać, muszą wiedzieć, czy posiadasz odpowiednie lokum, czy regularnie płacisz podatki. O ile mam jakiegokolwiek pojęcie o twoim życiu osobistym, chyba nie masz domu ani żony?

Wstałem. Nawet nie tknąłem sałatki z łososia.

– Georgina może zostać tam, gdzie jest od dawna, dopóki żyje siostra Felicity i klasztor nie zostanie sprzedany.

Nie było to pytanie, ale sir Oliver postanowił tak właśnie potraktować tę wypowiedź.

– Tak, oczywiście na razie może pozostać tam, gdzie jest. O ile mi wiadomo, lady Elizabeth nie zakończyła jeszcze przygotowań do jej przyjęcia. – Przerwał, by pokręcić głową ze smutkiem, jakbym swoim uporem go rozczarował. – Naprawdę uważam, że źle oceniasz swoją siostrę. Zapewniam cię, że chociaż Elizabeth czasami bywa uciążliwa, przygotowuje wszystko z wielką troską. Dlaczego nie obejrzysz tych przygotowań? Ręczę, że lady Elizabeth z chęcią przystałaby na taką inspekcję.

– A ty sprawdzałeś te przygotowania? – zapytałem.

– Oczywiście. W ubiegłym tygodniu jadłem obiad w Perilly i wszystkie poczynania lady Elizabeth wydają mi się w zupełności satysfakcjonujące.

Zapędzili mnie w kozi róg. Przepłynąłem dwieście okropnych mil, aby się dowiedzieć, że mnie wymanewrowano. Wyszedłem od sir Olivera, zbiegłem po schodach, a kiedy znalazłem się na chodniku, wziąłem głęboki oddech, by wyrzucić z płuc atmosferę hipokryzji jego gabinetu. Powietrze na ulicy śmierdziało spalinami i brudem. A Georgina, podobnie jak ja, znalazła się w pułapce.

Ruszyłem nad rzekę. Poszedłem tam, ponieważ u brzegu stoją przycumowane łodzie, które nigdy już nie poczują na burtach morskich fal, a ich żagli nie będzie smagał wiatr ostry jak brzytwa. Te łodzie znajdują się w pułapce. Służą za puby albo obiekty muzealne. Londyn odebrał im werwę i dumę, sprowadził do roli za-bytkowych cacek.

Ja też znalazłem się w pułapce. Ale, dzięki Bogu, miałem jeszcze trochę ikry. Żywiłem nadzieję, że dość, aby unieszkodliwić siostrę-bliźniaczkę i tłustego prawnika.

Szedłem wzdłuż rzeki. Zaczęło padać, ale nie zważałem ani na deszcz, ani na późną porę. Chodziłem zamyślony w tę i z powrotem między Blackfriars i Westminster.

Byłem głową rodziny Rossendale'ów, ale mój tytuł się nie liczył, gdyż byłem biedny, notowany na policji i miałem opinię człowieka nieodpowiedzialnego.

Ale tak naprawdę policyjna kartoteka ani zła opinia nie miały znaczenia, ponieważ w kontaktach z prawnikami liczy się tylko jedno. Nie sprawiedliwość, moralność czy którekolwiek z tych pięknych słów, ale gotówka. Mnóstwo forsy. Prawnicy uwielbiają pieniądze. Węszą za nimi, tarzają się w nich, kłamią za nie, oszukują, przypochlebiają się i śnią o nich.

Zatem potrzebowałem gotówki. Opiekunowie funduszu Georginy mogli mi nigdy nie powierzyć pieniędzy, ale przecież ona sama nie była przywiązana do funduszu. Gdybym potrafił zastąpić pieniądze z funduszu własnymi środkami, mógłbym zapewnić jej przyszłość. Dlatego pierwszą myślą, która nasunęła mi się podczas spaceru brzegiem Tamizy, było zdobycie jak najwięcej pieniędzy. Istniało oczywiste rozwiązanie, ale moja duma nie pozwoliłaby mi się płaszczyć przez Jennifer Pallavicini. Zatem musiałem znaleźć jakiś inny sposób.

Mógłbym sprzedać trochę akcji, które w spadku zostawił mi wuj Thomas i mogłem sprzedać „Słonecznika”. Prawdopodobnie udałoby mi się zebrać ze sto tysięcy funtów, a to wystarczyłoby na mały domek w Devon. Mógłbym znaleźć pracę. Jeśli nikt nie potrzebowałby cieśli ani spawacza, mógłbym sprzedać tytuł jakiemuś idiotcie, który chciałby mieć arystokratyczny tytuł na papierze firmowym. Mógłbym dołączyć do clownów w Izbie Lordów i brać diety za uczestniczenie w obradach. Może mógłbym napisać książkę: „Dookoła świata. Historia pewnego

księcia”. Może otworzyłyby się niebiosa i spłynąłby na mnie złoty deszcz. Może wyrosłyby gruszki na wierzbie.

Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie. Mały domek w Devon i praca nie rozwiązałyby niczego, bo w dalszym ciągu wszystkie atuty trzymałaby Elizabeth: miała duży dom, męża i żadnych wykroczeń odnotowanych przez policję. Potrzebowałam wiele pieniędzy, i to bardzo szybko, by wynająć prawnika chytrzejszego od sir Olivera.

Charlie.

Na myśl o nim zatrzymałem się w pół kroku. Światła po drugiej stronie rzeki rzucały drżące refleksy na ciemniejącą wodę.

Charlie na pewno nie odmówiłby mi pomocy. Poświęciłby tej bitwie całe swoje wielkie serce, siły i duszę. Ale on nie dałby rady takiemu przebiegłemu lisowi jak sir Oliver Bulstrode. Dałby mi pieniądze, ale prawnicy wkrótce by je wysłali, a mimo sukcesu i pięknych zabawek, Charlie siedział po uszy w długach. Poza tym chodziło o rodzinę. To był mój obowiązek, a i tak wzięłam już od Charliego dużo pieniędzy. Teraz potrzebowałam własnych, góry własnych pieniędzy, o jakich, marzyli prawnicy w swych najbardziej wyuzdanych snach. Potrzebowałam więc po prostu kawałka płótna, o szerokości dwóch stóp i trzech cali, długości około trzech stóp, na którym jakiś na pół oszalały geniusz namalował wazon ze słonecznikami.

Krótko mówiąc, potrzebowałam sir Leona Buzzaccotta. Wiedział o tym i dlatego właśnie przysłał Jennifer Pallavicini z informacją, że zadba o przyszłość Georginy.

Ale to wiązało się z pokornym przyczołganiem przed oblicze Jennifer Pallavicini. Nie miałem innego wyjścia z tej pułapki.

O ile oczywiście sir Oliver nie miał racji co do tego, że źle osądzam Elizabeth. To był ostatni cień nadziei, a jeśli i ona zawiedzie, będę musiał pokornie ugiąć kark. Po raz ostatni ruszyłem w stronę Westminster. Było już późno, zupełnie ciemno, a ja przemokłem do suchej nitki. Zadzwoiłem do starej znajomej i zapytałem o nocleg. Zgodziła się, lecz nie zaproponowała własnego łóżka. Nie oczekiwałem tego, bo ostatnio nic nie układało się tak, jak powinno. Nic.

Rano udałem się do Gloucestershire. W nocy niemal wmówiłem sobie, że Elizabeth rzeczywiście zachowuje się przyzwoicie, a ja zwątpiłem w jej dobre intencje wyłącznie z powodu uprzedzenia i niechęci. To niemożliwe, myślałem, by Elizabeth mogła oszukać opiekunów funduszu. Będzie musiała im udowodnić, że potrafi zapewnić Georginie właściwą opiekę i mieszkanie. I tak, nim wsiadłem do pociągu, byłem niemal przekonany, że wkrótce skończą się moje kłopoty. Georgina znajdzie się w dobrych rękach, a ja będę wolny i wrócę do swego życia i „Słonecznika”.

Jennifer Pallavicini nazwała mnie kiedyś nieczułym i samolubnym. Myliła się co do pierwszej cechy. Zależało mi na Georginie, ale po prostu wtedy, w Horta, nie chciałem tańczyć tak, jak ona mi grała. Samolubny? Rozmyślałem o tym, stojąc w zatłoczonym pociągu z Londynu do Cotswold. Tak, myślałem, prawdopodobnie miała rację. Jestem samolubny. Zawsze robiłem to, co chciałem. Pracowałem na to, jeśli można nazwać pracą spawanie stalowych kadłubów w wilgotnym, tropikalnym piekle. I zawsze podążałem za swoimi pragnieniami. Ale nigdy, stwierdziłem, nie odbywało się to kosztem innych. Nigdy nie zdradziłem nikogo, by dostać to, czego chciałem. Z kilkoma osobami walczyłem, lecz jak wiadomo do bójki potrzeba zawsze dwóch osób.

Zatem Pallavicini – doszedłem do wniosku – nie rozumie mnie nawet w połowie tak dobrze, jak jej się wydaje. Uważała, że będę potrzebował jej pomocy w zapewnieniu Georginie przyszłości, ale teraz udowadniałem, że mogę zadbać o siostrę bez pomocy sir Leona. Załatwię to szybko i wrócę na „Słonecznika” i otwarte morze.

Złapałem autobus z dworca do wioski, w której mieszkała Elizabeth”, po czym poszedłem aleją biegnącą między kamiennymi murami, aż do miejsca, gdzie wchodziła na teren posesji lorda Tredgartha. Wielki szyld na bramie głosił: „Wstęp tylko dla mieszkańców rezydencji Perilly i ośrodka jeździeckiego. Teren prywatny. Wstęp wzbroniony”, zaś inna informacja kierowała sprzedawców do drugiego wejścia, od strony drogi do Gloucester. Doszedłem do wniosku, że nie jestem sprzedawcą i otworzyłem żelazne wrota. Zza chmur próbowało wyjrzeć słońce. Szedłem między pniami drzew porażonych przez zarazę. Po prawej ujrzałem zagrodę porośniętą ostem, gdzie pośród przeszkód z pomalowanych beczek po oleju napędowym i drągów w paski pasło się kilka koni. Ośrodek jeździecki Elizabeth

był naprawdę podłą szkołą, w której nauki pobierały grube dzieci matek z klasy średniej, lubiących się chwalić znajomością z lady Elizabeth Tredgarth. Właśnie tego Elizabeth nie znosiła najbardziej: tych matek i ich dzieci. Sama nigdy nie miała dzieci, co moim zdaniem było błogosławieństwem dla nie narodzonych.

Mimo szumnej nazwy rezydencja Perilly w rzeczywistości była po prostu większym wiejskim dworkiem. Ten dość ładny dom, zbudowany z kamienia z okolic Cotswold, miał wielki środkowy fronton i dwa skrzydła. Róże obrastały frontowe drzwi z białym georgiańskim portykiem, opatrzone zabytkową, mosiężną kołatką.

Drzwi otworzyła nerwowa sprzątaczką, która poinformowała mnie, że jej wysokości lady nie ma w domu. Jej wysokość pojechała na zebranie komitetu dobroczynnego w Cirencester. Ta odpowiedź, mimo prób przekonania się do zmiany zachowania Elizabeth, wzbudziła we mnie nieprzyjemne podejrzenia. Domyśliłem się, że stara się zrobić wszędzie dobre wrażenie, tylko po to, by capnąć fundusz Georginy. Prawdopodobnie niedługo zacznie się udzielać w szpitalnej grupie dobroczynnej, komitecie zbiórki pieniędzy na opiekę nad chorymi umysłowo, a nawet w kościelnym kółku różańcowym.

– Ale jego lordowska wysokość jest w domu – powiedziała sprzątaczką.

– Czy mogłaby pani powiedzieć, że przyjechał John Rossendale?

– Czy przyjechał pan w interesach, sir? – Sprzątaczkę nauczone, by ostrożnie odnosiła się do nieznanym.

– Nie. – Już miałem powiedzieć, że jestem przyjacielem, ale to byłoby naciąganie prawdy. – Jestem tu w prywatnej sprawie.

Kobieta zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem, ale uspokoiło ją to, że nie miałem na sobie garnitur. Zatem nie mogłem być komornikiem ani kimś, kto chciałby napytać kolejnym kłopotów Peterowi Tredgarthowi.

– Jego lordowska wysokość jest w obozie, sir.

Wiedziałem, gdzie to jest. W pierwszych latach małżeństwa mojej siostry, kiedy jeszcze przyjaźniłem się z Peterem, często odwiedzałem Perilly i pamiętałem stary obóz, który w czasie wojny pospiesznie wybudowano w okolicy farmy, by pomieścić włoskich jeńców. Już kiedy po raz pierwszy go zobaczyłem, znajdował

się w stanie ruiny. Kiedyś Peter rozważał możliwość zamiany drewnianych baraków na budynki kurzej fermy, ale w końcu porzucił ten zamiar i drewno przegniło, a roślinność zarosła betonowe fundamenty.

Szedłem wyżłobioną przez traktor ścieżką, minąłem brzozowy zagajnik i dalej podążyłem wzdłuż strumienia, który zaprowadził mnie do niskiego wzgórza, gdzie wybudowano obóz. Ujrzałem Petera Tredgartha stojącego nad strumieniem i wpatrującego się posępnie w wodę. Pod ręką trzymał strzelbę i wyglądał jak człowiek zastanawiający się nad korzyściami płynącymi z samobójstwa. Kiedy go zawołałem, drgnął przestraszony. Rozpoznał mnie i rzucił zaskoczone spojrzenie.

– Co ty u diabła tu robisz? – zapytał. Po naszym ostatnim spotkaniu w Jersey nie mogłem się spodziewać powitania z otwartymi ramionami.

– Przyjechałem do ciebie. No i oczywiście do Elizabeth, ale dowiedziałem się, że nie ma jej w domu.

– Ostatnio ciągle jej nie ma. Chwilami zapominam, jak wygląda. – Zerknął na mnie, jakby chciał się upewnić, czy przyjął ton wymuszonej uprzejmości, czy niepohamowanej nieuprzejmości. Nie miał dość pewności siebie, by być nieuprzejmym, więc zamiast tego mruknął coś na powitanie. – Widzisz jakieś czaple?

Rozejrzałem się w górę i w dół strumienia.

– Nawet śladu, Peter.

– Jeden z robotników mówił mi, że widział ich gniazdo przy zaporze. Myślałem, że na nie zapoluję.

– Czy to przypadkiem nie chroniony gatunek? – drażniłem się z nim.

– Strasznie wyjadają ryby, rozumiesz. Cholerne ptaszyska. Najlepiej je zastrzelić. – Złamał strzelbę i wyjął naboje.

– Dlaczego nie wynajmiesz kogoś do pilnowania strumienia? – zapytałem.

– Już to zrobiłem. To emerytowany sierżant z mojego regimentu. Miły gość, ale nie miałem czym mu zapłacić. – Peter wyglądał żałośnie nad strumieniem gęstym od wodnych roślin. – Trochę tu potrzeba pracy, co?

– Trochę.

– Muszę się kiedyś za to wziąć. Dzisiaj można sporo zarobić na rybach. A to dobra woda, wiesz przecież! I żadnego tuczenia ryb, jak w tych gospodarstwach rybackich.

– A dlaczego sam nie założysz takiego gospodarstwa? – zapytałem. – Sam byś mógł wtedy je tuczyć.

– Próbowałem, John, ale nie mogę dostać zezwolenia na opracowanie planów. Dranie. Pozwolą jakiemuś badyłarzowi zbudować w tym pięknym miejscu domek z cegły, a normalnemu właścicielowi nie dadzą uczciwie zarobić. Oczywiście powinienem ich przekupić, ale nie stać mnie na te stawki. – Zmarszczył brwi. Najwyraźniej zaskoczyła go moja niespodziewana wizyta. – Na twoim miejscu nie czekałbym do powrotu Elizabeth. Wczoraj telefonował do niej ten prawnik. Ten z Londynu, wiesz o kogo mi chodzi. Tydzień temu przyjechał tu na obiad i wrąbał najlepszą część befsztyku. Tak czy inaczej, Elizabeth nie ucieszy się twoją wizytą. Będzie wściekła. Właściwie sam nie powinienem się do ciebie odzywać, ale... – Nie potrafił szybko myśleć podczas rozmowy ze mną, więc zamilkł.

– Nie potrafisz tak nienawidzić, jak Elizabeth? – podpowiedziałem mu.

– Wasza rodzina jest okropna – powiedział. – Wciąż się kłócicie.

– A w twojej nie ma sprzeczek?

– Oni też są okropni – przyznał. Peter Tredgarth był wysokim, potężnym mężczyzną z wiecznym wyrazem z troskania na twarzy. Nie zawsze tak wyglądał. Kiedy po raz pierwszy przedstawiłem go Elizabeth, był szczupłym oficerem marynarki, żwawym i szybkim chłopakiem, który pływał ze mną po Kanale La Manche. Już dawno porzucił żeglownictwo i teraz przygniatały go troski codzienności. – Sądziłem, że wróciłeś na morze – powiedział nieco rozdrażniony.

– Zgadza się. Ale przyjechałem z powrotem.

– To cholernie głupio z twojej strony. Na twoim miejscu nie wracałbym. Właśnie tak bym zrobił: wyjechał i nie wracał. – Na chwilę zamilkł i przez jakiś czas nie wiedzieliśmy, co powiedzieć.

– Słyszałem, że byłeś w obozie? – powiedziałem, by przerwać ciszę.

Zerknął na mnie gniewnie.

– Przyjechałeś samochodem?

– Z dworca autobusem, a dalej piechotą.

– Nie jeździłem autobusem od podstawówki. – Skrzywił się na wspomnienie tamtych dni albo zastanawiał się, co począć z moją niezbyt pożądaną obecnością. –

Wiesz, co ci powiem – odezwał się w końcu. – Odwiozę cię na stację. W ten sposób nie spotkasz się z Elizabeth, a ja nie powiem, że tu byłeś. Po drodze możemy gdzieś wstąpić na obiad. Znam tu w pobliżu przyzwoity pub, gdzie można nieźle zjeść. Zaczekaj tutaj!

Nie pozwolił mi odpowiedzieć, tylko odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę okolonego drzewami wzgórza, na którym leżał obóz. Podążyłem za nim.

– Pójdę z tobą.

– Czekaj! – Odwrócił się z gniewem i chcąc usprawiedliwić nieuprzejmość, wcisnął mi strzelbę i dwa naboje. – Wypatruj czapli, dobrze?

Czekałem. Obok mnie przeleciały dwa ptaki, ale nie zwróciłem na nie uwagi. Patrzyłem jak Peter wspina się na wzgórze i znika za drzewami. Po dłuższej chwili pojawił się jego zabłocony land rover i sturlał się w moim kierunku.

– Widziałeś czaple? – zapytał zatrzymawszy samochód obok mnie.

– Nawet śladu, Peter. – Wsiadłem do land rovera i położyłem strzelbę z tyłu.

– To co, stek, nerczki i porządny kufelek, nie? – Nagle Peter stał się niestęchanie jowialny.

Położyłem dłoń na dźwigni zmiany biegów, by go powstrzymać.

– Nie chcę na razie jechać do pubu, Peter. Przyjechałem, żeby się przekonać, jak przygotowujecie się na przyjęcie Georginy. Jeśli uznam, że wszystko jest w porządku, nie będę się sprzeciwiał i Elizabeth będzie mogła położyć łapę na jej pieniądzach. Może zawieziesz mnie do domu i poczekamy na Elizabeth?

Patrzył na mnie i przygryzał koniuszek wąsa.

– Georgina? – odezwał się wreszcie.

– Georgina – potwierdziłem.

– Przejmujesz się nią? – Chyba zdziwiła go ta myśl.

– Oczywiście, że tak.

– I wydaje ci się, że Elizabeth chce oszukać opiekunów funduszu?

– Tak, przyszło mi to do głowy – powiedziałem bez ogródek.

Przez chwilę wydawało mi się, że wyrzuci mnie z samochodu za obrazę żony, ale zamiast tego odepchnął moją dłoń z dźwigni biegów i ze zgrzytem wrzucił jedynekę.

– Racja! – odezwał się gniewnie i stanowczo. – Sam o to prosiłeś, więc dostaniesz to, czego chciałeś. Operacja Georgina. – Ruszyliśmy, wjechaliśmy w wyłobione koleiny i pomknęliśmy w stronę farmy. – Elizabeth nie spodoba się na pewno, że tu wieszysz, ale Georgina to twoja siostra, więc dlaczego nie miałbyś zobaczyć, jak będzie mieszkać? – Roześmiał się, ale nie wiedziałem z czego. Jechał jak wariat. Minęliśmy dom, przecięliśmy podwórko i wpadliśmy na drogę ciągnącą się wzdłuż krzewów porzeczek. Na jej końcu, zwrócony frontem do cichej alei, stał piękny dom z kamienia. Rusztowania sięgające do komina i sterta drzewnych odpadów świadczyły, że trwa budowa, choć nigdzie nie dostrzegłem robotników.

– Willa Pierwiosnek – oznajmił Peter Tredgarth, zahamowawszy gwałtownie. – Okropnie się nazywa, ale ma trzy sypialnie, dwie łazienki, kuchnię, salon, ogrodzony ogród z tyłu i garaż. Właśnie instalujemy centralne ogrzewanie. Zgodzisz się chyba, że to doskonała rezydencja dla jednej stukniętej siostry i jej dożywotniej pielęgniarki?

– Doskonała – zgodziłem się. Byłem zaskoczony i zadowolony. Prawie sobie wmówiłem, że Elizabeth chciała zrobić coś dobrego, ale tak naprawdę w to nie wierzyłem. Ale przecież willa Pierwiosnek prezentowała się naprawdę doskonale. Oferowała prywatność i wygodę, a także spokój. Czułem, że opuszczają mnie obawy. Znów będę wolny.

– Dożywotnia pielęgniarka – Peter nawet nie wyłączył silnika – zostanie wynajęta przez agencję Cheltenham. Oni specjalizują się w takich przypadkach jak Georgina. Oczywiście pielęgniarka będzie też musiała mieć wolne, więc agencja w cenie kontraktu zapewnia dodatkową osobę na weekend i na dwie noce w tygodniu. – W głosie Tredgartha pobrzmiwała silna nuta sarkazmu. – Czy jesteś skłonny zaakceptować te przygotowania?

– Peter, moim zdaniem to wygląda cudownie – powiedziałem ciepło.

Parsknął, słysząc pokorę w moim głosie.

– Elizabeth pokazywała willę ludziom z funduszu i oni są podobnego zdania. Sprawdzili także agencję i są z niej zupełnie zadowoleni.

– Elizabeth jest wspaniała – płaściłem się jeszcze bardziej. – Przepraszam, że w nią zwątpiłem.

Roześmiał się, gdyż poczuł, że odniósł całkowite zwycięstwo.

– Ty to masz tupet, John. – Z kieszeni tweedowej marynarki wyjął srebrną piersiówkę, odkręcił korek i pociągnął długi łyk. Nagle spochmurniał. – A dlaczego ci właściwie zależy na Georginie?

– Nie wiem, tak po prostu.

– Zależy ci na jej pieniądzach – powiedział ostro. – Ale ich nie dostaniesz, John. Oszczedłeś, poddałeś się, wybyłeś, zwiąłeś na morze i prawdopodobnie wystrychnąłeś całą rodzinę na dudka, kradnąc ten cholerny obraz. – Zaczął się śmiać. Do tej pory nie przyszło mi do głowy, że mógł popaść w alkoholizm. Pewnie pił przed naszym spotkaniem i prawdopodobnie będzie pił się do końca dnia. – Ukradłeś ten obraz? – zapytał nagle.

– Nie.

– Ona twierdzi, że tak. Mówi, że spotkała kogoś, kto ci w tym pomógł. Jesteś durniem, John. Pewnie przepuściłeś te pieniądze?

– Nie ukradłem tego obrazu, Peter.

Nie zwrócił na to uwagi.

– W testamencie matka zapisała go Elizabeth.

– Wiem.

– I powinien do niej wrócić – wycedził, jakby oznajmiał coś, o czym do tej pory nie myślałem. – Wiesz, ona ma pewne zamiary związane z tymi pieniędzmi.

– Zamiary?

– Chce odkupić Stowey. Prowadzić porządny ośrodek jeździecki. – Pociągnął z piersiówki i roześmiał się. – Pewnie wyobraża sobie, że sama królowa przyjedzie podziwiać jej konie, ale chodzi o to, John, że Elizabeth chce dobrze wykorzystać te pieniądze. Chce odbudować pozycję społeczną rodziny! A ty nie, prawda? Ty chcesz tylko pławić się w tej swojej łódce! Jeśli miałbyś odrobinę przyzwoitości, powiedziałabyś, gdzie jest ten obraz i zniknął.

– Nie wiem, gdzie on jest, Peter – przerwałem. – Kto jej powiedział, że to ja ukradłem?

– Nie mam najmniejszego pojęcia. – I nie obchodziło go to. Wystarczyło mu, że podobnie jak żona, wierzył w moją winę. Zerknął na zegarek. – Może wrócić na obiad, więc lepiej idź już sobie. – Pochylił się, by otworzyć drzwi po mojej stronie. – Idź do końca tej alei, a na skrzyżowaniu złapiesz autobus.

– Nie jedziemy na obiad do pubu? – zapytałem.

– Wysiadaj – polecił mi. Trudno uwierzyć, że kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

Teraz, mimo że nie był szczęśliwy z Elizabeth, wziął jej stronę w rodzinnej wojnie domowej. Wsiadłem i zatrzasnąłem drzwi.

- I nie mów jej, że z tobą rozmawiałem! – krzyknął na mnie lord Tredgarth.
- Nie powiem.

Pociągnął kolejny łyk z piersiówki, potem gwałtownie chwycił kierownicę, by zawrócić i pomknąć z powrotem na farmę. Musiałem szybko odskoczyć, by nie przewrócił mnie zawracający samochód. Tylne koła ochlapały mnie błotem od stóp do głów.

Odczekałem, aż land rover zniknie, i ruszyłem w stronę willi Pierwiosnek. W nowych frontowych drzwiach jeszcze nie założono zamka, więc bez trudu wszedłem do salonu zaśmieconego odpadkami z budowy. Ściany dopiero pomalowano. Wyremontowano piec opalany drewnem. Willa była piękna, a południowe okna wychodziły na podmokłe łąki. Pokręciłem się po kuchni, gdzie zauważyłem świeżo zamontowany, dwukomorowy zlewozmywak. Na ociekaczu leżała sterta folderów i rachunków. Zacząłem je przeglądać od niechcienia. Tylko jeden z folderów nie dotyczył materiałów budowlanych. Było to zaproszenie wystosowane przez firmę zajmującą się wynajmowaniem domków na wakacje: „Masz pustą wiejską willę? My zmienimy ten pustostan w źródło zysków!”

Wyjrzałem przez okno. Po drugiej stronie doliny widziałem obóz. Dlaczego Peter nie chciał, żebym poszedł z nim po samochód? Próbowałem odpędzić obawy nie dające mi spokoju. Chciałem stąd iść, na skrzyżowaniu złapać autobus i zabrać „Słonecznika” na bezkres morskiej swobody, ale coś mi tu nie grało. Zerknąłem na folder mówiący o wakacyjnych domkach. Czyżby Elizabeth zamierzała wyremontować willę Pierwiosnek na koszt funduszu Georginy i wynajmować ją letnikom?

Przejrzałem poplamione i pomięte papierki leżące na ociekaczu. Znalazłem odbitą przez kalkę kopię wyceny dokonanej przez firmę hydrauliczną. Szacunkowy koszt był dość wysoki, a roboty miały obejmować instalację nowego bojlera, kotła centralnego ogrzewania, prysznic i, wreszcie, zbiornika ciśnieniowego i dwóch podłączeń z zimną wodą dla pryszczep. Najwyraźniej wycena była dobra, ponieważ hydraulicy odhaczali na niej wykonane już zadania. Stwierdziłem, że zbiornik ciśnieniowy już ukończono.

Zakląłem cicho zwątpiwszy w to, co podejrzewałem. Wiedziałem jednak, że muszę się upewnić. Jeśli to okaże się prawdą, moje kłopoty dopiero się zaczęły.

Nie wracałem przez farmę Petera. Przeszedłem milę aleją, skręciłem na południe w stronę drogi do Gloucester i pokonałem nowy most. Z hukiem minęły mnie ciężarówki wiozące płyty paździerzowe i mrożone kurczaki. Na szczycie wzgórza znajdował się parking, gdzie pośród ryczących ciężarówek urządziła sobie piknik jakaś ponura rodzinka. Minąłem ją i przeskoczyłem przez bramę na teren posiadłości Petera. Błotnistą ścieżką niedawno ktoś jechał. Szedłem wzdłuż niej przez około sto jardów ciemnego pasma lasu, potem przez wijące się zarośla, aż do polny wykarczowanej na miejscu starego obozu.

Na betonowych fundamentach starych baraków ustawiono dwie przyczepy. W pobliżu fundamentów ziemię oczyszczono z chwastów i zaorano, ale już zaczęło się pojawiać nowe zielsko. Przyczepy były dość duże, używane. Obie były zamknięte. Pomiędzy nimi stał zbiornik ciśnieniowy. Okna obu przyczep zasłonięto.

Dwie przyczepy. Jedna dla Georginy, a druga dla kogo? Może dziewczęta z zachodniej Irlandii, zwabione ogłoszeniem w gazecie katolickiej? Takie dziewczyny nie żądały zbyt wiele. Matka zatrudniała je jako służące i zapewne Elizabeth postąpi tak samo. Będzie udawała, że Georgina mieszka w willi Pierwiosnek – i zapewne tak będzie przez kilka miesięcy, w czasie których agencja Cheltenham zapewni pielęgniarkę – ale wkrótce wszystko się zmieni i Georgina zostanie przeniesiona na wzgórze, do tego drewnianego grobu. Tymczasem willa Pierwiosnek zostanie wynajęta z godziwym zyskiem przez pośredników szukających wakacyjnych domów. A wszystko to za pieniądze Georginy.

– Kurwa! – zakląłem na głos i bezsilnie uderzyłem pięścią w metalową ścianę najbliższej przyczepy.

Koniec z wolnością, teraz pozostał tylko obowiązek. Nadszedł czas, by złapać złodzieja.

Tej samej nocy wróciłem do Devon, odszukałem wiośła i popłynąłem szalupą na „Słonecznika”, gdzie wysączyłem resztki z ostatniej butelki whisky. Czułem nieodpartą pokusę, by podnieść kotwicę i pozwolić, aby ustępujący odpłył poniósł

mnie na morze. Zamiast tego poszedłem spać, a raniem wróciłem na brzeg, by znaleźć automat telefoniczny.

Musiałem zacząć działać. Charlie powinien się dowiedzieć, że wróciłem do Anglii, a jego hojność wcale nie kupiła mi wolności, której tak zazdrościł. Zadzwoiłem do niego do stoczni, ale nie było go w biurze. Zatelefonowałem więc do Yvonne. Zdziwiła się, słysząc mnie w słuchawce, lecz nie zapytała, gdzie jestem, ani czego chcę. Poinformowała mnie, że Charlie wyjechał.

– Znowu do Hertfordshire?

– Nie, chyba do Szkocji. – Powiedziała to tak, jakby nie miało to dla niej znaczenia. – Poszerza tam jakąś drogę.

– Przekaż mu, że wróciłem, Yvonne. Na razie cumuję w Exeter, ale nie wiem, jak długo tam zostanę. Zawsze może się ze mną skontaktować przez radio.

Yvonne nie była zadowolona, ale obiecała przekazać informację Charliemu, kiedy zadzwoni do domu. Pewnie pomyślała, że chcę wyciągnąć od niego jeszcze trochę pieniędzy. Pożegnałem ją i zadzwoniłem do informacji telefonicznej, by spytać się o numer do galerii Buzzacotta. Czekąło mnie trudne zadanie, ale musiałem je wykonać. Poprosiłem Jennifer Pallavicini, ale mężczyzna, który odebrał telefon poinformował mnie, że poleciała do Nowego Jorku. Miała wkrótce wrócić, a na razie mogłem tylko zostawić wiadomość.

– Proszę jej przekazać, że dzwonił John Rossendale i że wrócił do Anglii. Proszę jej powiedzieć, że może się ze mną skontaktować przez radio. – Wymieniłem mu listę radiostacji na wybrzeżu i podałem sygnał wywoławczy „Słonecznika”. Mężczyzna najwyraźniej nie wszystko zrozumiał, ale skrupulatnie zanotował informację.

Potem nie miałem nic innego do roboty, więc wypłynąłem w morze.

Kręciłem się po Kanale przez kilka dni. Kusiło mnie, żeby wpaść na Jersey, ale nie byłem pewny, czy to dobry pomysł. Georgina cieszyłaby się z mojej wizyty, nie mogłem jej jednak nic zaofiarować, więc stchórzyłem. Odwiedziłem znajomego w Lézardrieux i próbowałem sobie wmówić, że zakochałem się w kelnerce pracującej w jego kafejce nad brzegiem rzeki. Jacques zabrał mnie do kasyna w Dinard. A chociaż protestowałem, że nie mogę sobie pozwolić na hazard, wygrałem w końcu trzy tysiące franków. Wygrana nie zmieniła stosunku kelnerki do mnie, więc popłynąłem z prądem w dół rzeki i na dwa dni rzuciłem kotwicę w

poblizu Ile Bréhat. Słuchałem wiadomości nadawanych przez radiostacje, lecz nie wspomniano nawet o „Słoneczniku” ani nie wymieniono jego sygnału wywoławczego. Zamówiłem rozmowę z galerią Buzzacotta na koszt domowego numeru Elizabeth, ale dowiedziałem się, że Jennifer Pallavicini jeszcze nie wróciła.

Po dwóch dniach postanowiłem popłynąć na wyspy Scilly, bo jeszcze nigdy tam nie byłem. Prognoza pogody mówiła o południowo-wschodnim wietrze, ale trzy godziny drogi od francuskiego brzegu wiatr zupełnie zmienił kierunek, a to oznaczało, że będę musiał się z nim szarpać przez całą drogę. Jednak trzymałem kurs, wiedziony ciekawością i urokiem nieznanymi wysp, do których dotarłem tuż po zmroku następnego dnia. Rzuciłem kotwicę w Port Cressa i spędziłem okropną noc w skaczącym na wszystkie strony jachcie, miotanym przez coraz większe fale, niesione przez zachodni wiatr. Rankiem padało i zerwała się wichura. Nie schodząc nawet na brzeg, podniosłem kotwicę, wykręciłem się w drugą stronę i odpłynąłem. Wiatr wiał z siłą ośmiu stopni w skali Beauforta, a fale zaczynały przybierać coraz bardziej niepokojące rozmiary. Biała piana ściekała w dół po ścianach wody. Inny duży jacht odpłynął równocześnie ze mną, ale do południa straciłem go z oczu pośród fal znoszących nas w stronę Kornwalii. Dobrze się bawiłem. „Słonecznik” pracował jak należy: twardo stawiał czoło wichurze, a bom co kilka minut przechodził to na jedną, to na drugą stronę. Wczesnym popołudniem ujrzałem Lizard Point – czarną plamę pośród szarej mgły – ale wkrótce burza zamazała mi obraz. Na północy usłyszałem pomruk i spostrzegłem pojedynczą nitkę błyskawicy, która na chwilę rozcięła niebo. „Słonecznik” rozbił falę rufą, rozpylając wodę na wysokość dwunastu stóp, a potem zanurkował gwałtownie. Tak właśnie się pływało po Kanale: ostro, szybko, mokro i wesoło.

Następnego ranka w Dartmouth powiosłowałem do portu, w którym odbyło się wodowanie „Słonecznika” po remoncie, ale nie spostrzegłem tam nawet śladu „Baraterii”. Właściwie nie spodziewałem się ujrzeć jachtu Charliego. Wyszedłem więc na brzeg, znalazłem telefon, ale nie mogłem się dodzwonić do domu Charliego. Spróbowałem do stoczni, lecz tam również go nie było. Zatelefonowałem do Jennifer Pallavicini, ale najprawdopodobniej nie wróciła jeszcze z Ameryki, bo w biurze nikt nie podnosił słuchawki.

Do diabła, pomyślałem. Do diabła. Spacerowałem po pomoście razem z innymi turystami w porywistym wietrze i marzyłem, by być jak najdalej stąd. Trzymała

mnie tu tylko myśl o dwóch przyczepach w kącie farmy Elizabeth. Musiałem rozwiązać ten problem, a wążając się po Kanale nie przybliżałem się do rozwiązania nawet o krok. Wróciłem do budki telefonicznej. W Horta Jennifer Pallavicini powiedziała mi, że sprawą odzyskania okaleczonego van Gogha zajmuje się policjant Harry Abbott. Harry był draniem, ale draniem, do którego można się było dozwonić, więc zatelefonowałem.

Nie zastałem go w biurze w Exeter, ale po chwili odnaleziono go. Nie mógł podejść do telefonu, lecz przekazał mi wiadomość, byśmy spotkali się następnego dnia rano w kawiarni przy pomoście w Dartmouth.

Cały dzień osuszałem jacht i wyplukiwałem sól z włosów i ubrań. Następnego ranka powiosłowałem na brzeg trochę wcześniej i zamówiłem podwójne porcje bekonu, jajek, kiełbasek i frytek. Kupiłem jakieś brukowe pismo i właśnie zabawiłem się historią księdza, który uciekł z mężem kierowniczką kościelnego chóru, kiedy ktoś poklepał mnie po ramieniu.

Odróciłem się. Nade mną pojawiła się niezdrowa i posępna twarz Harry'ego Abbotta. Uśmiechnął się, odsłaniając długie, żółte zęby.

– O Boże – powiedziałem.

– Tak wysoko jeszcze nie awansowałem. Jestem tylko detektywem inspektorem, ale do Boga już mi niewiele brakuje. – Sięgnął mi przez ramię i wziął sobie jedną frytkę. – Lubię frytki na śniadanie.

– No to sobie zamów.

Ukradł jeszcze jedną.

– Już zjadłem cały talerz. Bardzo dobre były, z lekkim posmakiem octu. – Usiadł naprzeciw mnie i pokropił octem zdobytą frytkę. – Świetnie wyglądasz, Johnny – stwierdził. – Gdyby mi się udało postawić na swoim, siedziałbyś jeszcze w więzieniu.

– Ale ci się nie udało.

– Sprawiedliwość jest jak ospa – powiedział. – W końcu każdego dopadnie.

– Bardzo śmieszne, Harry.

Zamówił dla siebie kawę z łyżeczką cukru. Następnie zapalił papierosa i wydmuchnął dym na mnie.

– Znasz Jimmy'ego Nichollsa?

– Nie.

– Zmarł z powodu palenia, tak jak twoja matka. Bardzo zdenerwowałeś się jej śmiercią, Johnny?

– Odpieprz się, Harry.

Detektyw inspektor Harry Abbott przypomina żart natury. Błady jak śmierć, wysoki, siwowłosy, wygląda, jakby za chwilę miał zejść z tego świata, ale to przebiegły drań. Kiedy przesłuchiwał mnie w sprawie skradzionego van Gogha niemal wmówił mi to, co chciał ode mnie usłyszeć. Byłem niewinny, ale Harry był niezmordowany i prawie uwierzyłem, że to ja jestem sprawcą kradzieży. Powinienem mieć się na baczności, żeby mnie znowu w coś nie wrobił.

– A co czujesz, kiedy pomyślisz, że jakiś bezmyślny wandal tnie nożyczkami obraz twojej mamy? – zapytał.

– Wkurza mnie to.

– Zawsze lubiłeś ten obraz, co? Udawałeś, że nie, ale wiem, że go lubiłeś. Wiesz, nie mogę tego zrozumieć. Ja lubię normalne obrazy.

– Cyce i gołe dupy?

Puścił to mimo uszu.

– Kiedyś wydawało mi się, że mogłeś go rąbnąć, bo tak bardzo go lubiłeś. Dziwne, ale teraz nie jestem pewien, czy to zrobiłeś. Co więcej, jestem skłonny nawet uwierzyć w twoją niewinność, Johnny. Może robię się na starość coraz bardziej miękki, a może zatrąłem się jadem ludzkiej dobroci? W każdym razie naprawdę uważam, że wtedy niesłusznie cię posądzałem.

– No to przepróż.

– Przepraszam, Johnny. – Wyszczrzył do mnie końskie uzębienie. – No to powiedz mi, draniu, dlaczego nie zgłosiłeś, że cię napastowano? Wiem, że wiedziesz nędzny żywot, nie wart funta kłaków, ale trochę nas interesują zamachy na życie.

Zostawiłem resztę śniadania.

– Kto ci o tym powiedział?

– Kto mi powiedział? – Harry zabrał mi z talerza ostatnią kiełbaskę. – A jak myślisz? Oczywiście że hrabina.

– Hrabina? – Jedyna hrabina, czyli contessa, która mi przychodziła do głowy to marka jachtu. Bardzo ładne łodzie. Kiedyś omal nie kupiłem contessy 32.

Harry pokręcił głową, zatroskany stanem mojego umysłu.

– Hrabina Pallavicini, a któżby inny?

– Jennifer Pallavicini?

– No tak, wciąż zapominam. Ty też należysz do arystokracji. Między sobą pewnie nie używacie tytułów. Na pewno mówisz do niej „najdroższa Jenny” albo coś w tym stylu. Tak, Johnny. Chodzi mi o Jennifer Pallavicini.

– A niech mnie wszyscy diabli – szepnąłem. Wydawało mi się, że jestem jedynym pod słońcem, który nie czerpie złamanego grosza z tytułu. Jennifer Pallavicini też ukrywała swoje pochodzenie? Czułem się głupio i byłem zaskoczony.

– Nie wiedziałem, że ona jest hrabiną – powiedziałem niepewnie.

– Jej matka poślubiła hrabiego, ale teraz jest żoną Buzzacotta, lady Buzzacott, więc hrabiowski tytuł przypadł w udziale córce. Wiesz, Włosi rozdają tytuły na prawo i lewo, więc pewnie nie ma on większego znaczenia.

Gapiłem się na Abbotta w osłupieniu.

– To ona jest pasierbicą Buzzacotta?

– Tego też nie wiedziałeś?

– Nie.

Abbott był z siebie zadowolony. Rozparł się na krześle.

– I co, zdziwiony?

– Muszę przyznać, że tak.

– Przestań ostrzyć sobie na nią pazury, stary zбочeńcu. Zaręczyła się z jakimś szwajcarskim biznesmenem.

– Nie nosi pierścionka – zaprotestowałem trochę za szybko.

– To takie nowoczesne, nie? Równość i te inne brednie. A tak naprawdę, to pewnie trzyma pierścionek w bankowym sejfie. Ten gość ze Szwajcarii ma forsy jak lodu. – Przyjrzał mi się uważnie i uśmiechnął się złośliwie. – Masz na nią chrapkę, co?

– A kto by nie miał?

– No to masz szczęście, Johnny, bo ona chce się z tobą spotkać.

– Wydawało mi się, że jest w Nowym Jorku?

Abbott przewrócił oczyma.

– Nie każdy przekracza ocean, rozwieszając szmaty na patykach. Wróciła wczoraj concordem. Pojedziemy teraz razem na spotkanie z rodziną. Będzie bardzo wytwornie. Na pewno nie chcesz się przebrać w garnitur?

– Nie. – Nie mogłem znieść myśli o spotkaniu z Buzzacottami, bo nie miałem do tego ani nastroju, ani ogłady towarzyskiej, ale dzwoniąc do Harry’ego Abbotta sam się skazałem na wszelkie niewygody, jakie się z tym wiązały. Dla dobra Georginy.

Harry dopił resztę kawy i pstryknął na kelnerkę, by przyniosła rachunek.

– Dobrze znowu popracować nad przestępstwem – odezwał się radośnie.

– Odsunęli cię, tak? Kim teraz jesteś? Przeprowadzasz dzieci przez ulicę?

– Po prostu pomagam – powiedział tajemniczo. – Dali mi tę sprawę ze względu na sentyment do dawnych czasów i po to, by oszczędzić komuś innemu przeglądania akt. To co, Johnny, idziemy? Na zewnątrz stoi mój samochód. Ale najpierw ureguluj rachunek.

Zapłaciłem i wsiałem z Harrym do rozklekotanego rovera, który Abbott szumnie nazywał samochodem. Skierowaliśmy się na północ, a ja rozmyślałem o hrabinie i o tym, czy Szwajcarzy umieją żeglować. Umieją robić zegary z kukułką, pewnie potrafią jeździć na nartach, ale chyba nic innego, poza, oczywiście, robieniem pieniędzy. I była to przygnębiająca myśl, więc próbowałem zapomnieć o Jennifer Pallavicini. Za to na prośbę Harry’ego opowiedziałem o Garrardzie i Peelu i o tym, jak Charlie ocalał mnie dosłownie w ostatniej chwili. Kiedy wysłuchał już wszystkiego, przez całą drogę do Wiltshire raczył mnie opowieściami z pola golfowego.

Zostawiliśmy wóz przed zamkiem Comerton, na frontowym parkingu wielkości lotniska. Po schodach zbiegli dwaj odźwierni, by otworzyć drzwi samochodu. Harry zażartował, że chyba mógłby się przyzwyczaić do takiego życia. Z całym szacunkiem doprowadzono nas do drzwi, gdzie zostaliśmy powitani przez lokaja w prążkowanym garniturze. Harry’ego już znał, ale nawet nie mrugnął ujrawszy moje brudne dżinsy i wymiętą koszulę.

– Witamy waszą lordowską mość w zamku Comerton. Proszę za mną.

Tak też zrobiliśmy i w ślad za jego cichymi krokami szliśmy pomieszczeniami, w których dałoby się umieścić szkuner z pełnym takielunkiem. Sufity przedstawiały zbuntowane bóstwa, a ściany zdobiły marmurowe kolumnady. Same meble

warte były na pewno niezłą fortunę, a obrazów wiszących na ścianach nie powstydziliby się żadna galeria, choć zapewne sir Leonowi nie wydawały się godne jego własnej. Harry Abbott zwilżył palce i próbował przylizać siwe włosy.

– Niezła chałupa, co? – szepnął do mnie, po czym poprawił marynarkę i wyprostował krawat.

– Czujesz się nieswojo, Harry? – zapytałem.

– Na Boga, nie. My gliniarze jesteśmy z wyższymi sferami za pan brat.

Dystyngowani goście czekali na lśniącem tarasie pełnym palm w donicach i wygodnych sof. Sir Leon i Helen Buzzacottowie uśmiechnęli się wdzięcznie na powitanie. Nigdzie nie dostrzegłem Jennifer. Zagadnąłem gospodarzy kurtuazyjnie, jak to było w zwyczaju. Przyznałem, że dzień mamy piękny po tych burzach. Tak, zwiedzałem galerię sir Leona i wywarła na mnie ogromne wrażenie.

– Córka opowiadała mi, że spotkała pana w galerii – powiedziała uprzejmie lady Buzzacott, co miało sugerować, że córka opowiedziała jej także o kłótni ze mną. – Naprawdę szkoda, że wtedy nam pana nie przedstawiła.

– Rzeczywiście, byłoby mi niezmiernie przyjemnie – zdobyłem się na wyszukaną galanterię. Byłem uprzejmy tylko dla dobra Georginy, ale coraz bardziej wzbierała we mnie nienawiść. Nie chodziło wcale o to, że czułem się nieswojo, bo tak nie było, ale o to, że traktowano mnie z góry. Dwa dni temu zmagąłem się z wichurą, a teraz stąpałem na koniuszkach palców, bawiąc się w salonowe konwersacje.

– Jenny mówiła nam też o wyjeździe na Azory – ciągnęła lady Buzzacott. – Opowiadała, że uderzył pan jakiegoś osiłka?

– Tylko dwa razy, lady Buzzacott.

– Proszę się do mnie zwracać Helen, a ja będę pana nazywać John. Leonie, Johnowi chyba dobrze zrobiłby drink. Harry zapewne też się napije. Chyba najprzyjemniejsze w pracy policjanta jest to, że można pić ile się chce i potem prowadzić samochód.

– Wasza wysokość ma całkowitą rację. – Harry zachowywał się bardzo pokornie i przyszło mi do głowy, że zapewne durzył się w lady Buzzacott, co mnie nie dziwiło, bo żona sir Leona była piękną kobietą. To piękno było wrodzone, nie nabyte w ośrodkach wypoczynkowych, sanatoriach czy na stole operacyjnym

jakiegoś chirurga plastycznego. Włosy, podobnie jak córka, miała ciemne, ale powoli przyprószała je siwizna, a lady Buzzacott wcale nie miała zamiaru jej ukrywać.

Wywarła na mnie wrażenie, a jej mąż raczej mnie zadziwił. Sir Leon był małym, bardzo okrągłym i nieśmiałym człowiekiem. Spodziewałem się spotkać przerażającego potentata, tymczasem ujrzałem bardzo pokornego człowieczka. Zamówił drinki i zabrał Harry'ego do jakichś orchidei.

– Będą rozmawiać o golfie – powiedziała zrezygnowana lady Buzzacott.

Zaczęła mi się podobać.

– Przez całą drogę z Devon o niczym innym nie słyszałem.

– Ależ pan się nacierpiał. Nic dziwnego, że przydał się panu ten drink. – Właśnie dostałem ogromną szklankę whisky. – Muszę powiedzieć, że bardzo się cieszę, mogąc pana poznać – ciągnęła. – Bowiem wiele o panu słyszałam. Jest pan niepokorny, prawda?

– Czyżby?

– Oczywiście, że tak. Bez wątpienia pańscy przodkowie przemierzali morza w poszukiwaniu ogromnych Szwedów, których mogliby bić, ale dzisiaj to nie przystoi. Wszyscy mamy być nudni, tak jak Hans.

– Hans?

– Narzeczony Jennifer. Obawiam się, że będzie dzisiaj na obiedzie. Zajmuje się, zdaje się, serem, czy czymś w tym rodzaju, ale jest tak przeraźliwie nudny, że właściwie tak naprawdę nigdy go nie słucham.

Lady Buzzacott podobała mi się coraz bardziej.

– A pani? – zapytałem. – Jak pani walczy z nudą?

– Obserwuję Leona przy pracy. To fascynujące zajęcie.

– Doprawdy? – Chyba zabrzmiało to niezbyt przekonująco, bo nie mogłem zrozumieć, co takiego pociągającego lady Buzzacott widziała w malutkim, krótkowzrocznym sir Leonie. Poza tym, że zbijał fortunę jak zbój.

– Wielu ludzi nie docenia Leona – odparła z ostrzegawczą nutą w głosie. – To pirat. Wiem, że nie wygląda na takiego, ale to pirat. Zaczął oczywiście od nieruchomości, podobnie jak większość nuworyszów. Nadal ma jeszcze trochę posiadłości, ale teraz zajmuje się głównie firmami. W ten sposób poznaliśmy Hansa.

Jest właścicielem jakiejś firmy spożywczej. Leon nie mógł jej przejąć z powodu obowiązujących regulacji prawnych w Szwajcarii, więc teraz jesteśmy jedną wielką, szczęśliwą spółką. Hans też gra w golfa. – Wzruszyła ramionami. – Czy jest coś nudniejszego niż golf? A teraz proszę ze mną usiąść i opowiedzieć, dlaczego z takim uporem nie chcesz pomóc w odzyskaniu własnego obrazu?

Usiadłem. Na drugim końcu tarasu sir Leon demonstrował golfowe uderzenie, używając zamiast kija długiej butelki.

– No, słucham? – zachęcała mnie lady Buzzacott.

– Wciąż nie jestem pewien, czy to naprawdę mój obraz.

– Co do tego nie ma wątpliwości! – powiedziała stanowczo żona Buzzacotta, lecz po chwili na jej twarzy pojawił się wyraz sceptycyzmu. – No, kiedy do sprawy wkraczają prawnicy, nie można być niczego pewnym, ale Leon zasięgał opinii radcy prawnego: wygląda na to, że obraz należy do funduszu pańskiej rodziny, czyli do pana. Testament pańskiej matki nie powinien tu niczego zmienić.

Przypomniałem sobie, jak zwinnie sir Oliver uniknął tematu testamentu matki.

– Jeszcze nie widziałem testamentu – rzekłem, licząc na oświecenie.

I nie rozczarowałem się.

– Nic w nim nie ma dla pana – wyjaśniła mi lady Buzzacott. – Poza tym jest kilka przykrych słów pod pana adresem, które najlepiej zignorować. Za to cały majątek matka zapisała pańskiej siostrze Elizabeth, ze szczególnym uwzględnieniem obrazu van Gogha, ale wątpię, czy miała prawo zapisywać ten obraz komukolwiek. Podarowała go już rodzinnemu funduszowi, by uniknąć podatku. Zapewne spisując testament liczyła na to, że prawnicy jakoś rozwikłają tę sprawę. Nie wiem, dlaczego ludzie aż tak ufają prawnikom. Z doświadczenia wiem, że oni tylko wszystko komplikują.

– Ale Elizabeth prawdopodobnie uważa, że testament ma większą moc, niż pierwotny akt darowizny na rzecz funduszu – powiedziałem.

– Oczywiście, że tak! – poparła mnie stanowczo lady Buzzacott, po czym wzruszyła ramionami. – A może i nie. Dwa lata temu wraz z matką próbowała zaszkodzić funduszowi.

– Naprawdę? O tym nie wiedziałem.

– Ale potrzebny był twój podpis. Tymczasem ty wędrowałeś sobie po szerokich morzach, bijąc się ze Szwedami, więc ku utrapieniu Elizabeth, fundusz nadal istnieje. Choć oczywiście, gdybyś zmarł nie zostawiwszy potomstwa, Elizabeth stałaby się główną spadkobierczynią.

– To bardzo dziwne – powiedziałem. – Pani rodzina wie znacznie więcej o moich sprawach niż ja sam.

– To dlatego, że o to nie dbasz. Tylko wielcy nudziarze przekopują się przez te nużące dokumenty. Właśnie, à propos nudziarstwa, nadchodzi Hans. – Na tarasie pokazał się wysoki, zabójczo przystojny młodzieniec. Należał do tego typu obcokrajowców, którzy ubierają się na angielską modłę, czyli noszą najdroższe obuwie i tweedowe garnitury, ale całe to bogactwo sprawiło, że wyglądał jak krawiecki manekin. Hans musiał się jeszcze nauczyć, że aby garnitur i buty rzeczywiście przypominały ubranie Anglika, jego ogrodnik musiałby je najpierw nosić do pracy przez okrągły rok. Chyba nieco zdziwiło go moje odzienie, ale uspokoił się, kiedy przedstawiono mnie jako księcia. Może pomyślał, że jestem jednym z tych ekscentrycznych angielskich arystokratów, o których tyle słyszał. Zapytałem go o ser.

– Ser? – zaniepokoił się.

– Helen mówiła mi, że zajmuje się pan serem?

– Aha, chodzi o topiony ser! – Rozchmurzył się. – Rzeczywiście. Ale to zaledwie niewielka część naszej ogólnej działalności, milordzie. Chcielibyśmy ją rozszerzyć, zwłaszcza na amerykańskim rynku, ale Amerykanie nie są takimi smakoszami sera jak my. Musimy opracować gatunki, które nie stracą zapachu nawet po długotrwałym zamrażaniu...

– Och, jak już późno! – uśmiechnęła się wdzięcznie lady Buzzacott do swego przyszłego zięcia. – Czy nie zadzwoniłbyś do Jenny, by jej przypomnieć, że jeśli chce zjeść z nami obiad, powinna się pospieszyć?

Hans, najwyraźniej zmieszany, posłusznie odszedł. Lady Buzzacott zerknęła na mnie i zauważyłem, że jest znacznie większą damą, niż wydawało mi się na początku.

– Jeśli sądzisz, że jestem dla ciebie szczególnie miła, John, to masz zupełną rację. Próbuję cię przekupić. Chcę, żeby Leon dostał te „Słoneczniki” i chcę, żebyś ty otrzymał za nie uczciwą cenę.

– Naprawdę nie znoszę tego, jak wasza rodzina mnie rozpieszcza – powiedziałem bez przekonania.

Roześmiała się i wyjrzała przez okno.

– Aha, widzę, że Jenny już idzie do galerii. Pójdziemy na obiad, postuchasz jeszcze trochę o serze. Potem odbędziemy naradę wojenną, ale bez Hansa, bo on nie należy do rodziny. Na razie. – Z tonu jej głosu wywnioskowałem, że wcale nie była taka pewna, czy w ogóle chce go mieć w rodzinie. Stwierdziłem, że lady Buzzacott naprawdę bardzo mi się podoba i zaproponowałem jej ramię, by udać się na obiad.

Sir Leon i Helen Buzzacottowie, hrabina Pallavicini, inspektor Harry Abbott i ja utworzyliśmy radę wojenną.

Mówił głównie Harry i trzeba przyznać, że jego słowa robiły wrażenie. Lady Buzzacott powiedziała bardzo mało, ale uważnie słuchała. Sir Leon odzywał się wtedy, kiedy było to konieczne, i robił notatki. Jennifer Pallavicini była wyniosła i chłodna. Tak samo zachowywała się przy obiedzie, prawie mnie nie zauważała. Spostrzegłem, że w przeciwieństwie do naszych poprzednich spotkań, teraz nosiła na palcu zaręczynowy pierścionek: wielki kawał brylantu, na który na pewno poszło mnóstwo topionego sera.

Harry zaczął od opisu świata złodziei dzieł sztuki. Ten wykład przygotował chyba na mój użytek, choć sir Leon również coś zapisywał w swoim skórzanym notesiku. Kradzieże dzieł sztuki, mówił Harry, to najbardziej wyspecjalizowana dziedzina. W grę wchodziło tylko kilku zawodowców. Ich kwalifikacje nie sprostawały się tylko do włamań i wtargnięć na teren czyjejś posesji, choć owe posesje często były pilnie strzeżone nowoczesnymi systemami alarmowymi. Najważniejszą umiejętnością było znalezienie chętnego na zakup kradzionego obrazu. – Włamanie i wtargnięcie – powiedział Harry – można zlecić jakimś pospolitym złodziejaskom. Oczywiście złoczyńcy szukają sobie jakiegoś współpracownika wewnątrz domu i właśnie dlatego, kiedy zginęły „Słoneczniki” ze Stowey, wydawało nam się, że to Johnny uczestniczył w spisku.

Lady Buzzacott obdarowała mnie oszałamiającym uśmiechem, sir Leon zanotował coś swoim drobnym pismem, zaś Jennifer patrzyła w sufit. Ja gapiłem się na nią. Była naprawdę piękna, a istnienie Hansa jeszcze bardziej zwiększało jej atrakcyjność.

– Kiedy powiedzie się kradzież obrazu – ciągnął Harry – opłaca się współników. Prosta wypłata, żadnych procentów ani warunków...

– Jego lordowska wysokość może nie wiedzieć, o jakich warunkach pan mówi, inspektorze – zauważył niskim głosem sir Leon.

– Na przykład o tym, że jeśli obraz nie zostanie sprzedany, nie ma pieniędzy. Ale wynajęty złodziej musi dostać swoją część, niezależnie od tego, co się stanie. Rozumie pan, milordzie? – Harry nie znośił zwracać się do mnie „milordzie”, ale najwyraźniej czuł, że w tym szacownym otoczeniu jest to konieczne.

– Rozumiem, inspektorze. Proszę mówić dalej.

Spojrzał na mnie mściwie – za to, że ja też zacząłem go tytułować – po czym nasypał sobie cukru do kawy.

– Po kradzieży – mówił dalej – obraz trafia bezpośrednio do nabywcy. I to właśnie istota wszystkich takich kradzieży: nabywca jest przygotowany, jeszcze zanim złodzieje przystąpią do pracy. Rozumieją państwo, że nikt nie chce, by po domu walało mu się płótno Rembrandta warte dziesięć milionów funtów i w tym czasie poszukiwać kogoś, komu akurat zbywa trochę miejsca na ścianie w salonie.

– To oczywiste – odezwał się sir Leon zdęgotowany.

– Zatem obraz trafia do nabywcy, pieniądze przechodzą z rąk do rąk i koniec. Nowy właściciel dba, by dobrze schować obraz i płótno może zostać odnalezione czasami dopiero długo po śmierci nabywcy.

– A ci kupujący? – zapytał sir Leon. – Co to za ludzie?

– Ostatnio coraz częściej Japończycy, sir.

– Ale dlaczego nie kupią ich na aukcji? – zaciekawilem się.

– Ponieważ interesujący ich obraz może akurat nie być na sprzedaż – wyjaśnił Harry. – I dlatego, że jeśli wszystko się powiedzie, wychodzi to taniej, niż kupowanie na aukcji. Na czarnym rynku dobrego Rembrandta można dostać nawet za milion.

Wciąż nie rozumiałem, dlaczego ktoś, kogo stać na zapłacenie miliona funtów, nie chce brać udziału w aukcjach. Powiedziałem to na głos, na co sir Leon odłożył swoje złote pióro i spojrzał na mnie.

– Musi pan zrozumieć, milordzie, naturę kolekcjonera. Kieruje nim, a mówię to z doświadczenia, jedna pasja, która całkowicie go pożera. Odnosi się to zarówno

do znaczków pocztowych, modeli pociągów, miniaterek samochodów, porcelany, paczek po papierosach, jak i do – przerwał, a ja pomyślałem, że powie „kobiet” – dzieł sztuki. Niezależnie od obiektu zainteresowań, ta pasja przeradza się po prostu w obsesję, a nawet, jeśli wolno użyć mi tych słów, w niepohamowane i bezmyślne pożądanie. Ktoś pragnie, powiedzmy, pewnego obrazu Picassa i nie zazna spokoju, dopóki ten obraz nie znajdzie się w jego rękach. Ta forma pożądania to choroba, milordzie, która burzy poczucie rzeczywistości opanowanego nią człowieka do tego stopnia, że wierzy, iż nie zazna szczęścia, dopóki nie zaspokoi swej żądy. Pod każdym innym względem może się wydawać normalnym człowiekiem, ale w tej dziedzinie, głębokiej i ukrytej, jest nieobliczalny. Zapewne zauważył pan, milordzie, że cały czas używałem tutaj rodzaju męskiego. Wygląda na to, że kobiety są odporne na tego rodzaju uzależnienia. Czy rozwiąłem pańskie wątpliwości?

Tak, udało mu się i uświadomiłem sobie, że opisywałem właśnie siebie. Pragnął tego van Gogha i gotów był poświęcić życie, by go odnaleźć. Sir Leon był kolekcjonerem bardzo bogatym i choć zapewne sam nigdy nie dopuścił się przestępstwa, dobrze rozumiał tych, którzy ulegli takiej pokusie i był w stanie im współczuć.

Ale nie miał współczucia dla tych, którzy przetrzymywali obraz dla okupu i kalczyli go.

– Teraz jesteście chyba pewni – powiedział sir Leon – że przesłany nam fragment płótna odcięto z van Gogha ze Stowey.

– Skąd można mieć taką pewność? – zapytałem.

Odpowiedziała mi Jennifer, opisując jak zabrała róg obrazu do Nowego Jorku, gdzie w pracowniach Metropolitan Museum został poddany testom.

– Pigment i płótno są identyczne z tymi, jakich van Gogh używał pod koniec lat osiemdziesiątych XIX wieku. – Głos Jennifer brzmiał dość przygnębiająco. Zdałem sobie sprawę, że musiała bardzo liczyć na to, że odcięty róg nie był autentyczny. Nie chodziło o to, że obraz został bezpowrotnie zniszczony tym małym cieckiem. Bardziej denerwowało ją, że w dalszym ciągu istnieje niebezpieczeństwo odcięcia kolejnych części płótna. Wyjęła rzeczony skrawek obrazu z koperty i położyła na stole. Podniosłem go. Farba była szorstka i popękana, jak powierzchnia morza podczas rzeńskiego wiatru.

– Nawet nie wiemy – powiedziała Jennifer – czy wysłali tylko ten róg. Może próbują uzyskać okup od kilku bogatych osób?

– Może. – Harry wydawał się przebywać myślami zupełnie gdzie indziej. – Ale założę się o moją pensję, że to jedyny odcięty kawałek. Wiedzą, jak bardzo sir Leon pragnie tego obrazu, a to znaczy, że mają pewność, iż zapłaci okup. Najbardziej martwią się teraz, w jaki sposób wygzekwować tę zapłatę, ponieważ obawiają się, by nie przyłapano ich na gorącym uczynku. Właśnie dlatego dali nam tyle czasu. Wiedzą, że sir Leon mógłby zebrać pieniądze na długo przed końcem sierpnia, ale to im potrzeba czasu na opracowanie bezpiecznego sposobu wymiany. – Wyjął mi z palców mały skrawek płótna i pomachał jak mikroskopijnym trofeum. – Krótko mówiąc – powiedział radośnie – mamy do czynienia z amatorami.

– Z amatorami? – powtórzyłem.

– Nie są to zawodowi złodzieje dzieł sztuki, to pewne. W przeciwnym razie obraz dawno już zapadłby się pod ziemię. No i żaden zawodowiec nie żądałby za obraz okupu, to zbyt ryzykowne!

– Chcesz powiedzieć – odezwałem się powoli – że przez cały ten czas ci ludzie trzymali obraz w ukryciu? Ale dlaczego? Dlaczego nie zażądali okupu cztery lata temu?

Harry chyba dobrze się bawił. Miał publiczność, której prezentował swoją dokładną rekonstrukcję przestępstwa.

– Cofnijmy się o cztery lata, do chwili, kiedy skradziono obraz. – Wskazał oskarżycielsko papierosem w moim kierunku. – Wydawało mi się, że ukradłeś ten przeklęty obraz, by powstrzymać matkę przed jego sprzedażą.

– A dlaczego u diabła miałbym to robić?

– Bo twoja matka wydałaby pieniądze na ocalenie Stowey, a ty najwyraźniej tego nie chciałeś. Zatem jeśli ukradłbyś obraz i ukrył go aż do jej śmierci, zachowałbyś wszelkie zyski dla siebie. Innymi słowy, milordzie, sądziłem, że bronisz swojego spadku posuwając się do wstrętnej kradzieży. Ale myliłem się.

Jennifer zerknęła na mnie i zastanawiałem się, czy rzeczywiście dostrzegłem jakiś cień rumieńca wstydu na jej twarzy. Chyba nie.

– A cóż spowodowało taką zmianę frontu? – zapytałem Harry'ego.

– Przecież to oczywiste, czyż nie? Obraz należy teraz do ciebie, więc dlaczego miałbyś go dalej ukrywać? Gdybyś ty go miał, udałbyś, że przez te lata gdzieś się

po prostu zapodział, odkryłbyś go, sprzedał sir Leonowi i poszedłbyś sobie kupić porządny garnitur.

Lady Buzzacott uśmiechnęła się. Jennifer chyba nie mogła się pozbyć przekonania o mojej winie, bo zmarszczyła czoło. Sir Leon patrzył to na mnie, to na Harry'ego, aż wreszcie zadał oczywiste pytanie:

– W takim razie kto jest złodziejem?

– Johnny wie. – W swej radości Harry szybko zapomniał o tytułach. – Prawda, Johnny?

Wydawało mi się, że wiem, ale nie byłem jeszcze skłonny uwierzyć w te przypuszczenia, więc nic nie powiedziałem.

– Taki sam motyw, inny złoczyńca. – Harry zapalił papierosa, którego trzymał w rękę od kilku minut. Wyraźnie obawiał się, że może obrazić lady Buzzacott, ale natóg wziął w nim górę. Zaciągnął się z lubością i spojrzał na mnie. – Kto zostanie dziedzicem funduszu Rossendale'ów w razie twojej śmierci?

– Jeśli nie będę miał dzieci – odezwałem się cicho – to Elizabeth.

– Lady Elizabeth Tredgarth – potwierdził Harry. – Zgorzkniała i rozczarowana dama. I bardzo ambitna. A jej zdaniem ty jesteś zupełnie nieodpowiednim dziedzicem. Nie zależy ci na tytule, nigdy nie zależało ci na Stowey i masz w nosie to, że Rossendale'owie ubożeją, a właśnie te sprawy bardzo leżą na sercu twojej siostrzebliźniaczce. Zapewne bardzo chciałyby odziedziczyć van Gogha, którego mogłaby zamienić na gotówkę. A kto przeszkadzał jej w otrzymaniu tego smakowitego kęsa?

– Matka i ja – odparłem posłusznie.

– No właśnie. Teraz zostałeś tylko ty. Gdybyś teraz umarł, Johnny, twoja siostra mogłaby po prostu oznajmić, że znalazła obraz wśród twojego bagażu. Właśnie dlatego tak zawzięcie wszystkim wmawia, że poznała twojego współnika! Musi udowodnić ci winę, by zapewnić sobie niewinność.

Robił z Elizabeth zimmokrwistą morderczynię, lady Macbeth zachodniej Anglii, ale nie wszystko mi pasowało w tym wizerunku. Elizabeth była zgorzkniała, dumna i potrafiła być okrutnicą bez serca, czego dowodziły dwie przyczepy ustawione na terenie jej posiadłości, ale nie potrafiłem jej sobie wyobrazić jako morderczyni.

– Ona nie jest zabójcą – zaprotestowałem.

– Kobiety raczej nie bywają kolekcjonerkami – zauważyła delikatnie lady Buzzacott. – Ale nie są wolne od chciwości, a wiele dopuściło się nawet morderstwa.

– To oportunistka. – Harry dalej potępiał moją siostrę. – Nie wydaje mi się, by planowała to od zawsze. Bardziej prawdopodobne, że skłoniła ją do tego śmierć matki. No i twój powrót do Anglii. – Przerwał, by strząsnąć popiół na swój spodek. – I pamiętaj, że ma współnika, który jest mordercą.

– Garrard – powiedziałem bardziej do siebie, niż do innych. Mogłem zrozumieć, dlaczego Garrard chciał mnie zabić, ale nie potrafiłem pojąć, dlaczego pobit Jennifer na pokładzie „Słonecznika”.

– To ze strachu! – wyjaśnił Harry moje zastrzeżenia. – Najwyraźniej Garrard pojechał do Salcombe, by cię zabić, ale na pokładzie zastał hrabinę. Co musiał sobie pomyśleć?

– Że zawieram z nią umowę? – powiedziałem niepewnie.

– A to oznaczało – ciągnął Harry – że siostra zawarła z tobą ugodę. Garrard przestraszył się, że wykiwał go duet braciszek – siostrzyczka! Przeraził się, że Elizabeth odda ci obraz, byś go sprzedał, z zastrzeżeniem, że podzielisz się z nią pieniędzmi. To bzdury, ale założę się o co tylko chcesz, że tak właśnie kombinował Garrard, kiedy znalazł hrabinę na twoim jachcie. Po kilku dniach twoja siostra musiała go jakoś udobruchać, bo pojechał do stoczni George’a, by zakończyć robotę jak należy. Czy Elizabeth mogła się domyślać, że zatrzymasz się u Cullena?

Skinąłem głowę. Rzeczywiście, Elizabeth mogła pamiętać o moich starych związkach ze stoczną Cullena. Wszystkie kawałki łamigłówek zaczęły się układać, ale nie podobał mi się wyłaniający się z nich obraz. Trudno jest uwierzyć, że bliźniak może być mordercą.

– A kiedy twój przyjaciel Charlie Barratt powstrzymał tę drugą próbę morderstwa – mówił dalej Harry – co się stało?

– Odpłynąłem.

– Co dla Elizabeth i Garrarda oznaczało klęskę. – Harry pysznił się swoim wyjaśnieniem. – Wciąż żyłeś, zniknąłeś, więc teraz Elizabeth ma problem. Obraz nadal nie jest jej prawną własnością, ale ona za wszelką cenę chce zdobyć te pieniądze. Zatem zaryzykowała żądanie okupu. Ale okazała się trochę za chciwa. Próbowwała też położyć łapska na pieniądzech twojej młodszej siostry i to

zawróciło cię z drogi. Może nawet chciała, żeby tak się stało, bo moim zdaniem twoja śmierć jest jej bardziej na rękę. – Spojrzał na sir Leona. – Obraz jest zapewne wart znacznie więcej, niż to, czego zażądano w liście o okup?

Sir Leon zawahał się, po czym skinął głową.

– Jest wart około dwudziestu milionów.

– I tu cię mamy – Harry znów patrzył na mnie. – Twoja śmierć oznacza dla twojej siostry szesnaście milionów funciaków. Niezły zysk.

Wstałem i podszedłem do okna.

– Ale jeśli Elizabeth już ma ten obraz – szukałem luki w rozumowaniu Harry’ego – dlaczego po prostu nie powalczy o niego w sądzie? Przecież jest uzbrojona w testament matki?

– Dlatego, że przegrałaby – oznajmił krótko sir Leon.

– Ale przecież nie było jej nawet w Stowey, kiedy skradziono obraz – powątpiewałem w dalszym ciągu.

– To Garrard dokonał kradzieży – odparł szybko Harry. – Musiała dać mu klucze i opowiedzieć o systemie alarmowym.

– Ale Elizabeth nie wiedziała, jak dotrzeć do ludzi pokroju Garrarda i Peela – nie dawałem za wygraną.

Harry odrzucił i tę wątpliwość.

– Konie. Garrard był kiedyś niezłym jeźdźcem-amatorem, brał udział w biegach przełajowych. A trybuny na wyścigach konnych aż roją się od podejrzanych typów. – Rozejrzał się szczęśliwym wzrokiem po obliczach Buzzacottów. – Jeśli komuś potrzeba typa spod ciemnej gwiazdy, powinien się wybrać właśnie na wyścigi konne.

Lady Buzzacott podziękowała uśmiechem za radę, sir Leon zrobił zbolałą minę, a Jennifer tylko zmarszczyła czoło.

Wszystko pasowało. Widziałem to wyraźnie. Harry przedstawił nam opowieść o chciwości, przemocy i spadku – koktajl godny wyższych sfer – ale ja wciąż nie chciałem uwierzyć, że moja siostra jest morderczynią. Nie dlatego, że ją kochałem, ale dlatego, że tak jak Elizabeth obawiała się skazy szaleństwa Georginy, ja bałem się morderczej natury mojej bliźniaczki. Pokręciłem głową.

– Nie wiem, Harry, naprawdę nie wiem.

– No to się dowiedzmy! – rzekł pogodnie Harry. – Wróciłeś, więc przekonamy się, czy znowu będzie próbowała cię sprzątnąć. W końcu na pewno wołałaby

dostać obraz legalną drogą, niż ryzykować wymianę za okup. A jeśli Elizabeth i Garrard znów spróbują cię zabić, przyłapiemy ich na gorącym uczynku.

Zapadła cisza. Więc dlatego chcieli, żebym wrócił: po to, bym stał się celem? Żadne z nich nie patrzyło na mnie, widocznie byli zmieszani z powodu tego, czego ode mnie oczekiwali.

Sir Leon odchrząknął.

– Nie rozumiem, dlaczego wymiana miałaby być bardziej ryzykowna, niż popełnienie morderstwa?

– Morderstwa dopadają ludzi zniecka, kiedy najmniej się tego spodziewają – wyjaśnił Harry. – Ale jeśli chce się odebrać okup, trzeba wyznaczyć czas i miejsce, co daje przeciwnikom szansę przyłapania szantażysty.

Sir Leon pokręcił niecierpliwie głową.

– Ze swej strony nie mogę uwierzyć, że odzyskanie obrazu wiąże się nierozdzielnie z usiłowaniem morderstwa. – Wzruszył ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że jego kwalifikacje nie mogą się równać z kompetencją Harry’ego. – Mimo wszystko wierzę w wolę wymiany obrazu na okup. – Spojrzał na mnie swoimi oczyma krótkowidza. – Zażądali, byśmy w kolumnie towarzyskiej „Timesa” umieścili zaszyfrowane ogłoszenie, które ma świadczyć o naszej chęci zapłacenia czterech milionów okupu. Po przeczytaniu inseratu poinstruuje nas, jak dokonać płatności. – W jego wypowiedzi wyczułem echa dawnej kłótni. Sir Leon zapewne był gotów z miejsca zapłacić za obraz każdą cenę, zaś Harry’emu bardziej zależało na złapaniu Elizabeth i Garrarda. Sir Leon patrzył na mnie.

– Nie ma potrzeby, by narażał pan życie, milordzie. Jeśli się pan zgodzi, proszę pozwolić mi zapłacić okup i dogadać się z panem na temat uczciwej ceny.

– Nie! – Harry przerwał te rokowania z zadziwiającą gwałtownością. – Zgadając się na okup nie ma pan pewności, że rzeczywiście oddadzą panu obraz. Mogą po prostu zniknąć, a potem zażądać kolejnych czterech milionów. – Spojrzał na mnie. – Proponowałbym raczej tak podejść tych drani, żeby się ujawnili. Jeśli nam pomożesz.

– O tak, pomogę – rzekłem swobodnie. – Ale pod jednym warunkiem.

– Zapewniam pana – odezwał się sir Leon z rozdrażnieniem, wywołanym prawdopodobnie sprzeciwem Harry’ego – że zapłacę panu najwyższą możliwą

cenę za ten obraz. Zresztą jestem przekonany, że pańska ostateczna cena będzie bardzo wysoka. W końcu raz już prowadziłem rozmowy z pańską rodziną.

Te słowa podziałały na mnie jak uderzenie batem. Sir Leon zachował się wyniośle i impertynencko. Dawał do zrozumienia, że moja rodzina, mimo biedy i upadku, potrafiła okazywać tylko chciwość. Jego słowa utwierdziły mnie w przekonaniu, że sir Leon mnie nie znosił i dawał mi odczuć, że moja chciwość nie dorównuje jego fortunie. Miał nad starymi rodami przewagę, dzięki nuworyszowskiej kiesie, ale prędzej padnę trupem, niż pozwolę tak sobą pomiatać.

– Wypchaj się pan ze swoją ceną – powiedziałem. Wszyscy byli wstrząśnięci. – Mam gdzieś pańską cenę. I proszę mnie nie wkładać do jednego worka z resztą rodziny. Jeśli będzie pan ze mną negocjował, musi pan spełnić moje warunki, a te warunki są bardzo proste, sir Leonie. Zatrószczy się pan o przyszłość Georginy, to wszystko.

Sir Leon zamrugał oczyma. Zapewne zaskoczyła go gwałtowność mojej wypowiedzi, ale nie na tyle, by zapomniał, że prowadzi negocjacje.

– Rozumiem zatem, że pańska cena to zapewnienie siostrze opieki?

– I szczęścia.

Wpatrywał się we mnie. Miał bardzo jasne oczy. Nagle zrozumiałem, że nie jest małym, nieśmiałym człowieczkiem, ale bardzo twardym mężczyzną.

– A dodatkowy aspekt gotówkowy pańskiej ceny? – zapytał najbardziej drwiącym głosem, na jaki mógł się zdobyć.

Pewnie wiedział, że dotknie mnie do żywego.

– Weź pan sobie ten cholerny obraz! – Byłem równie wkurzony, jak on. – Jak pan myśli, dlaczego tu jestem? Bo chcę być bogaty? Na miłość boską, cztery lata temu odziedziczyłem i Stowey i obraz, ale nie chciałem ich. Teraz też nie chcę. Przyjechałem tutaj, sir Leonie, nie po to, by ocalić obraz, ale by ocalić moją siostrę przed więzieniem w odrapanej przyczepie w środku lasu.

Jennifer patrzyła na mnie. Wiedziałem, że przesadziłem z reakcją na pełen wyższości ton głosu jej ojczyma. Poniosło mnie i powiedziałem o wiele za dużo, a teraz doszedłem do punktu, w którym musiałem poświęcić bogactwo, by

udowodnić temu małemu draniowi, że nie każdy będzie mu lizał tyłek za pieniądze. Ale przynajmniej udało mi się zdumieć Jennifer, która teraz patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby ujrzała mnie po raz pierwszy w życiu.

Sir Leon uśmiechnął się.

– Przyjmuję pańskie warunki, milordzie. Obraz w zamian za dożywotnią opiekę nad pańską siostrą. – Wyciągnął rękę.

– Zastanów się dobrze, John – ostrzegła mnie szeptem lady Buzzacott.

Jennifer pokręciła głową z niedowierzaniem, jakby wątpiąc, czy uściskę dłoń jej ojczyma. Sir Leon uśmiechnął się, widząc moje wahanie.

– A więc nie jest pan taki kryształowy, jakby chciał pan być, milordzie? Mamy wnieść poprawki do naszej umowy?

– Wypchaj się pan ze swoimi poprawkami. – Uścisnąłem mu rękę.

W ten sposób zaskoczyłem multimilionera i zrobiłem wrażenie na jego pasierbicy, która z kolei była zaręczona z miliarderem i mnie nie znosiła. Po prostu oddałem van Gogha. I wtedy zrozumiałem, jak musiał się czuć mój przodek, siedemnasty książę Stowe, kiedy stracił wszystkie irlandzkie włości rodziny i bogate planтации trzciny cukrowej na Karaibach, a wszystko za sprawą jednego asa karo. Czuję się jak ostatni idiota.

Harry niemal przewracał się ze śmiechu. Zostawiliśmy rodzinę Buzzacottów i wyszliśmy do ogrodu, gdzie osłaniał nas wielki żywopłot.

– Ale z ciebie dureń! Słodki Jezu! Ale cholerny dureń!

– Zamknij się. – Byłem znacznie bardziej zły na siebie, niż na Harry'ego.

– Słodki Jezu miłosierny! – Znowu się roześmiał. – Oddałeś go! I to tylko po to, żeby zrobić wrażenie na tej gąsce! Ile on jest wart? Dwadzieścia milionów? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Oddałeś obraz van Gogha wart dwadzieścia milionów!

– Nie zależy mi na tych cholernych pieniądzach– powiedziałem gorzko.

– Oczywiście, że ci zależy, Johnny, tylko nie chcesz się do tego przyznać. – Harrym wstrząsnął ostatni paroksyzm śmiechu.

– Nie zależy mi na pieniądzech – upierałem się. – Nigdy mi nie zależało. Gdyby mi na nich zależało, nie zostałbym żeglarzem.

– Nie zostałbym żeglarzem – przedrzeźniał mnie Harry. – Ale na hrabianie ci zależy, co? Ale żeby ją zdobyć, nie wystarczy odrapana łódka. To jedna z tych dziewczyn, które chcą diamentowego naszyjnika przed każdym pójściem do łóżka. Zdaje się, że właśnie pogrzebałeś wszystkie swoje szanse, Johnny.

– Jesteś obrzydliwą świnią, Harry.

– Ale miejmy nadzieję, że wystarczająco inteligentną, synku. – Zapalił papierosa i wpatrywał się w posąg półnagiej nimfy, który ozdabiał wnękę w żywopłocie. – Dość cwana, by powstrzymać sir Leona od zapłacenia okupu. Jemu chodzi tylko o to, żeby zapłacić. Myśli, że w ten sposób na pewno odzyska obraz. Nie może się doczekać. Jest jak dziecko wyglądające otwarcia sklepu z zabawkami, ale według mnie to znacznie bardziej skomplikowana sytuacja, niż mu się wydaje. Jeśli szantażysta wydobędzie od niego te cztery miliony, to co go powstrzyma przed powrotem do tego źródelka, tylko z większym wiadrzem? To nie są głupcy, na pewno wiedzą, że obraz jest wart więcej niż cztery miliony.

Nie odpowiedziałem. Wciąż starałem się przyzwyczaić do myśli o winie Elizabeth. Nie lubiłem jej, naprawdę nie znosiłem, ale nie mogłem sobie wyobrazić, że pragnie mojej śmierci. Mimo to, argumenty Harry’ego były przekonujące.

– Dlaczego po prostu nie przeszukasz domu Elizabeth? – zapytałem go. – Jeśli znajdziesz obraz, będzie po wszystkim.

– Tak się składa, że moja babka co nieco mnie nauczyła jeszcze na długo przed twoim urodzeniem, Johnny. Nie bądź kretynem. Przecież nie schowała tego cholernego van Gogha na strychu. Przez cztery lata gdzieś go ukrywano i musimy tego myśleć, żeby go odzyskać.

– No to poszukaj Garrarda – zaproponowałem.

– Właśnie go szukam – odparł ponuro Abbott. – Ale przepadł, jak kamień w wodę. Będziemy więc musieli przekonać pana Garrarda, żeby to on nas poszukał. – Wciąż wpatrywał się w porośnięte mchem piersi nimfy. – Niezły kawał drania z tego Garrarda.

– Znasz go?

– Oczywiście, że tak. – Harry zostawił nimfę w spokoju i przeszedł po świeżo skoszonej trawie do fontanny, która pięknie się mieniła w popołudniowym słońcu. Usiadł na murku okalającym fontannę i spojrzał na mnie zagadkowo. – Wyleciał z pracy za machlojki finansowe, a potem, kiedy urząd skarbowy zaczął go ścigać z powodu szwindlu z jakimiś obligacjami, przepadł i zaciągnął się do jednego z oddziałów ochotniczych w Afryce Południowej. Mniej więcej pięć lat temu przyjechał tu na urlop i już nie wrócił. Od tego czasu zajmuje się głównie drobnymi rzeczami: bukmacherstwo, wykurzanie. I to jest bardzo zastanawiające – Harry strząsnął popiół z papierosa do fontanny – dlaczego wykwalifikowany zbir z takim łbem na karku zadaje się z pospolitymi złodziejaskami? W Afryce nieźle zarabiał.

– Tutaj musi zarabiać jeszcze więcej.

– Wcale nie. – Harry zmarszczył czoło. – Ale zdaje mi się, że Garrard będzie miał jakąś część zysków z tego obrazu. On nie jest najemnikiem, tylko pełnoprawnym partnerem twojej siostry, Johnny. I będzie za tobą łąził z nożem, bo czuje, że na końcu drogi czeka na niego kilka milionów funtów. No i jak ci się to podoba?

– Ta perspektywa jakoś nie wzbudza mojego zachwytu.

– Ale przynajmniej umrzesz ze świadomością, że pomogłeś mi rozwiązać starą sprawę.

– Odwal się, Harry.

– Ale mam rację – ciągnął Harry. – Wolą raczej wyeliminować ciebie. Kiedy zginiesz, Elizabeth będzie mogła jawnie sprzedać obraz i nie będzie musiała odpowiadać na dociekliwe pytania, w jaki sposób doszła do fortuny. Będzie wolna, bogata i mogłaby ci się roześmiać w nos... Gdybyś oczywiście żył.

– No właśnie.

– Zaraz, zaraz, przecież wujek Harry będzie cię bronił. – Pokazał mi w uśmiechu wszystkie zęby. – Włos ci z głowy nie spadnie, a jeśli się nie mylę, Elizabeth i Garrard pójdą za kratki, maleńka Jenny poślubi ten szwajcarski ser, sir Leon będzie miał swój obraz, a ty będziesz biedny jak mysz kościelna, bo oddałeś cały rodzinny majątek. To co, damy znać naszym złoczyńcom, którzy nie mogą się doczekać, żeby cię zadźgać?

Podszedłem do dziury w żywopłocie, by zobaczyć, czy Jennifer przyszła za nami do ogrodu, ale ujrzałem tylko puste trawniki migoczące w upale. Oznaczało to, że jestem sam, biedny, a wkrótce stanę się ofiarą polowania.

Pięć dni później, w piękną, wymarzoną letnią pogodę wpłynąłem do Dartmouth. Słońce łaskawie raczyło wyjść zza chmur, wiatr sprowadzał się do grzecznych podmuchów o sile nie większej niż trzy stopnie, dokładnie tyle, by „Słonecznik” sunął statecznie naprzód. Jednak nie dość silny, by wywrócić motorówki z ekipami telewizyjnych dzienników.

W ten sposób przebiegły Harry założył przynętę na haczyk: przez nadanie rozgłosu sprawie.

Wszystko przygotowało biuro reklamy sir Leona. John książę Stowey, niegdyś podejrzany o kradzież rodzinnego obrazu van Gogha, wraca do Anglii, by pomóc władzom w jego odnalezieniu. Prasowe doniesienie starannie pomijało fakt, że w tym roku już raz przybyłem do Anglii. Zamiast tego postarano się, by mój przyjazd wyglądał jak powrót marnotrawnego syna, który właśnie przyплыł z nieznanego morza. Im bardziej zbliżałem się do ujścia rzeki, tym więcej pojawiało się motorówek. Czułem się jak podróżnik wracający do domu po opłynięciu świata. Dziennikarze już na łodziach wykrzykiwali pytania, ale tylko machnąłem ręką. Najpierw chciałem zacumować jacht.

Zarezerwowano dla mnie miejsce w miejskim porcie, od strony brzegu. Wprowadziłem „Słonecznika” w lukę, która była dokładnie na tyle szeroka, bym mógł obrócić jacht. Popisywałem się. Większość ludzi korzystała z silnika, ustawiając łódź do cumowania, a potem pozwałała przypluwowi załatwić resztę. Ja miałem nadzieję, że na molo czeka na mnie Jennifer Pallavicini, więc wpłynąłem w lukę na żaglach, ostro obróciłem „Słonecznika” i już wiedziałem, że źle oceniłem siłę przypluwu. Wpadłem w panikę i modliłem się żarliwie, by nie zboczyć z kursu. Niestety tak się stało, a ja zdałem sobie sprawę, że za jakieś dwadzieścia sekund wiatr i przypluw pchną mnie tak, iż zaczepię nowym masztem o most łączący molo z przystanią. Nie miałem czasu na uruchomienie silnika, więc zakląłem, ale wtem jakiś bystry żeglarz ocalił „Słonecznika”, każąc mi rzucić cumę. Rzuciłem i w

ostatniej chwili zatrzymałem się na swoim miejscu, gdzie oczekujący reporterzy pogratulowali mi mistrzowskiego manewru.

Teraz nie mogłem już unikać pytań. Czy słyszałem o uszkodzeniu obrazu? Tak. Co skłoniło mnie do zmiany decyzji i powrotu w celu udzielenia pomocy? Właśnie to uszkodzenie. Gdzie byłem? Wszędzie. Czy sprzedam obraz, jeśli się odnajdzie? Przez cały ten czas starałem się dokładnie zabezpieczyć „Słonecznika” przy brzegu i kląłem, gdy od czasu do czasu jakiś reporter wchodził mi w drogę. Dwaj pracownicy biura sir Leona starali się zaprowadzić porządek w tym zamęcie, ale tylko pogarszali sytuację. Jeden z fotoreporterów zszedł do kabiny i zaczął pstrykać zdjęcia z lampą błyskową. Wyciągnąłem go stamtąd i wyrzuciłem na pomost. Wszystko fotografowano. Rozbawił mnie kolejny fotograf, który wypadł za burtę.

Wreszcie udało mi się zabezpieczyć jacht. Ludzie sir Leona odprowadzili mnie do pobliskiego hotelu, gdzie zarezerwowano salę na oficjalną konferencję prasową. Jennifer Pallavicini już tam była. Przywitaliśmy się. Usiedliśmy za stołem, a dziennikarze ustawiali światła i mikrofony. Za naszymi plecami wisiała reprodukcja „Słoneczników” ze Stowey oprawiona w ramy. Zauważyłem, że Jennifer nie ma na palcu zaręczynowego pierścionka i doszedłem do wniosku, że zapewne nosi go tylko prywatnie. A może Harry Abbott miał rację: przez większość czasu trzymała go w bankowym sejfie.

Pierwsze pytanie zadała jakaś reporterka: czy to prawda, że ktoś żąda okupu za obraz?

– Tak – odpowiedziałem.

Czy stać mnie na zapłacenie okupu?

– Chyba pani żartuje – odrzekłem. – Nie mam grosza przy duszy.

– Zatem jak pan ocali obraz?

– Współpracując z sir Leonem Buzzacottem. – To była wskazówka, by z dalszymi pytaniami zwracać się do Jennifer, która reprezentowała galerię. Spokojnie potwierdziła, że jej ojczym całkowicie bierze na siebie finansową stronę przedsięwzięcia.

– Jeśli zapłaci okup, będzie musiał jeszcze płacić dodatkowo księciu Stowey?

– zapytała pierwsza reporterka.

– Cenę sprzedaży już uzgodniono – powiedziała Jennifer.

– Na jaką sumę? – odezwało się około pięćdziesięciu głosów.

Odczekałem, aż zapadnie cisza.

– Postanowiłem podarować obraz galerii sir Leona.

Moja odpowiedź wywołała harmider. Cierpliwie zapewniałem ich, że się nie przesłyszeli, że naprawdę oddaję obraz Buzzacottowi i nie chcę nic dla siebie.

– Dlaczego? – zapytało z tuzin dziennikarzy.

– Bo chcę, żeby obraz został w Wielkiej Brytanii, a galeria sir Leona będzie dla niego idealnym miejscem.

Ale dlaczego oddaję go za darmo? Czy nie znalazły się galerie gotowe zapłacić za ten obraz miliony?

– Jestem filantropem – odparłem. – Proszę zapytać obecną tu hrabinę. Ona może potwierdzić, że nie jestem tak do końca zepsuty.

Jennifer nieznacznie zacisnęła usta. Ale kilku reporterów zdołało to zauważyć. Jak wspominam aresztowanie sprzed czterech lat?

– Nie oskarżono mnie – powiedziałem. – Uważam, że to pomyłka.

Ale byłem głównym podejrzanym. Jak to wspominam?

– Bardzo mi to pochlebia.

– Ukradł pan ten obraz? – zapytał jakiś idiota.

– Cholera, oczywiście, że go nie ukradłem. Niech pan nie będzie takim niedorozwiniętym kretynem. – Fachowcy sir Leona przestrzegali mnie, bym zachowywał się uprzejmie wobec dziennikarzy, ale nie bardzo rozumiałem dlaczego, skoro oni byli nieuprzejmi wobec mnie.

Skąd dowiedziałem się o uszkodzeniu obrazu?

– Hrabina przyleciała na Azory i poinformowała mnie o tym.

W jaki sposób, według mnie, moja obecność pomoże policji odnaleźć obraz?

– Nie wiem – odparłem. – Proszę zapytać o to policję.

Czy policja powiedziała mi, kto ewentualnie mógł ukraść obraz?

– Tak.

To proste potwierdzenie wywołało, tak jak zamierzaliśmy, burzę kolejnych, niecierpliwych pytań. Tak jak polecił mi Harry, nie odpowiedziałem na nie jasno. Stwierdziłem, że nie podano mi żadnych nazwisk, ale odnoszę wrażenie, że policja domyśla się, kto jest sprawcą. Reporterzy starali się wydobyć jeszcze coś, ale ani ja, ani Jennifer nie rozwodziliśmy się na interesujący ich temat.

Pallavicini potwierdziła za to, że jej ojczym zatrudnił specjalistów od psychologii szantażu, by pomóc policji. Zaskoczyła mnie, ale pomyślałem że to część planu, który miał wpędzić Elizabeth w panikę. Jennifer dawała do zrozumienia, że powołano ogromny sztab ludzi, który prawie miał złodziei w rękę. Trzeba przyznać, że była bardzo przekonująca.

Po konferencji prasowej wróciłem na „Słonecznika” i udzieliłem czterech wywiadów dziennikarzom telewizyjnym. Wszyscy zadawali te same pytania i otrzymywali te same odpowiedzi. Potem poddałem się reporterom radiowym, a następnie pozowałem do zdjęć prasowych niczym idiota. Do południa całe zamieszanie ucichło, został tylko jeden mężczyzna, który powiedział, że jego gazeta skłonna jest zapłacić sześciocyfrową sumę, jeśli opowiem ze szczegółami, w jaki sposób ukradłem obraz matce. Kazałem mu się wynosić.

– Proszę to przemyśleć, milordzie.

– Mówiłem, żeby się pan wynosił.

– Proszę przyjechać do Londynu i porozmawiać z naczelnym. Dlaczego nie? Rozmawiamy o poważnej kwocie.

– Spieprzaj pan – powiedziałem i uderzyłem go w brzuch. Jego fotograf uwiecznił to na zdjęciu, więc fotograf też dostał w brzuch. Żadnemu nie zrobiłem krzywdy, a szkoda.

Ale przynajmniej się wynieśli. Jennifer Pallavicini obserwowała moje poczynania z pomostu. Weszła na pokład dziobowy „Słonecznika”.

– Próbuje pan zdobyć jeszcze większy rozgłos, tak?

– Wydawało mi się, że w całej tej maskaradzie chodzi o to, by ogłosić moją wolę odnalezienia obrazu, a nie chęć zwycięstwa w konkursie piękności?

Zbyła moją wypowiedź wzruszeniem ramion.

– Zawsze bije pan ludzi, którzy pana denerwują? – zapytała.

– Tylko mężczyzn.

– Któryś panu oddał?

– To się często zdarza. W Australii kiedyś tak mi dowalili, że omal nie wyzionąłem ducha.

Zmarszczyła brwi. Pomyślałem, że zgorszyły ją moje słowa, ale chyba chodziło o coś innego.

– Na czym panu zależy, panie Rossendale?

– Na Georginie. – O której z premedytacją nie poinformowałem dziennikarzy.

– Dlaczego? – zapytała.

Zastanowiłem się, czy jej odpowiedzieć.

– Ponieważ ona nie potrafi o siebie zadbać – zdecydowałem się wreszcie.

– Czy taki sam stosunek ma pan do wszystkich istot, które nie potrafią się o siebie zatroszczyć?

– Może.

– A więc rozumiem, że to nie mój interes. – Zerknęła na zegarek. – Uważam, że ogólnie, mimo pańskiej wrogości, to było bardzo udane spotkanie. Zobaczymy się jutro rano, panie Rossendale. – Wiedziałem, że nocuje u jakichś krewnych w Totnes, ale wciąż miałem nadzieję, że uda mi się spędzić z nią choć trochę czasu. Bo tak jak sir Leon miał obsesję na punkcie mojego van Gogha, ja obsesyjnie myślałem o jego pasierbicy. Była naprawdę piękna, ale trochę zbyt zarozumiała. Stała się dla mnie wyzwaniem. Jak uskok w Salcombe.

– Nie zjadłaby pani ze mną obiadu? – zapytałem, gdy już odchodziła.

– Nie, dziękuję – rzekła przez ramię. – Nie dzisiaj.

Nie to nie, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno.

Przynęta wisiała już na haczyku. Elizabeth wiedziała, gdzie jestem i że próbuję odzyskać obraz. Harry ostrzegł mnie, że teraz Garrard i Peel mogą mi złożyć wizytę w każdej chwili.

Ale wpadliby w pułapkę. Cały czas strzegło mnie dwóch policjantów w cywilnych ubraniach. No, właściwie nie cały czas. Harry powiedział, że nie ma odpowiedniej liczby ludzi ani pieniędzy, by strzec mnie na terenie całej Anglii, więc strażnicy pilnowali mnie tylko w Dartmouth. Harry uważał, że jeśli oddalę się od rzeki, Garrard i Peel i tak nie będą wiedzieli, gdzie mnie szukać, więc mnie nie dopadną.

– A jeśli będą mnie śledzić? – zapytałem.

– Zginiesz, Johnny, ale nie martw się. Policja przyśle na twój pogrzeb kompanię honorową. – I uśmiechnąwszy się poinformował mnie, że w dzień jego ludzkie będą się kręcić po pomoście, zaś w nocy będą czuwać w kabinie jachtu zacumowanego za rufą „Słonecznika”.

Nie ufałem czujności policjantów Harry’ego, więc kiedy dziennikarze wreszcie sobie poszli, popłynąłem łódką w górę rzeki, gdzie znalazłem stocznię, w której

sprzedano mi trochę kawałków ołowiu i skrawki aluminiowej blachy.

Wróciłem na „Słonecznika”, zdjąłem metalową część nowego bosaka i wywierciłem w drewnie wgłębienie. Nie miałem tygla, więc do stopienia ołowiu użyłem palnika acetylenowo-tlenowego. Wlewałem ołów kropla po kropli do otworu w drzewcu. Pracowałem na pokładzie dziobowym „Słonecznika”, który osłoniłem kawałkami stalowej blachy. Kiedy skończyłem topienie ołowiu, owinąłem aluminiową blachą końcówkę drzewca, by ją wzmocnić i wywierciłem dziurę, by z pomocą przymocować metalowy hak bosaka. Naostrzyłem końcówkę pilnikiem i pogratulowałem sobie dobrej roboty.

Następnie przygotowałem inne środki obrony. Niektóre, jak na przykład rakietnica, mogły być nawet śmiertelne. Inne, jak gaśnica, mogły tylko wystraszyć. Jeśli Garrard i Peel się pojawią, będę miał ich przynajmniej czym powitać.

Zdawałem sobie sprawę, że wszystkie te środki mogą mi się przydać. Reputacja Garrarda była przerażająca: zbuntowany oficer, wyszkolony zabójca i facet zdolny zabić dla pieniędzy.

Pierwszej nocy się nie pojawił. Spałem niespokojnie, ale jakoś spałem. Rano ogoliłem się w kokpicie „Słonecznika” i obserwowałem jachty wypływające w morze. Zapowiadał się ciepły dzień. Nie widziałem nawet śladu nieumundurowanych policjantów, ale Harry ostrzegł mnie, że nie będą się rzucić w oczy. – Jeśli ty ich zauważysz, to i ci dranie też – powiedział.

Wylałem za burtę wodę z miski i zszedłem do kabiny, gdzie usmażyłem sobie wielką patelnię jaj na bekonie. Zrobiłem kawę w termosie i zaniósłem śniadanie do kokpitu. Dokładnie w tej samej chwili ujrzałem Jennifer Pallavicini idącą nabrzeżem.

– Dzień dobry – powitałem ją pogodnie. – Może kawy?

Puściła moją propozycję mimo uszu. Poinformowała mnie, że oboje zostaliśmy zaproszeni do telewizji na wczesny wieczór.

– Zgodziłam się za pana – powiedziała.

– Może jednak kawy? – zaproponowałem po raz drugi.

Zerknęła na zegarek.

– Dziękuję – odparła dość nieprzyjemnie. Weszła do kokpitu i usiadła naprzeciw mnie. Przyniosła ze sobą ciężką torbę, którą z ulgą postawiła na stole w kokpicie.

– Może jajecznicę na bekonie? – Podałem jej własny talerz.

Wzdrygnęła się.

– Nie, dziękuję.

Przyniosłem jej kubek i wlałem do niego kawy. Pijąc patrzyła jak pochłaniam jajecznicę.

– Czy pan nie tyje od tego? – zapytała wreszcie.

– Nie.

– Szczęściarz z pana. – Aż podskoczyła, gdy wytarłem talerz kawałkiem białego chleba obficie posmarowanego masłem. – Czy słyszał pan kiedykolwiek o zdrowym odżywianiu? – nie wytrzymała.

– Zdrowe znaczy dużo i dobrze wysmażone – odparłem radośnie.

– Lubi pan szokować ludzi, prawda?

– Ja? Skądże. Proszę mi opowiedzieć o tym programie telewizyjnym, w którym nie chcę występować.

– Musimy pojechać do Londynu.

Jęknąłem.

– Proszę mi jeszcze powiedzieć, jak mam się dostać do Londynu na ten program telewizyjny, w którym nie mam ochoty wystąpić?

– Zorganizujemy dla pana transport.

– A pani jak tam jedzie? – zapytałem z nadzieją w głosie.

– Helikopterem ojczyma – odparła z dystansem, dając mi do zrozumienia, że choć uprzejmość zmusza ją do zaproponowania mi wspólnej podróży, powinienem być na tyle dobrze wychowany, żeby odmówić. – Jeśli pan chce, mogę pana podwieźć, ale niedługo wyjeżdżam. Hans i ja musimy zdążyć na wernisaż w Hayward Gallery.

– A co pokazują w tym miesiącu? – zapytałem. – Kolaże z rozdeptanych karaluchów? Miejskie kosze na śmieci? „Palcem malowane”, dzieło Lesbijskiej Wspólnoty z Islington?

– Osiemnastowieczne krajobrazy Anglii, jeśli chce pan koniecznie wiedzieć.

Puściłem do niej oko.

– Chyba sobie daruję.

– Filister – powiedziała, ale bez złości. Właściwie to nawet dość sympatycznie, a ciepły ton głosu zdziwił ją nawet bardziej niż mnie. Spojrzeliśmy na siebie. Chyba oboje zdumieliliśmy się uczuciem, które Jennifer niechcący wyraziła

swoim głosem. Uśmiechnęła się, ale szybko zaczęła tuszować tę chwilę prawdy. – No właśnie! – rzekła trochę zbyt pośpiesznie. – Tylko zakłamany filister potrafi dla poklasku oddać za darmo obraz van Gogha!

– Zrobiłem to, żeby moja hojność wywarła na pani ogromne wrażenie, nie wspominam już o mojej duszy Don Kichota. Wie pani, mam taką prywatną teorię, która mówi, że kobiety mimo wszystko wolą nieodpowiedzialnych brutalni od sprzedawców szwajcarskiego sera.

– Brutal z dwudziestoma milionami w kieszeni jest nieznacznie bardziej pociągający, niż brutal bez grosza – odparła.

Roześmiałem się. Dziwna chwila. Jeszcze przed chwilą skakaliśmy sobie do oczu, bez wyraźnej przyczyny, a teraz zaczęliśmy się do siebie uśmiechać.

– Jeśli koniecznie chce pan wiedzieć, to uważałam pana za idiotę, kiedy oddał pan obraz – rzekła.

Skinąłem głową.

– To bardzo szczerza ocena.

– Żałuje pan tego? – zapytała autentycznie zainteresowana.

Udawałem, że się zastanawiam.

– Jeśli nie zrobił na pani wrażenia, to z pewnością był to niepotrzebny gest.

Uśmiechnęła się, a ja pomyślałem, jaka jest piękna.

– Byłam pod wrażeniem – wyznała. – Ale jeśli pan tego żałuje, obiecuję panu, że ojczym nie będzie pana zmuszał do dotrzymania warunków umowy.

– Ja się nie wycofuję z żadnych umów.

Nie drążyła dalej tego tematu.

– Oglądał pan wczoraj wieczorny dziennik?

– Nie mam telewizora.

– Bardzo długo mówili o naszej konferencji prasowej – odparła. – I okazali się szczególnie wyrozumiali dla pana. Nie pokazali żadnych bójek, ani przekleństw.

– A więc to kłamliwi dranie, prawda?

– A tu ma pan poranne gazety. – Wysypała zawartość torby u mych stóp. Podnosiłem gazety jedną po drugiej. Poważne dzienniki poświęciły nam sporo miejsca, ale i tak nie mogły się równać z brukowcami, które po prostu używały sobie na tych wydarzeniach. Pojawiło się mnóstwo fotografii przedstawiających mnie,

przeważnie na „Słoneczniku”, ale sporo było też zdjęć moich i Jennifer Pallavicini z hotelu. Jeden z podpisów głosił: „Księżę-włóczęga wraca do domu”.

– Pańska obecność przyniosła nam duży rozgłos – zauważyła.

– Moja obecność? Nie pani?

– Ja nie jestem dla nich interesująca – odparła sarkastycznie. – Nie, większe wzięcie ma u nich księżę-włóczęga.

Podniosłem jakiś brukowiec, w którym jej zdjęcie było większe od mojego. Wyglądała na nim bardzo seksy, pewnie dlatego, że fotograf niemal wślazł pod podłogę, by skierować obiektyw pod sukienkę. Jeszcze raz pomyślałem, że w bikini musiałyby wyglądać doskonale. A bez bikini...

– Czy pani żegluje? – zapytałem zniecierpliwiony.

– Czasami – odparła ostrożnie.

– Z Hansem? – Teraz ja byłem ostrożny.

– Hans nie ma czasu na żeglowanie. Nie, przyjaciel mamy ma kecz.

Pomyślałem, że taka mama rzeczywiście może mieć takich przyjaciół.

– Duży? – zapytałem.

– Przynajmniej dwa razy większy od „Słonecznika” – powiedziała beztrudno.

– Powinna pani pożeglować na mniejszym jachcie – rzekłem. – Jest bardziej mokro i kameralnie. A może popływa pani ze mną?

Spodziewałem się, że jak zwykle odmówi, zwłaszcza że użyłem słowa „kameralnie”, ale ku memu zdziwieniu, po chwili wahania, nagle kiwnęła głową.

– Dobrze. Może kiedyś.

– Tylko może? – zapytałem.

Uśmiechnęła się.

– Może na pewno.

Za takie zapewnienie nie szkoda oddać van Gogha. Naprawdę. Chyba się uśmiechnąłem, bo odwzajemniła mi się tym samym, ale już w następnej chwili musiałem się odwrócić, bo na moście łączącym przystań z moło usłyszałem kroki i jakiś głos krzyczący do mnie:

– Johnny! Ty draniu! Johnny!

Odwróciłem się i już sięgałem po obciążony bosak, ale moim nieoczekiwanym gościem okazał się nie Garrard czy Peel, lecz Charlie. Zauważyłem, że jeden

z policjantów biegnie w stronę mostu, ale na widok mojej powitalnej miny mój anioł stróż się odprężył.

– Charlie! – krzyknąłem.

– Boże wszechmogący! – Zbiegł na nabrzeże, wskoczył na pokład „Słonecznika” i wpadł na stertę gazet w kokpicie. – Ty draniu! – Wiedziałem, że cieszy się ze spotkania ze mną.

Klepnął mnie po plecach. Przedstawiłem go Jennifer, która chłodno skinęła głową.

– Pan Barratt – powtórzyła jego nazwisko.

Charlie spojrział najpierw na Jennifer, potem na mnie i znów na Jennifer.

– Chyba nie przeszkadzam, co?

– Nie, panie Barratt. – Powróciła jej dawna wyniosłość. Wzięła swoją torbę. – Do zobaczenia wieczorem, milordzie.

– Gdzie?

– Oczywiście w studiu. O pierwszej przyjedzie tu po pana samochód. Musi pan być w Londynie o wpół do szóstej, więc czasu będzie miał pan dość. Miło było pana poznać, panie Barratt.

Charlie patrzył, jak Jennifer idzie po nabrzeżu, i westchnął.

– Ale sztuka, Johnny. No, no, no.

– Ale zaręczona ze szwajcarskim miliarderem.

Nagle pstryknął palcami.

– To ta, z którą wczoraj byłeś w dzienniku?

– Ta sama.

– Jasna cholera. – Usiadł ciężko. – Powiedz mi, że to nieprawda.

– Co jest nieprawdą?

Patrzył na mnie z wielce zatroskaną miną.

– Nie oddałeś tego obrazu, prawda?

– Oddałem.

Zamknął oczy.

– Chrystusie ukrzyżowany. Wiedziałem to wczoraj w telewizji i nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę! Wmawiałem sobie: oszalał, odbiło mu! Z tobą jest chyba gorzej niż z Georgina!

– Uspokój się, Charlie! – Jego zarzuty zdenerwowały mnie. – A co niby miałem zrobić z tym cholernym obrazem?

– Sprzedać, ty durniu – odparł równie rozgniewany.

Roześmiałem się. Nie mogłem się długo gniewać na Charliego. Usiadłem na przeciw niego i opowiedziałem mu o Georginie i Elizabeth oraz o mojej wizycie w Perilly i dwóch przyczepach, które miały stać się nowym domem Georginy. Wyjaśniłem mu, że sir Leon obiecał mi zaopiekować się nią, a ona jest dla mnie o wiele ważniejsza niż jakiś durny obraz, nawet bardzo sławny.

Charlie oparł się o ściankę kokpitu.

– Elizabeth chciała zamknąć Georginę w przyczepie?

– Tak.

Dość soczyście wyraził się o Elizabeth, a potem nieco mniej brutalnie o mnie:

– Ale to nie zmienia faktu, że go oddałeś. Nie wierzę, że to zrobiłeś!

Wyglądał na niezwykle zaniepokojonego i zaczęło mi się wydawać, że chyba liczył na to, że jeśli odnajdę obraz, oddam mu te wszystkie tysiące włożone w remonty „Słonecznika”.

– Jeśli chodzi o pieniądze, Charlie – odezwałem się – nie martw się. Sir Leon da mi wystarczająco dużo, bym mógł ci zapłacić za naprawę. Co prawda obraz oddałem mu za darmo, ale chyba nie pożałuje kilku tysięcy nagrody.

– Odwal się ze swoimi pieniędzmi! Chodzi mi o ciebie! – Chwycił kubek z kawą, który zostawiła Jennifer. – Chyba zdajesz sobie sprawę, że Elizabeth pozwie cię do sądu i będzie podważać twoje prawo do dysponowania obrazem?

– Może. – Ale nie zrobi tego, pomyślałem, jeśli ukrywa van Gogha.

Charlie westchnął.

– Johnny, masz rzadki talent do wpieprzania się w śmierdzące gówna, wyrzucając wcześniej ostatnie perfumy. – Podał mi zapalonego papierosa i sam zapalił drugiego. – Który gliniarz zajmuje się tą sprawą?

– Znów Harry Abbott.

– No to pięknie. – Był naprawdę zde gustowany. – Chyba nie dogadujesz się z Harrym, co? – Zmarszczył czoło, najwyraźniej wspominając konferencję prasową.

– A Harry wie, kto ukraść ten obraz?

Uśmiechnąłem się, bo wiedziałem, że moja odpowiedź zadziwi Charliego.

– Elizabeth.

Charlie spojrział na mnie zdumiony i stanowczo odrzucił ten pomysł.

- Harry’emu chyba odbiło! Jego zdaniem obraz ukradła Elizabeth?
- Albo zrobił to ktoś dla niej.
- Jasna cholera! Przecież Elizabeth wyszła bogato za mąż?
- Są splukani.

Rozmyślał nad tym przez kilka sekund, po czym uznał, że jego początkowy sprzeciw mógł być źle zrozumiany.

– Ona zawsze lubiła pieniądze, nie? – Wpatrywał się we mnie i nagle zaskoczył. – Johnny! Czyżby ona próbowała cię zabić?

– Tak właśnie uważa Harry.

– A to znaczy, że ona spróbuje ponownie... – Charlie był sprytny, bardzo sprytny. Odwrócił się, by zerknąć na mężczyznę, który gonił za nim przez most. Pstryknął palcami. – Masz ochronę, Johnny!

– Zgadłeś, Charlie. Nie przez cały czas, bo Harry to chytry gliniarz. Ale kiedy jestem na rzece, mogę czuć się bezpieczny.

– Jesteś durniem – powiedział. – Po prostu durniem – mówił to z politowaniem. Wstał. – Nie wiem, Johnny, myślałem, że jesteś już w połowie drogi na Karaiby! Do diabła, zamierzałem zabrać tam Joannę na dwa tygodnie!

– Będą jeszcze inne tygodnie, Charlie.

– Może. – Zerknął na zegarek. – Mam spotkanie na autostradzie M5. Nowa droga, a już się sypie. Nie powinienem narzekać, przecież dzięki temu mam pieniądze. Dbaj o siebie, Johnny.

– Staram się.

– Ale jeśli chcesz mojej rady – odezwał się ponuro – na twoim miejscu bym się stąd zrywał. Nie ufałbym Harry’emu Abbottowi, a już na pewno nie tej mafii Buzzacottów. Wyłudziła od ciebie obraz. Co wezmą dalej? – Wyszedł na nabrzeże.

– Może wpadnę w drodze powrotnej do domu.

– Nie będzie mnie po południu, Charlie.

– A, prawda. Wyjeżdżasz do Londynu ze swoją przyjaciółką. – Zatrzymał się na chwilę. – Jesteś idiotą, Johnny.

– Czyżby?

– Coraz bardziej się w to wszystko wplątujesz. – Wrzucił niedopalonego papierosa do rzeki i popatrzył na mnie pochmurnie. – Wiesz, dlaczego cię lubię? Bo od początku, od samego początku byłeś inny. Nic cię nie obchodziło. Miałeś

wszystko w nosie. Nie bałeś się żadnego wyzwania. A teraz? Teraz tańczysz tak, jak ci zagrają bogaci cwaniacy. Jeśli się do nich przyłączysz, Johnny, wykorzystają cię. – Wycelował we mnie oskarżycielsko palec. – Wracaj na morze, Johnny. Tam będziesz szczęśliwszy.

- Niedługo wrócę.
- Wracaj teraz, zanim cię skrępują.

Uśmiechnąłem się i patrzyłem, jak odchodzi. Czy Charliego też coś krępowało? Nie wiedziałem. Rozumiałem natomiast, że zawiodłem przyjaciela. Zawiodłem go, bo zacząłem wchodzić w konszachty z innymi ludźmi. Nagle uświadomiłem sobie, że Charlie zdenerwował się, bo do tej pory cały czas uważał się za mojego wyłącznego opiekuna. Teraz poczuł się zdradzony, a ja czułem się podle, ale nie zamierzałem zawracać, bo od tego, co robiłem, zależała przyszłość Georginy i moje głupie nadzieje. Nadzieje dotyczące nie obrazu czy nagrody, tylko Jennifer.

Przywiązałem szalunę do jachtu, by żadne złodziejskie nasienie jej nie ukradło, i zamknąłem kabinę „Słonecznika”. Poinformowałem moich strażników, że wyjeżdżam i że przed powrotem zadzwonię na miejscowy posterunek. Ruszyłem do Londynu.

Ku mojemu żalowi, Hans odprowadził Jennifer Pallavicini aż do studia telewizyjnego. Szczęśliwa para czekała na mnie w pokoju dla gości. Hans powitał mnie uprzejmie, po czym stał uśmiechnięty, gdy ja i Jennifer wymieniliśmy kilka grzecznościowych zdań. Cały jej poranny dobry nastrój prysł, choć stwierdziła, że polubiła Charliego.

– Naprawdę? – zdziwiłem się, bo kiedy go spotkała, zachowała się bardzo powściągliwie.

– Wygląda na bardzo zdolnego człowieka.

– I taki jest w rzeczywistości. – Opowiedziałem jej kilka naszych wspólnych przygód, między innymi o tym, jak omal nie zginęliśmy w czasie burzy na Morzu Tasmana i o tym, jak Charlie przez cały czas śpiewał, bo stwierdził, że zwariowałby, gdyby zaczął panicznie krzyżeć. – To dobry człowiek – powiedziałem ciepło.

– Pana zdaniem dobry człowiek – zauważyła lodowato – to ktoś, kto potrafi prowadzić mały jacht w czasie wielkiego sztormu?

Przyszło mi do głowy, że to znacznie lepsza definicja dobrego człowieka, niż bycie geniuszem topionego sera, ale zdołałem się powstrzymać przed

wypowiedzeniem tego na głos. W tej chwili dorwał mnie redaktor programu, który wyjaśnił mi, co chce ode mnie usłyszeć. Stało się jasne, że chcą mnie przedstawić jako szalonego arystokratę: niezrównoważonego, nieodpowiedzialnego i na swój sposób tajemniczego. Zaś Jennifer zaproszono, by mówiła za mnie, w razie gdybym zapomniał języka w gębie.

Wystąpiliśmy w tym programie. Prowadzący traktował mnie jak kretyna, a ja odpłacałem mu odpowiednią arogancją. Kiedy zapytał mnie, dlaczego oddałem van Gogha, odpowiedziałem po prostu, że go nie chciałem. Wywiad podobał się chyba publiczności. Jennifer była bardziej wygadana i opowiadała o znaczeniu zaginionego obrazu, po czym wdzięcznie podkreśliła moją hojność. Widzowie w studio nagrodzili mnie oklaskami. Całość przebiegła raczej bezboleśnie i skończyła się po dwudziestu minutach. Odprowadzono nas z powrotem do pokoju dla gości, gdzie podano ciepłe wino i stare kanapki. Hans gdzieś zniknął.

– Musiał zdążyć na lot do Genewy – wyjaśniła Jennifer. – Wyglądała na podniekształconą, zapewne wywiad podobał jej się bardziej, niż oczekiwała. – Było wspaniale, prawda?

– Doprawdy?

– Oczywiście, że tak! Niech pan nie będzie takim nudziarzem. Wydaje mi się, że chciałabym częściej występować w telewizji.

– Wypadła pani bardzo dobrze – powiedziałem uprzejmie.

– Więc powinniśmy uczcić mój sukces kolacją.

Rozpromieniła się, a we mnie wezbrała radość z tego powodu. Poszliśmy do restauracji, gdzie mogliśmy zjeść na świeżym powietrzu, w świetle lampionów. Jennifer opowiedziała mi o swoim dzieciństwie, o amerykańskim uniwersytecie, na którym ukończyła wydział sztuk pięknych, potem o praktyce w jednym z londyńskich domów aukcyjnych i pierwszej pracy w prawdziwej galerii we Florencji. Próbowałem ustalić jej wiek na podstawie tych informacji. Wyszło mi około dwudziestu siedmiu lat.

– A pan? – zapytała. – Co z panem?

– Wydawało mi się, że dokładnie zbadła pani mój życiorys?

– Może się pomyliłam w niektórych miejscach. – Spojrzała mi w oczy i przez chwilę nic nie mówiliśmy. Zacząłem się zastanawiać, czy ta cała poprzednia wrogość była tylko maską, pod którą skrywaliśmy to, co do siebie czuliśmy. Chyba

wtedy uświadomiłem sobie, że dla tej dziewczyny warto porzucić morze. Ta myśl była tyle podniecająca, co przerażająca. Może ona miała podobne obawy, bo nagle zerknęła w bok i zadała brutalne pytanie:

- Niech pan mi opowie o swoim bracie. Dlaczego popełnij samobójstwo?
- Nie mógł sobie poradzić.
- Z czym?
- Z problemami Stowey. Z matką. Z życiem. Z długami. Z rozczarowaniem.

Jennifer zmarszczyła czoło.

- Z rozczarowaniem?

Zapaliłem fajkę, przygotowując się do opowieści.

– Michael uważał swój książęcy tytuł za bardzo ważną rzecz. Wydawało mu się, że dzięki temu stanie się kimś innym. Nie mógł się doczekać śmierci ojca. Chciał widzieć głowy skłaniające się na jego powitanie, chciał mieć własny herb, uwielbiał pogaduszki w Izbie Lordów, a kiedy wreszcie odziedziczył tytuł, nic się nie zmieniło nawet na jotę. Wciąż był tym samym, niezdecydowanym idiotą, jak przedtem. Matka go popychała, by dbał o posiadłość, bo sam nie miał do tego dość werwy. Chciała też, by poślubił okropną kreaturę z Fens, której nie znosił, więc w końcu wsadził sobie do ust dwururkę i dużym palcem u nogi pociągnął za spust.

Przez kilka sekund milczała, potem zmarszczyła brwi.

- Czasami potrafi pan być sarkastyczny.
- Czyżby?

Nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na mnie, jakby dopiero w tej chwili zobaczyła mnie po raz pierwszy w życiu. I nagle zacząłem się bać, bo uświadomiłem sobie, że mnie ocenia, a chciałem, by ta ocena wypadła pozytywnie.

– Proszę posłuchać – powiedziałem. – Życie potrafi być strasznie plugawe, potrafi być ciężkie, potrafi człowieka wykończyć. Jest tylko jedna zasada: nigdy się nie poddawać. Nieszczęścia chodzą po ludziach, więc co trzeba zrobić? Trzeba walczyć, wbijać pazury, kopać do nieprzytomności, ale nigdy, przenigdy się nie poddawać. Przez ten padół lez trzeba przejść, więc na miłość boską, niech to będzie dobra podróż. A więc jeśli czasem jestem sarkastyczny, to tylko dlatego, że łatwiej w ten sposób znieść nieszczęście.

Powiedziałem to z większym zaangażowaniem, niż zamierzałem. Jennifer wpa-trywała się w stół, więc nie widziałem, jak przyjęła moje słowa.

– O czym pan myśli – zapytała po chwili – kiedy wypłynie już pan na morze, kiedy jest pan sam?

– O tym, by przeżyć.

– To wszystko?

– Nie – zacząłem, ale nie mogłem tego wyjaśnić, więc wzruszyłem ramionami. – Żeby to zrozumieć, trzeba przeżyć.

Wiedziałem, że moje słowa nie oddawały dobrze tego, co chciałem wyrazić. Rozejrzałem się wokół po małym tarasie, gdzie przy kilku stolikach siedzieli goście. Wszyscy wyglądali na zadowolonych, bogatych, atrakcyjnych, szczęśliwych. Byli też grubi, samolubni i zniewoleni.

– Kiedyś – powiedziałem ni z tego, ni z owego – widziałem spadający meteor koło Krzyża Południa. Był duży, wielka smuga światła w ciemności. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego to takie ważne ani co wtedy czułem, poza tym, że oddałbym chyba wszystko, by zobaczyć go jeszcze raz.

– Byłeś wtedy sam?

– Tak.

– I nie chciałeś się z kimś podzielić tym widokiem?

– O tak.

Uśmiechnęła się, ale milczała.

– A może – zaryzykowałem uniesiony szczęściem – jutro przyjedziesz do Devon i popływamy?

– I zobaczymy spadające gwiazdy?

– Może.

Podniosła kieliszek, odczekała, aż zrobię to samo i dotknęła szkłem do szkła.

– Dobrze – powiedziała po prostu.

A ja znalazłem się w siódmym niebie.

Na noc zatrzymaliśmy się w domu sir Leona w dzielnicy Mayfair. Otrzymałem pokój dla gości i nie prosiłem o nic więcej. Wstaliśmy na długo przed świtem i podczas gdy ja przygotowywałem kawę i grzanki, Jennifer przekopywała lodówki i szafki, by zabrać jakieś zapasy. Było jeszcze za wcześnie na radiową prognozę

pogody, więc zadzwoniłem do służb meteorologicznych i wysłuchałem prognozy nagranej na taśmie magnetofonowej.

– I co mówią? – zapytała mnie Jennifer, kiedy odłożyłem słuchawkę.

– Brzmi to nieźle – powiedziałem trochę zdezorientowany. – Zapowiada się prawdziwy „postrach spódniczek”.

– Co prawdziwe? – Zwróciła się do mnie z udanym gniewem.

– Sześć stopni, w porywach do siedmiu – powiedziałem fachowo, po czym zniosłem bagaże do garażu, gdzie Jennifer otworzyła drzwi sfatygowanego forda escorta.

– To twój? – zapytałem.

Usłyszała zaskoczenie w moim głosie.

– A czego się spodziewałeś? Lamborghini?

– Przynajmniej porsche’a.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam. – Pomachała kluczykami nad dachem samochodu. – Chcesz prowadzić?

– Nie.

– To bardzo przyjemne. Lubię jeździć samochodem.

Popędziliśmy przez ciemne, puste ulice. Z początku żadne z nas się nie odzywało, był bardzo wczesny poranek, ale w powietrzu czuło się atmosferę podniecenia. Jeszcze kilka dni wcześniej warczeliśmy na siebie jak obce psy, a teraz nagle poczuliśmy, że łączy nas przyjaźń. Czuliśmy też, że może to być coś więcej niż tylko przyjaźń. Właśnie to oczekiwanie wywołało ów nastrój podniecenia. Oboje to czuliśmy i oboje byliśmy szczęśliwi.

Prowadziła jak Charlie: szybko, sprawnie i z pogodnym przeświadczeniem, że policja jej nie złapie. I tak też było.

Przemknęliśmy przez Heathrow, przez Windsor i dopiero wtedy Jennifer przewala ciszę. Zaczęła mówić o książkach, które czytała i skarciła mnie ze śmiechem, kiedy powiedziałem, że mnie wystarczyły tylko cztery książki. Opisała mi galerię Buzzacotta i nazwała ją fantazją i obsesją ojczyrna.

– Właśnie dlatego tak gonił bez wytchnienia za pieniędzmi – ciągnęła. – Po to tylko, by zrealizować swoją fantazję.

– No i jest przy okazji bogaty – zauważyłem kwaśno.

– Bardzo. – Nie dostrzegła zazdrości w moim głosie. – Tak naprawdę dorobił

się na handlu nieruchomościami. Chyba wciąż dają niezły dochód, ale on trzyma mnie i mamę z dala od tej ciemnej strony swej działalności.

– Ciemnej? – zapytałem.

– Chyba trochę tak. – Nie wchodziła w szczegóły. Za naszymi plecami wschodziło słońce, rzucało długie cienie i obiecywało piękny dzień; patrząc w niebo wątpiłem, czy prognoza zapowiadająca sześciostopniowy „postrach spódniczek” okaże się trafna. Ale właściwie to nie miało znaczenia, bo dzisiaj nie chodziło o żaglowanie, tylko o pogłębianie znajomości.

Mieliśmy na to mnóstwo czasu, bo do Dartmouth dotarliśmy na długo przed porą śniadaniową. Nie powiadomiłem Harry’ego o powrocie, a to znaczyło, że moi aniołowie stróże wylegiwali się w swoich łózkach. Ich nieobecność trochę mnie niepokoiła, więc nie traciłem czasu, tylko przygotowywałem się do wyjścia w morze. Zdjąłem pokrowiec z grota.

– Nie będziesz używał silnika? – zapytała Jennifer.

– Zamierzam się przed tobą popisać i wypłynę na żaglach.

Powiodło mi się lepiej niż przy wchodzeniu do portu. Od wschodu wiała bryza, kapryśny wiatr z gór otaczających rzekę. Przyptyw narastał. Wciągnąłem kliwra, ale nie naciągałem go jeszcze. Rzuciłem cumę dziobową i napiąłem płótno żagla. Wiatr odsunął dziób „Słonecznika” od nabrzeża dokładnie w kierunku, w którym mieliśmy płynąć. Rzuciłem cumę rufową, wciągnąłem wszystkie pozostałe liny i „Słonecznik” ruszył majestatycznie przez wolny przesmyk niczym zjawia.

Jennifer nagrodziła mój manewr oklaskami.

– To naprawdę niesamowite.

– Widziałaś, jak przypląnąłem?

Pokręciła głową.

– Nie mów, że straciłam kolejny popis mistrzostwa w sztuce żeglarskiej?

– Technicznie rzecz biorąc – odparłem – wykonałem coś, co marynarze nazywają po prostu fuszerką. Myślałem, że będziesz na mnie patrzeć i próbowałem zrobić na tobie wrażenie wpływając do portu bez silnika. Omal nie skończyło się to złamaniem masztu o most.

Roześmiała się.

– Dobrze ci tak.

Dałem jej do potrzymania ster, a sam wciągnąłem odboje z opon i podniosłem grot. Wiatr był dość mizerny, ale przynajmniej wyprowadzał nas w morze. Oczywiście meteorolodzy znów się pomylili. Wiało z siłą dwóch, najwyżej trzech stopni, ale przeczuwałem, że nawet ta delikatna bryza długo się nie utrzyma. Słońce pięło się do góry, by rozświetlić morze milionem błysków, a na razie pierwsze promienie sięgały już oddalającego się powoli lądu. Obserwowałem ujście rzeki. Za nami wypłynął kuter, ale skierował się na wschód, ku Torbay. W przeciwnym kierunku sunął jakiś trawler z Brixham, lecz poza kilkoma małymi żaglówkami w ujściu rzeki było pusto.

– Wreszcie jesteście bezpieczni – powiedziałem wesoło.

Jennifer obejrzała się na brzeg.

– Już zapomniałam o tych dwóch typach.

– A ja nie.

Skrzywiła się.

– Mój ojciec uważa, że jesteś bardzo naiwny. On wolałby zapłacić okup, ale sądzę, że nie bardzo może się sprzeczać z inspektorem Abbottem. W końcu to on jest ekspertem.

– Harry ma łeb na karku – powiedziałem. – Ale ja mogę wyjść na durnia, wystawiając się na cel. Teraz jesteście bezpieczni.

Zmarszczyła czoło.

– A jeśli widzieli, jak odpływamy? Jeśli popłyną za nami?

Pokręciłem głową.

– Już za późno. – Ujście rzeki się skończyło, a ląd zaczął znikać jak fatamorgana. Za kilka minut będziemy sami na pustym morzu. – Poza tym – zapewniałem ją dalej – mam radio, więc jeśli zauważymy coś podejrzanego, zaalarmuję straż wybrzeża. – Przyszło mi do głowy, że to Harry zacznie alarmować straż, kiedy dowie się, że wróciłem i nie powiadomiłem go o tym. Posłusznie wywołałem posterunek straży wybrzeża w Brixham i podałem im rutynowy komunikat: jacht „Słonecznik” wypływa z Dartmouth, spodziewana pora powrotu – wieczorem. Poprosiłem ich, by przekazali tę informację na posterunek policji w Dartmouth. Byli chyba nieco zdziwieni tą prośbą, ale obiecali tam zadzwonić.

Jennifer zasiadła w fotelu nawigatora i podziwiała elektroniczny wyświetlacz, którego zainstalowanie nad stolikiem do map wymógł na mnie Charlie.

- Co to jest? – zapytała.
- Odbiornik Decca.
- A co to jest odbiornik Decca?

Wyjaśniłem jej, że sieć nadajników radiowych na wybrzeżu nadaje sygnały w stronę morza, a to urządzenie tłumaczy je i określa pozycję jachtu. Po raz pierwszy korzystałem z podarunku Charliego, więc musiałem określić, gdzie mniej więcej się znajdujemy. Po chwili antena odnalazła właściwe sygnały i na wyświetlaczu ukazała się nasza dokładna pozycja. Jennifer była zafascynowana. Wprowadziłem długość i szerokość geograficzną St Helier, które leży na wyspie Jersey, a Jennifer odczytała kurs i odległość.

- A więc wystarczy tylko trzymać się kursu i dopłynię się na miejsce?
- Nie, to jeszcze nie wszystko. – Odszukałem mapę i pokazałem jej, że kurs wskazywany przez Decca poprowadziłby nas prosto przez wyspy Guernsey i Jersey.

- Musimy zatem wyznaczyć sobie tutaj jeszcze jeden punkt. – Wskazałem miejsce na północ od Roches Douvres. – Dopiero teraz możemy wskazać St Helier.

Zerknęła na wyświetlacz, na którym ukazała się mała zagięta strzałka i kilka mało znaczących cyfr.

- Co on teraz pokazuje?
- Zakłada, że próbujemy dotrzeć do St Helier po linii prostej i informuje nas, że zbczyliśmy z kursu o jedną dziesiątą mili na lewo, płyniemy z prędkością 3.2 węzła kursem 162, a powinniśmy płynąć kursem 137.

Patrzyła z podziwem na wyświetlacz.

- Sądziłam, że wy, mistrzowie żeglarstwa, posługujecie się sekstansem.
- Przez większość czasu, owszem – przyznałem. – Poza Europą Decca przestaje działać.

Jennifer chciała zobaczyć sekstans. Zabrałem ją na górę, do kokpitu i pokazałem jej, jak się tym posługiwać. Chciała sama spróbować, więc odsunąłem się i patrzyłem, jak zмага się ze słońcem. Było na co popatrzeć. Miała na sobie koszulę i dzinsy, a krótkie czarne włosy związała z tyłu wstążką.

- Jest zielone! – krzyknęła, kiedy ujrzała po raz pierwszy słońce w lusterku, ale skrzywiła się, bo drgnęła i słońce jej uciekło. W chwilę później znowu je złapała i przygryzając dolną wargę w niezwykłym skupieniu przesuwiała ramię wskazujące. Sztuka polegała na tym, by tak je przesunąć, żeby nie poruszyć reszty

instrumentu i utrzymać w lusterku widok horyzontu.

- Mam! – oznajmiła triumfalnie.
- Odczytaj wynik.

Odczytała.

Sprawdziłem to.

- I to już wszystko? – zapytała drwiąco.

– No, jeszcze trochę nudnej matematyki. Poza tym jest trudniej, kiedy jacht skacze na falach, albo kiedy spośród miliona gwiazd próbuje się znaleźć właśnie tę jedną, ale ogólnie rzecz biorąc to wszystko.

Żagle zaczęły łopotać w proteście przeciwko słabnącemu wiatrowi. Wyłączyłem odbiornik Decca i odłożyłem sekstans. Pozwoliłem Jennifer trzymać ster, choć nie było co robić, bo wiatr zamierał.

- Gwiżdż – powiedziałem.
- Gwiżdż?
- W ten sposób można sprowadzić wiatr.

Roześmiała się, ale nie wypróbowała starego przesądu. Wyciągnąłem się leniwie na pokładzie.

- Nie powinnaś przypadkiem pracować? – droczyłem się z nią.

– Oczywiście, że tak.

– No to dlaczego się lenisz?

– Bo jestem bogata, zepsuta i mogę brać urlop, kiedy zechcę. Czy właśnie to spodziewałaś się usłyszeć?

– A to prawda?

Zrobiła dziwną minę.

– Częściowo. Właśnie dlatego zwykle ciężko pracuję. – Naciągnęła grota, ale „Słonecznik” wcale nie popłynął szybciej. – Poza tym chciałam być z tobą – dodała nieśmiało zaskakujące wyjaśnienie. Kiedy mówiła, nie patrzyła w moją stronę.

Nic nie odrzekłem, czekałem, aż spojrzy mi w oczy.

– Ja też – powiedziałem. Czasami szczęście jest jak chmura.

Przez chwilę w milczeniu dzieliliśmy się nim, ale Jennifer świadomie przerwała ten nastrój.

– Tylko nie rób sobie zbyt dużych nadziei, Johnie Rossendale. Moje serce należy teraz do Hansa.

– Szczęściarz z niego.

– Między nami jest tylko praca – dodała pospiesznie i chyba zaczęła się zastanawiać, czy nie powiedziała za dużo i próbowała się choć trochę wycofać. – Jeśli chcemy odzyskać ten obraz, musimy współpracować, prawda?

– Oczywiście.

Płynęliśmy w przyjemnej ciszy. Brzeg stał się tylko ciemną plamką w drżącym powietrzu. Po prawej burcie, o jakieś półtorej mili minęła nas motorówka. Widziałem jak zbliżała się od rufy, ale nie pod pływała bliżej. Obejrzałem ją przez lornetkę i stwierdziłem, że płynie w niej sześciu mężczyzn. Nie widziałem wśród nich Garrarda, więc uspokoiłem się. Robiło się coraz cieplej, zdjąłem koszulę i położyłem się, a pod głowę wcisnąłem zwinięty żagiel.

– Jesteś śpiący? – zapytała Jennifer.

– Po prostu rozleniwiony. Nie przywykłem do tego, żeby mnie ktoś woził po morzu.

– Nie nudzi cię samotne pływanie?

– Nie zawsze pływam sam. Zastanowiła się przez chwilę.

– Dziewczęta?

– Dzięki Bogu, tak. – Opowiedziałem jej o jachtostopowiczkach, które wędrowały szlakami wiatrów, o tym jak pływały z wyspy na wyspę, z jachtu na jacht, z dnia na dzień.

– Przy nich czuję się straszliwą nudziarą – powiedziała.

– Nie rozumiem dlaczego. Mnie wydajesz się bardzo egzotyczna.

– Egzotyczna?

– Bogata, piękna i zaręczona ze szwajcarskim królem sera topionego.

Roześmiała się.

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki okropny dla Hansa! Spotkałeś go zaledwie dwa razy i za każdym razem był dla ciebie bardzo miły.

Teraz nadeszła moja kolej na zdradzenie uczucia, na otworzenie się przed nią.

– Nie znoszę go, bo jest z tobą zaręczony. Jestem zazdrosny.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Jak miło.

I tak sobie płynęliśmy. Flirtowaliśmy, cieszyliśmy się szczęściem. I choć chwilami nasz flirt zbliżał się do granicy czegoś poważniejszego, oboje tego

unikaliśmy. Nie chciałem jej skrzywdzić. Na morzu człowiek uczy się cierpliwości, a ja postanowiłem być cierpliwy.

Późnym rankiem zupełnie straciłszy ląd z oczu. Wiatr ustał całkiem, a fale od czasu do czasu uderzały o kadłub „Słonecznika”. Po prostu leniwie unosiliśmy się na wodzie. O milę minął nas mały kuter rybacki. Domyśliłem się, że rybacy przypłynęli na głębszą wodę po makrele.

Jennifer wstała i dość zdecydowanym ruchem zdjęła dzinsy i koszulę. Gwałtowność nadała temu gestowi jeszcze większą wagę, jakby to był kolejny krok na naszej drodze do intymności. Miała na sobie złote bikini. Miałem rację: wyglądała świetnie. Właściwie wyglądała cudownie i powiedziałem jej to.

- Nie sądziłam, byś mógł sobie oszczędzić komentarza – powiedziała zalotnie.
- A ja miałem nadzieję, że nie będę mógł się powstrzymać.

Jacht kołysał się na małych falach. Jennifer puściła ster i wyciągnęła się na przeciwko mnie. Głowę miała zwróconą w kierunku rufy, zaś ja patrzyłem w stronę dziobu, więc mogliśmy na siebie spoglądać przez kokpit.

– Tatuś nie chciał, bym leciała na Azory – powiedziała nagle. Zapewne „tatuś” to sir Leon.

– Dlaczego nie?

– Uważał, że powinien pojechać inspektor Abbott. Wy tłumaczyłam mu jednak, że mam większe szanse, by cię przekonać.

– Gdybyś przyszła w takim stroju, na pewno byś mnie przekonała.

– Jeśli zostaniemy przyjaciółmi, czy w dalszym ciągu będziesz czynił seksualne aluzje?

– Tak.

Uśmiechnęła się.

– Jesteś okropny.

– Więc dlaczego poleciałaś na Azory? – zapytałem.

Zamilkła na chwilę, zastanawiając się, czy wyznać mi prawdę. Wreszcie spojrzała na mnie i oznajmiła:

– Bo chciałam się z tobą spotkać.

– Tak też sobie pomyślałem – powiedziałem zrozumiałe.

– Ty draniu!

Uśmiechnąłem się.

– Jak na kogoś, kto chciał się ze mną spotkać, nie byłaś szczególnie przyjazna.
– A co miałam robić? Wskoczyć na pokład i zaśpiewać „Dziewczyno, nigdy nie odmawiaj”?

– Może to by przełamało lody. – Usiadłem, by sprawdzić, czy żaden statek nie chce nas staranować, ale morze było prawie puste. W zasięgu wzroku znajdował się tylko kuter łowiący makrele, który chyba trochę się do nas zbliżył. Położyłem się. – Omal nie wróciłem wtedy do Anglii od razu z tobą.

- A dlaczego tego nie zrobiłeś?
- Bo przy tobie czułem się jak szczeniak.
- No to przynajmniej coś mi się udało.

Roześmiałem się. Nad nami zaczęła krążyć mewa, ale stwierdziła że „Słonecznik” to nie kuter rybacki i odleciała. Żagle i czerwona bandera „Słonecznika” zwiślały nieruchomo, a wskaźnik wiatru, który Charlie zamontował na topie masztu, leniwie obracał się dookoła.

- Mama cię lubi – odezwała się nagle Jennifer.
- A ja lubię twoją mamę.
- Naprawdę? No tak. Wszystkim mężczyznom się podoba.
- Ale wolę jej córkę.

Jennifer potraktowała ten komplement jako obowiązkowy.

- Rozmawiała z tobą o Hansie?
- Tak.
- I co mówiła?
- Po pierwsze, że jest nudny, po drugie, że jest jeszcze nudniejszy, a po trzecie, że jest okropnie nudny. Później dodała jeszcze, że to wyjątkowy nudziarz.

Wybuchnęła śmiechem, ale nic nie powiedziała.

- Miała rację? – zapytałem.
- Mama zwykle ma nosa, jeśli chodzi o ludzi.

Zacząłem nad tym rozmyślać. Zostawiłem radio włączone na kanale 16 i usłyszałem, jak ktoś podaje informację o wypłynięciu. Odczekałem, aż zapadnie cisza i zerknąłem przez kokpit.

- Jennifer?
- John? – przedrzeźniła mój poważny ton głosu.

Chyba jednak nie byłem aż tak cierpliwy, bo nagle zapragnąłem pójść na skróty i przerwać nasze poranne flirtowanie.

– Chyba się w tobie zakochałem.

Przez długą chwilę patrzyła na mnie w ciszy. Zastanawiałem się, czy nie zepsułem nastroju tą nagłą powagą, ale Jennifer się uśmiechnęła.

– To bardzo niewygodna sytuacja.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Wiedziałem, że wszystko dobrze się ułoży. Naprawdę. Hans przegrał. Nie wiem, jak to się mogło stać tak szybko ani co miało się stać potem, ale wiedziałem, że wszystko układa się cudownie. Szczęście przepętniało mnie całego.

Usiadła i zdjęła opaskę z włosów, po czym przeczesała je palcami.

– Mówiono mi – odezwała się radośnie – że droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek.

– Są jeszcze objazdy.

Wstała i klepnęła mnie w brzuch.

– Na razie, Johnnie Rossendale, spróbujemy przez żołądek. Obiad?

– Zaraz przygotowuję.

– Zostań tutaj. Wiem, co zapakowałam, a ty nie. Poza tym pewnie uważasz, że miejsce kobiety jest w kambuzie, więc po co masz udawać, że nie? – Pochyliła się i bardzo słodko pocałowała mnie w usta. Próbowałem ją objąć, ale była szybsza. Roześmiała się i zeszła do kabiny.

Słyszałem jak rozpakowywała jedzenie. Byłem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy, przeniosłem się w jakiś nowy obszar zadowolenia, lśniący złotem, miłością i ciepłem.

– Gdzie masz otwieracz do puszek? – zawołała.

– W szafce za zlewem.

– A kieliszki do wina?

– Wiszą nad twoją głową.

– Talerze do zupy?

– Będziemy musieli pić z dużych filiżanek.

Zaczęła śpiewać „Dziewczyno, nigdy nie odmawiaj”, a ja roześmiałem się, bo wiedziałem, że Jennifer jest równie szczęśliwa jak ja. „Słonecznik” kołysał się delikatnie. Małe fale uderzały w stalowe poszycie kadłuba. Niebo było bladobłękitne i rysował się tylko niewielki ślad wysokich chmur.

Przestała śpiewać.

– Zapalki?

– W wodoodpornym plastikowym pudełku obok tacy ze sztućcami. Zapala się o wewnętrzną stronę przykrywki.

Znów zaczęła śpiewać, po czym niemal natychmiast przerwała.

– Dlaczego gaz nie chce się włączyć?

– Bo trzeba włączyć zawór, który znajduje się pod schodkami, a ja muszę odkręcić tutaj zawór główny.

– No to rusz się – powiedziała.

– Tak jest, kapitanie. – Usiadłem. Ujrzałem, że kapitan makrelowego kutra włączył silnik i odpływał od nas w ścianę upału. Otworzyłem szafkę, w której trzymałem butle z gazem. W szafce znajdował się otwór, którym w razie nie szczelności butli zabójczy gaz mógł uciekać do atmosfery.

Usłyszałem, że Jennifer stęka przekręcając zawór doprowadzający, który zawsze ciężko chodził. Znów zaczęła śpiewać w kambuzie, który znajdował się po prawej burcie, mniej więcej w połowie długości jachtu. Sięgnąłem do szafki i próbowałem przekręcić główny zawór, ale nie mogłem. Usłyszałem grzechot wyjmowanych przez Jennifer zapałek i nagle uświadomiłem sobie, że zawór gazu jest już otwarty, a ja nigdy, przenigdy od czterech lat nie zostawiałem go w tej pozycji. A to znaczyło, że na pokładzie „Słonecznika” był ktoś obcy. Odwróciłem się błyskawicznie.

– Nie! – ryknąłem.

Ale w tej samej chwili Jennifer zapaliła zapałkę. I całe szczęście uleciało.

Jeśli zapytać któregośkolwiek żeglarza, czego boi się najbardziej, nie powie że morza, nieuważnych wielkich statków, skał, ale ognia.

A niemal każdy jacht ma na swoim pokładzie bombę zapalającą: butle z ciepłym gazem, wykorzystywanym do gotowania. Gaz jest cięższy od powietrza, więc jeśli zacznie przeciekać, usadawia się we wszelkich zakamarkach, przyczajony, zabójczy i czeka na iskrę. Na niektórych jachtach są czujniki gazu, ale nie przyszło mi do głowy, by zamontować coś takiego na „Słoneczniku”. Ufałem za-worom: jednemu na samej butli, drugiemu w miejscu, gdzie rura wchodzi do kabiny i normalnym kurkom przy kuchence w kambuzie. Zawsze pamiętałem o tym, by zakręcać wszystkie kurki. Nie ma bowiem nic groźniejszego od wycieku gazu. Bardzo często ręcznie przedmuchiwałem zakamarki jachtu, nie z powodu wody,

ale właśnie gazu. Niestety, zazwyczaj robiłem to wieczorami, a tego dnia wypłynęliśmy z Dartmouth niosąc w szczelinach statku i przy podłodze kabiny śmiercionośny ładunek.

Kiedy byliśmy w Londynie, a jachtu nikt nie pilnował, ktoś dostał się na pokład „Słonecznika” i odkręcił zawory. Cichy, zabójczy gaz powoli wyciekał. Nie śmierzdział, po prostu czekał na iskrę.

Jennifer zapaliła zapałkę.

I krzyknęła.

Nie rozległa się ogłuszająca eksplozja, raczej stłumiony huk. Kabinę wypełniły czerwone płomienie. Słyszałem krzyk Jennifer za ścianą skwierczącego ognia. Krzyk dziewczyny zdawał się nie milknąć. Ogień rozszerzał się z przerażającą szybkością. Płomienie i dym buchały przy wejściu do kabiny niczym z komina. Zwisający grotzagiel zajął się już niemal do połowy.

Ogień syczał, a przez ten syk coraz słabiej przebijał się głos Jennifer.

Wrzeszczałem coś bez ładu i składu, robiłem po prostu hałas, by wiedziała, że jestem i krzyczałem, by dodać sobie odwagi. Było mnóstwo rzeczy, które powinienem zrobić. Powinienem wyłączyć główny zawór. Powinienem wyciągnąć z szafki w kokpicie gaśnicę. Powinienem chwycić przez płomienie mikrofon i nadać sygnał SOS. Ale nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy. Za to bez namysłu skoczyłem w ogień.

Kiedy nastąpił wybuch, siedziałem w kokpicie. Nie zastanawiałem się nawet, że skaczę w ogień. Po prostu szedłem w kierunku słabnącego krzyku Jennifer. Przytrzymałem się rękoma wejścia do kabiny i wskoczyłem do środka. Poczułem niewyobrażalny ból, jakbym wskoczył w płomień palnika acetylenowo-tlenowego. Ujrzałem, że słup ognia wchodzi do kabiny od strony silnika. Skwiercząc paliła mi się kostka, ale mimo bólu uświadomiłem sobie, że ogień wydobywa się z miejsca, gdzie do kabiny wchodzi rura od gazu. Ktoś ją przeciął. Uskoczyłem przed nacierającym płomieniem i wpadłem na stolik. Musiałem zaczerpnąć powietrza, a nappełniłem płuca rozpalonym gazem. Oślepił mnie żar i dym, dusiłem się i łzawiłem, ale wciąż próbowałem krzyczeć do Jennifer. Chciałem jej powiedzieć, by się nie poddawała, by się trzymała, żyła. Po prawej stronie wybuchnął jasny płomień – to zajęły się mapy.

Nie czułem bólu. Rzuciłem się przez dym w stronę kambuza, gdzie raczej wyczułem niż dostrzegłem Jennifer. Klęczała na podłodze, a ja przerzuciłem ją sobie przez ramię jak worek żeglarski i parłem naprzód. Trafiłem na drzwi do kabiny dziobowej i napałem na nie całą siłą naszych dwóch ciał. Jennifer krzyknęła z bólu. Powietrze nagle się ochłodziło, ale wkrótce znów zaczęło się rozgrzewać, gdyż ogień znalazł nowe zasoby tlenu i podążył za nami. Jennifer jęczała. Otoczył nas czarny dym.

Oparłem ją o mały warsztat, który znajdował się w kabinie, sięgnąłem do góry i otworzyłem luk dziobowy.

– Wychodź! – krzyczałem i jednocześnie pchałem ją do góry. Dym szedł za nami. Uświadomiłem sobie, że Jennifer nie jest w stanie iść o własnych siłach, więc wypchnąłem ją do góry. Podążyłem za nią i zamknąłem luk.

Kabina wyglądała jak piec hutniczy, wyrzucała z siebie dym i ogień. Grot stał w płomieniach. Nie było szans, by teraz dostać się do radia. Czułem, że tekowe deski, którymi pokryty był cienki stalowy pokład rozgrzewają się coraz bardziej. W zasięgu wzroku nie zauważyłem żadnych innych jachtów. Nie chciałem patrzeć na Jennifer. Widziałem fragmenty jej poparzonej skóry i słyszałem, jak krzyżała.

Do dachu kabiny wciąż miałem przymocowaną nadmuchiwaną tratwę ratunkową. Pociągnąłem za linę odbezpieczającą, która zwolniła zaczep i metalowy pojemnik z tratwą potoczył się w moim kierunku. Podniosłem go, wrzuciłem do spokojnego morza i przywiązałem do „Słonecznika”. Pociągnąłem za linkę, lecz pojemnik dalej pływał, jak biała beczka piwa unosząca się na powierzchni morza. Szarpnąłem za linę jeszcze raz, ale nic nie osiągnąłem. Zakląłem. Pokład parzył mnie w stopy i wiedziałem, że dach kabiny jest już rozgrzany do czerwoności, więc nie będę mógł się dostać do przywiązanej na rufie szalupy. Na głowę spadł mi skrawek płonącego żagla. W kabinie coś wybuchło, pewnie flary ratunkowe. Kadłubem wstrząsnęło i uświadomiłem sobie, że ogień musiał stopić plastikowe rury w łazience. Woda pewnie wlewa się już przez powstałe otwory. „Słonecznik” był skazany na zagładę.

Miałem dwie kamizelki ratunkowe, ale na rufie, gdzie ogień buchał z największą siłą. Również tam znajdował się pas ratunkowy przytroczony do boi. Zacząłem tańczyć po pokładzie, gdyż parzył niemiłosiernie. Jennifer wiała się i jęczała. Z głowy, z miejsca gdzie wcześniej miała włosy, unosił się dym. Nogi wyglądały,

jakby ktoś odarł je ze skóry i wysmarował na czarno. Miała umrzeć, bo cholerna tratwa ratunkowa nie chciała się otworzyć, bo nie miałem już radia, bo jakiś drań włamał się na pokład i zamienił „Słonecznika” w śmiertelną pułapkę.

Jennifer nagle znowu krzyknęła, zaczął ją parzyć pokład. Wyciągnęła do mnie palce przypominające czarne, sztywne szpony. Na rufie tekowe deski pokładu zaczęły już się podnosić i dymić. Teraz nie mieliśmy wyboru. Wziąłem Jennifer na ręce. Krzyknęła z bólu, a ja wiedziałem, że za chwilę krzyknie jeszcze głośniej, kiedy wpadnie do słonej wody, ale w ten sposób dam jej jeszcze kilka minut życia. Dopóki człowiek się nie podda, zawsze istnieje jakaś szansa. Nigdy nie należy się poddawać. Nigdy. Przeniosłem ją do relingu na prawej burcie, przełożyłem jedną nogę na zewnętrzną stronę i skoczyłem.

Morze było cudownie chłodne, ale woda musiała podziałać jak kwas na poparzoną skórę Jennifer. Trzymałem ją w górze, by jej poparzona i szerniała głowa wystawała ponad wodę. Jedną ręką trzymałem ją za szyję, drugą w pasie, a nogami odpychałem nas jak najdalej od płonącego jachtu. Czułem zapach spalonego ciała. Bełkotała, jęczała, krzyczała i dusiła się. Mówiłem do niej, zapewniałem, że przeżyje, że wszystko będzie w porządku, że nie możemy się poddawać. Co chwila woda wdierała mi się do ust, dusząc mnie.

Odwrociłem głowę, by spojrzeć na „Słonecznika”. Ogień dosięgnął szafki na rufie, gdzie trzymałem zapasową butlę z gazem. Najpierw stopił zawór butli i wśród dymu wystrzelił w górę biały płomień, ale po chwili butla wybuchła. Olej napędowy ze zbiorników zabarwił płomień na czerwono, a dym na jeszcze głębszą czerń. Czerwona bandera spłonęła w mgnieniu oka.

Dziób jachtu zaczął osiadać. Żagle spłonęły i rozsypały się w popiół. Maszt jakoś się trzymał. Obok kadłuba wesoło i bezużytecznie skakał na falach pojemnik z tratwą.

Dziób opadł jeszcze bardziej. Wszystko w kabinie, co mogło się zapalić, już płonęło: szafki, pościel, papiery, odzież, olej do smażenia, stół, stolik do map, pieniądze, paszport, cały mój dobytek, wszystko przepadło w tym piekle, które buchało płomieniami i dymem. „Słonecznik” nagle przechylił się na bok. Przestraszyłem się, że maszt może spaść prosto na nas, więc znów machnąłem kilka razy stopami, by odpłynąć od jachtu, a przy tym głowę przykryła mi woda.

Kiedy się wynurzyłem, ujrzałem, że dziób poszedł już pod wodę. Woda sięgała do luku kabiny dziobowej i zaczęła się tamtędy wlewać. Jacht zaczął tonąć. Bezsilnie młóciłem wodę. Byłem coraz bardziej zmęczony. Zacząłem czuć ból w poparzonych nogach, co oznaczało, że ustępuje znieczulenie wywołane adrenaliną. Jennifer musiała się czuć jeszcze gorzej, tyle że była na pół przytomna.

Woda sięgnęła wejścia do kabiny. Rufa poszła jeszcze bardziej w górę, tak że ujrzałem śrubę i ster jachtu. Para syczała i mieszała się z dymem. Ogień walczył z morzem. Ale morze miało wygrać, tak jak zawsze. Ujrzałem, jak mój jacht powoli, bardzo powoli osuwa się na dno morza. Pływałem nim w dalekie podróże. Byliśmy na krwistoczerwonych wodach przylądka Non, widzieliśmy klify przylądka Bojador, gdzie, jak mówili starzy żeglarze, świat się kończy. Stawialiśmy czoło piratom na Filipinach, cumowaliśmy przy lasach mangrowych Florydy, żeglowaliśmy po zatokach wybrzeża stanu Maine. Dwa razy okrążyliśmy przylądek Horn, ale nigdy już razem nie popłyniemy, bo „Słonecznik” tonął i chyba ogień nabrał siły, bo nagle na trzysta stóp w niebo wystrzelił słup płomieni i pary. To niesamowite, ile taki mały jacht może narobić zamieszania.

„Słonecznik” poszedł na dno. Czubek masztu zniknął pod wodą, kokpit poszedł do góry i wydając ostatnie tchnienie czarnego dymu i płomieni jacht zanurzył się pod wodę. Na zmaconej powierzchni morza coś zasyczało. Po chwili tratwa, wciąż przywiązana do tonącego kadłuba, poszła za nim na dno. Na powierzchni zostało tylko trochę spalonych śmieci i czarna chmura dymu unosząca się w letnim powietrzu.

Jennifer jęczała, a ja wiedziałem, że umiera. Zdawałem sobie sprawę, że jestem coraz bardziej zmęczony i wkrótce będę musiał ją puścić, a wtedy jej ciało przekęci się na brzuch, woda napełni usta i Jennifer utonie. Ta myśl mnie rozgniewała, więc zacząłem ją przeklinać, że umiera. Powiedziałem, że będzie żyła. Cholera – wołałem – będziesz żyła. Kazałem jej przerwać te patetyczne jęki i pracować nogami. Mówiłem jej, że jest zepsutą, przekłętą, cholerną, bogatą suką i jeśli nie potrafi się obudzić i płynąć, to zasługuje na śmierć. Kłamałem w trzech językach, ale mogłem sobie darować, bo nie odzyskiwała przytomności, a ja z każdym słowem traciłem tylko kolejną porcję cennej energii.

W końcu przestałem ją przeklinać. Przypomniałem jej, jak mówiłem, że ją

kocham. Miałem już coraz mniej siły, gdyż wyęczałem się, byśmy utrzymali się na powierzchni. Nóg właściwie już nie czułem, ciążyły mi jak ołów. Do ust dostawało mi się coraz więcej wody. Dusilem się, plułem i parłem w górę, by odetchnąć jeszcze trochę. Jedną ręką trzymałem Jennifer, a drugą płynąłem.

Przegrywałem. Zaczęły się halucynacje. Ujrzałem statek, który płynął, by nas wydobyć z wody. To był wielki szkuner, biały, z długim dziobem. Iluzja była tak sugestywna, że widziałem nawet łańcuchy pod dziobem i rzeźbioną figurkę. Przez burtę wychylali się jacyś mężczyźni, by wyciągnąć nas na pokład, a ja podałem im rękę, ale wyciągając ją poszedłem pod wodę i rzeczywistość zdmuchnęła przywidzenie, gdy woda wpadła mi do gardła. Szarpnąłem się i wyjąłem poparzoną głowę Jennifer ponad wodę. Wszystko wskazywało na to, że już nie żyje, ale nie zamierzałem jej puścić. Płakałem, wcale nie z żalu, tylko z bezsilności. Nie było szkunera. Nie było nic oprócz morza, pogrzebowego dymu po „Słoneczniku” i samotnej mewy gdzieś w oddali.

Zobaczyłem plażę. Była bardzo blisko. Długa i piaszczysta, a za nią porośnięte niską trawą wydmy. Na plaży nikogo nie dostrzegłem, ale pokryty dachówką dach widoczny nad wydmiami obiecywał schronienie. Płynąłem w kierunku plaży. Nadzieja na ocalenie tchnęła we mnie nowy zapas energii i szeptałem Jennifer do ucha, że teraz już wszystko będzie dobrze, że teraz wystarczy nie poddać się fali przypiływu i dojść do domu na brzegu.

– Dopłynęliśmy do Ameryki – powiedziałem, bo ujrzałem gwiazdzisty sztandar powiewający na maszcie przed domem. Złudzenie było tak rzeczywiste, że zacząłem się nawet zastanawiać, jak zmusić personel amerykańskiego szpitala, by nas przyjął, mimo że nie mieliśmy kart kredytowych, ale wtedy jakaś fala rozbija się na mojej twarzy i wszystko zniknęło: flaga, dom, zostało tylko puste niebo. Jennifer bardzo mi ciążyła, morze sączyło we mnie swój zabójczy chłód, a zmęczenie osłabiało mnie coraz bardziej.

Prawie ją wypuściłem, ale zmusiłem się, by trzymać jej poparzone ciało. Próbowalem wysunąć jej głowę nad wodę, ale moje nogi pracowały coraz słabiej, a woda coraz częściej wlewała mi się do ust i szczypała w oczy. Jeszcze raz powiedziałem, że ją kocham. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku ani się nie poruszyła.

Na niebie pojawił się helikopter. Przekląłem to nowe złudzenie, bo teraz

chciałem już tylko umrzeć w spokoju. Helikopter wydawał głośny, warczący dźwięk, który mnie denerwował, więc nieporadnie starałem się odpłynąć od niego jak najdalej, gdzie będę mógł znaleźć spokojne i ciche miejsce na łagodną śmierć. Ponowne złudzenie było rzeczywiste aż do bólu, do tego stopnia, że widziałem nawet na wodzie przesuwający się cień helikoptera i wodę marszczącą się od podmuchu wywołanego ruchem śmigieł. Ujrzałem, że ktoś spogląda na nas, ale starałem się odepchnąć tę halucynację, bo nie mogłem sobie pozwolić na tak złudne nadzieje. Umysł jednak się nie poddawał i zobaczyłem linę zrzuconą do wody, która miała pozbawić helikopter ładunków elektrostatycznych. Przeklinałem przywidzenie.

Zalała nas fala. Zakrztusiłem się, ale tym razem nie miałem już czasu, by odechnąć. Poszedłem pod wodę. Wciąż przyciskałem Jennifer, ale teraz ja tonąłem, a ona razem ze mną. Otworzyłem oczy i poczułem wielki spokój. Powierzchnia wody wyglądała od spodu jak wielka, falująca srebrna blacha. Tego pięknego widoku nie psuł żaden helikopter. Ból minął, w uszach miałem tylko głuche brzmienie morza. Wokół panował spokój, a nad nami łagodnie falowało srebrne niebo powierzchni morza.

Nagle w to wszystko wdarł się jakiś czarny kształt, chyba człowiek, który wskoczył do wody. Był wielki, gwałtowny i zakłócał cały spokój. Zamknąłem oczy, by pozbyć się tego snu i puściłem Jennifer. Odpływałem w nieznane, w nicłość, bo teraz było już po wszystkim. Było już po wszystkim, byłem skończony i wszystko się skończyło.

Część 4

Ulf, wszyscy tylko nie on. Przeklęty Szwed mówił mi, że maszt „Słonecznika” jest za wysoki i za bardzo przesunięty w kierunku rufy. Kazał mi wstawać i przestawić go. Próbowałem go uciszyć, ale jego głos wciąż dźwięczał mi w uszach. Masz rację, Johnny, nie umrzesz, bo śmierć to nic innego jak fantom umysłu i oszukiwanie samego siebie. Kazałem mu głęboko wsadzić swoje opinie i nagle ujrzałem, że Ulf jest ubrany na białą i ma czarną twarz. Zacząłem się zastanawiać, jak mógł się zmienić w anioła w bieli, po czym zdziwiłem się, że w niebie wszyscy są czarni, choć pomyślałem, że to niebiańsko sprawiedliwe rozwiązanie ziemskiego problemu. Nie mogłem uwierzyć, że wpuszczono mnie do nieba.

– To jakaś pomyłka – odezwałem się.

– Już wszystko w porządku – rzekła zjawą Ulfa, która zmieniła się w murzyńskiego lekarza w okularach nachylającego się nade mną. – Proszę poruszyć ręką – polecił. – Dobrze.

Lewa kostka i łydka bolały mnie jak diabli, tak jak po oparzeniu meduzą na wybrzeżu Maleszji. Syknąłem i drgnąłem z bólu, ale próbowałem to wyjaśnić.

– Meduza – powiedziałem.

– Nazywam się Mortimer – przedstawił się lekarz. – Doktor Mortimer. A pan jest księciem Stowey, prawda?

– John – odrzekłem. – Proszę się do mnie zwracać John. – Gdzieś zawyła syrena i to przypomniało mi krzyk Jennifer. Odwróciłem głowę i stwierdziłem, że jestem w małym, jasno oświetlonym pokoiku, w którym nie ma śladu Jennifer. – Czy ona żyje?

– Żyje – odparł lekarz, ale ja poddałem się już środkom znieczulającym. Spałem.

Uratował nas kuter szukający makreli. Kiedy dostrzegli wznoszący się ku niebu dym, zawrócili, by zobaczyć, co się stało i ujrzeli pożar na „Słoneczniku”. Zawiadomili straż wybrzeża na kanale 16, a tamci wezwali Siły Lotnicze Królewskiej Marynarki Wojennej. Od momentu, kiedy kapitan kutra zawiadomił straż, do przybycia helikoptera minęło zaledwie osiem minut. Mnie wydawało się, że upłynęła godzina. Nawet teraz, kiedy ujrzałem zapis wypadków sporządzony przez straż wybrzeża, nie mogę uwierzyć, że to było tylko osiem minut.

Miałem okropnie poparzone nogi, nawdychałem się dymu, a ręce i ramiona były całe w pęcherzach. Mogło być jeszcze gorzej. Jennifer była w jeszcze gorszym stanie, choć na początku nikt mi nie powiedział w jak poważnym.

Pierwszy odwiedził mnie Harry Abbott. Byłem ledwie przytomny i nie wszystko jeszcze do mnie docierało. Zrozumiałem, że kiedy policja dowiedziała się o płonącym jachcie, obawiali się, że chodzi o „Słonecznika” i wysłali kogoś do szpitala, by nas zidentyfikował. Próbowałem przekonać Harry’ego, że to próba morderstwa, ale chyba już to założył, bo później dowiedziałem się, że przed moją salą przez cały czas stał policjant. Pamiętam, że Harry przyniósł mi winogrona, których część sam zjadł. Zapytałem o Jennifer, a on tylko wzruszył ramionami i powiedział, że odwieziono ją do wielkiego londyńskiego szpitala, który specjalizuje się w leczeniu ofiar porażenia.

Charlie odwiedził mnie następnego dnia. Nigdy nie widziałem go tak zafrasowanego. Próbowałem mu wytłumaczyć, że nic mi nie jest, że będę znowu chodził, ale on chyba uważał, że mnie zawiódł.

- Powinienem był odszukać tych dwóch bydlaków i zatłuc ich w cholere.
- Próbowałeś, Charlie.
- Dranie. – Usiadł przy łóżku. – Dranie.
- Znajdę ich – powiedziałem. – I obiecuję ci, że pożałują, że się w ogóle urodzili.
- Dranie. – Charlie był zbyt zdenerwowany, by siedzieć. Zaczął chodzić po pokoju. – Co się stało?

Opowiedziałem mu o przeciętej rurze gazowej.

- Odwalili kawał dobrej roboty, Charlie – powiedziałem gorzko. – Przecięli rurę przebiegającą przez pomieszczenie z silnikiem, a potem wprowadzili koniec

do kabiny. – Musieli zrobić to tak, by nie naruszyć zaworu doprowadzającego, gdyż inaczej Jennifer zauważyłaby coś.

– Nie zamknąłeś luku silnika? – zapytał Charlie.

– Tak, ale na marną kłódkę.

– No tak – powiedział bezsilnie. To właśnie Charlie nauczył mnie otwierać zamknięte kłódki. Wystarczy założyć metalowe ramię na coś mocnego i uderzyć młotkiem w dziurkę od klucza. Jeśli nie otworzy się za pierwszym razem, trzeba to powtórzyć. Trafiają się droższe modele, które nie dają się otworzyć w ten sposób, ale ja straciłem swoją dobrą kłódkę, kiedy Garrard i Peel zrzucili „Słonecznika” z platformy, i zastąpiłem ją zwykłą, seryjną konstrukcją.

– Tratwa ratunkowa też się nie otworzyła – dodałem.

– Jezu. – Był śmiertelnie przerażony, ale zmusił się do optymistycznych opowieści o nowym jachcie, który zastąpi „Słonecznika”. Powiedział, że razem go wybierzemy, razem wyposażymy i razem popłyniemy w dziewiczy rejs. – Ale tym razem na pewno założymy czujnik gazu.

Pokręciłem głową.

– Nie będzie następnego jachtu, Charlie.

– Oczywiście, że będzie!

– Nie mogę sobie na niego pozwolić, a od ciebie nie wezmę pieniędzy. I tak już dostałem od ciebie zbyt dużo.

– Weźmiesz to, co ci dam, Johnny. – Przestał chodzić i stanął przed oknem. – Dranie – powiedział cicho i odwrócił się zachmurzony w kierunku łóżka. – A mówiłem ci, żebyś się w to nie wplątywał.

– Teraz już za późno. Zabiję tych dwóch bydlaków. Za Jennifer.

Uśmiechnął się.

– Tak po prostu, co?

– Żebyś wiedział.

Skrzywił się.

– Zastanawiałem się, kiedy padnie na ciebie, Johnny. Ja mam Yvonne, a ty pasierbicę milionera.

– O ile przeżyje i mnie zechce.

– Ocaliłeś jej życie – powiedział, jakby to dawało mi pełne prawo do rozporządzania jej życiem.

– Nie – powiedziałem gorzko. Ale chyba tak było. Powiedział mi o tym pilot

helikoptera, kiedy mnie odwiedził, wspomniał też o tym Harry Abbott podczas swej drugiej wizyty. Wysłuchał z ponurą miną opisu pożaru i moich zapewnień, że rozmyślnie przecięto rurę od gazu.

– Nie przyszło mi do głowy, żeby strzec jachtu – rzekł pochmurnie. – Pilnowałem ciebie. – Wyglądał na szczerze zdenerwowanego wypadkiem.

– Chcę dopaść tych drani, Harry.

– Szukamy ich, Johnny, szukamy ich.

– I Elizabeth, jeśli to ona ich nastąpiła.

– I kogo jeszcze? – Zapalił papierosa i patrzył spokojnie na moją obandażowaną kostkę. – Musisz wiedzieć – ciągnął – że cholernie dobrze się zabezpieczyła, by nie padł na nią choćby cień podejrzenia.

– Zabezpieczyła się?

– Związała. Pojechałem, żeby ją przesłuchać, ale jej mąż powiedział, że chyba wyjechała do Francji. Chyba! – rzekł Harry z obrzydzeniem. – Nie mogę jej przyskrzynić, Johnny, dopóki nie znajdę Garrarda i nie zmuszę go do mówienia.

– No to go znajdź, Harry, a kiedy już to zrobisz, zostaw mnie z nim sam na sam na kilka minut.

– Wiesz, że nie mogę ci tego obiecać

Wziąłem od niego papierosa. Moje cenne fajki przepadły, tak jak cała reszta dobytku. Doktor Mortimer, mój czarny anioł, podkreślał że powinienem wykorzystać tę okazję i rzucić palenie, ale znowu mi się nie udało.

– Skąd u diabła Elizabeth ma pieniądze na podróż do Francji? – zapytałem Harry'ego.

– Pytałem o to jej męża. Mówi, że sprzedała dom matki. – Harry w zamyśleniu zmarszczył czoło. – Ten lord Tredgarth to żalosny dupek, co?

Nie chciało mi się o nim rozmawiać.

– Lepiej opowiedz mi, Harry, jak się czuje Jennifer.

Przez chwilę nie odpowiadał, potem wzruszył ramionami.

– Kiepsko.

– Jak kiepsko?

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Nie pytaj mnie, Johnny, bo nie wiem.

Dowiedziałem się tego następnego dnia od Helen, lady Buzzacott. Siedziałem w fotelu przy łóżku i próbowałem wstać, kiedy weszła do pokoju. Kazała mi się nie wygłupiać i siedzieć na miejscu. Na stoliku przy łóżku położyła kiść winogron.

– Dlaczego Anglicy zawsze przynoszą do szpitala winogrona? To naprawdę zabawny zwyczaj, ale nie do wykorzenia. Naprawdę się przeraziłam, że nie mam dla ciebie winogron i wysłałam Higgsa do sklepu ogrodniczego. No i proszę, mam, a ty mi pewnie zaraz powiesz, że nie znosisz winogron?

– Lubię.

Usiadła na brzegu łóżka.

– Wyglądasz lepiej niż się spodziewałam, John.

Zamknąłem oczy.

– Przepraszam – powiedziałem.

– A za cóż to? – Zadała to pytanie trochę zbyt lekkim tonem.

Otworzyłem oczy. To było trudne. Właśnie tego spotkania się obawiałem, ale musiałem to powiedzieć i byłem naprawdę szczery.

– Przepraszam, że zabrałem Jennifer na jacht. Przepraszam, że wcześniej nie sprawdziłem instalacji gazowej. Przepraszam, że nie odpompowałem gazu. Przepraszam za wszystko, co się stało. – Zacząłem płakać, więc znów zamknąłem oczy.

– Przepraszam, lady Buzzacott. To wszystko moja wina.

– Mnie też jest przykro – powiedziała. – Ale nie obwiniaj się.

Nie mogłem nic powiedzieć. Ryczałem jak dziecko. Czułem się całkowicie odpowiedzialny za to, co stało się z Jennifer. Zabrałem na pokład piękną dziewczynę i oddałem jej matce przypalone mięso.

– To nie twoja wina – powiedziała dobitnie Hellen Buzzacott. – Oczywiście można się oglądać w przeszłość i wytykać sobie, że należało zrobić wiele rzeczy, by temu zapobiec, ale nie w tym rzecz, John. Chodzi o to, że nie masz nic wspólnego z tym wypadkiem. Popłynąłeś tylko na przejażdżkę, czy może być coś bardziej niewinnego?

– Cholera – powiedziałem i sięgnąłem po chusteczkę higieniczną.

– A z Jennifer wszystko będzie dobrze – rzekła Helen.

Spojrzałem na nią przez łzy, ale nie odezwałem się.

– A właściwie mamy nadzieję, że wszystko będzie w porządku – dodała. – Oparzenia są rzeczywiście przerażające, ale mówiono mi, że w dzisiejszych

czasach lekarze umieją sobie z tym radzić. – Mówiła bardzo rzeczowo, ale widziałem, że w ostatnich dniach przeżywała katusze. – Oczywiście minie wiele czasu, wiele operacji, ale jej lekarz, taki bardzo pompatyczny człowiek, twierdzi, że po wszystkim będzie jak nowa. Oczywiście nie wiadomo, czy nie kłamie jak zawodowiec, ale jeśli tak, to jest bardzo drogim kłamcą. – Po policzkach Helen potoczyły się łzy. Próbowwała nie zwracać na nie uwagi. – Jutro zaczynają pierwsze przeszczepy skóry, ale nie powinnam ci tego wszystkiego mówić. Powinnam zapytać, co u ciebie.

Podsunałem jej pudełko z chusteczkami. Wzięła jedną i napotkała mój wzrok.

– Cholera – powiedziała przez łzy. Pociągnęła nosem i otarła oczy. – Nie wiem, John. Widziałam ją i wydaje mi się niemożliwe, by kiedykolwiek z tego wyszła. Nie ma włosów, ale twarz nie wygląda tak źle. Pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach. – Ręce wyglądają dość przerażająco i najtrudniej doprowadzić je do odpowiedniego stanu, ale zawsze może nosić rękawiczki, prawda? – Znow zaczęła płakać. – Nogi i plecy ma okropnie poparzone. Pupa wygląda tragicznie, ale lekarz twierdzi, że wszystko naprawdę będzie w porządku, więc mogę mu tylko zaufać. Hans twierdzi, że powinniśmy ją przewieźć do Szwajcarii, ale nie rozumiem dlaczego.

– Ja też – powiedziałem stanowczo.

– Mówi, że mają bardzo dobrych chirurgów plastycznych, ale wydaje mi się, że wyłazi z niego ksenofobia. Odwiedził Jennifer, lecz chyba go to zdenerwowało. Leży w takim łóżku powietrznym przypominającym odwrócony poduszkowiec. To naprawdę głupio wygląda. – Znow wytarła nos. – Jeszcze nie doszła do siebie, ale pytała o ciebie.

– Powiedz jej, że ze mną wszystko w porządku i że bardzo ją przepraszam.

– Nie powiem, że ją przepraszasz. Sam to możesz zrobić. Ale dobrze się czujesz? Doktor Mortimer twierdzi, że jesteś okropnym pacjentem. Uważa, że nie rzucisz palenia.

– Nie mogę.

– Powinieneś, ale wydawało mi się, że tego nie zrobisz, więc poszłam do sklepu firmowego Dunhills i kupiłam ci kilka fajek. Nie znam się na tym zupełnie, więc pewnie wybrałam nie takie, jak chcesz, ale proszę. – Podała mi torebkę pełną najdroższych fajek. – Tytoń wzięłam na oślep – ciągnęła. – Sprzedawca powiedział, że będziesz pewnie bardzo wybrzydzał, ale wzięłam te gatunki, które

najładniej pachniały.

Przyjąłem tytoń.

– To bardzo miło z twojej strony.

– Ocaliłeś życie mojej córce.

– I ryzykowałem – dodałem gorzko.

– Nie zaczynaj od nowa. Leon rozmawiał z załogą helikoptera i słyszał o tym, co zrobiłeś. Jesteś bardzo dzielny człowiekiem.

– Wcale nie.

– Nie będę się kłócić. – Wzięła głęboki oddech. – Przyszłam tu, żeby cię pocieszyć, a tylko płaczę. Biedny John.

– Biedna Jennifer.

– To twarda sztuka. Ma to chyba po ojcu. Naprawdę szkoda jej dla tego cholernego Szwajcara.

– Zgadza się.

– Ale Leon nie. Bardzo go cieszy to małżeństwo. Sam nigdy nie miał dzieci, więc rozumiesz, że traktuje Jennifer jak własną córkę. Wciąż mu powtarzam, że jedynym dokonaniem Hansa jest odziedziczenie potężnej firmy. Każdy głupiec potrafi odziedziczyć pieniądze.

– A zarobić potrafi tylko rozsądny człowiek? – zapytałem i uświadomiłem sobie, że sam jestem goły jak święty turecki.

Helen uśmiechnęła się złośliwie.

– Rozsądny mężczyzna, John, żeni się z bogatą kobietą, ale wydaje mi się, że już o tym wiesz. No, nie będę cię dłużej męczyła. Wiem, że Leon chce cię wkrótce odwiedzić. Poczył już pewne przygotowania wobec twojej młodszej siostry i jestem pewna, że wszystko zostało zrobione jak najlepiej, ale musisz sam to obejrzeć. – Zebrała chusteczki i wzięła torebkę. – Jeśli nie będziesz miał się gdzie podziać po wyjściu ze szpitala, zapraszam cię do Comerton.

– Jakoś sobie poradzę, nie martw się. I przekaz Jennifer pozdrowienia ode mnie.

– Już to zrobiłam. – Wstała. – Daj nam znać, gdzie się podziewasz i nie wahaj się, jeśli nie będziesz miał się gdzie zatrzymać.

Ze szpitala wyszedłem tydzień później. Wyjechałem z Charliem, a ponieważ w jego towarzystwie czułem się bezpiecznie, kazałem Harry'emu zdjąć strażnika.

Charlie zawiózł mnie do swego domu, gdzie pokuśtykałem na górę i położyłem się na łóżku. Nogi bolały mnie jak diabli, ale poza kostką blizny miały być prawie niewidoczne. Zadrzałem, kiedy pomyślałem o Jennifer i piekle, przez jakie musi przejść, więc jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniłem do zamku Comerton i poprosiłem do telefonu lady Buzzacott. Zamiast niej do telefonu podszedł sir Leon i powiedział, że żona jest wraz z córką w Londynie. Zapytał, gdzie ja jestem. Podałem mu numer Charliego. Na chwilę zapadła cisza i pomyślałem, że pewnie zapisuje go w swoim skórzanym notesiku. Następnie oznajmił, że chce się ze mną spotkać.

– Oczywiście.

– Chcę, żeby zaakceptował pan przygotowania dla lady Georginy. Czy odpowiada panu jutrzejszy termin?

Nie byłem pewien czy wytrzymam, ale wiedziałem, że nie zniosę kolejnego dnia pochmurnych min Yvonne, więc zgodziłem się.

– Czy mam przysłać samochód?

– Obawiam się, że to konieczne. – Byłem nie tylko bezdomny, ale także bez grosza.

Samochód przyjechał rankiem. Kierowca zabrał mnie do Mendip Hills, gdzie w małej, zwróconej na południe wiosce skręciliśmy w długi podjazd prowadzący do wielkiego, pomalowanego na biało wiktoriańskiego domu. Na schodach powitał mnie sir Leon i przedstawił mężczyźnie o czerstwej twarzy, mniej więcej w moim wieku.

– To doktor Grove – oznajmił sir Leon. – Lekarz pensjonatu Lovelace.

Z niepokojem czekał na moją ocenę.

– Moi ludzie przeprowadzili staranne rozpoznanie – powiedział. – I zapewniam pana, że Lovelace odpowiada naszym najostrożniejszym wymaganiom.

Widziałem niewiele, ale wydawało mi się, że to doskonałe miejsce. Pensjonat Lovelace był ośrodkiem prywatnym, niesłychanie kosztownym i naprawdę zapewniał dobrą opiekę. Wiele podobnych instytucji opiekujących się chorymi umyślowo członkami bogatych i utytułowanych rodzin to po prostu więzienia, ale w Lovelace każdy pacjent miał apartament, osobiste pielęgniarki i tyle wolności, na ile pozwalał stan jego zdrowia. Z wielką powagą i kurtuazją przedstawiano mnie wszystkim pacjentom, których spotykaliśmy na przestronnych korytarzach.

Pewna markiza zapytała, czy już zasadziłem drzewko bananowe. Odparłem, że nie, na co ona oznajmiła, że grozi nam wielkie bezrobocie. Skłoniłem się, po czym pokuśtykałem do apartamentu, w którym miała zamieszkać Georgina. Szerokie balkonowe okna otwierały się na schodzący tarasami trawnik, za którym aż do zalesionych zboczy gór rozciągały się puste zagrody dla koni. – To przypomina mi widok z okien Stowey – powiedziałem.

– Oczywiście poza końmi – dodałem.

– Czy lady Georgina lubi konie? – zapytał doktor Grove.

– Kiedyś lubiła. Siostra nie pozwalała jej jeździć, ale ja wraz z przyjacielem woziliśmy ją na starym, łagodnym mule. Zawsze bardzo się z tego cieszyła.

Doktor Grove coś zanotował.

– Myślę, że moglibyśmy podążyć tą drogą. Dziękuję, milordzie.

– John – odparłem automatycznie. – Proszę do mnie mówić John.

Posłusznie obejrzałem kuchnię, salony, wspólną jadalnię i gabinety, do których – jak mi powiedziano – przyjeżdżają najlepsi psychiatrzy z Londynu. Jeśli Georgina mogła kiedykolwiek zaznać szczęścia, pomyślałem, to właśnie w tym uroczym miejscu.

Po inspekcji, kiedy wyraziłem swoją pełną aprobatę w obecności doktora Grove'a, sir Leon poprosił o chwilę rozmowy na osobności. Poprowadził mnie do południowego ogrodu, gdzie grupa zaciekawionych pacjentów oglądała jego helikopter stojący na szerokim trawniku. Sir Leon skierował mnie jak najdalej od śmigłowca, wybierając samotność zwirowej alejki.

– Moi prawnicy już rozpoczęli negocjacje z powiernikami funduszu lady Georginy – odezwał się sir Leon swoim precyzyjnym i pedantycznym głosem. – Mogę pana zapewnić, że nie będzie żadnych przeszkód, by pańska siostra mogła tutaj zamieszkać.

– Sir Oliver Bulstrode może oponować – zauważyłem ponuro.

– Sir Oliver, jak wszyscy znani londyńscy prawnicy, opowie się za bogatszą stroną sporu.

Uśmiechnąłem się, bo ten mały człowieczek potwierdził moją opinię o prawnikach. Zaczynałem lubić sir Leona, ale chyba nie miałem innego wyjścia, zważywszy, co zrobiłem jego pasierbicy. Przez kilka metrów szliśmy w milczeniu, po czym Buzzacott zmierzył mnie dość ostrym i raczej nieprzyjaznym spojrzeniem.

– A co z pańską przyszłością, milordzie?

Zaniepokoiło mnie coś w tonie jego głosu. Może zbyt szybko zacząłem go daryć ciepłym uczuciem. Wydawało mi się cokolwiek dziwne, że człowiek tego pokroju chce mi osobiście pokazać dom dla obłąkanych z wyższych sfer, ale teraz wyczuwałem, że nie pensjonat był głównym powodem naszego dzisiejszego spotkania.

– Nie myślałem jeszcze o tym – odparłem ostrożnie. – I proszę mnie nie nazywać „milordem”.

– Jak pan sobie życzy. – Sir Leon zauważył, że chodzenie mnie męczy, mimo laski, którą Charlie wyszperał dla mnie w swojej graciarni. Zatrzymaliśmy się więc obok zdobionej urny. – Proszę wybaczyć, że pytam, ale czy pański jacht był ubezpieczony?

– Nie.

Zmarszczył czoło, wyraźnie zawiedziony.

– To bardzo nierozsądne, prawda?

– Towarzystwa ubezpieczeniowe nie chcą słyszeć o jachtach oceanicznych. Jeśli ktoś ogranicza się do pływania po Kanale i Morzu Północnym, podają jakąś składkę, ale wystarczy wypłynąć trochę dalej, a zwłaszcza samotnie, by nie mieścić się w żadnej z kategorii.

– Rozumiem. – Patrzył w dół na podstawę urny i lekko zmarszczył czoło. – Proszę mi wybaczyć jeszcze raz, ale na ile ocenia pan straty?

– Dziewięćdziesiąt tysięcy funtów – strzeliłem.

Spojrzał na mnie gwałtownie.

– Aż tyle?

– To był dobry jacht – broniłem się. – Nie jakaś tam plastikowa łupinka obita byle jakim drewnem, ale prawdziwy, stalowy jacht oceaniczny wykończony porządnym drewnem. Był nieźle wyposażony, sir Leonie. Jak mówią żeglarze, to był kawał porządnej łajby. – Miałem wrażenie, że wygłaszam mowę pożegnalną „Słonecznika”. Ale to był rzeczywiście kawał dobrej łajby i żałowałem jej, chyba jeszcze nie uświadomiłem sobie ogromu straty. Mogłem wycenić kadłub, wykończenia i takielunek, ale strata emocjonalna była wprost niewyobrażalna. Jacht stał się towarzyszem podróży, osobą, z którą się rozmawia, istotą, która jest z człowiekiem w dobrych i złych chwilach. „Słonecznik” był także moim domem i straciłem go.

– Byłoby mi niezmiernie miło, gdyby znalazł pan sobie jakiś inny jacht – sir Leon powiedział to tak cicho, że w pierwszej chwili wydawało mi się, że się prześlyszałem. – Oczywiście na mój koszt – dodał równie cicho.

– Słucham? – powiedziałem z niedowierzaniem. Przez ostatnie kilka minut traktował mnie niemal z wrogością i nagle proponował mi jacht? Znów poczułem do niego sympatię.

– To dość proste. – Chyba irytowała go moja powolność. – Proponuję, by kupił pan sobie inny jacht oceaniczny.

– Ależ to absurdalne! – Miałem nadzieję, że się ze mną nie zgodzi. Duma każała mi zaprotestować, lecz nie potrafiłbym długo się opierać. Bardzo potrzebowałem nowego jachtu.

Na twarzy Buzzacotta zagościło coś w rodzaju uśmiechu.

– Nie tak absurdalne, milordzie, jak oddanie van Gogha. – Wyglądało na to, że nie ma zamiaru przestać tytułować mnie „milordem”. – Oczywiście – ciągnął – zrozumieć też, jeśli nie zechce pan nowego jachtu.

– Ależ chcę – powiedziałem gorączkowo. Porównanie jego podarunku z moim sprawiło, że transakcja wydała mi się mniej zadziwiająca i bardziej do przyjęcia. Stwierdziłem, że ten człowiek lubił skrywać swoją dobroć za chłodną maską.

Sir Leon grzebał lśniącem butem w żwirze alejki.

– Rozumiem zatem, milordzie, że jeśli będzie miał pan nowy jacht, wróci pan do wędrownego trybu życia?

– Naprawdę nie wiem.

Zadał to pytanie trochę zniechęca i moja odpowiedź również była nieprzemysłana. Wywołała na jego twarzy surowość.

– Czy pańska niepewność ma coś wspólnego z moją pasierbicą? – Postawił pytanie tak nieoczekiwanie i bezpośrednio, że zupełnie mnie zaskoczył. Nie odezwałem się, a sir Leon zmarszczył czoło. – Moja żona uważa, że pasujecie do siebie, ale muszę powiedzieć, że niektóre pomysły lady Buzzacott wydają mi się naprawdę zwariowane.

Teraz wyłożył kawę na ławę. Jacht nie miał stanowić rekompensaty za płótno van Gogha, lecz łapówkę, by odciągnąć mnie od Jennifer. Ten człowiek nie ukrywał wcale swojej dobroci, tylko kupował to, czego pragnął. Teraz chciał, bym wyjechał. Poczułem się jak dureń, że obdarzyłem go ciepłymi uczuciami. Nagle okazało się przecież, że mnie nie znosił.

– Woli pan, by mężem Jennifer został Hans? – zapytałem wprost.

– Oczywiście, że tak – odparł bez ogródek sir Leon, jakbyśmy dyskutowali o ulubionych samochodach lub jachtach. – Hans to bardzo ustatkowany i rozsądny człowiek. Do zbudowania finansowego imperium trzeba ikry, milordzie, ale żeby je utrzymać, potrzeba spokoju, a Hansowi udało się utrzymać i rozwinąć swoje dziedzictwo. Sam pan więc rozumie – tu uśmiechnął się jak mógł najskromniej – że chcę, by znalazł pan odpowiedni jacht i odpłynął stąd jak najszybciej.

Pomyślałem, że przynajmniej drań jest szczerzy. Chciał, żebym wyjechał, bo mu przeszkadzałem. Byłem nieokrzesanym włóczęgą, kundlem, grożącym zapaskudzeniem jego wyszukanej rasy.

– Zatem rozumiem – naciskał – że jeśli otrzyma pan odpowiedni jacht, powróci pan do dawnego stylu życia?

– Niekoniecznie. – Nie dałem mu tej satysfakcji, nawet jeśli miało to oznaczać, że drań wycofa ofertę.

– Mogę zapytać, jakież inne zobowiązania trzymają pana na brzegu? Oczywiście poza Jennifer?

– Może zacznę prowadzić interesy – powiedziałem beztrasko, po czym, mimo niechęci do tego człowieka, wypowiedziałem głośno to, co nurtowało mnie od chwili powrotu do Anglii. – Czasami wydaje mi się, że już czas się osiedlić. Żyję na bardzo wąskiej granicy między biedą a bankructwem. To dobre przez jakiś czas, sir Leonie, ale na dłuższą metę to męczące. Muszę zarobić trochę pieniędzy, tyle, by móc popływać kiedy przyjdzie mi na to ochota. I ten przyszły interes musi dla mnie pracować, kiedy nie będzie mnie w domu.

– To pociągający – uśmiechnął się – ale dość nierealny sen, prawda?

– Nad Hamoaze jest pewne miejsce – rzekłem. – Należy do starego, grubego oszusta George’a Cullena. Gdybym zdobył pieniądze, mógłbym przekształcić jego warsztat w najlepszą stocznię remontową na południowym wybrzeżu. Banki chyba nie uważają tego za dobry interes, więc to pewnie nierealne marzenie, ale mam przyjaciela, którego mogłoby to zainteresować. Tylko że on i tak ma dość napięte finanse.

– Ma pan wystarczające kwalifikacje do prowadzenia stoczni remontowej?

– Wszystkie, jakie można sobie zamarzyć – powiedziałem dumnie.

Sir Leon spojrzął na mnie.

– Gdyby nie oddał mi pan van Gogha, milordzie, otrzymałby pan cały wymagany kapitał. Ale zdaje się, że przez swoją hojność skazał się pan na życie tułacza.

– Rzucił mi jeden ze swych małych uśmiezków, jakby chciał pokazać, że udowodnił mi, iż jedyną szansą na finansowe odrodzenie było dla mnie przyjęcie jego oferty, czyli zostawienie w spokoju pasierbicy. Zerknął w kierunku helikoptera, więc doszedłem do wniosku, że zamierza odejść, ale zamiast tego zmarszczył czoło z irytacją. – Muszę przyznać, że inspektor Abbott wielce mnie rozczarował. Jego plan wystawienia pana na przynętę spalił na panewce.

– Rzeczywiście. – Mogłem się tylko zgodzić.

– Wygląda na to, że inspektor Abbott ma niewielkie szanse na odnalezienie tych okropnych ludzi, więc chyba nie mam wyjścia i muszę z nimi pertraktować.

– To znaczy zapłacić okup?

– A co innego mi pozostało? – Ta perspektywa najwyraźniej nie przerażała sir Leona. – Zamieściłem już zaszyfrowane ogłoszenie w „The Times”, by potwierdzić moją wolę negocjacji. Oczekuję teraz na instrukcje, których będę się dokładnie trzymał. Inspektor Abbott przestrzega mnie, że złoicy mogą potem wycofać się z układu, ale muszę ponieść to ryzyko. Na razie rady inspektora Abbotta doprowadziły do tego, że moja pasierbica znalazła się w szpitalu, więc chyba zdaje pan sobie sprawę, że nie uwodzą mnie teraz jego pomysły.

Kiedy wspominał o Jennifer, mówił ze szczególną gwałtownością.

– Przepraszam... – zacząłem.

– Moja żona już mówiła panu, że nie ma powodów do przeprosin – przerwał mi. – Nie do końca się z nią zgadzam, ale uważam, że powinniśmy zamknąć całą sprawę. Najważniejsze, by zapewnić Jennifer jak najlepszą opiekę medyczną. Hans ma kilka wspaniałych pomysłów, ale zapewniam pana, milordzie, że żaden z nich nie dotyczy pana. – Spojrzął na mnie i ujrzałem, jak zwodnicze były te małe, blade oczka krótkowidza. To był bardzo groźny człowiek i bardzo mnie nie lubił. – Wyznaję zasadę, że w negocjacjach trzeba wszystko powiedzieć jasno – ciągnął. – A więc przyjechałem tutaj, milordzie, by poinformować pana, że pana związek z

moimi sprawami i z moją rodziną jest już zakończony. Jennifer zostanie przeniesiona do prywatnej kliniki w Szwajcarii, do której, mogę pana zapewnić, wstęp będzie ściśle kontrolowany. Mam nadzieję, że mnie pan zrozumiał?

– Mam trzymać swoje brudne łapska z daleka od niej? – rzekłem drwiąco.

Zdenerwowałem go, tak jak chciałem, ale opanował gniew. Wyjął wizytówkę z górnej kieszeni.

– To nazwisko i adres mojego księgowego. Odtąd on będzie się zajmował wszelkimi sprawami lady Georginy i pokryje wszelkie rachunki związane z zakupem nowego jachtu. Polecę mu także, by udzielił panu pożyczki w wysokości stu dwudziestu tysięcy funtów. Jeśli pan chce, by wypłacono te pieniądze w gotówce, proszę bardzo, ale na pana miejscu poleciłbym przelać je gdzieś, gdzie nie spostrzeże ich urząd podatkowy.

Podał mi wizytówkę, a z wewnętrznej kieszeni wyjął długą, brązową kopertę.

– Jednocześnie, milordzie, nie chciałbym, by pomyślał pan, że jestem niewdzięczny za wysiłki, jakich podjął się pan dla mnie. Może zatem przyjmie pan to skromne podziękowanie?

Wziąłem kopertę. Nie otworzyłem jej. Miałem nadzieję, że Buzzacott okazał się na tyle hojny, że nie będę mógł odmówić przyjęcia подарunku. Wiedziałem też, że od kiedy cały mój majątek spoczął na dnie Kanału La Manche, nie mógłbym sobie pozwolić na taką donkiszoterię.

Sir Leon wyciągnął do mnie rękę.

– Stawi się pan na wezwanie moich prawników, jeśli pańska siostra zacznie podważać pańskie prawo do darowania mi obrazu? Kierowca jest do pańskiej dyspozycji przez resztę dnia. – Ucisnąłem mu rękę, a on się odwrócił.

Zastanawiałem się jak ten oschły, mały drań mógł zainteresować taką kobietę jak Helen. Nie dalej jak tydzień temu proponowała mi pokój w zamku Comerton, a teraz jej mąż dał mi kopniaka.

– Sir Leonie! – krzyknąłem, kiedy odszedł o kilka kroków.

– Tak, milordzie? – Odwrócił się.

– W sprawie Jennifer jeszcze się nie poddałem.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam wpływu na pańskie nadzieje, milordzie. Mogę tylko jasno przedstawić wam obojgu moje poglądy. Do widzenia panu. – Skinął mi chłodno głową i wszedł między chorych otaczających śmigłowiec.

Otworzyłem kopertę. Zawierała tysiąc funtów i uświadomiłem sobie, że powinienem ją oddać. Ciekawe, czy by ją przyjął? Chciał się mnie pozbyć i z radością zapłacił za to sto dwadzieścia jeden tysięcy funtów. Patrzyłem, jak odlatuje helikopterem i uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy w życiu zostałem wyrzucony. I że zakochałem się. I miałem nowego wroga.

Kazałem szoferowi sir Leona zawieźć się do Exeter, gdzie w podłym pubie na tyłach posterunku policji znalazłem Harry’ego Abbotta. Patrzył, jak kuśtykam między stolikami, po czym zamówił dla mnie kufel piwa.

– Próbowałem się dzisiaj do ciebie dodzwonić – odezwał się z obrażoną miną, jakbym nie miał prawa wyjść z domu Charliego.

– Byłem z sir Leonem Buzzacottem. – Pociągnąłem łyk piwa i westchnąłem z ulgą, czując jego smak. – Właśnie zostałem wyrzucony, Harry. Bardzo pięknie, z uściskiem dłoni i godziwą odprawą, ale mnie wylano.

– Wylano? – powtórzył Harry z zaskoczeniem.

– Moje usługi nie są już potrzebne do odzyskania obrazu. – Tak naprawdę jeszcze byłem tym wszystkim oszołomiony. Sir Leon całymi tygodniami zwracał się do mnie o pomoc, a teraz strząsnął mnie jak pyłek. – Pomachał mi na pożegnanie, Harry, i ostrzegł, bym trzymał się z daleka od pasierbicy.

– Nie możesz go za to winić – rzekł rozsądnie Harry. – Kto by chciał, żeby taka miła dziewczyna jak Jennifer zadawała się z takim wstrętnym draniem jak ty?

– Przez ostatnie dni już zaczynałem cię lubić, Harry, ale widzę, że się pomyliłem.

Uśmiechnął się.

– Zatem co sir Leon teraz zamierza? Zapłacić okup?

– Tak.

Harry skrzywił się.

– W końcu musiał to zrobić. Chce chwycić w łapy ten obraz, prawda? Bóg

wie dlaczego. W Okehampton znam jednego gościa, który mógłby mu machnąć podobny bohomas w dwa tygodnie. Kto by się połapał?

– Nie mam pojęcia, Harry. Co chciałeś ode mnie, kiedy dzwoniłeś?

– Powiedzieć ci, żebyś się odwalił, Johnny. – Wysypał na kontuar paczkę bekonowych chipsów i hojnie popchnął kilka w moim kierunku. – Utknąłem, rozumiesz. Garrard zniknął, tak samo jak jego gruby kumpel. Przepadli jak kamień w wodę. Przykro mi, Johnny, ale oni się po prostu rozplłynęli w powietrzu.

– Tak jak Elizabeth – rzekłem ponuro.

– Która chyba jest nadal we Francji – odparł. – A ja nie mogę uzyskać nakazu aresztowania, bo nie mam, cholera, żadnych dowodów. Nawet nie mogę dostać nakazu rewizji w jej cholernym domu. Oczywiście gdyby była jakąś tam zwykłą gospodynią domową, znalazłoby się dość powodów, by wydać nakaz, ale ona jest lady, psia ją mać, Tredgarth i nie mogę się do niej zbliżyć nawet o krok.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, iż nie warto przeszukiwać jej domu?

– Nie spodziewam się, że znajdę van Gogha na ścianie w łazience, Johnny, ale zaczynam już dostawać szału. Wystarczyłyby mi jej notes z telefonami, dziennik, cokolwiek. – Wytarł z ust pianę od piwa. – Kto wie, może wśród tych numerów znaleźlibyśmy numer Garrarda? – Wzruszył ramionami i skoczył, gdy kawałek chipsa uraził go w luźną plombę.

– A co z Georgem Cullenem? – zapytałem.

– Jak to, co z Georgem?

– On zna Garrarda.

– Posłuchaj. – Harry klepnął mnie w ramię, by podkreślić wagę tego, co miał powiedzieć. – George Cullen boi się mnie jak diabli. Wolałby polecieć na księżyc, niż oszukać starego wujka Harry’ego. Mówiłem ci już, że z nim rozmawiałem i nie wie absolutnie nic na ten temat.

– No to kto wie?

– Właśnie to ci próbuję wytłumaczyć, Johnny. Nikt. O ile ci dranie nie spróbują cię znowu dopaść, jesteśmy załatwieni. Szczerze ci powiem, że nie mam już szans dać ci ludzi do ochrony. Najlepiej zmywaj się stąd. Skombinuj sobie jakąś łajbę i spływaj.

Taką samą, choć nieco delikatniej wyrażoną radę dał mi sir Leon. Zgarnąłem z baru garść chipsów Harry’ego.

- Możesz mnie podrzucić do Charliego?
- Az do Salcombe? – zapytał z wściekłością.
- Postawię ci po drodze piwo.
- Postawisz mi jeszcze kolację, nędzny draniu.

Harry podrzucił mnie do Charliego, a ja zastanawiałem się, co teraz począć. Wiedziałem tylko, że nie chcę znów uciekać na morze, bo tym razem miałem dla kogo zostać na brzegu. A to oznaczało, że zostanę, mimo że paru drani próbowało się mnie pozbyć.

Charlie nie wrócił na noc, więc czułem się nieco dziwnie w jego domu. Kiedy przyjechałem, Yvonne oglądała telewizję. Poszedłem prosto do łóżka. O czwartej nad ranem obudziłem się zlany potem, przestraszony, bo śniło mi się, że tonę. Nie mogłem już zasnąć, więc gdy tylko usłyszałem, że Yvonne wstała, zszedłem na dół i spytałem, czy nie mogłaby mnie odwieźć do autobusu. Zgodziła się ze wzruszeniem ramion.

- Powinien dziś wrócić do domu – powiedziała mi, kiedy zaparkowała przy przystanku w Kingsbridge. – Ale nigdy nic nie wiadomo.
- Może wróce, a może nie. Mam dzisiaj sporo do zrobienia.
- Jesteś dokładnie taki jak on, prawda? – Odjechała, zanim zdążyłem jej podziękować za podwiezienie.

Złapałem pierwszy autobus do Plymouth. Było ciepło i bezwietrznie. Nad południowym wybrzeżem zalegał jeden z rzadkich w tych stronach obszarów wysokiego ciśnienia, który zapełniał plaże i unieruchamiał jachty. Ale dziś nie interesowało mnie morze. Zamiast tego zamierzałem jeszcze raz ruszyć, może nieco naiwnie, śladami Harry’ego Abbotta.

Do stoczni George’a Cullena dotarłem kilka minut po dziewiątej. Rita przygotowywała właśnie pierwszą herbatę.

- Spójrz tylko na siebie! – powiedziała ciepło i ze współczuciem. Wciąż chodziłem o lasce, bo lewa kostka nadal bardzo mnie bolała. – Biedny człowieku. Widziałam wszystko w gazetach. Jak to się stało?

– Wypadek, tak jak napisali. Wyciek gazu. – Gazety spekulowały na temat sabotażu, ale ktoś, zapewne Harry, uciął te domysły. Temat drażono przez dzień lub dwa, po czym zastąpił go jakiś inny.

– Powinieneś bardziej na siebie uważać, Johnny. – Rita zdjęła z suszarki trzeci kubek i wlała do niego trochę mleka. – Jest u siebie – powiedziała. – Przyniosę ci tam herbatę.

George najpierw lekko się uśmiechnął, kiedy pokuśtykałem do jego biura, po czym przywołał na twarz wyraz współczucia.

– Johnny – powiedział na powitanie.

Nic nie powiedziałem, tylko pokuśtykałem do biurka. Na blacie leżał jakiś brukowiec otwarty na stronie ze zdjęciem nagiej dziewczyny z biustem jak balony. Na ścianach wisiały podobne zdjęcia.

– Johnny – powtórzył. – Słyszałem, że miałeś kłopoty.

Trzasnąłem laską o biurko, tak że wszystko, co na nim było, podskoczyło o dobry cal w górę.

– Posłuchaj, gruba świnię, zadam ci teraz kilka pytań i od tego, co mi odpowiesz, zależy twoje nędzne życie. Rozumiesz, co powiedziałem, George?

Przez chwilę łapał powietrze jak zdychająca ryba, po czym pospiesznie skinął głową.

– Oczywiście, milordzie. Oczywiście, że rozumiem. Co tylko pan zechce. Proszę tylko poprosić.

Dotknąłem metalowym końcem laski jego grubego brzuszyska.

– Wiesz kim są Garrard i Peel, prawda?

– Oczywiście, że tak. Tak. Mówiłem już, że wiem. – Patrzył na mnie oczyma wielkimi jak spodki.

– Czy to ty im powiedziałeś, gdzie mnie znaleźć tej nocy, kiedy przewrócili „Słonecznika”?

– Nie, Johnny. Nie, milordzie. Naprawdę. To nie ja! – Wcisnąłem mu laskę coraz bardziej w brzuch. Jego kamizelka coraz głębiej zanurzała się w zniekształconym ciele. – Na grób mojej matki, przysięgam, Johnny, że to nie ja!

Wierzyłem mu, bo teraz byłem już pewien. To Elizabeth domyśliła się, że pojedę do podłej stoczni George’a. Nie o to chciałem spytać George’a, ale było to dobre pytanie na początek, żeby trochę go zmiękczyć. Puściłem brzuch Cullena, a

ten pospiesznie sięgnął do szuflady, skąd wyjął fiolkę z tabletkami i szybko łyknął dwie.

– Nie pisałem nawet słówkiem, Johnny. Nie mógłbym, jesteś moim przyjacielem!

– No to gdzie mogę ich znaleźć, George?

Patrzył na mnie jak zaczarowany.

– Nie wiem. – Skulił się przed wzniesioną laską. – To znaczy oni mogą być wszędzie! Zależy od tego, dla kogo pracują!

– A dla kogo pracują, George?

Wzruszył ramionami.

– Dla każdego, oczywiście.

Znów uderzyłem w biurko, rozsypując pigułki po zdjęciu nagiej dziewczyny.

– Dla kogo, draniu?

– Dla każdego, kto ma problemy z nieruchomościami, oczywiście.

– Nazwiska.

Nie musiał odpowiadać tylko dlatego, że do gabinetu weszła Rita z tacą z herbatą i ciasteczkami. Zapewne usłyszała mój gniewny głos i uderzenia laski o biurko, ale promieniowała szczęśliwym uśmiechem i stwierdziła, że zapowiada się kolejny piękny dzień. Odczekałem, aż wyjdzie.

– Dla kogo pracują, George?

Podał mi nazwiska dwóch mężczyzn, właścicieli dyskotek i pubów przy Union Street, ale ostrzegł mnie przed nimi. Byłem wystarczająco rozsądny, by tego posłuchać. Każde portowe miasto ma swoją Union Street, miejsce, gdzie wracający do domu żeglarze mogą się upić i przespać. Faceci, którzy prowadzili przybytki w takich okolicach, byli twardsi od stali. Gdybym pokuśtykał na Union Street z naiwnymi pytaniami, mógłbym nie wrócić żywy. Mógłby to zrobić Harry Abbott, ale przypuszczałem, że i jemu udało się wydobyć od George'a te nazwiska.

– Od kilku tygodni nie widziałem ich na oczy – odezwał się George żalonym głosem. – Gdybym ich widział, powiedziałbym ci, Johnny, przecież wiesz..

– Próbowali mnie zabić – powiedziałem George'owi.

– Harry mi mówił. – George cmoknął z obrzydzeniem, dając mi do zrozumienia, że współczuje z całego serca.

– Nie tylko wtedy w twojej stoczni, ale i tydzień temu. Wypuścili gaz na moim jachcie, a ja jak głupiec tego nie sprawdziłem.

– Jezu. – Wpatrywał się we mnie.

– Właśnie dlatego chcę ich odnaleźć, George, muszę wypruć im flaki.

– Szkoda, że ci nie mogę pomóc, Johnny. Wiesz przecież. Gdybym mógł, to bym pomógł!

Zabrnąłem w ślepią uliczkę. Zakląłem. Podeszedłem do okna i popatrzyłem na dok. Można by tu rozkręcić całkiem niezły interes, pomyślałem. W zimie mógłbym przechowywać łodzie, mógłbym urządzić dwa kryte warsztaty naprawcze i stały dok dla mojego przyszłego jachtu. Tyle że na zakup stoczni George'a potrzeba więcej pieniędzy, niż będę kiedykolwiek miał.

– Napij się – powiedział George kojąco. – To ci pomoże.

– Nie o tej porze – powiedziałem gniewnie.

– Zrobię wszystko, żeby ci pomóc – mówił George błagalnie. – Wiesz przecież, Johnny! Zrobię wszystko.

– W takim razie odwieź mnie na stację kolejową.

Tak zrobił. Nie dowiedziałem się już niczego.

Złapałem pociąg do Londynu. Przed ponownym wyruszeniem śladem Harry'ego musiałem załatwić jeszcze sprawę osobistą. Chodziło o Jennifer. Zastanawiałem się, czy wpuszczą mnie do szpitala, ale najwyraźniej zakaz sir Leona nie wszedł jeszcze w życie, albo w ogóle go jeszcze nie ogłoszono.

Jennifer zdjęto z łóżka powietrznego i teraz leżała na brzuchu w wysokim łóżku z metalową ramą. Nie widziałem, jak bardzo była poparzona, bo otulono ją czymś w rodzaju plastikowego namiotu. Z dziurek nosa wystawały jakieś rurki. Inne niknęły pod namiotem. Czaszkę miała przykrytą powłoką z jakiejś bladej cieczy, na którą nałożono małe kawałki gazy. Lady Buzzacott mówiła, że twarz ocalała, ale i na twarzy miała małe kawałki gazy. W rzeczywistości wyglądała przerażająco.

– Cześć, ślicznotko – przywitałem ją.

– Cześć. – Jej głos był chropowaty.

– Gdzie cię mogę pocałować?

– Nie możesz. Mama całuje jedną z kroplówek.

Pocałowałem kroplówkę.

– Wiedziałaś, że przyjedziesz – powiedziała.

– Przyjechałem, żeby cię przeprosić.

Nieznacznie pokręciła głową.

– Nie masz za co.

– Czuję się jak gnojek, a wszyscy wokół są tacy mili. – Wiedziałem, że do oczu napływają mi łzy. – To moja wina. Powinienem sprawdzić gaz. Przepraszam.

– Ale nic ci nie jest? – zapytała. – Chyba jesteś zmęczony.

– Źle spałem. I trochę utykam, ale to minie. Mówią, że z tobą wszystko będzie w porządku.

– Tak mówią. – Słowa wypowiadała z trudem, zapewne z powodu dymu, którego się nawdychała. – Ale każdemu chyba to wmawiają, prawda?

– Nie – powiedziałem. – Wcale nie. Tobie mówią prawdę.

Znów delikatnie pokręciła głową.

– To będzie strasznie długo trwało. Twarz nie jest w takim złym stanie, ale plecy mam bardzo poparzone. Najgorsze są ręce. Włosy zaczynają odrastać. Lekarze mówią, że miałam szczęście, że ogień mnie minął, ale ja wcale nie czuję się jak szczęśliwa osoba. – Jeszcze raz pokręciła głową, niemal z rezygnacją. – Nie boli już tak jak przedtem, ale wciąż jest nie do wytrzymania.

– Przepraszam – powiedziałem bezradnie.

– Mówią mi, że wszystko będzie w porządku – ciągnęła – ale wiem, że kiedy to wszystko minie, będę wyglądała potwornie.

– Nie – zaprotestowałem, choć gdy tak patrzyłem, nie miałem pojęcia, jak można z powrotem poskładać jej dawną urodę. – Powinienem ci przynieść winogrona.

– Musiałbyś je zmiksować i puścić przez kroplówkę.

– Właściwie – rzekłem – przyniosłem ci coś innego.

– Co?

– To. – Nie mogła wziąć prezentu do ręki, więc otworzyłem pudełko i pokazałem jej zawartość. W środku leżał pierścionek zaręczynowy. Nie jakiś wyszukany pierścionek, nie kawał diamentu, jaki kupił jej Hans, ale, to był najlepszy, jaki udało mi się znaleźć u pobliskiego jubilera.

– Och, John – powiedziała raczej ze smutkiem.

– Nie jest to może bardzo ładny pierścionek – wyznałem. – Ale twój ojczym próbuje mnie przekupić i dał mi sporo gotówki, więc większość wydałem na pierścionek. Nie przepuściłem wszystkiego, bo musiałem sobie zostawić trochę na autobus, ale wcale nie jest taki brzydki. Błyszczący jak trzeba. Popatrz!

Uśmiechnęła się pod opatrunkami z gazy.

– Jesteś szalony, Johnny.

– A więc pobierzmy się. – Nie odpowiedziała, więc ciągnąłem. – Twój ojczym się temu sprzeciwia. Uważa, że powinnaś wyjść za Hansa, bo on jest rozsądny i ustatkowany, a miliony Buzzacottów potrzebują nudziarza, który będzie nimi zarządzał. Muszę cię ostrzec, że bardzo zdenerwujesz ojczyma, jeśli mnie poślubisz, ale chyba jakoś to przeboleje. Podejrzewam, że twoja matka nam przykłaśnie, a już ona pewnie ma na niego swoje sposoby?

Jennifer ledwie widocznie skinęła głową.

– Czy to odpowiedź twierdząca? – zapytałem.

– Niestety, nie. Nie mogę za ciebie wyjść.

– Dlaczego? Skończyłem już osiemnaście lat.

– Będę brzydka.

– No i dobrze. Nie chcę, żeby oglądali się za tobą inni faceci. Mojego pożądanie starczy ci do końca życia.

Patrzyła na mnie ciemnymi oczyma, tylko oczy można było rozpoznać w tej twarzy.

– Zaczynasz bredzić – powiedziała.

– Kocham cię.

– Właśnie o tym mówię. – Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. – Zresztą jest jeszcze Hans.

– Do diabła z Hansem – rzekłem. – Porzuci cię jak nieudaną inwestycję i znajdzie sobie jakąś szwajcarską ptaszynę z wielkim biustem i udami narciarki.

Lekko się zatrzęsła i chyba się roześmiała. – Nie mogę za ciebie wyjść – powiedziała po chwili. – Proponujesz mi to, bo tak wypada.

– No pewnie, że wypada, kobieto! Kocham cię. Miesiąc miodowy spędzimy pod żaglami w...

– John... – W jej głosie znów zabrzmiał smutek.

– Musisz jednak wiedzieć – powiedziałem – że nie mogę cię jeszcze poślubić, bo muszę znaleźć tych dwóch drani, którzy nas tak załatwili, a kiedy ich znajdę, to

pozabijam. Założę się, że Hans nikogo by dla ciebie nie zabił.

– Chyba nie.

– No i proszę, masz to jak na dłoni. Jestem lepszym kandydatem.

– Jesteś bardzo niepraktycznym człowiekiem. Robisz to tylko dlatego, że się nade mną litujesz.

– Gadanie. Tak naprawdę jestem bardzo praktyczny. Biorę za żonę dziewczynę bogatą aż do przesady i zdaje mi się, że jeśli kiedykolwiek odzyskamy tego van Gogha, to ty go odziedziczysz, a więc wcale nie oddaję go za darmo. – Uśmiechnąłem się do niej. – Miałabyś coś przeciwko mojej kandydaturze z powodu pieniędzy?

Milczała.

– Znienawidzisz mnie, John. Będę brzydka.

– Będę cię kochał. – Popatrzyłem w jej ciemne oczy. – I za rok będziemy już po ślubie, a za dwa lata będziemy mieli dziecko i chociaż muszę wyznać, że nie cierpię płaczu dzieci, pokocham je, bo ono będzie twoje. A więc trzymaj się, kochanie, bo przed nami jeszcze kawał życia.

– Trzymaj się – powtórzyła. – Właśnie to powiedziałaś wtedy w wodzie.

– Pamiętasz?

– Kłamię – powiedziała i zobaczyłem, że płacze. Ja też się rozpląkałem i pochylałem się, by pocałować ją w zamkniętą powiekę. Poczulem słony smak jej łez.

– Mówiłeś, że jestem żalną cholerną panienką – wspominała. – I że jestem zbyt słaba, żeby przeżyć, a ja sobie pomyślałam, że ci pokażę. Udowodnię, że nie jestem za słaba.

– I bardzo dobrze – powiedziałem. – Teraz udowodnij, że możesz wydrowić.

Uśmiechnęła się, a dwa kawałki gazy przesunęły się.

– Udowodnię, obiecuję. Ale to potrwa.

– Zaczekam.

Poruszył się brzeg plastikowego namiotu i ujrzałem, że wysuwa rękę. Myślałem, że chce, bym ją potrzymał, ale ujrzałem, że zamiast ręki miała tylko czarne szpony w plastikowym woreczku. Obserwowała mnie i wyczułem, że to próba. Chciała się przekonać, czy nie wzdrygnę się na ten widok. Zamiast tego pochylałem się i delikatnie pocałowałem woreczek.

– Trochę trudno teraz włożyć pierścionek – rzekłem. – Ale pewnego dnia się uda.

– Może – odparła. Głos miała zmęczony, więc położyłem pierścionek na stoliku obok łóżka, tak by mogła go widzieć.

– Wrócę – obiecałem.

– Proszę. – Głos przechodził w szept.

Pomyślałem, że zasypia, więc poszedłem na palcach do drzwi.

– John? – Mówiła coraz ciszej.

Odwrociłem się.

– Tak, kochanie?

Czekałem długo, nim zaczęła mówić, a kiedy już zaczęła, trudno było zrozumieć słowa, bo jednocześnie płakała.

– Kocham cię – powiedziała. – Ale to wszystko wygląda tak cholernie beznadziejnie.

– Ja też cię kocham – odparłem. – I wszystko będzie w porządku. – Wyszedłem, żeby nie zobaczyła moich łez.

Kuśtykałem pustymi ulicami Londynu. Nie zważałem na ruch ani na hałas, na wszelkie okropności miasta. Byłem ślepy na wszystko poza tym, że znalazłem kogoś, kogo mogę kochać, pieścić, ale najpierw i przede wszystkim kogoś, kogo mogę pomścić.

Do Perilly dotarłem wczesnym wieczorem. Jechałem pociągiem, autobusem i szedłem na piechotę, więc lewa kostka bolała mnie, jakby ktoś przypiekał ją rozpalonym żelazem i jeszcze ścisnął. Nie bardzo wiedziałem, jak się zachować, bo mimo swojej reputacji nie byłem doświadczonym włamywaczem, ale tego wieczoru zamierzałem dokonać włamania, bo jeśli Harry nie mógł legalnie przeszukać domu Elizabeth, musiałem zrobić to ja, nielegalnie. Było jasne, że przybyłem w nieodpowiednim czasie, bo dwie dziewczyny ze szkółki jeździeckiej Elizabeth dawały lekcje jazdy konnej, a land rover zaparkowany przed frontowymi drzwiami zwiastował obecność jakiegoś gościa u Petera. Postanowiłem zaczekać aż dom opustoszeje albo zostanie w nim tylko Peter i prawdopodobnie zaczną pić. Pokuśtykałem w kępę drzew i usadowiłem się wygodnie.

Około wpół do szóstej dzieci ze szkółki jeździeckiej odjechały z matkami do domów. Czterdzieści minut później dziewczęta zamknęły stajnie i odjechały na rowerach. Gość Petera zabawił jeszcze przez pół godziny, po czym odjechał. Nie ruszałem się z miejsca, dając Peterowi czas na rozpoczęcie drugiej, może trzeciej

tego dnia butelki, ale w kilka minut po odjeździe gościa chyba zaczęło mi sprzyjać szczęście, ponieważ we frontowych drzwiach pojawił się Tredgarth, wsiadł do land rovera i odjechał.

Wstałem, otrzepałem spodnie z liści i mszyłem przez łąkę. Dostrzegłem, że Peter zamknął drzwi na klucz, więc okrążyłem dom i zbliżyłem się do niego od strony kuchni, magazynu węgla, składziku i mleczarni. Wszystkie drzwi były pozamykane, ale spostrzegłem na pół otwarte okno. Odłożyłem laskę Charliego i wszedłem na pustą beczkę po deszczówce, by dostać się do okna. Niewiele brakowało, bym z niej spadł, bo lewa kostka bolała mnie jak diabli, ale wreszcie wśliznąłem się na pokrytą pajęczyną półkę, która zatrzeszczała groźnie pod moim ciężarem. Kiedy wciągnąłem nogi przez okno, rozległ się łoskot spadających konserw. Okazałem się lichym włamywaczem, ale dom był całkowicie pusty, więc nikt nie pofatygował się, by sprawdzić, co się stało.

Ustawiłem konserwy z powrotem na półce, oczyściłem twarz z pajęczyny i otworzyłem drzwi. Znałem ten dom od dawna. Byłem w przejściu kuchennym, w którym wisiało mnóstwo lejc, kantarów i batów. Kuchnia znajdowała się na prawo, a pokoje na lewo. Skręciłem tam, przeszedłem przez obite płótnem drzwi i zatrzymałem się w korytarzu.

Wiedziałem, że Elizabeth ma mały gabinecik za jadalnią, więc postanowiłem zacząć od niego. Po pierwsze otworzyłem frontowe drzwi, żeby w razie czyjegogo powrotu móc powiedzieć, że zastałem je otwarte. Wystrój Perilly nie zmienił się w ciągu tych lat, kiedy wstęp tutaj był mi zakazany. Na tle wyblakłej tapety wisiały ponure obrazy Petera, przedstawiające dawno zapomniane bitwy, i należące do Elizabeth reprodukcje smukłonogich koni wyścigowych. Na potężnym kredensie w jadalni stał talerz zakurzonych orzechów. Rozłupałem jeden srebrnym dziadkiem i zjadłem. Otworzyłem nie zamknięte na klucz drzwi do gabinetu Elizabeth. Już po kilku minutach wiedziałem, że nie znajdę tu niczego podejrzanego. W szufladach spoczywały jedynie dane dotyczące koni, rachunki od firm dostarczających pokarm, od weterynarza, i szczegóły przyszłych imprez w szkółce. Najwyraźniej instruktorki też korzystały z tego gabinetu, bo Elizabeth zostawiła dla nich na tablicy taką oto wiadomość: „Pani Peabody jest nam winna 16 funtów, więc jej wstrętny bachor NIE może jeździć, dopóki nie zostanie uregulowany CAŁY rachunek”.

Przeszukałem salon, ale nie znalazłem żadnej kryjówki na dokumenty. Wszedłem na górę. Zauważyłem od razu, że lord i lady Tredgarthowie spali osobno, ponieważ ogromna sypialnia pełna była rzeczy Petera, natomiast nie znalazłem nic, co należałoby do Elizabeth. Ubrania lorda Tredgartha leżały porozrzucone na podłodze, co dowodziło, że sprzątaczką nigdy nie docierała do tego przygnębiającego przybytku. Na nocnym stoliku stała opróżniona do połowy butelka whisky oraz egzemplarz „Tygodnika Farmera”. Na ścianie wisiała niewyraźna fotografia starego jachtu Petera. Dobrze pamiętałem tę łódź, piękna stara vertue 25, która była jego dumą i radością. Ale małżeństwo i kłopoty finansowe rozwiąły jego wszelkie marzenia. Obok wisiała oprawiona w ramki fotografia Elizabeth zrobiona przed kilkoma laty w jakimś tropikalnym kurorcie. Moja siostra miała na sobie górę od bikini i lekką spódnicę. Uśmiechała się do obiektywu. To zdjęcie uświadomiło mi, jak atrakcyjną kobietą jest moja siostra. Zastanawiałem się, czy Peter trzymał te zdjęcia jako pamiątki starych, lepszych czasów. Obecne czasy symbolizował magazyn z nagimi dziewczętami leżący na nie zasłanym łóżku. Bałagan panujący w pokoju przypomniiał mi sypialnię brata i poczułem się podle. Było coś obrzydliwego w moim buszowaniu po ich domu, ale zabójczy gaz na pokładzie mojego jachtu był rzeczą równie obrzydliwą.

Zamknąłem drzwi do sypialni, po czym przeszukałem dwie łazienki i cztery pokoje gościnne, ale w żadnym nie znalazłem nic podejrzanego. Został tylko pokój Elizabeth. Szarpnąłem za drzwi, ale tak jak się obawiałem, były zamknięte na klucz.

Musiałem teraz wybierać. Do tej pory, gdyby mnie znaleziono, mogłem spokojnie powiedzieć, że jestem bratem lady Tredgarth, który wszedł do otwartego domu, by na nią zaczekać, ale jeśli pokonam te drzwi, popełnię wykroczenie. Sprawdziłem zamek, naciskając na drzwi, ale nie zauważyłem nic szczególnego. Ot, stary zamek z normalną dziurką na klucz, jakich wiele otwierałem w Stowey. Jednak teraz nie miałem narzędzi i nie wiedziałem, czy nadal to potrafię.

Spróbowałem. W kuchni znalazłem szpikulce do mięsa, zagiąłem ich końce i próbowałem wyczuć zapadki zamka. Po kwadransie osiągnąłem tylko tyle, że zdenerwowałem się jak diabli. Przyszło mi także do głowy, że Peter nie mógł pojechać dalej niż do tutejszego pubu, i może wrócić w każdej chwili. Przestałem się

więc ceregielić i napałem barkiem na drzwi. Kilkakrotnie musiałem tak napierać, a potem jeszcze kopnąć prawą nogą, wywołując ból nie do zniesienia, ale wreszcie z okolic zamka posypały się drzazgi i drzwi stanęły otworem.

W pokoju stało łóżko, komoda, toaletka, przepastna szafa z dawnego pokoju ojca w Stowey oraz, na lewo od kominka, długi stół zawalony papierami. Nad stołem wisiał krucyfiks wyrzeźbiony w starym, twardym drewnie, zaś pod stołem stał lakierowany, blaszany kufer zamknięty na kłódkę.

Zacząłem od papierów na stole. Listy od starych znajomych ze szkoły, protokoły z zebrań komitetu dobroczynnego, próbki tapet, zaległe rachunki od firmy budowlanej, która odnawiała willę Pierwiosnek. Znalazłem wycinki z gazety na temat konferencji prasowej, której udzielałem wraz z Jennifer, ale tylko to odnosiło się w jakiś sposób do moich poszukiwań, choć w żaden sposób nie potwierdzało winy Elizabeth ani nie wzbogacało mojej wiedzy o całej sprawie.

Przeglądałem szuflady, gdzie znalazłem tylko płataninę bielizny i pończoch. Otworzyłem szafę. Nic. Zerknąłem pod wysokie, mosiężne łóżko, lecz nie znalazłem nic, poza starym nocnikiem i parą futrzanych kapci. Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu ukrytego sejfu, ale okrągłe gipsowe ściany pokryto wyblakłą tapetą, która nie zakrywała dokładnie niczego. Sprawdziłem kilka desek w podłodze, były solidnie przybite. Nie znalazłem dziennika ani kalendarzyka z telefonami, więc stwierdziłem, że te osobiste rzeczy musiała zabrać ze sobą do Francji. Zostawiła tylko lakierowany, blaszany kufer.

Wyciągnąłem go spod stołu i otworzyłem kłódkę, używając jako młotka mosiężnej rączki pogrzebacza. Wyjąłem ją i otworzyłem wieko. Na dworze robiło się coraz ciemniej, a ja nie chciałem włączać światła. Zaniósłem więc papiery do okna.

Były to listy. Całe sterty paczek listów, związanych elastycznymi tasiemkami. W kuferku znajdowały się tuziny paczek, setki listów. O ile zdążyłem się zorientować, były to listy miłosne. Pisano je do Elizabeth na adres szkoły jeździeckiej, do której pocztę zapewne dostarczano osobno. Niektóre miały nawet po dziesięć lat, ale znalazłem też kilka bardzo świeżych. Nie rozpoznałem żadnego

charakteru pisma. Przy niektórych paczuszkach wsunięto za tasiemką zasuszone kwiaty, przy innych – zdjęcia, drobne pamiątki chwil szczęścia.

Nie wiem, dlaczego byłem aż tak zdumiony. Małżeństwo Elizabeth umarło, ale ona była w nie uwikłana ze względu na wiarę przodków. Zerknąłem na krzyż, potem na spięte w pacuszki dowody jej zdrad i nagle zrobiło mi się jej żal, a nawet poczułem wyrzuty sumienia z powodu grzebania w jej rzeczach. Na niektórych zdjęciach pojawiała się Elizabeth, uśmiechnięta i szczęśliwa, uczepona ramienia kochanka. Chyba lubiła wysportowanych mężczyzn. Fotografie przedstawiały ich na stokach narciarskich lub na potężnych koniach. Te silne i pewne siebie twarze uświadomiły mi, jak nieszczęśliwa była Elizabeth.

Nawet światło z okna przygasło już tak bardzo, że aby oglądać zdjęcia, zaryzykowałem i włączyłem małą lampkę stojącą przy łóżku. Liczyłem na to, że znajdę wśród nich fotografię Garrarda, ale nie było go tam. Widziałem tylko anonimowych kochanków o silnych spojrzeniach. Wrzuciłem listy do kuferka i zamknąłem kłódkę.

Przegrałem. Nie znalazłem tu nic ciekawego dla Harry’ego Abbotta, absolutnie nic. Usiadłem na łóżku, przeczesałem włosy palcami i spojrzałem na zimny kominek, gdzie pająki utkały grube sieci między nie spalonymi brzoźowymi drwami. Cholera, pomyślałem. Niech to jasna cholera. Sir Leon zapłaci okup, dostanie swój obraz, a ja nigdy nie udowodnię, kto omal nie zabił mnie i Jennifer.

Na dole skrzypnęły drzwi, a ja podskoczyłem jak winowajca.

Powinienem poderwać się do biegu, ale nie pozwoliła mi chora kostka.

– Kimkolwiek jesteś – z dołu dobiegł mnie głos lekko podchmielonego Petera – Zostań tam! Mam broń i dzwonię na policję!

– Nie denerwuj policji, Peter. – Pokużykałem do drzwi, a potem na podest. – To ja, John.

Włączył światła w holu, po czym podejrzliwie podszedł kilka schodów w górę. W rękach trzymał dubeltówkę niebezpiecznie skierowaną w moją stronę.

– To ty! – W jego głosie zabrzmiało rozczarowanie, jakby liczył na to, że zastrzeli intruza. – Włamałeś się do jej sypialni!

– Przepraszam.

– Myślałem, że przyłapałem włamywacza. – Opuścił strzelbę. – Wracalem z pubu i zobaczyłem światło w pokoju Liz. Pomyślałem, mam cię, włamywaczu. Zostawiłem samochód na końcu podjazdu i resztę drogi pokonałem piechotą.

– Bardzo sprytnie, Peter.

Rzucił mi nieprzyjazne spojrzenie.

– No to może mi powiesz, co tu u diabła robisz?

– Przyjechałem spotkać się z tobą i Elizabeth – powiedziałem bardzo przymilnie. – Pomyślałem, że czas już zakopać topór wojenny.

Kłamałem jak najęty w nadziei, że Peter nie użyje broni. Widziałem, że ma już nieźle w czubie, więc mu nie ufałem.

– Zakopać topór wojenny? – Zaskoczyłem go.

– Wiesz, te głupie rodzinne sprzeczki – powiedziałem niepewnie.

Zacząłem zeskakiwać ze schodów. Peter przepuścił mnie i ruszył za mną do holu.

– Skoro już tu jesteś – powiedział z niechęcią – to może napijesz się drinka. – Zaprowadził mnie do pokoju dziennego i nalał dwie dość duże szklanki whisky. – Ona nie wróci, przynajmniej na razie.

– Skąd wiesz?

– Bo dzwoniła do tych cholernych dziewczuch ze szkółki i im powiedziała. Do mnie nie zadzwoniła. Zdrówko. – Wypił tę whisky tak, jak spragniony wędrowiec wracający z Sahary wypiłby szklankę wody, po czym nalał sobie następną, równie ogromną. – Zabawna rzecz taki telefon.

Upił się samotnie, na smutno. Zastanawiałem się, jak prowadził, ale pub pewnie był niedaleko, drogi puste, a policja chyba tu nie zaglądała.

– Czasami dzwoni – ciągnął. – I podnoszę słuchawkę, a tam nikt się nie odzywa! Nikt! Czy to ci się nie wydaje dziwne, John? Rozumiesz, trochę się objąłeś po świecie, więc czy to ci się nie wydaje dziwne?

– Bardzo dziwne, Peter.

– Powiem ci coś jeszcze dziwniejszego! To się nigdy nie zdarza Elizabeth. – Wpatrywał się we mnie gorączkowo, tak jak to potrafi pijany człowiek, trzymający się na siłę resztek rozsądku. – Jej to się nigdy nie zdarza. Myślisz, że telefon wie,

kiedy słuchawkę podniesie kobieta?

– Nie, Peter, nie wydaje mi się.

– Nie wiem – powiedział. Położył broń w poprzek fotela. Zastanawiałem się, czy była naładowana i czy powinienem się trzymać w bezpiecznej odległości od niego. Wypił większość drugiej szklanki whisky i wzdrygnął się. – Mogę z tobą porozmawiać – odezwał się nagle.

– Świetnie.

– Wiesz, jesteś jednym z nas. Rozumiesz, w pubie jest paru fajnych koleś, dobra wiara, ale zawsze czuję trochę tego, no wiesz. – Nie wiedziałem, ale Peter i tak po chwili wyjaśnił. – Wiedzą, że jestem lordem i z tego powodu są... no, jak to się mówi? Onieśmieleni?

– Onieśmieleni – potwierdziłem.

– Ty nie jesteś onieśmielony. – Nalał sobie jeszcze whisky. – Ty jesteś całkiem w porządku. Głupie rodzinne sprzeczki. Nie powinno ich być. Chodzi oczywiście o jej kochanków. – Ostatnie słowa mówił zupełnie trzeźwo.

– Kochanków?

– A kto dzwoni, durniu, i nie odzywa się, kiedy ja podniosę słuchawkę? Nie jestem idiotą, John. Ludziom się tak wydaje, ale nie jestem idiotą.

– Oczywiście, że nie.

– A ona jest piękną kobietą – powiedział smutno. – Cholernie piękną kobietą. Całe piękno rodziny, psia ją mać. – Popatrzył na mnie złym wzrokiem. – Co robiłeś w jej pokoju?

– Szukałem van Gogha.

Patrzył na mnie przez kilka sekund i ryknął śmiechem.

– A to dobre, John! Niezłe!

– Peter, mówię poważnie.

Przełknął kolejny łyk whisky.

– To tylko i wyłącznie twoja wina, John. Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłeś! Naprawdę nie potrafisz zrozumieć. – Mówił szczerze, jak pijak. – Ale najbardziej mnie ciekawi, dlaczego nie chcesz się tego pozbyć? Elizabeth na pewno nie chciałaby cię wpakować do pudła. Dlaczego nie wyłożysz tego cholernego obrazu i nie podzielisz się z nią połową zysku?

– Bo nie mam tego płótna, Peter.

Pogroził mi palcem, jakbym był nieznośnym dzieckiem.

– Sprzedałeś je, prawda?

– Peter, ja nigdy go nie miałem.

– I tu wpadłeś, koleś. Liz przyłapała cię trzy lata temu. Dotarła do jednego z twoich współników, kapujesz?

Mówił ze śmiertelną powagą, mimo że swój osąd wydawał po pijanemu. Posłałem mu ponury uśmiech, jakbym zgadzał się z jego poglądami.

– A jak do tego doszła?

– Wynajęła prywatnego detektywa. Wstrętna kreatura z Newbury. Szczerze mówiąc, niewiele o nim wiem. Nigdy go nie spotkałem. Liz potrafi być bardzo skryta, sam wiesz. – Zaczął mówić z coraz mniejszym sensem, w miarę jak whisky coraz bardziej mieszała mu wspomnienia.

– Dlaczego nie poszła z tym na policję?

– Właśnie to jej mówiłem! Powiedziała mi, że to nie mój interes. Ale zważy, że polazła do tego obrzydliwego małego bogacza, Buzzafucka, czy jak mu tam.

– Do Buzzacotta?

– Dał jej pieniądze! Jestem tego pewien! Jego dwaj goryle przyjechali tu z walizką. Wydaje mi się – osunął się w fotelu i skierował we mnie chwiejny palec – że Liz chciała odczekać do śmierci matki. Nie trzeba się wtedy dzielić kabzą, co?

– No więc dlaczego teraz nie znalazła obrazu?

– Do diabła, nie mam pojęcia. Może za dobrze go schowałeś? – Roześmiał się konspiracyjnie, a ja odwzajemniłem uśmiech. – No to gdzie go masz, John?

Rozłożyłem niewinnie ręce.

– Nie mam bladego pojęcia, Peter.

Osuszył szklanekę do końca.

– Mnie możesz powiedzieć.

– Dlaczego Buzzacott dał jej pieniądze?

Podszedł niepewnym krokiem do kredensu i nalał sobie kolejną szklanekę whisky.

– Po to, żeby miała czym zapłacić temu prywatnemu detektywowi, to jasne.

Garrard. Może i nie miałem dowodów, ale wydawało mi się, że tym detektywem był Garrard, a to by znaczyło, że sir Leon opłacił drania, który omal nie

wysłał na tamten świat jego pasierbicy.

Ale jeśli Elizabeth ukradła obraz, po co potrzebowała prywatnego detektywa? A może nie było żadnego prywatnego detektywa, może to tylko historyjka wymyślona przez Elizabeth, część planu, który miał udowodnić, że to ja jestem winny. A może pieniądze od Buzzacotta były tylko zachętą, a sir Leon płacił, żeby zyskać pewność, że Elizabeth w końcu sprzeda mu obraz. Tak czy tak, ten mały drań z całą pewnością grał na dwie strony, obstawiał Elizabeth i mnie. A może wszystkie te pijackie bełkoty Petera były tylko stekiem bzdur?

– Wydaje mi się – Peter odwrócił się do mnie – że sprzedałeś komuś obraz, Liz cię rozpracowała, a ty osłaniasz swojego kupca.

– To nie tak, Peter.

– No to powiedz mi prawdę, na litość boską! – Nagle się rozgniewał. – Cholera, nikt mi nic nie mówi!

– Powiem ci wszystko – odparłem – jeśli ty mi powiesz, w której przyczepie zamierzaliście umieścić Georginę.

Przez chwilę patrzył na mnie z udawanym gniewem, po czym wybuchnął śmiechem.

– Kawał spryciarza z ciebie, John! Trzeba to przyznać! Cwaniacy żyją dłużej, co?

Uśmiechnąłem się i wyjrzałem przez wielkie okno na dwór, gdzie w niedawno zapadłej ciemności latały nietoperze.

– Peter, czy w twoim oddziale był człowiek nazwiskiem Garrard?

– Nie pamiętam takiego. Jak wyglądał?

– Szczupły, ciemny. Potem był w Paras.

Pokręcił głową.

– Nigdy o nim nie słyszałem. A dlaczego o niego pytasz?

– Bo próbował mnie zabić.

Popełniłem błąd, odpowiadając w ten sposób, bo Peter natychmiast pomyślał, że oskarzę go o współdziałanie w próbie morderstwa i twarz poczerwieniała mu od nagłego i niebezpiecznego gniewu.

– Wynoś się stąd do diabła!

Podniosłem uspokajająco rękę.

– Peter – odezwałem się łagodnie.

– Mówiłem, wynoś się! – Chwycił dubeltówkę. – Użyję jej! Rok temu pewni

cholerni Mormoni już powąchali, jak pachnie jej proch!

Zostawiłem go. Nie szedł za mną. Trochę się obawiałem, że strzeli mi na postrach nad głową, ale został ze swoim nieszczęściem i karafką whisky.

Pokuśtykałem do wioski, ale ostatni autobus już odjechał. Wiedziałem, że musiałbym mieć ogromne szczęście, by zdążyć na stację na ostatni pociąg do Exeter, mimo wszystko zacząłem iść. Laskę zostawiłem na tyłach domu Petera, a kostka bolała mnie coraz bardziej. Próbowałem złapać okazję, ale minęło ponad godzinę, nim ktoś się nade mną zlitował. Było już za późno na pociąg, więc poprosiłem o podwiezienie mnie do najbliższej autostrady. Wydawało mi się, że stałem przy wjeździe całymi godzinami i choć wciąż wyciągałem kciuk, nikt się nie zatrzymywał. Pewnie za bardzo wyglądałem na obdartusa. Migwały przede mną światła samochodów, a ja starałem się wyciągnąć jakiś sens z przesiąkniętych alkoholem wspomnień Petera.

Elizabeth prawdopodobnie brała pieniądze od Buzzacotta na podstawie twierdzeń, że odnalazła mojego współnika. To znaczyłoby – tego byłem pewien – że w całej tej grze Elizabeth dość wcześnie zaczęła zacierać za sobą ślady. Przez ostatnie trzy lata rozsiewała plotki o mojej winie, tak że kiedy pokazałaby obraz, nikt nie oskarżyłby jej o kradzież. Stojąc tak w ciemności przy drodze, uświadomiłem sobie, jak niewiele powiedział mi Peter. Miałem nadzieję, że może obraz leży u kogoś z kochanków. Być może Harry zdoła uzyskać nakaz rewizji i przejrzeć listy, ale to były zbyt śmiałe przypuszczenia. Cały ten dzień nie przyniósł nic, poza zaręczynowym pierścieniem.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie przespać się rowie, ale w końcu zlitował się nade mną jakiś kierowca ciężarówki. Wiózł stalowe pręty wzmacniające do Plymouth, więc zabrał mnie aż do Devon i wysadził na zakręcie do Kingsbridge.

Była druga nad ranem. Szedłem jeszcze przez godzinę, i niemal płakałem z bólu. Nikt nie jechał, więc nikt nie mógł mnie podwieźć. W końcu przeszedłem przez jakąś bramę na czyjeś pole, kopniakiem zbudziłem jedną z owiec, która zabczała w proteście i położyłem się na odsłoniętym przez zwierzę skrawku ciepłej i suchej ziemi. Spałem kiepsko przez trzy godziny i obudziłem się o świcie zziębnięty i przemoczony. Przyszło mi do głowy, że tak naprawdę jestem bezdomny, jeszcze jeden tramp na letnich drogach południa Anglii. Pierwszy książe Stowey przybył do tej doliny na czele oddziału rycerzy w stalowych hełmach, a teraz dwudziesty

ósmy książkę wygramolił się zarośnięty i brudny spomiędzy owczego stada.

Szedłem aż do wioski, gdzie znalazłem automat telefoniczny. Zadzwoiłem do Charliego. Zawahałem się, bo było jeszcze wcześniej, a nie chciałem budzić Yvonne, aie mówiła mi przed wyjazdem, że Charlie prawdopodobnie będzie w domu, więc zaryzykowałem.

Odebrał Charlie. Obudziłem go, ale nie obraził się. Nawet poczuł wielką ulgę, słysząc mój głos,

Mnie też ulżyło.

– Na miłość boską, przyjeżdżaj tu i zabierz mnie, mam już dosyć.

– A gdzie u diabła się podziewałeś?

– Podróżowałem autostopem, spałem w rowie.

– Na litość boską, Johnny, wszyscy cię szukają!

– Kto wszyscy? Harry Abbott?

– Buzzacott. Dzwoni od wczorajszego popołudnia. Strasznie mu na tym zależy!

– Dlaczego?

– Stary, tego mi nie powiedział, nie mam niestety błękitnej krwi w żyłach. Jezu Chryste, która to godzina! Gdzie u diabła jesteś?

Powiedziałem.

– Trzymaj się, Johnny, będę za pół godziny.

No i trzymałem się, a Charlie dotrzymał danego słowa. Zacząłem się zastanawiać, jakbym sobie dał radę bez takiego przyjaciela jak on, po czym wsiadłem do japońskiego samochodu terenowego i natychmiast zasnąłem.

Charlie obudził Yvonne i zażądał śniadania. Zeszła na dół w szlafroku i w kapciach, spojrzała na mnie zabójczym wzrokiem i huknęła patelnią o kuchenkę, by w ten sposób wyrazić swój protest.

– Przepraszam, że sprawiam tyle kłopotów, Yvonne – odezwałem się pokornie.

Nie odpowiedziała. Nie musiała. Widziała mnie w domu równie chętnie jak skunksa.

– On jest tylko księciem, do cholery – powiedział Charlie, aby rozbroić ją humorem. – I niezbyt dobrze spał!

– Ja też. – Yvonne rzuciła paczkę bekonu na blat.

Charlie uśmiechnął się ironicznie i zabrał mnie do swojej psiarni, gdzie nakarmiliśmy teriery. Niektóre psy trzymał do polowań na szczury, a inne, te które mniej gryzły, na króliki.

– Nie żeń się – powiedział, wrzucając surowe mięso do misek.

Ta uwaga nie wymagała odpowiedzi, więc też żadnej nie udzieliłem.

Charlie pogłaskał jednego ze swych ulubionych psów, po czym spojrzał na poranną mgłę spowijającą jeziora Salcombe. – Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie – powiedział nagle – ale Buzzacott powiedział, żebyś do niego zadzwonił. Bez względu na porę.

– Cholerny Buzzacott – powiedziałem.

Charlie roześmiał się.

– Co, wywalił cię?

– Nie potrzebuje już mojej pomocy. Spłacił mnie. Kazał mi kupić jacht, zniknąć i nie odzywać się więcej do jego pasierbicy.

– Kupić sobie jacht? – Charlie natychmiast się zainteresował.

Uśmiechnąłem się.

– Mamy sto dwadzieścia tysięcy funciszów do wydania, ty i ja.

Charlie nie wierzył.

– Żartujesz.

– Wcale nie, zapewniam cię.

Kiedy wróciliśmy do domu, znaleźliśmy kredki dzieci i kawałek papieru, na którym naszkicowałem Charliemu kadłub jachtu, jaki chciałem mieć.

– Oczywiście musi być stalowy. Z długim kilem. – Narysowałem dwa maszty. – Zastanawiam się nad keczem.

– Dlaczego?

– Daje żeglarzowi więcej możliwości.

– Ale też i więcej może się na nim popsuć – rzekł z powątpiewaniem.

– Dam podwójne olinowanie. – Śniadanie upłynęło nam na szczęśliwym planowaniu wymarzonego jachtu oceanicznego. Nie dlatego, bym wybierał się na stałe na morze, bo dopóki jestem z Jennifer, nie mogę tego zrobić, ale rozmowa o jachcie była dobrym początkiem dnia. Nim zadzwonił telefon, zrobiliśmy już w myślach prawie wszystko, poza wymalowaniem nazwy jednostki na rufie.

Dzwonił sir Leon Buzzacott i poszukiwał mnie.

– Mam powiedzieć temu draniowi, że jesteś? – Charlie nie przykrył nawet słuchawki ręką, zadając mi to pytanie.

– Porozmawiam z nim.

Odpowiedziano na ogłoszenie, które sir Leon zamieścił w „The Times”. Porywacze – tak właśnie ich określił – przystali mu swoje żądania. Zapłata miała być dokonana za moim pośrednictwem. Nie przyjmą pieniędzy od nikogo innego, tylko od księcia Stowey.

Skończył. Nie odzywałem się. Oślepiająco jasne było to życzenie: chcieli mnie zabić, by w ten sposób obraz odziedziczyła Elizabeth. Ale Elizabeth, pomyślałem, wzięła wcześniej pieniądze od sir Leona, pieniądze, którymi teraz płaciła swoim zbirom.

– Ile pan zapłacił mojej siostrze? – zapytałem sir Leona.

Przez chwilę trwała cisza, po czym usłyszałem jego ostrożny głos:

– Słucham, milordzie?

– Ile pan zapłacił mojej siostrze trzy lata temu?

– Honorarium – odpowiedział wymijająco. – Tylko honorarium.

– Ty draniu. Czy nie rozumiesz, co ona zrobiła z tymi cholernymi pieniędzmi? Wynajęła Garrarda. Wynajęła faceta, który wpakował Jennifer do szpitala. Pan to sfinansował, sir Leonie. Dał pan jej pieniądze, które pozwoliły jej przetrwać do śmierci matki.

– Wtedy nie miałem powodów, by domniemywać winę pańskiej siostry. – Mówił bardzo sztywnym głosem.

A jakie to miało znaczenie? Oczywiście sir Leon płacił nam obojgu, bo obchodził go jedynie obraz. Nieważne, kto go ukradł, interesował się tylko tym, by płótno trafiło do niego.

Przez kilka sekund milczałem.

– Milordzie? – odezwał się sir Leon.

– Jak ci ludzie się z panem porozumiewają? – zapytałem.

Zawahał się, uznając najwyraźniej pytanie za nieważne.

– Listownie. List dostarczył mi wczoraj posłaniec.

– Dał go pan policji?

– Nie chcę ich do tego mieszać.

– No to proszę sobie wybić z głowy moje uczestnictwo w tej zabawie. Ci ludzie dwukrotnie próbowali mnie zabić i jeśli się panu wydaje, że pójdę w pułapkę, żeby przynieść panu obrazek, to się pan grubo myli.

– Błagam pana... – zaczął sir Leon.

– Proszę zadzwonić do Harry’ego Abbotta. – Byłem zmęczony i naprawdę nic mnie już nie obchodziło. Odłożyłem słuchawkę, nim Buzzacott zdążył się znowu odezwać.

– O co chodziło? – zapytał Charlie.

Opowiedziałem mu. Wszystko wydawało mi się tak jasne. Jeśli wydarzenia potoczą się po myśli mojej siostry, to dzisiaj otrzyma cztery miliony funtów. Dostanie także w prezencie moją śmierć, która pozwoli jej odziedziczyć van Gogha. Sir Leon będzie musiał wynegocjować z nią cenę i byłem więcej niż pewien, że owa cena grubo przekroczy dwadzieścia milionów. Buzzacott na pewno będzie utrzymywał, że oddałem mu obraz, ale nie ma niczego na piśmie i sir Oliver Bulstrode rozniesie go na strzępy. Krótko mówiąc, Elizabeth miała się niedługo stać bardzo bogatą kobietą. Będzie mogła odkupić Stowey i założyć ośrodek jeździecki, który zadziwi świat. Bez wątplenia marzyła o tym, że do jej stajni zawita kiedyś sama rodzina królewska, wyobrażała sobie zimy w ciepłych pałacach i wakacje na plażach dla najbogatszych.

Ażeby to wszystko się stało, żeby spełniły się marzenia mojej siostry, musiałem tylko dostarczyć okup.

– Nie rób tego – powiedział stanowczo Charlie.

– Słyszałeś, co mówiłem – odparłem. – Kazałem mu zadzwonić do Harry’ego. – Tyle, że przyszło mi do głowy, iż jedyną moją szansą na pomszczenie Jennifer była współpraca z sir Leonem.

Ale nie byłem najlepszym narzędziem sprawiedliwości. Za to był nim Harry Abbott, więc jeśli sir Leon nie powie policji, że płaci okup, ja to zrobię.

– Mogę skorzystać z telefonu, Charlie?

– Proszę bardzo.

Telefon zadzwonił ułamek sekundy wcześniej zanim zdążyłem podnieść słuchawkę. Odezwał się Harry Abbott.

– Właśnie chciałem do ciebie zadzwonić – powiedziałem.

– Niczego nie rób, Johnny. – W jego głosie brzmiało podniecenie. – Przyjeżdżam po ciebie.

– Po co?

– A jak myślisz, do cholery? Ruszyliśmy z miejsca. Właśnie dzwonił do mnie Buzzacott. Czeka na mnie policyjny śmigłowiec...

– Harry! – Prawie to wykrzyczałem, by go uspokoić. – Na litość boską. Oni chcą mnie zabić!

– Oczywiście, że tak. Nigdzie się nie ruszaj, Johnny, jadę po ciebie. – Rzucił słuchawkę.

– Jasna cholera – powiedziałem do Charliego. – Harry to kupił. Chcą, żebym zapłacił ten okup! – Czułem, jak ciarki przechodzą mi po plecach.

Charlie wycelował we mnie palcem.

– Nie rób tego, Johnny. Nie rób tego! Wpuszczą cię w kanał!

– Wiem. – Złożyłem jednak obietnicę dziewczynie, którą zamierzałem poślubić, więc musiałem zaryzykować i zaimprovizować to. Dla zemsty.

Harry przybył policyjnym helikopterem. Maszyna przeleciała nad zatoką Salcombe, zatrzymała się, przyginając do ziemi nie skoszoną trawę Charliego, po czym usiadła koło piaskownicy jego dzieci. Harry zeskoczył na ziemię i przebiegł pochylony do domu. Wyglądał jak napuszony paw: dali mu własny helikopter i czuł się jak policjant z filmu.

– Jesteś gotów? – krzyknął na mnie.

– Nie, nie jestem gotów, do jasnej cholery. Wejdz.

Opierał się. Wszystko w końcu ruszyło z miejsca, złoczyńcy zostali zmuszeni do ujawnienia się, a ja zacząłem się upierać. Ale Harry mnie potrzebował, więc musiał wejść do kuchni Charliego, gdzie podwójne szyby w oknach oddzieliły nas od warkotu silnika helikoptera.

– No to powiedz mi, czego ode mnie chcą – odezwałem się.

Harry zerknął na Charliego, ale zdał sobie sprawę, że i tak należałbym na jego obecność przy tej rozmowie.

– Jeszcze nie wiemy.

– O, to cudownie! – rzekłem. – Mam rozumieć, że będę musiał wystawić dupę, ale do bicia i nie wiadomo jeszcze w jaki sposób?

– Musimy pojechać do Exeter. Tam czeka na nas samolot, który zabierze nas do Guernsey. W St Peter Port spotkamy się z sir Leonem, a potem zaczekamy na tarasie kafejki w przystani Victoria. Tylko tyle wiemy.

– Nie jedź – ostrzegł mnie Charlie.

– Odwal się, Charlie. – Harry znał go od niepamiętnych czasów.

– Co to za „my”? – zapytałem.

– Tak naprawdę to tylko ty – przyznał Harry. – Ci dranie upierają się, że będą rozmawiać tylko z tobą, ale przygotowałem już oddział wspierający. – Ktoś, kto go słuchał, mógł pomyśleć, że postawił na nogi jednostki antyterrorystyczne, ale podejrzewałem, że „oddział wspierający” składał się, jak to u Harry’ego, z jakichś otyłych niemrawców.

– Już dwa razy próbowali zabić Johnny’ego – zaoponował Charlie.

– Wiem – odparł Harry niecierpliwie. – I to oczywiście jest pułapka. Nawet niedorozwinięty czterolatek domyśliłby się, że to pułapka, ale jeśli będziesz posuwał się powoli, Johnny, pojedziemy za tobą. Nie musisz uczestniczyć w tym do końca, zwłaszcza jeśli uważasz, że to niebezpieczne. Będziemy o pół kroku za tobą, ale gdybyś nas zgubił, to wynos się stamtąd czym prędzej. A jeśli uznam, że sprawa staje się zbyt ryzykowna, przerwę całą akcję. Chodzi nie o to, by im dać pieniądze, ale żeby ich zobaczyć, a kiedy już nam się to uda, resztę możesz zostawić mnie.

– Nie rób tego – powiedział do mnie Charlie. – To tylko jakiś dumny obraz przedstawiający idiotyczne zielsko.

Helikopter świstał i warczał za oknem, a psy Charliego, bezpieczne w swym pomieszczeniu, odpowiedziały mu wyciem. Harry czekał na moją decyzję, a kiedy się nie doczekał, spróbował ostatniego argumentu.

– Pokazują się, Johnny. Jeśli nie zareagujemy, mogą już nigdy nie zaryzykować. Musimy tam pojechać! Na litość boską, nie chcesz się dowiedzieć, kto próbował cię zabić?

– Wiem, czyja to sprawka – powiedziałem. – Garrarda i Peela. A gdybyście się choć trochę postarali, to już dawno wzięlibyście ich w obroty i wszystko by wam wyśpiewali.

– Jeśli ich nie złapiemy, nie będę miał nigdy po temu okazji.

– Nie rób tego – mówił do mnie Charlie.

Jednak wiedziałem, że Harry ma rację. Aby odebrać okup, nasi przeciwnicy musieli się ujawnić, a to oznaczało, że mieliśmy szansę, bardzo małą szansę, złapania ich. Miałem absolutną pewność, że to Garrard skazał Jennifer na miesiąc

cierpienia i obiecałem jej, że zapłacę mu za to cierpienie. Westchnąłem i wzruszyłem ramionami.

– W porządku, Harry.

Twarz Charliego stężała. Mój przyjaciel zrobił dobrze mi znaną minę: upartą, taką jaką przybierał w wielkich kłopotach, których rozwiązanie zależało wyłącznie od jego siły i zdolności. Taką samą minę jak teraz miał wtedy na Morzu Tasmana.

– Jeśli ty jedziesz – powiedział – to ja też.

– Zaraz, zaraz... – Harry zaczął protestować, ale stwierdził, że nic nie wskóra.

– Będzie z ciebie tyle pożytku, co z popielniczki na motocyklu – mruknął.

– Johnny potrzebuje kogoś, by się nim opiekował, Harry. Właśnie mnie. – Charlie uśmiechnął się. Całe jego zmęczenie ustąpiło, bo widział perspektywę spłatania komuś figła i chciał w tym uczestniczyć. Znowu byliśmy razem, jak za dawnych lat. Chwyć kurtkę, krzyknął do Yvonne, żeby na niego nie czekała i wybiegł za nami.

Helikopter zabrał nas na lotnisko w Exeter, gdzie czekał mały samolot, który miał przerzucić nas na jedną z Wysp Normandzkich. Czekali też dwaj policjanci w cywilnych ubraniach, ale jeden z nich musiał zostać na lotnisku, gdyż jego miejsce zajął Charlie. Harry, niezadowolony, że stracił jednego z ludzi, zgodził się na to jedynie dlatego, że wiedział, jak uparty potrafi być Charlie.

Zarówno Harry, jak i drugi policjant mieli ze sobą broń. Pokazali nam pistolety, kiedy wznosiliśmy się nad wybrzeżem Devon. Widok czarnego metalu zmroził mi krew w żyłach. Uświadomił mi, że biorę udział w śmiertelnie niebezpiecznej grze, a nie w kolejnej przygodzie z Charliem. Harry wyczuł moją zmianę nastroju.

– Pamiętaj, Johnny, nie musisz iść do końca. Nie ryzykuj życiem.

– Nie pozwól mu – powiedział Charlie.

– Im dalej zabrniesz – Harry nie zważał na niego – tym większą dasz nam szansę na ujrzenie tych drani, ale nie chcę cię zdrapywać zyletką ze ścian, Johnny, więc nie kuś losu.

– Dostanę broń? – zapytałem.

Harry pokręcił głową.

– Na pewno nie ode mnie, Johnny. To z policyjnego przydziału. Gdybym ci ją dał, straciłbym pracę, a nawet więcej.

Wzruszyłem ramionami. Prawdopodobnie miał rację. Nigdy nie strzelałem z pistoletu w gniewie, więc pewnie schrzaniłbym całą sprawę. Zerknąłem w dół na morze. Wyglądało tak spokojnie, cała jego zdradliwa natura na tej wysokości ginęła. Wziąłem od Charliego papierosa. Byłem zdenerwowany. Wystawiałem się na niebezpieczeństwo, tak jakbym zbliżał się nocą bez mapy do nieoświetlonego brzegu. Nagle zacząłem żałować, że tak łatwo zgodziłem się na to wszystko, potem pomyślałem o cierpieniu Jennifer i wiedziałem, że nie mam wyboru.

– Dlaczego właśnie Guernsey? – zastanawiałem się na głos.

Harry mógł tylko zgadywać.

– Może uważają, że policja na tej wyspie śpi? No i pomyśl o tych wszystkich małych drózkach. Dzięki nim można łatwo zmylić pogonię.

– Tego właśnie chcą?

– Chcą się czuć bezpieczni. Najniebezpieczniejszym momentem szantażu jest zawsze przekazanie okupu, bo istnieje możliwość, że policja obserwuje całe wydarzenie. Zazwyczaj gania się posłańca od jednej budki telefonicznej do drugiej. Na pierwszy rzut oka taka trasa wydaje się przypadkowa, ale oni obserwują posłańca i wypatrują śledzących go samochodów. Jeśli jakieś auto pojawia się za często, wycofują się.

Pilot odwrócił się, by przerwać Harry’emu.

– Mgła – powiedział lakonicznie, a ja ujrzałem, że mlecznobiały pas mgły rozciąga się nad całym morzem, jak okiem sięgnąć. Wyspy Normandzkie znane są z mgieł, a utrzymująca się ostatnio pogoda zwiększała jeszcze bardziej prawdopodobieństwo ich wystąpienia.

– Cholera jasna – zaklął Harry.

Pilot nasłuchiwał wiadomości. Przyciskał słuchawki do uszu, po czym odwrócił się, by podać nam informacje.

– Nad Guernsey jest nadal czysto, to co widać rozciąga się nad Alderney i Casquets, ale prognozują, że większe wyspy później też przestaną być widoczne.

– Dowieź nas tam i tyle – powiedział Harry. – Nic mnie nie obchodzi, co będzie później.

Charlie spoglądał w dół, na gruby, biały całun spowijający morze.

– Pamiętasz tamtą noc w pobliżu Casquets?

Skinąłem głową. Mieliśmy wtedy po siedemnaście, może osiemnaście lat i popłynęliśmy nocą do Cherbourga. Niestety, pomyliliśmy się z prądami i zniosło nas nieco bardziej na zachód i południe, niż nam się wydawało. Wiatr zaczął się wzmacniać, morze rzucało coraz bardziej, a my płynęliśmy bezkabinową żaglówką. Skręciliśmy mocno na wschód, w nadziei że ujrzymy latarnię na Cap de la Hague w pobliżu Cherbourga, ale zamiast tego wpadliśmy na skały niedaleko latarni na Casquets. To była jedna z naszych pierwszych lekcji żeglowania. Dość twarda lekcja, bo o mały włos nie rozbiliśmy się na niebezpiecznym brzegu Casquets, ale jakoś wywinęliśmy się na zachód i dotarliśmy do Guernsey, gdzie padliśmy jak dwa na pół żywe szczury lądowe. Teraz wydaje się to zabawne, ale wtedy nieźle najedliśmy się strachu.

Mgła ustąpiła, odsłaniając spokojne morze, choć kolejne chmury białych oparów zbliżały się do wybrzeża Francji.

– Meteorolodzy twierdzą, że później może wiać – oznajmił nagle pilot.

– Wiatr rozgoni mgłę – wtrącił się policjant w cywilnym ubraniu.

– Nie tutaj – powiedział Charlie z satysfakcją człowieka, który wie lepiej. – Widziałem w tej okolicy wichury, które nie zdołały rozpedzić mgły gęstej jak mleko. To cholernie niebezpieczne miejsce.

– Poczyszaj mnie dalej – rzekł ponuro Harry, po czym zaczął obserwować, jak schodzimy na Guernsey. Wyspa zbliżała się coraz bardziej: labirynt wąskich dróg, brzydkie chaty, szklarnie i samochody. Wreszcie koła samolotu dotknęły płyty lotniska, rozszedł się swąd palonej gumy i wylądowaliśmy.

Miejscowa policja wyszła nam na powitanie i odwiozła do St Peter Port, gdzie na tarasie kawiarni w przystani Victoria czekał sir Leon Buzzacott. Obok cieniutkiej teczki na stoliku stała nietknięta filiżanka kawy. Dwaj potężni i milczący faceci osłaniali i przytłaczali sir Leona. Gdybyśmy mieli się ukrywać, z pewnością by się nam nie udało, ponieważ, licząc z miejscowymi posiłkami Harry’ego, było nas już dziesięciu, a wszyscy – poza mną i Charliem – byli ubrani w grube garnitury, podczas gdy przechadzający się wokół żeglarze i turyści paradowali w szortach lub w dżinsach.

– Kilku innych ludzi obserwuje przystań– powiedział policjant z Guernsey. – Oczywiście w przebraniu.

Sir Leon pozdrowił mnie. Zważywszy, że miałem za chwile ryzykować życie dla obrazu, który już mu oddałem, jego pozdrowieniu nieco zabrakło ciepła, ale przecież ostatnia nasza rozmowa nie należała do najbardziej przyjaznych. Nie wspominaliśmy o Elizabeth ani o jej układach z nim. Przedstawiłem mu Charliego. Sir Leon zmierzył go chłodnym wzrokiem i przyjął do wiadomości jego istnienie. Charlie skinął mu radośnie głową.

– Ładny poranek na trochę wygłupów – powiedział pogodnie.

Sir Leon puścił mimo uszu ten komentarz.

– Pieniądze – rzekł i dotknął cienkiej, skórzanej walizki.

– Cztery miliony? – odezwałem się z niedowierzaniem. Widziałem dość filmów i seriali, by wiedzieć, że na cztery miliony funtów potrzebny jest solidny kufer, a nie taka droga i chudziutka walizeczka. Przez chwilę nawet zacząłem się zastanawiać, czy sir Leon nie wypisał im po prostu czeku.

Sir Leon otworzył walizkę i pokazał mi jej zawartość.

– To nie rejestrowane miejskie obligacje na okaziciela, pochodzą ze Stanów Zjednoczonych. Bezpieczniejsze niż gotówka, równie anonimowe i wymienne na całym świecie.

– A można je wyśledzić? – zapytał Harry Abbott z nadzieją w głosie.

– Owszem, jeśli uda się panu namówić do współpracy władze różnego rodzaju tropikalnych krajów podatkowych – odparł złośliwie sir Leon. – Ale na pana miejscu nie liczyłbym na to. Zapewniam pana, że nasi przeciwnicy nie zgłoszą się po odsetki z tych obligacji, bo to by ich zdradziło, po prostu je sprzedadzą. Ze zbytem nie będą mieli problemów. Nie rejestrowane obligacje to rzadki i cenny towar.

– Tak jak obrazy van Gogha – rzuciłem.

Sir Leon nie zwrócił na to uwagi. Harry zamknął walizkę i popchnął ją w moim kierunku.

– Miejmy nadzieję, że przyłapiemy tych szantażystów, zanim Johnny odda te papierzyska. – Harry znów tryskał humorem, wietrząc pościg. Rozejrzał się po przystani, jakby spodziewał się ujrzeć facetów w pończochach na twarzach.

Spojrzałem na sir Leona.

– Wie pan, że chcą mnie zabić?

Spokojnie skinął głową.

– Doszło to do moich uszu, milordzie.

– I pan się do tego wszystkiego przyczynił. To pan zachęcił moją siostrę. Dał pan jej pieniądze na wynajęcie zabójców.

Nawet nie mrugnął bladymi oczyma.

– Wydaje mi się – powiedział – że wydarzenia dzisiejszego dnia nadto pana rozdrażniły. Ufam, że kiedy przyjdzie kryzysowy moment, nie pozwoli pan, by pańskie samopoczucie wpłynęło na trzeźwość oceny.

– Odpierz się pan. – Wątpię, czy ktokolwiek kiedykolwiek odezwał się w taki sposób do sir Leona Buzzacotta. Z satysfakcją obserwowałem jego zdumienie. Pochyliłem się nad stołem. – Niech mi pan coś powie. Co pan umieści na moim nagrobku? Że nie byłem godzien poślubić pańskiej pasierbicy, ale z wdzięczności zginąłem za galerię Buzzacotta? – Nie odezwał się. Jeden z jego goryli przysunął się do mnie, być może obawiając się, że uderzę Buzzacotta, ale nie zwróciłem na niego uwagi. – Wie pan, dlaczego to robię, sir Leonie? Robię to dla Jennifer. Gówno mnie obchodzi pański obraz. Ale zamierzam znaleźć faceta, który poparzył Jennifer, a kiedy go znajdę, wypruję mu flaki i wcisnę do gardła. A kiedy już to zrobię, sir Leonie, wrócę po Jennifer i ożenię się z nią. A jeśli tylko spróbuje mi pan przeszkodzić, to i pana flaki znajdą dla siebie odpowiednie miejsce.

Charlie wybuchnął śmiechem. Sir Leon tylko mrugał oczami.

Odwróciłem się od niego. Gniew przygasił sir Leona, ale z mojej strony to była jedynie fanfaronada. Moje szanse na zemstę były bardzo niewielkie. Liczyłem tylko na to, że Harry’emu uda się aresztować złoczyńców. Rozejrzałem się po przystani, ale nie zauważyłem niczego podejrzanego. Wielki parking samochodowy, służący całemu miastu, był zapchany do granic możliwości. Jeśli Harry miał rację, w jednym z tych samochodów prawdopodobnie spędzę następne kilka godzin, klucząc po wąskich i krętych drogach wyspy. Ta myśl zdenerwowała mnie.

Uspokoilem się, patrząc na jachty. Przystań Victoria w St Peter Port to port z kamiennym nabrzeżem, pełen pomostów. U wejścia do portu znajduje się falochron, ale przybyliśmy w czasie najwyższego przypływu, więc był pod wodą. Ocenilem, że przy pomostach cumowało około stu jachtów. Większość pochodziła z Francji. Wyspy Normandzkie to doskonałe miejsce dla francuskich żeglarzy.

Na jeden z pomostów wyszły dwie dziewczyny w szortach i skierowały się w naszym kierunku. Patrzyliśmy na nie wszyscy, oprócz sir Leona. Na nasz użytek zakręciły tyłeczkami, zawołały *bonjour!* i weszły do kawiarni.

– Gdybyśmy nie byli tu w interesach – westchnął Charlie – już bym miał w rękę te żabojadki.

– Stare dobre czasy, co Charlie?

Lecz oto musieliśmy zapomnieć o dziewczynach, bo w pobliżu tarasu zahamowała zabytkowa taksówka, wyrzucając z rury wydechowej obłok niebieskiego dymu. Kierowca z widocznym niedowierzaniem wychylił się przez okno.

– Czy jeden z was nie jest przypadkiem księciem Stowey?

Przez chwilę żaden z nas się nie poruszył. Wreszcie skinąłem głową, przeniesiony w zupełnie inną rzeczywistość.

– To ja.

– Nie wiem, o co tu chodzi, ale to dla pana. – Kierowca wyciągnął brązową kopertę, po czym aż mu zabrakło tchu, gdy samochód otoczyło czterech policjantów. – Chwileczkę, co jest! – zaprotestował, ale policja miała już pierwszą osobę, która kontaktowała się ze złoczyńcami. Taksówkarz musiał udać się na przesłuchanie.

– Prawdopodobnie niczego się od niego nie dowiemy – rzekł Harry z zakłopotaniem. – Ci ludzie nie są głupcami, ale musimy się trzymać procedury.

Sir Leon i Harry chcieli otworzyć kopertę, ale ponieważ zaadresowano ją do mnie, nalegałem, by to mnie przypadł w udziale ten zaszczyt. Jeden z policjantów podał mi plastikowe szczypce, którymi wydobyłem ze środka pojedynczą kartkę. Po przeczytaniu miała zostać zabrana do laboratorium na badanie odcisków palców, choć żaden z nas tak naprawdę nie wierzył, że nadawcy będą na tyle głupi, by zostawić na niej ślady. Niezdarnie rozłożyłem kartkę i odczytałem na głos instrukcje. A te były bardzo proste i bardzo jasne. Miałem się rozebrać do szortów, wziąć pieniądze i wejść na pomost znajdujący się najbliżej kawiarni. Miałem nieść ze sobą tylko pieniądze i powinienem się podporządkować temu poleceniu: cały czas będą obserwowany. Na końcu pomostu znajdę jacht o nazwie „Marianna”. Miałem wejść na pokład sam. Nikt nie mógł nawet iść za mną pomostem. Kiedy znajdę się

już na pokładzie, powinienem wyjść „Marianną” w morze, gdzie otrzymam dalsze instrukcje. Nie mógł płynąć za mną żaden jacht, łódź, czy motorówka, a jeśli coś takiego byłoby dostrzeżone, van Gogh zostanie zniszczony. Ale jeśli będziemy postępować zgodnie z instrukcjami i pieniądze zostaną bezpiecznie przekazane, ktoś zadzwoni do galerii sir Leona i powie, gdzie szukać obrazu.

– Niech to szlag – rzekł cicho Harry. Do tej pory chyba nikomu z nas nie przyszło do głowy, że wymiana może nastąpić na morzu, choć naleganie na moją obecność – bo byłem żeglarzem – i wybór Guernsey, raju żeglarzy, powinny nam powiedzieć, że wręczenie pieniędzy odbędzie się na wodzie.

– Dobrze! – Harry próbował odzyskać inicjatywę. – „Marianna”! Muszą być jakieś wiadomości na jej temat. Chcę, żeby ją sfotografowano, przeszukać rejestry. Do kogo należy? Kto ją sprzedał? Gdzie zazwyczaj cumuje? Porozmawiajcie z żabojadami, nazwa brzmi z francuska. No już! Ruszać się!

– Idę z tobą – powiedział do mnie Charlie.

– Nie! – warknął sir Leon.

Charlie pochylił się nad stołem tak, że zbliżył swoją wielką głowę do twarzy Buzzacotta. – To mój przyjaciel, więc jeśli ma ryzykować życie, idę z nim.

Fizyczna bliskość Charliego nie zrobiła na sir Leonie większego wrażenia.

– Będziemy ściśle trzymać się instrukcji. – Odwrócił się do jednego z policjantów z Guernsey. – Przypuszczam, że jacht można śledzić z powietrza?

– Oczywiście, sir.

– Więc bądź pan tak dobry i zorganizuj to, ale powiedz swoim ludziom, żeby nie rzucali się w oczy. – Zerknął na notatki, które poczynił. – Czy na wyspie są jakieś siły marynarki wojennej?

Jednemu z policjantów wydawało się, że w zewnętrznej zatoce czuwa jednostka odpowiedzialna za bezpieczeństwo kutrów rybackich. Sir Leon spojrzął na Harry’ego.

– Spodziewam się, że telefon do Londynu pomoże nam skłonić ich do współpracy, ale proszę im powiedzieć, by nie podpływali do jachtu w zasięgu wzroku. Będą musieli płynąć zgodnie ze wskazówkami z samolotu.

Harry wystukał numer na swoim telefonie komórkowym, zaś sir Leon zerknął na notatki. Buzzacott przejął dowodzenie. Przejawiał wrodzoną, budzącą respekt wolę władzy, ale wyrażał ją tak spokojnie, że emanował atmosferą zaufania. Odhaczył dwie pozycje z listy w swoich notatkach, po czym obdarzył mnie chłodnym spojrzeniem.

– Ufam, milordzie, że te środki ostrożności przekonają pana, że nie nastają na pańskie życie? – Nie czekał na odpowiedź, tylko ponownie zerknął do notesiku. – Przypuszczam, że nalegają, by miał pan na sobie tylko szorty, by upewnić się, że nie weźmie pan ze sobą pokład broni.

– Albo krótkofalówki – powiedziałem.

– O tym nie pomyślałem. – Wydawał się bardzo zaskoczony, że udało mi się coś, co nie udało się jemu i nawet sporządził na ten temat notatkę. – Dobrze. No cóż, milordzie, czy chce pan się zastosować do tych instrukcji?

Chyba tak. Na pewno nie po to przejechałem taki szmat drogi, żeby teraz się wycofać. Naciąłem nogawki džinsów, łatwo się oderwały. Ściągnąłem je, a potem koszulę i buty. Ujrzałem, jak sir Leon patrzy na moje świeże blizny na nogach i lekko krzywi się z niesmakiem.

– Idę z tobą – powtarzał uparcie Charlie.

Tej kłótni nie mogłem wygrać. Miał przeciw sobie sir Leona i Harry'ego Abbotta. Jeśli złamałibyśmy zasady, twierdzili obaj, wszystko byłoby stracone, więc jedyna nadzieja leżała w ścisłym przestrzeganiu instrukcji.

– Ale pamiętaj – Harry próbował zademonstrować swoją władzę w obliczu groźnej konkurencji ze strony sir Leona – jeśli sytuacja zacznie wyglądać niebezpiecznie, wycofam cię, Johnny.

– Nic mi nie będzie, Harry. – W moim głosie było więcej pewności siebie, niż we mnie samym. Wszyscy wokół rozmawiali przez policyjne krótkofalówki, ale to ja miałem niemal nagi pójść na pomost, gdzie na pewno czeka na mnie dwóch znajomych zabójców.

– Uwaga, niech wszyscy obserwują! – rzekł głośno Harry. – Mają tu gdzieś czujkę, więc miejcie oczy szeroko otwarte! – Odwrócił się do mnie, wzruszył ramionami i popchnął w moim kierunku cienką walizkę. – Możemy zaczynać, Johnny.

Do tylnej kieszeni moich obciętych džinsów wsunąłem fajkę, woreczek z tytoniem i kilka zapalek. Wziąłem ze stołu walizkę. Była lekka jak piórko.

– Do zobaczenia, Harry.

– Chwileczkę! – Zmarszczył się sir Leon. – Ci ludzie wyraźnie powiedzieli, że ma pan nieść ze sobą tylko walizkę. Proszę zostawić fajkę, milordzie.

Uśmiechnąłem się do niego słodko.

– Mogę nawet ryzykować życie dla pańskiego obrazu, sir Leonie, ale prędzej mnie diabli wezmą, niż ruszę się gdziekolwiek bez fajki.

Popatrzył mi w oczy i zrozumiał, że tę sprzeczkę przegrałby z kretesem, więc niechętnie skinął aprobująco głową. Harry i jego ludzie życzyli mi szczęścia, a Charlie odprowadził mnie obok parkingu, aż do wejścia na pomost.

– Jesteś pewien, że tego chcesz, Johnny?

– Oczywiście, że nie jestem pewien, Charlie, ale co mogę zrobić?

– Spadaj stąd. Zostaw ich. To tylko bogacz i jego obrazek. Nie chodzi o śmierć i życie.

– A jednak, Charlie. Próbowali mnie zabić i omal im się nie udało zabić Jennifer, więc sprawa staje się osobista.

– Jesteś durniem. – Zdziwiła mnie powaga, z jaką to powiedział. Szybko jednak otrząsnął się z tego ponurego, nienaturalnego nastroju i zmusił szeroką twarz do uśmiechu. – Moglibyśmy się urwać z tymi pieniędzmi?

– Czemu nie? – Czekałem, kiedy o tym wspomni. Obaj się roześmieliśmy, ale nagle okazało się, że nie zostało już nic do powiedzenia, więc klepnąłem go w ramię. – Postawisz mi kufelek po powrocie?

– A może zapolujemy też na te francuskie ptaszyny? – Klepnął mnie w gołe ramię, żegnając się po przyjacielsku i cofnął się.

Wiedziałem, że patrzy za mną, jak idę na koniec pomostu. Byłem poruszony obawami, jakie u niego wyczułem, ale było już za późno, by zawracać. Więc szedłem dalej. Sam.

Część 5

Chyba od samego początku wiedziałem, że nie zastosuję się do rad Harry'ego. Kiedy już coś zacząłem, nie wycofywałem się. Chciałem mieć to za sobą. Tak jak wtedy, kiedy rzuciłem się w sam środek potarganych wichurą fal nad uskokiem w Salcombe. Ryzykowałem życie, lecz gdybym tego nie zrobił, uważałbym się za tchórza. Nie chciałem tego robić, ale skoro powiedziało się „a”, trzeba powiedzieć i „b”. I nie tylko dlatego, by udowodnić swoją odwagę, ale dla dziewczyny, która leżała cierpiąca na szpitalnym łóżku. Chciałem odnaleźć drani, którzy jej to zrobili i chciałem, by tego pożałowali.

Podły motyw, wiem. W dzisiejszych czasach ludzie powinni być ponad taką głupotę. Dzisiaj powinniśmy świecić przykładem cnót i serdecznej wyrozumiałości. Powinniśmy współczuć przestępcy, bo na pewno do zbrodni przywiodły go braki wykształcenia, rozbita rodzina albo samo społeczeństwo. Krótko mówiąc, powinniśmy karmić się sałatą, a nie surowym mięsem, ale ja jestem przeżytkiem. Jestem dwudziestym ósmym księciem czegoś tam, niezbyt ważnego, ale w tym braku znaczenia kryje się jeszcze dość dumy, by moi wrogowie pożałowali, że w ogóle się urodzili. Dość dumy, by powiedzieć mojej kobiecie, że ją pomściłem i dość dumy, by dobrnąć do końca tej wstrętnej gry, w której ja byłem goły jak święty turecki, a moi nieprzyjaciele trzymali w rękę wszystkie atutowe asy.

Rzeczywiście czułem się goły, kiedy szedłem boso pomostem. Wiedziałem, że jestem pod obserwacją – nie tylko policji, ale także jednego z pomagierów Elizabeth. Ta osoba mogła się znajdować na pokładzie dowolnego wielkiego jachtu cumującego przy pomoście. Mogła też być jednym z kręcących się bez celu turystów, którzy wychylali się przez barierki, by popatrzeć na wody basenu portowego. Kim byli wynajęci przez Elizabeth ludzie? Spotkałem już dwóch: Garrarda i Peela.

Ale czy był ktoś jeszcze?

Nagle ujrzałem „Mariannę”.

To był mały, brudny jacht chałupniczej roboty jakiegoś Francuza: posklejany z portowych odpadów i pomalowany na krwistoczerwony kolor. Podobnych łódek można spotkać w Europie setki, widziałem nawet kilka na Pacyfiku, a pływała nimi francuska młodzież, która nie mogła sobie pozwolić na nic bardziej wyszukanego. Jacht miał osiemnaście stóp długości, małą kabinę, jeden maszt i zewnętrzny silnik we wnętrzu na rufie. Na dachu kabiny znalazłem kompas. U boku zwisał wyświechtany grot, zaś na dziobie znalazłem pojedynczy kliwer. Zerknąłem na szczyt masztu, lecz nie zauważyłem ani reflektora radaru, ani anteny VHF. Co dziwniejsze, tuż za wnęką silnikową na rufie umocowano antenę odbiornika Decca. Jeśli nie liczyć odbiornika Decca, przestępcy wybrali najtańszą łódkę, jaką można sobie wyobrazić. Była to odrapana łupina, na której strach się było wypuszczać nawet na staw w parku, ale mimo wszystko był to jacht i dobrze było znowu być na morzu. Sprawdziłem zejście do kabiny: otwarte. Wnętrze łódki oczyszczono do gołych ścian. Nie było koi, kambuza, nawet podłogi. Widziałem dno kadłuba, które na szczęście było suche. Jacht ogołocono do cna, usuwając z premedytacją wszelkie ślady mogące doprowadzić do osoby, która go wynajęła.

Mimo to, zupełnie niespodziewanie, na pokładzie „Marianny” znalazły się wyszukane urządzenia techniczne. W okolicy rufowej do ściany przykręcono odbiornik Decca, zasilany z dwunastowatowego akumulatora samochodowego spoczywającego na podłodze, obok osłony miecza. Znalazłem także ręczną krótkofalówkę pracującą na zakresie VHF i jej obecność nieco mnie pocieszyła, ponieważ uznałem to za pierwszą pomyłkę moich przeciwników. Bez wątpienia zostawili radio, by porozumiewać się ze mną, ale to oznaczało także, że dzięki temu mogłem porozmawiać z Harrym.

Pochyliłem się w pustej kabinie i upchnąłem cienką walizkę z obligacjami przy osłonie miecza obok akumulatora. Zauważyłem, że odbiornik Decca był już włączony i wskazywał długość i szerokość geograficzną St Peter Port. Zostawiłem go w tym stanie i wziąłem krótkofalówkę. Miała wielkość telefonu komórkowego, oblaną gumą antenę i była zasilana wewnętrznymi bateriami. Zabrałem ją do

kokpitu i ostentacyjnie pomachałem nią, by Harry mógł ją zobaczyć. Włączyłem urządzenie, wybrałem kanał 16 i położyłem w kokpicie.

Otworzyłem zbiornik z paliwem i stwierdziłem, że był zatankowany do pełna. Silnik miał tylko trzy i pół konia mechanicznego mocy, więc nie mogłem na nim płynąć z szybkością większą niż sześć węzłów, ale za to na pewno będzie długo pracował na jednym zbiorniku. Silnik zaskoczył już po pierwszym szarpnięciu linki rozruchowej. „Marianna” nie miała żadnych odbojów, łańcuchów, tylko dwie liny. Odczepiłem je i wrzuciłem bieg w silniku.

Wy płynąłem z przystani do zatoki. Trzymałem się boi i mijałem kolejno strefę zewnętrzną, granicę akwenu dla motorówek i wreszcie latarnię, która wyznaczała wejście do zatoki. W pobliżu tego punktu stał szybki kuter motorowy eskadry ochrony rybaków należącej do marynarki wojennej. Z jego szarego mostka przyglądał mi się dość wnikliwie jakiś oficer i zacząłem się zastanawiać, czy Harry zdołał pozyskać jego jednostkę do współpracy. Kuter był niezwykle szybki, miał doskonały radar i groźnie wyglądające działko pokładowe. Dobrze byłoby mieć takiego sprzymierzeńca, ale jego obecność z pewnością zdenerwowałaby przestępców, więc nie spodziewałem się go już zobaczyć.

Pomachałem oficerowi i wy płynąłem z zatoki, wpływając w cieśninę Little Russel. Nie miałem właściwie wyboru jeśli chodzi o drogę. Prąd pędzi przez Little Russel z siłą parowozu, więc „Marianna” popłynęła na północ, ponieważ nie była na tyle silna, by przedrzeć się na południe.

Skierowałem się na północ, zmniejszyłem obroty silnika i udałem na dziób, by podnieść kliwra. Był bardzo sztywny, ale spodziewałem się, że wiatr tchnie weń jeszcze trochę życia. Wciągnąłem też grot. Nawet „Słonecznik” po przekroczeniu Pacyfiku i okrążeniu przylądka Horn nie miał tak wyświechtanego żagla, ale mimo brudu ciągnął dobrze, więc poszedłem na rufę i wyłączyłem silnik, by oszczędzać paliwo. Podniosłem silnik, by śruba nie stawiała oporu, i usiadłem przy sterze. Wiał nieznaczny południowo-zachodni wiatr. „Słonecznik” daleko by na takim wietrze nie popłynął, ale maleńka „Marianna” czuła się dobrze w tych warunkach. Nie był to wcale taki zły jachcik. Trochę nią rzucało i bardzo szybko odpadała od wiatru, ale przestała się narowić, kiedy nieco skróciłem żagle. Otworzyłem szafki w kokpicie, ale niczego w nich nie znalazłem. Na pokładzie nie znajdowało się

nic, poza odbiornikiem Decca, zasilającym go akumulatorem, kompasem, krótkofalówką, czterema milionami funtów i mną. Aha, przypomniałem sobie, jeszcze dwie liny cumownicze. Jedną z nich unieruchomiłem ster, a drugą zwinąłem na dnie kokpitu. Przeciwnicy zadbali o to, bym nie miał żadnej broni, ale miałem dwie liny i mogły mi się one przydać.

Nad St Peter Port krążył mały samolot. Zawrócił w połowie drogi nad Little Russel i zszedł nisko w dół. Słońce odbiło się ostro od owiewki i wkrótce przeleciał obok mnie, po czym zaczął piąć się w górę. Zdaje się, że mam towarzystwo. Zerknąłem na radio, jakby w oczekiwaniu na jakąś wiadomość od Harry'ego, ale krótkofalówka milczała jak zaklęta. Obok przepłynął kuter rybacki. W zasięgu wzroku miałem z tuzin jachtów, od południa nadpływał duży wodolot, zaś niedaleko St Sampson's cumowała mała motorówka. Właśnie wyłączono jej silnik, bo nad wodą unosił się coraz niżej dym z rur wydechowych. Zastanawiałem się, kto mnie obserwował. Próbowałem się domyślić, jaką niespodziankę dla mnie szykowano.

Nagle zaskoczyła mnie krótkofalówka. Zasyczała, po czym wydała z siebie sztywny i głośny kobiecy głos.

– Czternaście – usłyszałem.

Nie zareagowałem. Radio nastawione było na kanał 16, służący do kontaktów i wzywania pomocy, więc mogłem się spodziewać wielu różnych komunikatów. Owo pojedyncze słowo, które usłyszałem zabrzmiało tak, jakby było częścią większego przekazu, więc zacząłem się zastanawiać, czy aby radio działa poprawnie. Nagle, w minutę później, usłyszałem jeszcze raz ten sam głos:

– Czternaście.

Wciąż nie odpowiadałem. Znow minęła mniej więcej minuta i znow z głośnika popłynęło pojedyncze słowo wypowiedziane z podziwu godną cierpliwością.

– Czternaście. – Właściwie głos nie miał intonacji, nie nalegał, był jak głos robota.

Przyszło mi do głowy, że na tym kanale nie słychać innych komunikatów, a z całą pewnością słowo coś znaczyło. Podniosłem więc krótkofalówkę i przycisnąłem guzik nadawania.

– Baza do „Marianny”, baza do „Marianny”. Podaj swoją pozycję i powtórz. Odbiór. – Podejrzewałem, że Harry przygotował nasłuch, by odnaleźć źródło pochodzenia tajemniczych sygnałów i chciałem jak najdłużej utrzymać rozmówcę przy mikrofonie, żeby specjaliści mieli szansę ją namierzyć. Dobrze przynajmniej, pomyślałem, że ta kobieta korzysta z kanału 16, czyli ratunkowego. Chłopcy Harry’ego na pewno nasłuchują na szesnastce, więc teraz pozostało mi tylko przekonać tę kobietę, by mówiła jeszcze przez kilka sekund dłużej i dała się namierzyć.

– Baza do „Marianny” – powiedziałem jeszcze raz. – Podaj swoją pozycję i powtórz wiadomość. Odbiór.

Radio milczało, a ja zacząłem podejrzewać, że moi przeciwnicy wcale nie byli tacy głupi, jak myślałem. Sprawdziłem to podejrzenie, jeszcze raz wciskając przycisk nadawania.

– St Peter Port, St Peter Port, tu jacht „Marianna”, jacht „Marianna”. Sprawdzam łączność. Potwierdźcie odbiór.

Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi. Przełączyłem się na kanał 62, czyli kanał roboczy radiostacji w St Peter Port i ponownie poprosiłem o potwierdzenie odbioru.

Cisza. To oznaczało, że krótkofalówka nie nadawała. Mogłem odbierać wiadomości, ale nie mogłem ich nadawać. Cwani dranie, pomyślałem, cwani, bardzo cwani dranie i zacząłem wracać na szesnastkę, kiedy radio nie zważając na to, że kręcę gałką po całej skali, odezwało się ponownie.

– Czternaście – oznajmił beznamiętny głos.

A zatem przeciwnicy nie tylko uniemożliwili mi nadawanie, ale wyłączyli odbiornik krótkofalówki i nastroili ją na stałe na jakiś nieznaną kanał. Mógł to być jeden z pięćdziesięciu pięciu publicznych kanałów albo jeden z tuzina prywatnych. Mogli nawet zainstalować odbiornik któregoś amerykańskiego kanału. Bez wątplenia Harry przeczesywał pasma VHF w poszukiwaniu wszelkich podejrzanych komunikatów, ale ja zacząłem odczuwać wielki respekt przed ludźmi, którzy zaplanowali tę podróż i nie spodziewałem się, by Harry odniósł szybkie zwycięstwo.

– Czternaście – odezwał się po chwili ten sam kobiecy głos.

Co to u diabła miało znaczyć? Na pewno nie chodziło o kurs.

Może boja? Rozejrzałem się, by zobaczyć, czy w zasięgu wzroku mam jakieś numerowane boje, gdy nagle olśniło mnie rozwiązanie. „Marianna” została

ogółocona tylko do niezbędnego wyposażenia, a mimo to ktoś zainstalował na pokładzie bardzo drogi odbiornik Decca. Nie znajdował się tu wyłącznie dla ozdoby. Ten, kto się do mnie odzywał, podawał mi punkt namiarowy. Ci ludzie nie byli sprytni, ale wręcz bardzo sprytni. Z całą pewnością zaprogramowali w Decca dziewięćdziesiąt dziewięć punktów namiarowych rozrzuconych przypadkowo po całych Wyspach Normandzkich i dzięki owym punktom mogli mnie zwodzić po morzu, upewniając się, czy nie jestem śledzony. Wreszcie, kiedy upewnią się, że nie mam „ogona”, podadzą mi właściwy punkt i tym kursem popłynę na nasze rendez-vous. Zamiast automatów telefonicznych wykorzystywali niewidzialne punkty na bezkresnym morzu.

Zszedłem do niskiej kabiny. Instrukcję do odbiornika wciśnięto za obudowę, ale był to ten sam model, który miałem krótko na pokładzie „Słonecznika”. Przypomniał mi się dziecięcy zachwyt Jennifer nad maszyną. Zmówiłem krótką modlitwę o to, bym mógł z nią przeżyć jeszcze kiedyś takie chwile zachwytu. Wystukałem na klawiaturze numer punktu. Maszyna zamrugła i poleciła mi płynąć kursem 089, do punktu odległego od mojej obecnej pozycji o 12.4 mil morskich.

Wróciłem do kokpitu. Jeśli przepłynę więcej niż pół mili kursem 089, osadzę „Mariannę” na skałach Herm, ale – tak czy tak – zmieniłem kurs. Wypuściłem trochę grota i ospałe szmatki „Marianny” trochę bardziej się wybrzuszyły na wietrze. Patrzyłem na zbliżający się brzeg.

– Dwadzieścia pięć – odezwała się dziewczyna z krótkofalówki na kilka minut przed moim wpadnięciem na skały.

Popchnąłem rumpel z całej siły i wykonałem „Marianną” ostry zakręt, stając dziobem do wiatru. Zostawiłem ją na chwilę, by pokotyssała się na falach i zszedłem do kabiny, by zasięgnąć rady odbiornika Decca co do dalszego kursu. Punkt dwadzieścia pięć był odległy o dwadzieścia pięć mil na północ. Zastanawiałem się, czy uwzględnić odchylenie spowodowane biegunem magnetycznym. Odbiornik mógł mi wskazywać prawdziwy kurs, prosto na biegun północny, ale może uwzględniono też odchylenie magnetyczne i podany kurs zgadzał się z kursem na kompasie. Pomyślałem, że skoro moi przeciwnicy pomyśleli o wszystkim, to dlaczego ja miałbym jeszcze teraz liczyć za nich poprawkę na odchylenie magnetyczne. Zaufam ich sprzętowi i zobaczę, dokąd mnie zaprowadzi.

Obróciłem „Mariannę” i ruszyłem dalej. Sprzyjał mi prąd, który niósł na północ, ku otwartemu morzu. Zerknąłem w niebo i wysoko w górze ujrzałem towarzyszącymi samolot. A gdzie jest dziewczyna, która podaje mi numery punktów, zastanawiałem się. Musiała znajdować się gdzieś w zasięgu mojego wzroku, ponieważ taki też zasięg ma częstotliwość VHF, ale nie sposób ją odszukać, bo mogła znajdować się na którejkolwiek z widocznych łodzi, na Guernsey lub na którejś mniejszej wyspie: Herm lub Sark, które zamykają od wschodu cieśninę Little Russel.

Płynąłem przed siebie. Krótkofalówka zamilkła, a ja domyśliłem się, że zdałem pierwszy egzamin polegający na posłusznym wykonywaniu poleceń. Minąłem latarnię Platte Fougère na północnym krańcu Little Russel i poczułem, jak wąty kadłub „Marianny” drży pod naporem zachodniego wiatru. Wiało niezbyt silnie, ale stale. Powietrze było ciepłe.

– Trzydzieści sześć – odezwała się krótkofalówka, a w tym głosie było coś dziwnie znajomego i denerwującego. Poczułem bunt, więc nie posłuchałem polecenia, a w chwilę później numer został powtórzony, dokładnie z taką samą intonacją jak za pierwszym razem. Rozpoznałem wreszcie, do kogo należał ów głos: do dziewczyny, która w Radiu Cztery odczytywała morską prognozę pogody.

Moi przeciwnicy nagrali ją, wycięli z nagrania liczby i teraz nadawali je przez moją krótkofalówkę.

Niech ich jasna cholera.

Droga do punktu trzydziestego szóstego wiodła prosto pod południowo-zachodni wiatr. „Marianna” była zbyt lekka, by stawić mu czoło, więc uruchomiłem silnik i dałem odpocząć żaglom, a śruba pchała jacht po małych falach. Nowy kurs prowadził mnie wprost na grupę łodzi, z których amatorzy wędkarstwa głębinnego w pobliżu raf otaczających wyspę od północy oddawali się swemu ulubionemu sportowi. Na którejś z nich mogli się znajdować moi wrogowie, ale nie potrafiłem określić na której, jeśli w ogóle tam byli. Specjalnie zbliżałem się do niektórych łodzi, ale wszystkie wyglądały niewinnie. Z jednej z nich pomachała do mnie jakaś kobieta, a z innej pewien mężczyzna krzyknął coś na temat pięknego dnia.

– Dwadzieścia pięć – oznajmił głos z krótkofalówki.

Już raz podawano mi ten punkt i wiedziałem, że leży dokładnie na północ.

Pozwoliłem „Mariannie” odpaść od wiatru i zatrzymałem ją oraz silnik. Nie powtórzono numeru punktu, a to znaczyło, że musieli mnie obserwować, ponieważ powtarzali polecenie tylko wtedy, kiedy się do niego nie stosowałem. To mnie zdenerwowało. Ćwiczyli mnie, programowali. Przypominałem szczura w labiryncie niewidzialnych, elektronicznych punktów rozsianych po morzu, a przeciwnicy chcieli mnie wodzić po tym labiryncie dopóki się nie zmęczę, nie zgłodnieję i będę gotowy na rzeź.

– Sześć – powiedział głos, a kurs powiódł mnie na północny zachód.

– Osiemnaście. – Kilka stopni na północ od kierunku wschodniego.

– Trzyście – pechowa liczba, ale kurs poprowadził mnie po prostu na zachód.

– Osiemdziesiąt cztery. – Przez chwilę popłynąłem na południowy wschód, po czym – usłyszawszy dwadzieścia pięć – wróciłem na kurs północny. Bawili się ze mną w ten sposób przez dwie godziny. Na początku nie mogłem znaleźć żadnego porządku w poleceniach, które otrzymywałem. Płynąłem we wszystkie możliwe strony świata, ale nigdy nie pozwolono mi dotrzeć do niewidocznego punktu, który leżał na końcu danego kursu. Zawsze, zwykle kiedy przepłynąłem mniej więcej milę, kazano mi zmieniać kurs. Jednak stopniowo spychano mnie coraz bardziej na północ, zmuszano do oddalania się zygzakami od niknącego w dali wybrzeża. Wysyłano mnie na pełne morze, z dala od wszelkiej pomocy. W ustach miałem sucho, ale przynajmniej przesycone wilgocią powietrze było ciepłe.

– Czterdzieści cztery. – Głos przerwał moje rozmyślenia.

Wcisnąłem klawisze odbiornika z wielką wprawą. Punkt czterdziesty czwarty leżał o pięćdziesiąt mil na wschód, czyli mniej więcej na półwyspie, gdzie znajdował się Cherbourg. Zatem z całą pewnością punkt czterdziesty czwarty nie był miejscem wyznaczonego spotkania. Mimo to, po raz pierwszy odkąd wypłynąłem z Little Russel, moi nadzorcy pozwolili mi płynąć trochę dalej. Do tej pory musieli się już przekonać, że nie zagrażałem ich misternym planom. Kazali mi płynąć w przypadkowych kierunkach i zapewne obserwowali mnie, dopóki nie przekonali się, że żaden statek nie powtarzał moich zadziwiających manewrów. Teraz mógł się rozpocząć główny punkt programu. Pomyślałem, że pewnie nie zauważyli

pilnującego mnie samolotu, który leciał daleko na zachód ode mnie.

Radio milczało, a „Marianna” parla wciąż na wschód. Na północy widziałem żagle dwóch jachtów oddalających się ode mnie w stronę Alderney Race, zaś na południu wyspy Sark i Guernsey stały się ciemnymi plamami na zamglonym horyzoncie. Za moimi plecami, na zachodzie, po niebie krążył bez celu samolot, zaś na wschodzie widziałem jedynie koniec tej gry – śmierć lub zemstę – i nadciągającą noc.

Straciłem poczucie czasu. Porę oceniłem mniej więcej dzięki pozycji słońca. Chciało mi się pić jak diabli.

Przyплыw ze wschodu słabł. Niegdyś na tych wodach wraz z Charliem stawialiśmy pierwsze kroki jako żeglarze i w owych szczęśliwych czasach poznaliśmy kaprysy pływów w okolicach Wysp Normandzkich. „Marianna” walczyła z kwadrowym, a więc małym przyplywem, ale wciąż przypominało to bieg w górę ruchomych schodów jadących w dół. Wiedziałem, że jeszcze przez dwie godziny będę się musiał zmagać z przeciwnym pływem, potem nastąpi chwila przerwy i woda zacznie znów przeć, tym razem z północy.

Sunąłem więc powoli. „Marianna” nie była jednostką szybką ani elegancką, ale zaczynała mi się podobać. W końcu należała do mnie, mimo że tylko przez dzisiejszy dzień. Nie podano mi następnych punktów, płynąłem wciąż wbrew przypluwowi, wciąż na wschód. Kiedy siła naporu wody nieco się zmniejszyła, zostałem sam. Minąłem drogę, którą pływały statki z Cherbourga do Guernsey. Nie widziałem lądu, co znaczyło, że przez jakiś czas nie należy się spodziewać poleceń przez radio.

Wiatr wiał co prawda lekko, ale zachodnie powietrze niosło ze sobą resztki atlantyckiego sztormu. „Słonecznik” nie zauważyłby nawet takich małych fal, ale „Marianna” była na tyle lekka i krótka, że bardzo jej przeszkadzały. Wspiną się stromo na grzbiety fal i spadała na łeb na szyję w doliny. Podniosłem miecz, by zwiększyć jej szybkość o jakieś pół węzła, ale podniosłem w ten sposób środek ciężkości jachtu, który teraz zataczał się na falach jak pijany. Spędziłem na „Słoneczniku” kawał życia i dziwnie się czułem wciśnięty w niski kokpit „Marianny”. Nigdy nie uważałem „Słonecznika” za wielki jacht, ale w porównaniu do tej

lupinki wydawał się transatlantykiem.

Moja eskorta powietrzna utrzymywała się w odpowiedniej odległości. Pilot nie trzymał się kurczowo mojego kursu, lecz raczej przecinał go od czasu do czasu, znikał, wracał po kilku minutach. Nie zawsze był to ten sam samolot. Czasami pojawiał się jednosilnikowiec z wysoko umieszczonymi skrzydłami, a innym razem smukła maszyna z cygarem silnika na obu skrzydłach. Wyobraziłem sobie, jak Harry Abbott wykreśla mój kurs, a szpileczki wbijane w mapę idą coraz bardziej na wschód, w stronę francuskiego wybrzeża.

Na wschód z odchyleniem na południe odbiornik Decca zauważył pierwsze uderzenie przeciwnego prądu. Od tej pory, aż do późna w nocy, woda będzie opływać Cap de la Hague i wlewać się do akwenu Wysp Normandzkich. Zmieniłem kurs nieco bardziej na północ, by zniwelować odchylenie spowodowane prądem i wiedziałem, że od tej pory będę musiał zmieniać kurs na coraz bardziej północny, aby utrzymać kierunek wschodni. Szybkość „Marianny” względem morskiego dna spadła, a ponieważ płynęliśmy nieco bokiem do wzburzonych fal, „Marianna” zaczęła się brzydko kołysać. Poświęciłem jeszcze trochę szybkości, opuszczając miecz. Dzięki temu kołysanie nieco osłabło, ale „Marianna” nadal była dość wrażliwa na fale i co chwilę wpadaliśmy w dolinę, a woda z hukiem przelewała się przez pokład. Jeśli ta zabawa wkrótce się nie skończy, czeka mnie chłodna i mokra noc.

Ale nie ja wymyśliłem tę zabawę, tylko ktoś inny. I ten ktoś zaplanował wszystko dokładnie. Gdzieś pod wieczór ujrzałem mgłę na południu i wschodzie horyzontu. Na początku miałem nadzieję, że to daleki brzeg, ale wkrótce poznałem prawdę: zbliżała się mgła. Moi przeciwnicy musieli wybrać dzisiejszy dzień z powodu prognoz pogody ostrzegających przed mgłą. Zapewne gdzieś w gęstej chmurze otulającej morze rozegra się finał tej zabawy. Wiedziałem, że kiedy wpłynę we mgłę, kontrolujący mnie samolot będzie musiał zawrócić i nawet wojskowy radar nie będzie w stanie wytropić tak małej łódki, jak „Marianna”.

Harry chyba podzielał moje obawy, bo kiedy byłem nie więcej niż milę od ściany mgły, dwusilnikowy samolot zanurkował jak bombowiec, wyrównał lot tuż nad powierzchnią morza i pomknął w moim kierunku. Pilot błysnął mi jasnymi

światłami pozycyjnymi, jakbym go nie zauważył. Maszyna przemknęła tak blisko mnie, że pęd powietrza aż wybrzuszył żagle „Marianny” w drugą stronę. Moja żaglówka była tak mała i lekka, że przez chwilę wydawało się, że wykona przewrótkę, ale jakoś udało jej się utrzymać równowagę.

Samolot zawrócił, lecz tym razem leciał wolniej i znacznie dalej ode mnie. Zerknąłem do góry i ujrzałem brzydką twarz Harry’ego. Pokazywał gestami na zachód, dając mi do zrozumienia, bym zawrócił. Samolot odleciał, i znów się do mnie zbliżył. Harry raz jeszcze pokazał mi kierunek zachodni.

Obejrzałem się. Na horyzoncie pojawiła się mała, szara smuga dymu. Domyśliłem się, że to kuter patrolowy Królewskiej Marynarki Wojennej wreszcie płynie, by dotrzymać mi towarzystwa. Kuter musiał podążać za mną krok w krok, kryjąc się za horyzontem i korzystając ze wskazówek pilota samolotu. Jednak teraz, zapewne na polecenie Harry’ego, szybka jednostka zbliżała się do mnie, by dopilnować, że zastosuję się do zaleceń inspektora Abbotta. Obawiał się o moje bezpieczeństwo w gęstej, nieprzeniknionej mgle, a może – i to wydało mi się bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem – to sir Leon obawiał się, że korzystając z mgły odpłynę z nie rejestrowanymi obligacjami wartości czterech milionów funtów.

Dałem Harry’emu znak ręką, żeby się nie martwił, ostro przekręciłem rumpel „Marianny” i ustawiwszy ją do wiatru, włączyłem silnik. Samolot minął mnie, zakołysał skrzydłami, pochwalając moje posłuszeństwo i wzniosł się do góry. Silnik popchnął mnie na zachód. Kuter patrolowy chyba przestał się zbliżać. Dla Harry’ego zabawa dobiegła końca. Mogliśmy jedynie lizać rany i liczyć na to, że przeciwnicy znów się odezwą.

Rzecz w tym, że mnie nie odpowiadało takie bezpieczne wyjście. Musiałem pomścić swoją dziewczynę i zaspokoić ciekawość, więc odczekałem, aż samolot zniknie na dobre i ponownie zawróciłem. Wypuściłem żagle, by złapały słabnący wiatr i dodałem gazu ile tylko dawał z siebie mały silniczek. Teraz ścigałem się z kutrem patrolowym, ale miałem nad nim trochę przewagi dzięki udanemu posłuszeństwu. Minie kilka minut, nim zorientują się, że zawróciłem na wschód. Podniosłem miecz, żeby zyskać jeszcze trochę cennej prędkości i pędziłem na złamanie karku w stronę mgły, która zbliżała się coraz bardziej od południa. Teraz dzieliła mnie od niej nie więcej niż mila. Wyglądała pięknie, taka biała...

Ale wiedziałem, co kryje się wewnątrz.

Oglądałem się raczej na zachód, niż na wschód. No i oczywiście, po kilku minutach ujrzałem daleko szary punkt wśród fal. Wyścig rozpoczął się na dobre: rozpadający się francuski jachcik zbudowany z drzewnych odpadów i kleju przeciwko turbinom kutra patrolowego. Tyle że rozpadający się jachcik był już o krok od zbawiennej mgły.

Otoczyły mnie pierwsze pasemka i poczułem nagły spadek temperatury. Mgła powstała z ciepłego powietrza, które znalazło się nad chłodnym morzem, ale woda odessała całe ciepło i miałem wrażenie jakbym nagle z lata wpłynął w zimę. Silnik pracował wciąż pełną mocą, a lekka „Marianna” przeskakiwała od fali do fali. Obejrzałem się i zobaczyłem, że mgła mnie otacza. Trzymałem nie zmieniony kurs, ale mniej więcej w minutę po tym, jak czubek mego masztu skrył się w nieprzeniknionych oparach, skręciłem ostro w lewo, tak że płynąłem już ukryty i pod prąd. Liczyłem na to, że załoga ścigającego kutra pomyśli, że popłynąłem z prądem, by woda nadała mi jeszcze większą prędkość. Nagle hałas silnika wydał mi się wręcz ogłuszający. Liczyłem sekundy. Minęła minuta, dwie, wreszcie wyłączyłem silnik i pozwoliłem „Mariannie” dryfować.

Cisza.

Żagle, bom i wszystkie powierzchnie zdążyły się już pokryć wilgocią. To był mgła – gigant, matka wszystkich mgieł na świecie: gęsty, szary potwór, który ograniczył widoczność do niecałych trzydziestu jardów. Temperatura spadła chyba o dwadzieścia stopni.

„Marianna” kołysała się na falach. Wewnątrz mgły wiał wiatr, dość silny by łopotać wilgotnymi żaglami, więc naciągnąłem płótna i skierowałem dziób jachtu na północny wschód. Nie wypuszczałem ich do końca, bym mógł usłyszeć zbliżający się kuter patrolowy.

Nic, tylko cisza.

Nagle, najwyraźniej niedaleko od prawej burty, usłyszałem odgłos silnika pracującego na wolnych obrotach. Wiedziałem, że ta bliskość może być zwodnicza, bo mgła potrafi wyprawiać z dźwiękiem różne niespotykane rzeczy. Kuter mógł się znajdować nawet o sto jardów od lewej burty, albo o milę od prawej. Pewne było tylko to, że będą się usilnie wpatrywać w radar, ale bez reflektora żagle i drewniany maszt „Marianny” dawały im słabe echo, zacierane jeszcze przez wilgotne

powietrze. Prawdopodobnie „Marianna” dawała nie większe echo, niż grzywy fal.

We mgle było ciemno, zimno i wilgotno. Gdyby nie Kompas, zgubiłbym się w mgnieniu oka, a tak człapałem naprzód. Trzymałem północno-wschodni kurs, ale prąd znosił mnie niemal prosto na wschód. Przyjąłem, że kuter będzie krążył wokół, penetrując otaczającą biel. Liczyłem na to, że udało mi się oszukać ich i odciągnąć dość daleko na południe, a potem zacząłem mieć nadzieję, że uciekłem im całkowicie, przekraczając niewidoczną granicę, która oddzielała wody Francji od wód Anglii. Tę szczęśliwą myśl uczciłem pociągając wewnętrzną stroną dłoni po bomie i zlizując w ten sposób zebrane krople. Zupełnie zaschło mi już w gardle, więc świeża woda bardzo mi smakowała.

Nagle usłyszałem ryk silników kutra, który po chwili ucichł i znów się pojawił. Obróciłem się w przerażeniu, ale niczego nie zobaczyłem. Po chwili wydało mi się, że widzę we mgle ciemny, smukły kształt, ale okazało się, że to po prostu ciemniejsze pasmo mgły. Usłyszałem dzwon okrętowy, wyraźnie od lewej burty. Potem doszedł mnie z daleka czyjś krzyk i zastanawiałem się, czy to już nie koniec gry. Czyżby znaleziono w końcu Garrarda i Peela? Już po wszystkim? Czy Harry przechytrył moich przeciwników i aresztował ich? Czy Elizabeth siedziała już w pokoju przesłuchań i powoływała się na swoje szlacheckie pochodzenie? Na tę myśl omal nie krzyknąłem w odpowiedzi, ale był tylko jeden sposób, by upewnić się czy to koniec zabawy: dotrzeć do jej finału, więc siedziałem cicho i sunąłem naprzód moją łódką.

Po upływie trzydziestu minut podniosłem żagle wyżej i „Marianna” zaczęła rozbijać dziobem fale. Mgła była dokładnie taka, jak opisywał ją rano Charlie: wcale nie tłumiła wiatru, to wiatr ją niósł. Mgły w tej części wybrzeża mogą osiadać siłę wichury, spowite nią wiatry potrafią zatapiać statki. Południowo-wschodni wiaterek na pewno nie rozgoni takiej mgły, a jedynie trochę ją zakreści. Po śladzie, który „Marianna” zostawiła na wodzie, stwierdziłem, że płyniemy z prędkością blisko trzech węzłów, ale bez silnika ten mały jachcik nie był w stanie poruszać się szybciej.

Nie słyszałem już kutra. Minęła może godzina, może więcej. Upływ czasu uświadamiało mi jedynie ciemnienie mgły: z perłowej szarości zmieniła się w brudny dym. Dzięki moim zabiegom zniosło mnie trochę za daleko i odbiornik

Decca nakazywał mi skrócić o dobre piętnaście stopni na południe. Posłuchałem tego zalecenia. Nie uruchamiałem silnika w obawie, że załoga kutra nie dała jeszcze za wygraną. Minęła kolejna godzina i brudna szarość zmieniła się w wilgotną ciemność. Nie widziałem ani nie słyszałem już kutra. Byłem sam. Nie obserwował mnie radar, ludzkie oko, ani samolot. Pozostały tylko bezduszne polecenia odbiornika Decca, które wciągały mnie w głąb ciemniejącej mgły.

Była to ogromna pustka. Zimna i przerażająca samotnia. Morze straciło wszelkie kolory i stało się monotonnie szare i czarne, gdzieniegdzie przerywane białymi plamkami piany. Chwilami wpływałem w mniej nieprzeniknione obszary mgły, ale zawsze potem spowijały mnie opary, niekiedy tak gęste, że zupełnie traciłem z oczu dziób „Marianny”. Kiedy zapadła noc, miałem wrażenie, że płynę w gęstej, czarnej i milczącej nicości. Kompas nie miał oświetlenia, przez mgłę nie przebijało się światło księżyca ani migotanie gwiazd. Było ciemno, ale nie zupełnie cicho: o kadłub uderzały fale, skrzypiał naciągnięty takielunek i maszt, lecz nie słyszałem wcale szumu morza, bo wszystko pochłaniała mgła. Przemokły też moje zapalki, ale jakoś udało mi się zapalić fajkę, ostatnią, która cudem nie zawilgotniała.

Było mi zimno i powoli zacząłem dochodzić do wniosku, że tracę tylko czas. Może Harry wygrał i teraz bez potrzeby płynąłem na oślep w stronę zdradliwego wybrzeża na północ od Carteret. Na pewno do tej pory, snułem rozważania, moi przeciwnicy już by się ujawnili, ale jak na razie nic nie zakłóciło gęstej, pustej nocy. Zgasła mi fajka. Próbowałem zapalić ją inną zapalką, ale wszystkie nadawały się do wyrzucenia. Kolację zastąpiła mi wilgoć z bomu, którą zebrałem do zwiniętej dłoni i wychłptałem jak pies. Zacząłem uderzać ramionami o piersi, by się rozgrzać, ale wciąż drżałem z zimna.

– Piętnaście – odezwał się głos w krótkofalówce i omal nie krzyknąłem ze strachu i zaskoczenia, usłyszawszy tę wypowiedzianą z nienacka liczbę. Minęło już tyle czasu od ostatniego polecenia, aż tu nagle radio zaskrzeczało. Ruszyłem się więc i rozejrzałem po otaczającej mnie ciemności, jakby licząc na to, że gdzieś w pobliżu dojrzę moich przeciwników. W ciemności nic się nie poruszało. Było tak mroczno, że nie widziałem nawet mgły. Ciemność była absolutna. Ślepa czerń. Czuję mgłę na skórze, ale nic nie widziałem.

– Piętnaście – powtórzył głos, tyle że tym razem polecenia nie wydała mi prezydentka pogody, lecz jakiś mężczyzna. – Piętnaście – powtórzył jeszcze raz, jakby nie dowierzał elektronicznym cudeńkom, które miał pod ręką. Tym razem rozpoznałem chłodny, ostry głos Garrarda.

Wśliznąłem się do kabiny i wcisnąłem klawisze urządzenia. Małe, podświetlane cyferki kazały mi skrócić na południowy wschód, w kierunku miejsca odległego o 6.4 mili. To tylko dwie godziny drogi, a z pomocą prądu jeszcze mniej. Wiedziałem, że finał gry zbliża się wielkimi krokami, ponieważ przeciwnicy byli zmuszeni zostawić radio, przez które puszczały mi głos nagrany na taśmie. Teraz zapewne korzystali z radia na pokładzie jachtu. Czekali tam na mnie zabójcy, którym jednak brakowało tej pewności siebie, co głosowi z taśmy. Nowy dyspozytor szybko, trzykrotnie powtarzał następny kurs. Nie ufali tym urządzeniom i ten brak zaufania dowodził, że byli zdenerwowani. Garrard był pewnym siebie i pojętym człowiekiem, ale prawdopodobnie nigdy nie żeglował. Być może przerażała go bezdenna czerń nad bezbarwnym morzem i ta myśl wydała mi się promykiem nadziei w chłodnej ciemności.

Po zwrocie „Marianna” płynęła swobodniej. Teraz zamiast walczyć z nurtem wody, płynęliśmy z prądem. Wiatr zmienił kierunek na południowy, więc zapowiadała się szybsza podróż – już słyszałem obiecujący łopot żagli i syk rozbijanej dziobem wody.

– Piętnaście – powtórzył Garrard, a ja poczułem ogromną radość. Był zdenerwowany. Powiedziano mu, co ma zrobić, a on nie ufał tym instrukcjom. Upewniał się powtarzając liczby, a owe powtórki zdradziły mi jego niepewność. Nie czuł się dobrze w tej sytuacji, za to ja spędziłem całe lata na oceanach. Nie była to oszalała przewaga, ale zawsze coś. No i jeszcze dwa zwoje liny.

Więcej nie powtarzał kursu. Przestałem zauważać zimno, ponieważ wyteżałem wszystkie swe myśli, a wyniki owych rozważań dodawały mi pewności siebie. Do tej pory bawili się ze mną w kotka i myszkę. Prowadzili mnie różnymi kursami, ale nie pozwolili dopłynąć do żadnego z wyznaczonych punktów. Wykorzystywali jedynie same kursy i kiedy płynąłem już wystarczająco długo wzdłuż danej linii, kierowali mnie w inną stronę.

Ale obecny punkt leżał bardzo blisko, co sugerowało, że właśnie tam mogło nastąpić nasze rendez-vous. Moi przeciwnicy, myślałem, nie wyznaczyliby

spotkania w jakimś punkcie na morzu, wytyczonym przez przecięcie się dwóch kursów, ponieważ taki układ dwóch niewidocznych linii biegnących przez morze daje zbyt duży margines błędu. Któraś z łodzi może minąć wyznaczony punkt, a odbiornik Decca tego nie pokaże, ów ostrożny, bystry umysł, który to wszystko zaplanował, wyznaczył na miejsce spotkania sam punkt docelowy któregoś z kursów. Krzemowe układy odbiornika Decca miały zawieść jacht dokładnie w to miejsce. Gdybym przypadkiem minął punkt docelowy, odbiornik by mnie przed tym ostrzegł. Dzięki niemu cztery miliony funtów płynęły dokładnie tam, gdzie chcieli szantażyści, ale zarazem dzięki odbiornikowi wiedziałem dokładnie, gdzie czekają moi przeciwnicy. Zastawili pułapkę, lecz bym trafił do tej pułapki, musieli zdradzić ofierze jej położenie. Wiedziałem, gdzie oni są, ale oni nie wiedzieli, gdzie ja jestem. Byli jedynie przekonani, że dzięki elektronicznym sztuczkom powinienem wpaść prosto w ich łapska.

Dzięki ci więc Boże za tę ich przebiegłość, bo dzięki niej mogłem jeszcze wygrać.

Obserwowałem odbiornik Decca niczym jastrzęb. Prąd przybierał na sile i pomagał mi. Zwiększyła się prędkość „Marianny”: 3 węzły, 3,1, 3,5. Odległość od wyznaczonego punktu szybko się zmniejszała. Za bardzo zboczyłem na lewo i odbiornik mnie o tym poinformował, więc kręciłem sterem dopóty, dopóki urządzenie nie stwierdziło, że płynę właściwym kursem. 3,8 węzła, wreszcie 4. Zacząłem rozglądać się za jakąś bronią. Była antena odbiornika, podobna do bata, lecz niezbyt wygodna do noszenia i mogłem ją odczepić dopiero w ostatniej chwili. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy dałbym radę wykręcić oś napędową z silnika, ale wiedziałem, że bez narzędzi to prawie niemożliwe. Nie miałem więc nic poza dwoma zwojami liny cumowniczej.

Miałem jeszcze spryt, tyle że nie na wiele mógł się zdać, bo Garrard na pewno wiedział, o której się mnie spodziewać w wyznaczonym punkcie. Prąd nie zostawił mi większego wyboru: musiałem zbliżyć się do nich od północy, za to mogłem manipulować czasem przybycia na miejsce. A na razie robiłem dokładnie to, czego Garrard się spodziewał. Czekał na mnie, lecz ja musiałem napiąć mu nerwy do granic wytrzymałości. Skręciłem więc dziób „Marianny” na wschód. Byłem pewny, że Garrard się nie podda. Na pokładzie miałem cztery miliony, a to

wystarczający powód, by wiedzieć to na pewno.

Ale dlaczego, rozmyślałem, to właśnie Garrardowi zaufano, że odbierze pieniądze? To, że Elizabeth nie chciała mieć nic wspólnego z wymianą, mogłem zrozumieć, ale dlaczego zaufano kanciarzowi? Nie powierzyłbym mu nawet czterech pensów, a co dopiero cztery miliony funtów. Jedyną rozsądną odpowiedzią było to, że Elizabeth poległa na braku żeglarskich zdolności Garrarda. Był na jachcie, na którym najprawdopodobniej zainstalowano taki sam odbiornik Decca, jak na „Mariannie”. Dopóki dokładnie wykonuje zaprogramowane polecenia odbiornika, jest bezpieczny, ale jeśli przyjdzie mu do głowy wprowadzać jakieś poprawki kursu, zgubi się na najniebezpieczniejszych wodach świata. Na wschodzie leżał osłonięty od wiatru brzeg, na zachodzie i południu znajdowały się skały rozsiane wokół wysp i okrutne skały Minkies, zaś na północy można było się natknąć na groźne pływy w okolicach Alderney i Swinge. Ta myśl napełniła mnie nową otuchą. Ja byłem żeglarzem, a w tej sytuacji to coś znaczy.

– Piętnaście – odezwał się znów Garrard, chyba w godzinę po ostatnim poleceniu. – Piętnaście.

A więc się denerwowałem. Zastanawiał się, dlaczego owieczka nie stawiała się na rzeź w porę. Będzie czekał w wyznaczonym punkcie cały w nerwach, wpatrywał się w północny zachód czarnej nicości i zastanawiał się, czy cały plan nie wzięty przypadkiem w łeb. Płynąłem dalej na wschód. A niech się drań martwi.

Odbiornik Decca wciąż pokazywał mi aktualne odchylenie od właściwego kursu. Płynąłem nadal na wschód jeszcze długo po tym, kiedy zauważyłem, że punkt docelowy znalazł się dokładnie na południe ode mnie. Płynąłem jeszcze zdaje się przez godzinę i dopiero wtedy zwróciłem dziób „Marianny” na południowy zachód. Odbiornik wytyczył mi kurs, niewidzialną drogę do mojej zemsty.

Teraz znowu odległość od punktu zaczęła się zmniejszać. Prąd mi sprzyjał i „Marianna” robiła 4.5 węzła. 2 mile do celu, 1.9. Wiatr przybrał na sile. Wiał w przeciwną stronę niż prąd, dokładnie z taką siłą, by tworzyć małe, złośliwe falki, po których lekki kadłub „Marianny” skakał jak piłka.

Kiedy od celu dzieliła mnie tylko mila, opuściłem grotę. Zwisiał bezwładnie z bomu. Prędkość „Marianny” spadła. Puściłem kliwra w łopot i odczekałem, aż

jacht się zatrzyma, po czym kołysząc się wraz z nim, pochyliłem się nad odbiornikiem. Chciałem przekonać się, w którym kierunku znosi mnie prąd. „Marianna” nie poruszała się w stosunku do wody, ale w odniesieniu do morskiego dna płynęła na południe z prędkością pół węzła. Nie dryfowaliśmy dokładnie na południe. Według Decca nasz obecny kurs wynosił 144, czyli z lekkim odchyleniem na wschód. Jeśli zarys planu, który powstawał w mojej głowie miał się powieść, musiałem znać dokładnie siłę i kierunek prądu. Musiałem też mieć cholernie dużo szczęścia, żeby ów plan się powiódł.

Wciągnąłem kliwra tak, by „Marianna” posuwała się powoli przed siebie. Odbiornik Decca poinformował mnie, że od wyznaczonego punktu dzieli mnie jeszcze mila, potem zadanie „Marianny” się zakończy. Wpatrywałem się w ciemną mgłę, wyglądając choćby smugi cienia, jakiegoś wyraźniejszego kształtu w nocy, światła, czegokolwiek, co zdradziłoby moich przeciwników.

Wpatrywałem ich, ale najpierw ich usłyszałem.

Muzyka klasyczna. Vivaldi, pomyślałem.

Przekręciłem ster mocno w lewo tak, by „Marianna” powoli się obróciła. Unieruchomiłem ster. „Marianna” płynęła teraz na północny zachód. Znów pochyliłem się nad odbiornikiem i odczekałem, aż poinformuje mnie, że punkt znajduje się dokładnie o 144 stopnie od mojego kursu. Kiedy tak się stało, wyszedłem na pokład, odwiązałem ster i opuściłem kliwra na pokład dziobowy. Od przeciwników dzieliło mnie ćwierć mili, dryfowałem w kierunku cichej, zdradzającej ich pozycję muzyki. „Marianna” kołysała się na falach, a słodkie dźwięki rozchodziły się nieprzerwanie po wodzie. Dryfowałem w kierunku pułapki, niesiony słabnącym prądem. Wciąż patrzyłem na południe.

Ujrzałem światło, na które czekałem i wiedziałem już, gdzie jestem.

Światło migotało szybko, widziałem tylko zanikające we mgle błyski.

Mgła tak bardzo je tłumiła, że błyski wyglądały na przypadkowe migotanie, ale wiedziałem, że to białe światło migające szybko w seriach po dziewięć razy.

Boja ostrzegawcza. Boja oznaczająca niebezpieczne miejsce. W tej części morza była tylko jedna, którą doskonale pamiętałem. Jeśli miałem rację, byliśmy o

cztery, pięć mil od francuskiego wybrzeża, chronionego przez śmiertelnie niebezpieczne skały zwane Les Trois Grunes, oznaczone pojedynczą boją ostrzegawczą, która leżała na zachód od groźnego brzegu. Zaufałem wspomnieniom z dawnych dni, kiedy wraz z Charliem polowaliśmy na tym obszarze.

To, że boję wyznaczono na punkt spotkania, jak najbardziej miało sens. Garrard, jak podejrzewałem, był żeglarskim zerem. Stawianie czoła wiatrowi i utrzymanie jachtu w jednym miejscu, nawet przy pomocy odbiornika Decca, byłoby dla niego zadaniem nie do wykonania. Poprowadzono go więc do tej samotnej boi, do której zapewne przywiązał swoją łódź.

Znów błysnęło światło i tym razem ujrzałem jacht, który rzeczywiście, wbrew przepisom, przywiązano do boi. Był to kuter z niską rufą i sterówką ustawioną za podniesionym pokładem dziobowym. Musiał mieć mniej więcej trzydzieści stóp długości. Dość duża łódź, mocna i wystarczająco solidna, by jej niedoświadczona załoga poczuła się pewnie. Mrugnąłem ujrzawszy nowe źródło światła, tym razem reflektor-szperacz, który świecił w mgłę. A więc Garrard nie tylko dał się słyszeć, ale także i widzieć. Nie ufał zabójcom, jeśli nie są dobrymi żeglarzami. Na lądzie nie chciałem się spotkać z Garrardem, ale tutaj to ja byłem w swoim żywiole, a nie on.

Zamknąłem wejście do kabiny „Marianny”, zostawiając pieniądze pod pokładem. Z podłogi kokpitu wzięłem zwój liny i owinąłem ją sobie wokół pasa. Dryfowałem wprost na kuter i nawet nie przyzwyczajony do ciemności Garrard wkrótce spostrzeże „Marianę”. Czas więc było wyruszyć. Wzięłem głęboki oddech i opuściłem się do wody przy lewej burcie mojego jachtu.

Woda była bardzo zimna. Co prawda był koniec lata, ale w Kanale woda zawsze potrafi być lodowata. Drżałem i trząsłem się, ale musiałem zaskoczyć moich złoczyńców. Zdenerwowałem ich, przypływając z opóźnieniem, a teraz musiałem podrażnić ich jeszcze bardziej, znikając.

Odpląnąłem żabką od „Marianny”. Prąd znosił i ją i jego na południe, może z nieco za dużym odchyleniem na wschód od boi. Z wody nie widziałem teraz światła, ale płynąłem na południe i pokładałem w Bogu nadzieję, że nie pomyliłem prądów. Próbowałem dotrzymać kroku „Mariannie”, jednocześnie zachowując

odpowiednią odległość, by nie zostać zauważonym, kiedy już dostrzegą jacht. Lina zawiązana wokół pasa nasiąkała wodą i groziło, że pociągnie mnie na dno.

Mgła otuliła mnie tak szczelnie, że nie widziałem nawet „Marianny” . Młóciłem wodę. Lina stawała się coraz cięższa i przez chwilę zacząłem się bać, że minąłem boję ostrzegawczą, ale wtedy ujrzałem dziewięć błysków przebijających ścianę mgły i usłyszałem fale uderzające o kadłub czekającego kutra. Znów ujrzałem światło szperacza, przefiltrowane i wchłonięte przez mgłę. Tym razem z kutra ujrzano zarys kadłuba „Marianny” i usłyszałem krzyk. Muzyka nagle ucichła.

– Wyłaż na dziob! – Głos Garrarda zabrzmiał wyraźnie i donośnie jak dzwon. Na pokładzie kutra ujrzałem dwóch mężczyzn. Spółka Garrard i Peel zamierzała dokończyć swą robotę.

Płynąłem na południe. Słyszałem krzyki Garrarda. Zakładał, że jestem na pokładzie „Marianny” i kazał mi sterować w kierunku kutra. Drżałem. Pasma mgły skryło kuter przed moimi oczyma, ale wtem usłyszałem odgłos zapalnego silnika i przestraszyłem się, że zostanę na zawsze w tej lodowatej wodzie. Zacząłem płynąć w panice w kierunku dźwięku i oślepiających teraz błysków boi ostrzegawczej.

Garrard musiał odpłynąć od boi Zbliżał się teraz kutrem do kołyszącej się na falach „Marianny”. Dobrze oceniłem dryf, ale nie na tyle dokładnie, by mały jacht trafił w sam środek boi, więc Garrard musiał do niego podpłynąć. Miał do przepłynięcia jakieś piętnaście jardów. Obydwie łodzie znajdowały się na wschód ode mnie, a ja płynąłem zawzięcie, tuż obok wysokiej, żółto-czarnej boi, która podskakiwała na krótkich, ostrych falkach. Światło z boi błyskało na rufie kutra, od której dzieliło mnie teraz już tylko kilka jardów. Usłyszałem trzask drewna – to Garrard źle obliczył odległość i uderzył dziobem w kadłub „Marianny”. Silnik kutra uciszył się i pomrukiwał na jałowym biegu. Na dziobie stał mężczyzna z bosakiem – sądząc po wzroście i wadze, zapewne Peel. Nagle, kiedy przyłożył go do ramienia, zrozumiałem, że to nie bosak, lecz strzelba lub karabin.

Podpłynąłem nieco bliżej. Szczękałem zębami.

– Nie widzę sukinsyna. – To głos Peela.

– Jest w środku. – Garrard skrywał się przed chłodem nocy w jasno oświetlonej sterówce. Widziałem, jak zapala papierosa.

Potem wpłynąłem pod sklepienie rufy i straciłem go z oczu. Za moimi plecami błysnęła boja i w tym krótkim błysku zdołałem odczytać nazwę kutra wymalowaną tuż nad moją głową: „Wichrzyciel mgieł” z Poole.

Chryste, ależ zimno. Z powodu niskiej temperatury wszystko robiłem o wiele wolniej. W poranionych kostkach czułem tępy ból. Zamierzałem jakoś wejść na pokład kutra, kiedy zajmą się „Marianną”, ale wątpiłem, czy znajdę na to dość sił. Wydaje się to łatwe: wejść na pokład, ale na wzburzonym morzu, bez pomocy drabinki lub drugiego człowieka, takie wejście może kosztować sporo wysiłku. Rufa kutra była niska i długa, a burta niezbyt wysoka, ale wszystko sprawiało mi o wiele więcej trudu z powodu chłodu i osłabienia.

– Wejdz na pokład! – krzyknął Garrard. Domyśliłem się, że Peel chwycił wanty „Marianny”, trzymając ją w ten sposób wzdłuż kadłuba „Wichrzyciela mgieł”, i bał się przeskoczyć między chwiejącymi się nierówno kadłubami. – Przywiąż ją najpierw, na miłość boską! – Nerwy Garrarda były już chyba napięte jak postronki, ale musiał odwrócić szperacz, by pomóc Peelowi, ponieważ ujrzałem nagle wokół siebie rozproszone przez mgłę odbite światło reflektora. – Zostaw tę cholerną strzelbę, durniu! Przywiąż łódź i wejdz na pokład!

Nie widzieli mnie. Oślepią ich szperacz i zbyt byli skupieni na związaniu podskakujących łodzi.

– A teraz skacz! – Usłyszałem Garrarda komenderującego ze swej sterówki.

Siedziałem pod rufą „Wichrzyciela mgieł”. Kuter podskakiwał w górę i w dół. Obawiałem się, że za którymś razem mogę dostać w głowę. Około stopy nad linią zanurzenia znalazłem uchwyt na zewnętrzny silnik i spróbowałem się go złapać. Za pierwszym razem mi się nie udało, a kadłub uderzył mnie boleśnie w lewe ramię. Spróbowałem ponownie. Udało się i teraz łapczywie chwytałem ustami powietrze.

Musiałem działać szybko, ale nie było to łatwe. Bujanie „Wichrzyciela mgieł” groziło wyrwaniem mojego lewego ramienia ze stawów, ale trzymałem się, a prawą ręką odwiązywałem linę, którą byłem przepasany. Był to zwój starej liny z manili, po prostu wyrzucony przez kogoś śmieć, aczkolwiek doskonały do moich planów. Tyle że palce miałem tak zgrabiłe, że nie wiedziałem czy zdołam zrobić

to, co zaplanowałem. Mocowałem się z liną i omal jej nie upuściłem w morską toń, ale wreszcie udało mi się ją omotać wokół uchwytu silnika. Wzięłem głęboki oddech, chwyciłem lewą ręką koniec liny i zanurkowałem pod kołyszącą się rufę.

Rzuciłem się do przodu; niczego nie znalazłem, za to oberwałem porządnie w lewy bark od spadającego kadłuba i musiałem wrócić na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Wzięłem kolejny głęboki wdech i ponownie zanurkowałem, kierując się wzdłuż rufy „Wichrzyciela mgieł”. Metalowy ster otarł się o mój bolący i krwawiący bark. Pod wodą było czarno. Czarno, lodowato zimno, nie było powietrza, za to był przerażający strach. Kilka ton kołyszącej się łodzi unosiło się i opadało nad moją głową. Wyciągnąłem rękę i znalazłem to, czego szukałem. Trójskrzydłowa śruba umieszczona pośrodku rufy. To oznaczało, że jest tylko jedna śruba i jeden silnik. Wciąż pracował na jałowym biegu i jego pulsowanie przepętniało podwodną czerń jeszcze większym strachem.

Za sobą ciągnąłem linę. Trzymałem się śruby, która drżała od wibracji silnika. Gdyby Garrard włączył teraz bieg, straciłbym rękę.

Wcisnąłem linę w wąskie miejsce między śrubą a sterem. Na gwałt potrzebo wałem powietrza, ale najpierw musiałem przywiązać linę. Okręciłem ją wokół górnego skrzydła śruby i jeszcze raz zawiązałem. Wypląnąłem spod rufy i wystrze liłem na powierzchnię, gdzie chwytałem powietrze jak ryba wyciągnięta z wody.

– Nie ma go tutaj – usłyszałem głos Peela. Oddychałem łąpczywie i z pewnością było to sły chać, ale ci dwaj byli zbyt zajęci, by zwracać na to uwagę.

- Musi tam być! – zachnął się Garrard.
- Ale go, cholera, nie ma.
- No to poszukaj tej pieprzonej forszy!

Znów zanurkowałem, podpląnąłem do przodu i tym razem – ponieważ wiedzia łem, gdzie jest śruba – miałem więcej czasu na pracę. Miałem czas, ale strach i zimno sprawiały, że pracowałem niezdarnie. Przypomniałem sobie stare zasady obowiązujące przy pracy na morzu: nie spiesz się i nie rób wszystkiego na raz. Co prawda zmarłem na kość i byłem przerażony, ale musiałem owinąć linę wokół śruby „Wichrzyciela mgieł”. Nity kadłuba raniły mi plecy do krwi, gdy wpychałem manilę w przerwy między skrzydłami śruby. Zakończyłem pracę, okręcając linę dwukrotnie wokół steru, po czym z bólem w piersiach wycofałem się i

pomknąłem ku powierzchni. Chryste, pomyślałem wynurzając głowę, muszę rzucić palenie.

– Forsa jest, ale facet musiał wypaść za burtę i utonąć – krzyknął Peel z „Marianny”.

– Gównu mnie obchodzi, co się z nim stało – powiedział Garrard. – Wracaj już!

Ścisnąłem uchwyt silnika na rufie „Wichrzyciela mgieł”. Bolały mnie płuca, plecy szczypały, było mi zimno, ale wiedziałem, że muszę odepchnąć się od kadłuba, zanim Garrard wrzuci bieg w silniku. Przypuszczałem, że najpierw cofnie, by odплыnąć od „Marianny” i jeśli wykonałem dobrą robotę, to „Wichrzyciel mgieł” nawet nie drgnie, ale mimo to nie chciałem ryzykować: a nuż lina pęknie, śruba zacznie młócić wodę, a ja zostanę wciągnięty pod wodę.

– Połóż to i zamknij się – krzyknął Garrard gdzieś nad moją głową. – I odwiąż tę łódkę! Pospiesz się!

Odpłynąłem już od „Wichrzyciela mgieł” o jakieś trzy, cztery jardy. Usłyszałem jak Peel krzyczy, że odwiązał jacht i ujrzałem Garrarda oglądającego się za siebie, jakby cofał ciężarówkę. Wrzucił wsteczny i usłyszałem ryk silnika.

Nagle ryk ustał, jak nożem uciął.

Po prostu ucichł. Wrzuciwszy wsteczny, Garrard przeniósł napęd na oś śruby, ale śrubę mocno trzymała lina, którą wepchnąłem między skrzydła, i właśnie ten nagły opór zatrzymał silnik tak brutalnie. Na chwilę zapadła cisza, po czym Garrard zaklął, wrzucił bieg jałowy i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik strzelił i zaskoczył. Nad moją głową przeleciał obłok czarnego dymu. Garrard ponownie wrzucił bieg i znów motor zamilkł.

– Ten pieprzony silnik się zepsuł! – pospieszył Peel z wyjaśnieniem.

Garrard po raz drugi zaklął na silnik i ponownie spróbował go uruchomić. Zostawił go na jałowym biegu, dopóki nie złapał właściwego rytmu. Wróciłem do rufy „Wichrzyciela mgieł”, gdzie znowu złapałem za uchwyt silnika. Ujrzałem dryfującą „Mariannę” i usłyszałem, jak Garrard dodaje gazu. Jednak nie zyskał w ten sposób nic, poza spalonym paliwem, które jeszcze bardziej zaciemniło mgłę. Kiedy już silnik pracował z całą mocą, Garrard wrzucił bieg.

Znów nagle zatrzymanie.

– Kurwa jego mać – zaklął brzydtko Garrard.

Modliłem się, by nie próbował ponownie wrzucać biegu. Jeśli zrobi to jeszcze kilka razy, pod naporem siły może pęknąć oś napędowa śruby, a wtedy wszyscy będziemy uwięzieni w tej mgle na dobre. Obejrzałem się i stwierdziłem, że odплыliśmy od boi o dobre dwieście jardów. Znów mgła tłumiła jej błyski. Wiedziałem, że od skał Les Trois Grunes nie dzieli nas zbyt duża odległość. Wiedziałem też, że słabł prąd przyptywu i choć ruch wody powinien znieść nas na południe od niebezpiecznego miejsca, pozostawał jeszcze wiatr, który pchał nas w przeciwnym kierunku. Żeglarz uświadomiłby sobie niebezpieczeństwo, ale Garrard i Peel nie byli żeglarzami.

Usłyszałem odgłos podnoszonej pokrywy silnika.

– W porządku, panie Garrard! – krzyknął Peel.

Silnik zaskoczył. Na biegu jałowym, bez zaklinowanej śruby, chodził jak zegarek.

– Na razie wszystko gra – powiedział Peel z nadzieją w głosie.

Garrard wrzucił bieg.

Silnik zgasł.

Garrard bluznął stekiem przekleństw. Obaj byli amatorami, zepsuł im się silnik i nie wiedzieli, co zrobić. Prawdziwy żeglarz uświadomiłby sobie, że na rufie „Wichrzyciela mgieł” jest gniazdo do zamocowania zewnętrznego silnika i popłynąłby po „Mariannę”, by wykorzystać jej motor. Ale Garrard i Peel o tym nie pomyśleli. Wpadli już w spiralę paniki, która powoduje większość morskich katastrof: zaczyna się od małego niepowodzenia, potem następuje kolejne i powoli, nieuchronnie, nieszczęścia sumują się. Na łódzie żaden z nich nie dałby się tak łatwo przestraszyć, ale tutaj obcość, zimno, ciemność i strach przed morzem podważały ich pewność siebie.

Dryfowali w nocy. Nie zdawali sobie z tego sprawy, ale zmierzali nieuchronnie ku Les Trois Grunes. Tylko raz w życiu widziałem te skały i to z bezpiecznej odległości, ale dobrze zapamiętałem morską kipieli, która je otacza.

Przytulałem się do „Wichrzyciela mgieł”, drżąc i słabnąc z każdą chwilą. Czekalem, aż ich strach wzrośnie jeszcze bardziej.

– To oś napędowa – głos Garrarda rozległ się bardzo blisko nad moją głową i domyśliłem się, że Garrard zapewne wychylał się przez burtę. – Idź i sprawdź to – powiedział wreszcie.

– Nie znam się na silnikach.
– Nie mówię o silniku, durniu! Silnik przecież działa, prawda? Mówię o tej cholernej śrubie. – Garrard w końcu doszedł, co mogło się zepsuć. – Wychył się z tyłu i powiedz mi, co widzisz.

– On tam może być! – Peel przynajmniej nie zapomniał o moim tajemniczym zniknięciu.

Garrard zaklął. Wcisnąłem się pod sklepienie rufy, by Peel nie zauważył mnie, kiedy się wychyli. Modliłem się, by zimno nie wyciągnęło ze mnie ostatnich zapasów sił.

Nagle, mimo zimna, omal nie krzyknąłem ze strachu.

Usłyszałem strzał z broni palnej. Błysk był oślepiający, a huk ogłuszający. Garrard poszedł na rufę i wypalił z dubeltówki w wodę. Gdybym nie schował się pod sklepieniem rufy, dostałbym prosto w czaszkę. Garrard strzelił jeszcze raz.

– Teraz już go tam nie ma, Peel. – Usłyszałem jak ciężka dubeltówka upada na pokład. – Więc wyrzuj, do cholery, a ja spróbuję ruszyć jeszcze raz.

Drżałem ze strachu i zimna, ale przytuliłem się do samego rogu rufy. Peel znajdował się tuż obok mnie, ale nie zobaczyłby mnie nawet, gdybym pomachał mu ręką – oczy miał jeszcze zupełnie nie przyzwyczajone do ciemności.

– Niech pan ruszy! – krzyknął.

Garrard uruchomił silnik, wrzucił bieg i motor zgasł. Zadrzałem i zmówiłem szybką modlitwę dziękczynną, gdyż oś jeszcze nie pękła.

– No i co? – zapytał Garrard. Nie wiem, co spodziewali się zobaczyć. Po prostu szukali po omacku w przerażającej ciemności, chwytając się wszelkiej szansy.

– Nic nie widzę! – krzyknął Peel.

– No to wychył się jak należy, durniu!

Peel wychylił się. Na rufie „Wichrzyciela mgieł” zamontowano małą wciągarkę i Peel przytrzymał się jej, wychylając jak mógł najdalej.

– Niech pan ruszy!

Garrard znów włączył silnik, Peel wychylił się, by spojrzeć w ciemność, a ja podciągnąłem się, korzystając z uchwytu silnika. Kiedy się podciągałem, kadłub kutra opadł na fali tak, że wyskoczyłem z czerni morza rozpryskując wodę, jak topielec powracający do życia. Peel nie zdążył nawet krzyknąć, kiedy chwyciłem

go za kołnierz kurtki. Wpadłem do wody, pociągając go za sobą. Był ogromny, znacznie cięższy niż ja, ale strach i szok dodawały mi sił. I tak już był mocno wychylony, a ja jeszcze go pociągnąłem. Puścił wciągarkę, otworzył usta, by krzyknąć i wpadł do wody. Silnik zaryczał: otoczył nas hałas i dym, a kiedy Garrard wrzucił bieg – zgasł. Puściłem Peela i w panice starałem się uciec jak najdalej, by mnie nie złapał i nie pociągnął za sobą.

Garrard siedzący w oświetlonej sterówce nie miał pojęcia, co zaszło w mglistej ciemności. Krzyknął na Peela, który młócił rękoma wodę i prychał dwa jardy od rufy „Wichrzyciela mgieł”.

– Pomocy! – zdołał wreszcie krzyknąć Peel i zachłysnął się, idąc znów pod wodę. Posuwałem się wzdłuż kadłuba, w kierunku dziobu. Byłem przemarznięty i osłabiony, ale w desperacji korzystałem z ostatnich adrenalin, która dawała mi uczucie ciepła.

– Ty pieprzony idioto! – Garrard wyskoczył ze sterówki i pobiegł na rufę.

– To był on! – krzyczał Peel, po czym jeszcze bardziej przerażonym głosem dodał: – Nie umiem pływać!

Garrard chwycił koło ratunkowe i rzucił je swojemu pomagierowi. Chwyciłem za burtę, zmówiłem modlitwę i podciągnąłem się.

Zdołałem doptynąć aż na wysokość tylnej części sterówki. Burta była tu niższa. Złapałem ją i podciągnąłem się, ufając że Garrard zdjęty paniką nie zauważy mnie.

Ujrzał mnie, gdy przerzucąłem przez burtę prawą nogę. Przez chwilę nie mogłem uwierzyć własnym oczom, ale zaraz zaczął biec, by zepchnąć mnie w morze. Wykończyłby mnie już wtedy, na szczęście z pomocą przyszły mi skały Les Trois Grunes. Zniosło nas w miejsce, gdzie dno morskie wznosiło się, załamując fale. Morska toń pieniała się w tym miejscu i „Wichrzyciel mgieł” nagle zakołysał się na jednej z takich fal. Garrard zachwiał się do tyłu i omal nie wypadł za burtę. W ostatniej chwili zdołał się chwycić wciągarki. To opóźnienie pozwoliło mi przetończyć się przez burtę na pokład. Potrzebna mi była broń, jakakolwiek. Ujrzałem leżący obok odbijacz, więc podniosłem go i rzuciłem na oślep w kierunku Garrarda.

Ten uchylił się. Szperacz zamontowany na dachu sterówki wciąż oświetlał morze przed dziobem kutra i w perłowej mgle ujrzałem, że „Marianna” kołysze się na spienionej wodzie wokół skał. Teraz jednak nie w głowie mi było to

niebezpieczeństwo, lecz znalezienie czegokolwiek do obrony. Dojrzałem jedynie pustą plastikową skrzynkę na ryby, taką, w którą pakuje się świeżo złowione, obłożone lodem sztuki. Chwyciłem ją, odwróciłem się i ujrzałem, że Garrard wyjął swój nóż o długim ostrzu. Zostawił porzuconą strzelbę. Zapewne była nie nabita, a on nie miał w kieszeniach tweedowej marynarki żadnych nabojów.

– Bardzo sprytnie, milordzie. – Uśmiechnął się do mnie. Jego pewność siebie, nadszarpnięta mocno przez noc i morze, teraz powracała, ponieważ znalazł się w sytuacji, w której doskonale dawał sobie radę: jeden na jednego, ze śmiertelnym finałem.

– Bardzo sprytnie – powtórzył i puściwszy wciągarkę zbliżył się do mnie. Podniosłem skrzynkę jak tarczę. „Wichrzyciel mgieł” podskoczył i opadł na dół. Garrard stracił równowagę, a ja natarłem na niego. Wciąż byłem przemarznięty i osłabiony, ale chwiejny pokład nie był dla mnie nowością, zaś dla Garrarda – tak. Zamachnąłem się ciężką skrzynką jak kijem do baseballu w nadziei, że zdołam go wyrzucić za burtę, ale Garrard przyklęknął, unikając mojego szalonego uderzenia i natarł nożem jak oszczepem. Zdołałem w samą porę uskoczyć i próbowałem zmiażdżyć go skrzynką, ale kolejna fala zachwiała nim do tyłu i uniknął mojego ciosu. Słyszałem jak Peel szamocze się w wodzie za rufą. Teraz miał koło ratunkowe i już wkrótce mógł znaleźć się na pokładzie. Morze wokół nas kipiło bielą, zaś pod pokładem dno morskie podnosiło się, rozbijając fale we wrzący chaos.

– Teraz! – krzyknął Garrard, patrząc jednocześnie ponad moim ramieniem w stronę zejścia do kajuty dziobowej. Dałem się nabrać, ponieważ wciąż nie byłem do końca przekonany, czy Elizabeth zaufała Garrardowi i czy nie ukrywa się gdzieś w małej kabinie. Obejrzałem się za siebie na ułamek sekundy i przekonałem się, że zostałem wystrychnięty na dudka. Kiedy odwróciłem głowę w kierunku Garrarda, ten już na mnie nacierał. Rzucił się do przodu z nożem wyciągniętym przed siebie. Próbowałem się zasłonić skrzynką, ale on minął już moją linię obrony i poczułem w prawym boku tępe dźgnięcie. Kuter przechylił się na lewą burtę, mój przeciwnik zachwiał się, a ja uderzyłem go z całej siły skrzynką w twarz. Cios rzucił go w bok, tak że upadł na otwarty luk silnika. Byłem ranny. Krew ciekła po moich mokrych szortach i skapywała na pokład. Garrard upadł ciężko na luk silnika.

Powinienem go wtedy wykończyć, ale chłód nazbyt mnie osłabił. Zdołałem tylko rzucić w niego niezdarne skrzynką. Nic mi to nie dało. Garrard stoczył się z silnika na rufę i podniósł się. „Wichrzyciel mgieł” skakał na falach we wszystkie strony.

Zabójca oparł się o burtę na rufie i odczekał, aż przejdzie fala. „Wichrzyciel mgieł” na chwilę się uspokoił, a mój przeciwnik podszedł kawałek w moim kierunku tanecznym krokiem, jak bokser zbliżający się ostrożnie do kończącego walkę ataku. Właśnie uświadomiłem sobie, jak bardzo osłabiło mnie zimne morze. Drżałem, krwawiłem, chwyciłem łapczywie powietrze i Garrard chyba wiedział, że koniec ze mną. Uśmiechnął się.

– Mamy już dość?

– Odpieprz się. – Mizerna to była obrona.

Garrard wciąż stał przy rufie i jedną ręką trzymał się wciągarki, a drugą dzierżył nóż. Zerkał nerwowo na morze, czekając na spokojniejszą przerwę między falami, by w tej chwili spokoju mnie zabić. Peel trzymał się rufy i nie mógł przenieść swego cielska przez burtę.

– Raz już próbowałeś mnie zabić i ci się nie udało – próbowałem drażnić Garrarda. – Teraz też ci się nie uda.

Roześmiał się.

– Za pierwszym razem wcale nie mieliśmy cię zabić, tylko nastraszyć. – Pochylił się do przodu, ale nagła fala cofnęła go w pobliże wciągarki.

Zastanawiałem się, czy mówił prawdę i czy ów zamach na moje życie w stoczni Cullena nie był po prostu próbą wystraszenia mnie.

– No to dlaczego teraz chcesz mnie zabić?

– A dlaczego nie? – Najwyraźniej dobrze się bawił.

– Niezależnie od tego, ile płaci ci Elizabeth – powiedziałem – podwajam stawkę. – Nie zamierzałem wchodzić z nim w żadne układy, tylko go zabić, ale musiałem go czymś zająć przez kilka sekund.

Udało mi się go rozbawić.

– Twoja siostra nic mi nie płaci. Jesteśmy partnerami! – Naśmiewał się z mojej niewiedzy, ale w tej ironii wyczułem jakąś dziwną nutę delikatności.

– Jesteście kochankami! – powiedziałem zdumiony i zrozumiałem wreszcie, dlaczego powierzyła mu odbiór pieniędzy.

– I partnerami. W końcu ja odkryłem ten obraz i pozwoliłem jej łaskawie

zainwestować w to odkrycie. – Obejrzał się za siebie a ja ujrzałem spokojniejszą dolinę za stromym grzbietem fali i zrozumiałem, że kiedy kuter tam osiadzie, Garrard rzuci się na mnie.

– Jak to odkryłeś go? – zapytałem. – Ukradłeś go razem z Elizabeth!

Roześmiał się.

– Do samego końca udaje pan niewinnego, milordzie, no cóż, jak sobie wasza wysokość życzy, choć niewiele to pomoże. – Obejrzał się ponownie i kalkulował moment nadejścia fali, a kiedy patrzył za siebie, natarłem na niego. Musiał wyczuć ten atak, bo szybko odwrócił głowę w moją stronę i ujrzał, jak zataczam się na szybującym w górę pokładzie kutra, po czym, kiedy dziób opadł w dolinę, Garrard puścił wciągarke i rzucił się na mnie.

Zaatakował nożem. Zamachnąłem się skrzynką, ale jego atak okazał się niewypałem. Odskoczył, a ja puściłem skrzynkę, która uderzyła go w biodro. „Wichrzyciel mgieł” przechylił się do tyłu na grzbiecie fali i ten gwałtowny ruch w połączeniu z moim lekkim ciosem dał mi dostatecznie dużo czasu, by odwrócić się i doskoczyć do wąskiego przejścia za sterówką. Garrard rzucił się za mną, ale nie miał takiego doświadczenia w chodzeniu po pokładzie i rozpaczliwy cios w moje udo nie sięgnął celu.

Byłem pokonany i uciekałem. Chciałem dojść do pokładu dziobowego, skąd mógłbym skoczyć w morze i popłynąć za dryfującą „Marianną”, którą ostatnio widziałem przed dziobem „Wichrzyciela mgieł”. Było mi zbyt zimno i czułem się zbyt słabo, bym mógł pokonać Garrarda, ale mogłem go zostawić tutaj – spętanego i bezbronnego – i popłynąć po posiłki. Nie było to może zbyt odważne, ale przynajmniej rozsądne wyjście z sytuacji.

Garrard rozpaczliwie sunął za mną. Kuśtykałem do przodu. Szperacz nadal świecił, iluminując kipiel wokół Les Trois Grunes. „Marianna” dryfowała o jakieś trzydzieści jardów na prawo od dziobu i kołysała się gwałtownie na wzburzonych falach. To będzie trudny dystans do przeplłynięcia, może nawet zabójczy, ale wolałem zginąć w chłodnej toni morza niż od noża Garrarda. Zacerpnałem powietrze i w zamglonym świetle szperacza ujrzałem drugą strzelbę. Tym razem była to broń Peela, którą musiał porzucić, kiedy wszedł na pokład „Marianny”. Teraz dubeltówka leżała na dziobie „Wichrzyciela mgieł”.

Rzuciłem się w jej stronę. Nagła fala sprawiła, że potknąłem się o brzeg luku dziobowego. Upadłem, ale ruch kutra pomógł mi ześliznąć się na zakrwawionym brzuchu w kierunku czekającej na mnie strzelby. Stalowy uchwyt na pokładzie rozdarł mi udo. Garrard również dostrzegł strzelbę i rzucił się rozpaczliwie z małej platformy obok sterówki. Podniósł nóż. Nagły napór fali podrzucił „Wichrzyciela mgieł” jak piłkę, po czym kuter opadł w dolinę. Nie mogłem dobrze chwycić strzelby zgrabiętymi rękoma i kiedy łódź przechyliła się na prawą burtę, niemal upuściłem broń do wody. Prawie zsunąłem się z pokładu w pogoni za nią i ocaliłem się tylko dzięki temu, że w ostatniej chwili lewą ręką chwyciłem się burty. Pode mną syczała i kipiała biała piana. Garrard krzyczał coś, kiedy pokład znów wznosił się do góry. Wyobraziłem sobie, że to okrzyk zwycięstwa i niemal czułem już głębokie pchniecie jego noża. Strzelba chwiała się w mojej zeszywniałej prawej ręce. Cios jednak nie nadszedł. Garrard krzyczał z wściekłości, bo przechył pokładu rzucił go z powrotem w stronę sterówki.

Przekreśliłem się na plecy. Teraz liczyły się ułamki sekund. Jeśli przeciwnik zdoła mnie dopaść, koniec ze mną, ale jeśli skoki kutra spowolnią jego ruchy i dadzą mi trochę czasu, będę żył. Odwróciłem się, by na niego spojrzeć, ale nie widziałem nic poza oślepiająco jasnym snopem światła ze szperacza. Wciąż niemal zwiślałem za burta, lewą ręką starając się wciągnąć ciało w bezpieczne miejsce. Próbowałem usiąść, ale dziób poszybował do góry i przewrócił mnie z powrotem. Nie widziałem go. Oślepiało mnie światło, paraliżowała słabość i przerażenie. „Wichrzyciel mgieł” spadł z grzbietu fali i tuż obok mnie w górę wystrzelił słup spienionej wody.

Kusiło mnie, by wyskoczyć za dryfującą „Marianną”. Nie wiedziałem nawet, czy ta strzelba była naładowana, czy odbezpieczona, ale nagle w snopie światła szperacza ujrzałem mały srebrny błysk. To było ostrze podniesionego do uderzenia noża, a w chwilę później pojawił się obok niego zarys twarzy z otwartymi ustami i wyszczerzonymi zębami, krzyczącej. Potem światło zasłoniło ciało Garrarda, który rzucił się w moim kierunku.

Kciukiem szukałem kurków strzelby. Nie było na to czasu. Krzyczałem z bezsilności i strachu. Ledwie miałem czas, by pociągnąć za spusty. Prawą ręką obejmowałem lufę, kolbę oparłem o żebra, a lufę skierowałem gdzieś w cień nade mną.

Pociągnąłem za oba spusty. Wciąż krzychałem, oczekując pchnięcia nożem.

Strzelba była odbezpieczona. Kolba kopnęła mnie w żebra jak narowisty koń. Powietrze wypełnił potężny huk.

Głowa Garrarda po prostu zniknęła. W świetle szperacza tryskała fontanna krwi. Patrzyłem z przerażeniem na pierwszy wyrazisty kolor w tej czarnej nocy. Nóż Garrarda upadł ze szczęką na pokład i zatrzymał się przy mojej prawej kostce, podczas gdy ciało mojego – jeszcze przed chwilą groźnego – przeciwnika odginało się do tyłu, jakby ktoś pociągał je za sznurki. Upadło w końcu na okna sterówki i zsunęło się na pokład dziobowy.

Zamknąłem oczy. Wciąż niemal wisiałem za burtą. Bolały mnie żebra. Było mi zimno i drżałem. Podciągnąłem się lewą ręką i powoli, bardzo powoli wspiąłem się z powrotem na pokład. Dziób „Wichrzyciela mgieł” zanurzył się na chwilę w białej pianie, która zmyła pokład dziobowy, a kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem że ciało Garrarda zatrzymało się na samym jego końcu. Przekręciłem się na bok i w bezpiecznym otoczeniu burt powoli, bardzo powoli podniosłem się na kolana. Wciąż ścisnąłem strzelbę.

Droga tweedowa marynarka Garrarda była cała przesiąknięta krwią. Materiał zaczepił się o jeden z pokładowych uchwytów i ciało mego byłego przeciwnika podrygiwało w jakiejś koszarnej parodii życia. Ale Garrard był martwy. Mój strzał zdmuchnął jego pewną siebie twarz. Z jego głowy została tylko jatka krwi, mózgu i kości.

Patrzyłem na niego, jakbym oczekiwał, że jego bezgłowe zwłoki wstaną i ponownie mnie zaatakują. Cały się trząsałem. Nigdy jeszcze nie zabiłem człowieka. Obiecałem Jennifer, że zabiję Garrarda, ale obietnica to jedno, a jej spełnienie to zupełnie co innego. Na dziobie sączyła się krew i wyciekała za burtę.

– Pomocy! – krzyczał Peel zza rufy.

Bardzo powoli i bardzo sztywno podniosłem się. Czuję się słabo, było mi niedobrze i zimno. „Wichrzyciel mgieł” kotłował się w tę i z powrotem. Wziąłem głęboki oddech, gdy uświadomiłem sobie, że już nie chce mi się wymiotować i ostrożnie poszedłem wzdłuż pokładu. Przepchnąłem się obok sterówki i ujrzałem Peela trzymającego się kurczowo rufy. Dzięki linie przywiązanej do koła ratunkowego przyczłapał do rufy, ale był zbyt przemarznięty, by samemu podciągnąć się na pokład. Obróciłem szperacza, by go oślepić.

Kiedy zszedłem na pokład rufowy, oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia. Przyłożyłem mu do lewego oka lufy dubeltówki.

– Jaki sygnał mieliście przesłać, kiedy przejmiecie pieniądze?

– Nie strzelaj! Na litość boską, nie strzelaj! – szcząkał zębami.

– Jaki sygnał mieliście przesłać po otrzymaniu pieniędzy? – mówiłem beznamiętnym głosem. Wiedziałem, że musi być jakiś sygnał.

– Palce – odpowiedział Peel.

Wpatrywałem się w niego. Ależ banalne słowo.

– Palce? – powtórzyłem z niedowierzaniem.

– Jak Boga kocham! Nie strzelaj, proszę!

– A dokąd wieziecie pieniądze?

– Nie wiem.

Przycisnąłem lufę mocniej i rozciąłem mu łuk brwiowy.

– Dokąd, Peel, no dokąd?

– To wszystko jest w tej maszynie. Ja nie potrafię tego obsługiwać. Naprawdę nie wiem, stary. – Szlochał z zimna i przerażenia. – Nie wiem. To pan Garrard obsługiwał maszynkę, a nie ja.

Oczywiście chodziło o odbiornik Decca. Odciągnąłem kurki strzelby i pozwoliłem im opaść na puste komory. – Włóż na pokład, jeśli potrafisz – powiedziałem. – A jeśli nie, to toń.

Kuter zbliżał się coraz bardziej do białej topieli. O ile dobrze pamiętałem, Les Trois Grunes wynurzały się z wody tylko w czasie najniższych odpływów, ale niewielka to była pociecha. W którejś z dolin fali możemy się nadziać na jedną ze skał i rozedrzeć dno „Wichrzyciela mgieł”. Przede wszystkim należało więc wyprowadzić kuter z niebezpieczeństwa, a potem poszukać tego spryciarza, który wodził mnie za nos po elektronicznym labiryncie. Ta noc jeszcze się nie skończyła i może nie koniec jeszcze zabijania, ale przynajmniej wyrównałem szanse.

Gdyby Garrard choć trochę znał się na żeglarstwie, nadal by żył, a ja byłbym martwy, ponieważ „Wichrzyciel mgieł” miał pokrywę kontrolną śruby napędowej. Większość kutrów ma coś takiego na wypadek zdryfowania na rozciągnięte sieci. Ponieważ żadnemu rybakowi nie uśmiecha się wychodzić za burtę, by odplatać śrubę z lin, na rufie umieszcza się przyśrubowaną pokrywę, dzięki której można

dostać się do śruby napędowej.

W sterówce znalazłem jakieś narzędzia. Musiałem z całej siły przeć na ogromny klucz, by przekręcić śruby. Urwałem jedną, ale pozostałe dały się odkręcić i odrzuciłem pokrywę na bok, by odsonić małą, czarną studnię zimnej wody. Mogłem przynieść z dziobu nóż Garrarda, ale nie miałem ochoty patrzeć na jego zwłoki, więc zamiast tego przekopałem szafki w sterówce i znalazłem stary nóż do patroszenia ryb. Sięgnąłem w głąb lodowatej wody i odciąłem linę od skrzydeł śruby. Zajęło mi to niecałe pięć minut.

Peel skamlał na rufie, wołał o pomoc i przeklinał. Raz czy dwa próbował wspiąć się na pokład, ale chłód wyciągnął z niego wszystkie siły. Nie zwracałem na niego uwagi, przykręcając z powrotem pokrywę i układając deski pokładu na właściwym miejscu. Następnie podniosłem porzuconą strzelbę Garrarda i wyrzuciłem ją za burtę.

– Pomocy! Proszę! – skamlał Peel. Odczepiłem linę wciągarki i rzuciłem mu ją.

– Trzymaj się tego – poleciłem mu.

Chwycił prawą ręką hak, którym zakończona była lina. Naciągnąłem linę, unosząc go o cal. „Wichrzyciel mgieł” wyskakiwał w górę i spadał w doliny fal. Nie widziałem ukrytych skał, ale ich obecność zdradzała kipiąca woda niedaleko od dziobu kutra, po prawej burcie. Woda była jakby zasysana w głąb skał, po czym wyrzucana w górę, rozpylała się w białą mgłę.

– No dalej, draniu! – krzyknąłem na Peela, każąc mu wykorzystać choćby trochę ogromnej siły do wejścia na pokład. Musiał chyba wyczuć niebezpieczeństwo, bo szarpnął się z wielkim wysiłkiem dokładnie w chwili, kiedy rufa poszybowała w górę. Dzięki temu wpadł wykończony na pokład kutra, chwytając łąpczywie powietrze.

Słyszałem szum zasysanej przy skałach wody i huk wyrzucanej w górę mgiełki. Znajdowaliśmy się blisko czubków skał, zdecydowanie za blisko, a woda zaczęła wciągać nas jeszcze bliżej. Rzuciłem się do przodu, uruchomiłem silnik i popchnąłem dźwignię zmiany biegów. Przez chwilę silnik zawahał się i już pomyślałem, że niedokładnie oczyściłem skrzydła śruby i utoniemy tu, rozbiwszy się wcześniej na skałach. Dodałem gazu, ile można i modliłem się, by śruba się odblokowała. Skały były naprawdę niebezpiecznie blisko. Kuter nieuchronnie zmierzał w ich kierunku

i pomyślałem, że jesteśmy skazani na katastrofę, rozbicie się na czarnych skałach. Skręciłem maksymalnie ster i otworzyłem do końca przepustnicę silnika. O lewą burtę rozbija się fala, wzbijając w górę wodny pył na wysokość anten „Wichrzyciela mgieł”. Śruba kręciła się bezskutecznie w spienionej wodzie. Nagle poczułem boczne szarpnięcie, skrzydła śruby uderzyły o fale i kuter zaczął uciekać od topieli. Ustawiłem ster prosto, by zmniejszyć opór i cal po calu, stopa za stopą, „Wichrzyciel mgieł” nabierał szybkości. Skręciłem ponownie na prawą burtę, tym razem kuter bez oporu parł ku bezpiecznej wodzie. Zmówiłem dziękczynną modlitwę, zmniejszyłem gaz i odwróciłem się, by popatrzeć na oddalającą się kipliel.

Peel nie poruszał się. Może był zbyt przerażony, a może zbyt osłabiony długim zanurzeniem w wodzie. Patrzył tylko na mnie. Za nim widziałem rozbijające się na falach skały, a jeszcze dalej „Mariannę”, cudem ocalałą od kipiącego morza. Dryfowała na północ od niebezpiecznych skał. Podskakiwała i kotłowała się, i przypuszczałem, że będzie tak płynęła, dopóki morze nie wyrzuci jej na którąś francuską plażę. Wreszcie mgła i noc skryły „Mariannę” przed moimi oczyma. Skręciłem „Wichrzyciela mgieł” na zachód.

Kiedy szukałem noża, znalazłem kilka nabojów do strzelby. Teraz wyjąłem je z szafki i pilnowałem, by Peel zobaczył, jak ładuję broń. Nie poruszył się, nawet kiedy odłożyłem strzelbę, by sprawdzić poziom paliwa. W bocznych szafkach znalazłem jeszcze dwa zapasowe kanistry. Dość, by przeżyć wszelkie niespodzianki, jakie mogła jeszcze przynieść ta noc.

Peel patrzył, jak wracam do sterówki.

– Gdzie pan Garrard? – zapytał nerwowo.

– Na dziobie. Stracił głowę. Jeśli choćby mrugniesz, też mogę cię pozbawić łepetyny. – Położyłem sobie strzelbę na kolanach i przyspieszyłem kurs „Wichrzyciela mgieł”. Ujrzałem błysk boi ostrzegawczej. Minąłem ją i dopiero wtedy ustawiłem kuter w dryfie.

Nadszedł czas, by odnaleźć wyjście z elektronicznego labiryntu.

Odbiornik Decca na pokładzie kutra miał zaprogramowane tylko dwa punkty. Byliśmy w pierwszym, więc rozwiązanie zagadki musiało leżeć w drugim. Przywołałem jego dane na wyświetlacz. Pięćdziesiąt stopni dwanaście minut i czterdzieści sekund szerokości geograficznej północnej i trzy stopnie, czterdzieści sześć minut i sześćdziesiąt sekund długości geograficznej zachodniej. Znajdował się o

87.2 mile kursem 311. Taka precyzja, pomyślałem, wszystko tak doskonale zaplanowane.

– Jak mieliście mnie zabić, Peel? – Nie odwróciłem się nawet do niego. Nie było to żadne ryzyko ani brawura, bo cały czas widziałem w szybie jego odbicie. Nie ruszał się.

Nie odpowiedział.

– Jak mieliście mnie zabić, Peel? – powtórzyłem pytanie.

Nadal nie odpowiadał, więc obróciłem się w fotelu sternika i wypaliłem z prawej lufy o dwie stopy obok jego głowy. Śrut musiał poranić mu łysinę, bo zaczął skamleć.

– Jak mieliście mnie zabić, Peel?

– Mieliśmy po prostu pana utopić – niemal wyszeptał odpowiedź. – A potem zatopić tę małą łódkę. Żeby wyglądało, że pan się utopił razem z forszą.

– Żeby wyglądało na to, że ukradłem pieniądze? Podobnie jak obraz?

– Tak, mistrzuniu.

– Dziękuję ci, Peel – powiedziałem bardzo uprzejmie i odwróciłem się od niego. W szufladzie znalazłem jakieś stare, poplamione mapy, ale tak naprawdę nie były mi potrzebne. Wiedziałem, gdzie leżał punkt, który wskazywał odbiornik Decca. Pewnie mógłbym tam trafić z zawiązanymi oczyma, ale na wszelki wypadek rozłożyłem odpowiednią mapę i załadowałem ponownie prawą lufę dubeltówki. – Czy to ty odkręciłeś gaz na moim jachcie, Peel? – zapytałem ot tak, jakby od niechcenia.

– Nie, mistrzuniu, słowo daję.

– A może to pan Garrard?

– Nie. – W szybie dostrzegłem, że drży. Wielka, drżąca góra mięśni. – Jak słowo daję – dodał patetycznie. Teraz próbował mi pomóc.

Odwróciłem się znowu i wystrzeliłem. Śrut poleciał gdzieś w noc, a Peel skulił się i drżał.

Obniżyłem lufę, by jej wylot znalazł się na wysokości twarzy Peela.

– Czy któryś z was, ty albo Garrard, odkręcił gaz na moim jachcie, odpowiedz, Peel?

– Nie mistrzuniu, to nie my. Bóg mi świadkiem, że to nie my. Nic nie wiem o żadnym gazie! Pan Garrard i ja byliśmy we Francji, nie zbliżaliśmy się nawet do

pana jachtu! Nie widzieliśmy go od tamtej nocy, kiedy się przewrócił, a nawet wtedy nie mieliśmy tego robić! Nawet nie mieliśmy pana wtedy zabić, mistrzuniu. Mieliśmy tylko pana wtedy wystraszyć! – Patrzył teraz na mnie z psim przywiązaniem. Byłem jego panem, a on gotów był zrobić wszystko, czego tylko zapragnąłem. – Mieliśmy tylko pana wystraszyć! A wtedy za pierwszym razem pan Garrard miał tylko z panem porozmawiać, ale znalazł na pokładzie tę dziewczynę i pomyślał, że chce pan nas wykiwać! – Patrzył w dwie czarne studnie luf. – Jak Boga kocham, mistrzuniu. – Przerwał, najwyraźniej przypominając sobie kim jestem. – Jak Boga kocham, milordzie.

Odwrociłem się od niego. Włożyłem do komory ostatni nabój i odłożyłem broń. Radio VHF przykręcono do dachu sterówki i nastawiono na kanał 37, kanał prywatnej przystani. To właśnie tym kanałem otrzymywałem instrukcje i prawdopodobnie właśnie na tym kanale moi wrogowie nasłuchiwali teraz komunikatu. Musieli być w pobliżu, w promieniu trzydziestu lub czterdziestu mil, co oznaczało Francję lub którąś z wysp. Pomyślałem, że Francja to bardziej prawdopodobna odpowiedź. Być może dyżur przy radiostacji pełniła Elizabeth i zastanawiała się, co się dzieje na spowitych mgłą wodach. Należało wyciągnąć siostrę z tej przynębiającej sytuacji. Wziąłem do ręki mikrofon i trzymając go nieco dalej od ust, powiedziałem tylko jedno słowo:

– Palce. – Przerwałem, po czym powtórzyłem komunikat i odwiesiłem mikrofon. Nie otrzymałem żadnego potwierdzenia, ale też się go nie spodziewałem. Cała sztuka tego planu polegała na utrzymaniu jak najmniejszej liczby połączeń radiowych, by uniknąć namierzenia. Wszystko było tak sprytnie obmyślane.

Pomyślałem, że najsprytniejsze ze wszystkiego było wykorzystanie systemu nawigacji Decca, ponieważ tylko odbiornik Decca mógł przeprowadzić bezpiecznie przez Kanał dwa szczury lądowe. Miałem wątpliwości, czy Garrard potrafiłby sam obliczyć kurs kutra pośród mielizn, prądów i skał Wysp Normandzkich, ale strzałki na wyświetlaczu odbiornika Decca potrafił odczytać byle głupek i odpowiednio popłynąć w lewo, prawo, w przód lub w tył. Ale naprawdę najsprytniejszym posunięciem okazał się wybór Les Trois Grunes, boi ostrzegawczej, od której można wytyczyć kurs prosto jak strzelił do drugiego punktu, kurs idący między skałami Casquets i północnymi rafami Guernsey. Nie trzeba było halsować,

czytać mapy jedynie patrząc na strzałki. Byli tacy sprytni, tak bardzo sprytni. Czy to może Peter w jednej z trzeźwiejszych chwil opowiedział Elizabeth o systemie Decca? Albo o butlach gazowych, które można znaleźć na każdym jachcie oceanicznym?

Odwróciłem się.

– Racja, Peel! – odezwałem się z entuzjazmem. – Powstań i marsz do kajuty.

– Niby gdzie?

– Do kabiny, tam. – Wskazałem mu pokład dziobowy, gdzie na małej przestrzeni umieszczono dwie koje i kambuz. – Osusz się i zrób nam herbatę albo kawę. Dla mnie bez cukru, tylko z mlekiem. I pospiesz się!

Pospieszył się. Kiedy przechodził obok mnie ujrzał na szybie rozbryzganą krew swego kumpla, ale nie zareagował. Musiałem wyglądać dość przerażająco: półnagi i zakrwawiony, więc pochylił się i z wdzięcznością zszedł do kabiny.

– Mnie też rzuć ręcznik! – Krzyknąłem za nim. – I jakieś suche ubrania.

Dodałem gazu i poczułem, jak rufa aż zagłębia się w wodzie. Jeszcze osiemdziesiąt siedem mil, a potem ostatnie starcie. I to wszystko dla jednego obrazu.

Peel zaparzył herbatę. „Wichrzyciel mgieł” przeskakiwał wesoło z fali na falę. Osuszyłem się, okręciłem ręcznikiem ranę w pasie i naciągnąłem na siebie gruby sweter, który Peel przyniósł dla mnie z kajuty. Teraz czekał na moją aprobatę.

– Dobra herbatka? – zapytał.

– A teraz, mój drogi – nie zważałem na jego przyjazne gesty – oczyścisz kuter. Widzisz to kwadratowe, tam z przodu?

– Tak, mistrzuniu. Milordzie.

– Nazywa się to luk dziobowy. Otwórz i wrzuc tam Garrarda.

– Wrzucić...

– Wykonać!

Posłuchał polecenia. Kiedy usłyszałem, jak ciało Garrarda wpadło pod pokład, dałem Peelowi wiadro i szczotkę.

– A teraz zmyj krew.

Zaczął pracować. Wyciągnąłem walizkę z obligacjami na stół i zostawiłem ją tam. Silnik terkotał wesoło. Robiłem dziesięć węzłów, czyli całkiem nieźle.

Kiedy znaleźliśmy się na północ od Casquets, mgła ustąpiła. Wyłączyłem w sterówce wszystkie światła, by lepiej widzieć drogę. Mieliśmy zaraz przekroczyć strefy wyznaczone dla ruchu morskiego, gdzie na Atlantyk i z powrotem brnęły na oślep wielkie tankowce. „Wichrzyciel mgieł” zostawiał za sobą czysty kilwater na ciemnej powierzchni morza. Po zakończeniu pracy Peel przykucnął w najodleglejszym zakątku kabiny i patrzył w przerażeniu na ogromne statki.

– Jak się nazywasz? – zapytałem go.

– Peel.

– Ale jak masz na imię, idioto?

– Ronny.

Nagrodziłem go uśmiechem.

– Masz może papierosa, Ronny?

– Nie palę, mistrzuniu.

– Ale Garrard palił, prawda?

– Tak, on palił.

– Myślisz że ma w kieszeni jakiegoś papieroska?

Patrzył na mnie ze zgrozą.

– Chce pan, żebym... – Wtedy uświadomił sobie, że właśnie tego od niego chcę, otworzył drzwi kajuty, zaczerpnął powietrza i zszedł na dół. Słyszałem okrzyki obrzydzenia, jakie z siebie wydawał, ale po kilku minutach wynurzył się z pustą do połowy paczką papierosów i zapalniczką.

– Dziękuję, Ronny.

Był bezgranicznie wdzięczny za to dobre słowo. Zapaliłem papierosa i zaciągnąłem się dymem.

– Czy grożą mi jakieś kłopoty? – zapytał Peel po chwili.

– Całe mnóstwo. – Przyhamowałem, by przepuścić wielki kontenerowiec płynący o pół mili ode mnie.

– Robiłem tylko to, co kazał mi pan Garrard – usprawiedliwił się Peel.

– A co jeszcze kazał ci pan Garrard, Ronny? Powiedział ci o mojej siostrze?

Skinął głową.

– Miała dostać obraz, kiedy pan umrze, no nie? A potem miała go sprzedać i dać panu Garrardowi jego działkę. Bo on ten udział kupił, rozumie pan.

– Nie, niczego nie rozumiem.

– Zacznę od samego początku. On poznał pana siostrę na wyścigach. Poprosiła, żeby pomógł jej znaleźć ten obraz i dała pieniądze na wydatki i takie różne, a on znalazł obraz i kupił od gościa jedną trzecią udziałów, bo facetowi brakowało szmalu i nie mógł znaleźć odpowiedniego kupca. Rozumie pan, za świeża rzecz. Pan Garrard mówił, że naprawdę słynnych obrazów nie da się sprzedać, tylko śmiecie.

Patrzyłem przed siebie na puste morze. Peel zaniepokoił się moim milczeniem, ale przez długi czas po prostu wpatrywałem się w kompas i nie zwracałem na niego uwagi.

– Jedną trzecią udziałów? – zapytałem go wreszcie.

– Zgadza się. Trzy części: jedna dla pana Garrarda, jedna dla pana siostry, chociaż ona nie musiała oczywiście nic płacić, i zamierzała go szybko sprzedać, a pozostała jedna trzecia...

– Zamknij się, Ronny.

– Ale...

– Powiedziałem stul pysk! – Bo wydawało mi się, że wiedziałem to, od kiedy tylko wpisałem kurs do odbiornika Decca na „Wichrzycielu mgieł”. Tyle, że nie mogłem w to uwierzyć.

Wielki Boże, pomyślałem, spraw, żeby to nie była prawda. Wziąłem do ręki mikrofon. Wiedziałem, że wrogowie nasłuchują na kanale 37 i zapewne będą pilnować ogólnego kanału 16, ale o ile nie mieli dwóch odbiorników, mogli nasłuchiwać tylko na owych dwóch kanałach VHF. Przełączyłem więc na 67, kanał roboczy straży wybrzeża. Złamałem wszelkie zasady: nie podałem nazwy swojej jednostki, nadałem tylko zaszyfrowaną wiadomość, którą mógł odebrać cały Kanał La Manche.

– Wiadomość dla inspektora Abbotta – powiedziałem. – Z policji Devon i Kornwalii. Pięćdziesiąt dwanaście czterdzieści północ, trzy czterdzieści sześć sześćdziesiąt zachód. Powtarzam. Dla Harry’ego Abbotta, policja Devon i Kornwalii. Pięćdziesiąt dwanaście czterdzieści północ, trzy czterdzieści sześć sześćdziesiąt zachód.

Straż wybrzeża rzuciła się na mnie jak szarańcza. Kto nadawał? Po co? Dlaczego nie podam swojej nazwy? Powiedziałem im, żeby się wyłączyli i jak najszybciej przekazali wiadomość.

– Ale słuchajcie kolejnych informacji na tym kanale – dodałem i wyłączyłem radiostację.

Po grzbietach fal ślizgały się pierwsze refleksy świtu.

– Może jeszcze herbatkę, Ronny?

– Nie, naprawdę dziękuję, mistrzuniu. – Nie chciał schodzić do kabiny, gdzie spoczywało ciało Garrarda.

– A ja się napiję. – Naprawdę chciałem zostać sam przez kilka minut. – Skocz i zaparz.

Po godzinie ujrzałem angielski brzeg. Wyłączyłem odbiornik Decca, bo teraz już nie był mi potrzebny. Właściwie w ogóle go nie potrzebowałem, od kiedy dowiedziałem się, gdzie wyznaczono rendez-vous, ponieważ były to moje rodzinne okolice i tu, w świetle brzasku, leżał mój punkt docelowy.

Wracaliśmy do domu w przepięknym wschodzie słońca. Wszystko było zwyczajne, takie zwyczajne.

Punkt leżał poza portem, ale nawet tak niedoświadczony sternik jak Garrard zdołałby wejść do zatoki, wystarczyło trzymać się lewej strony kanału, płynąć prosto na północ i nie próbować tego robić przy wicherze wiejącej z południa.

Nad uskokiem morze lekko się pieniało, ale wkrótce „Wichrzyciel mgieł” spokojnie wszedł w zewnętrzny kanał. Skręciłem na północny wschód i krążyłem pośród jachtów stojących na kotwicy. Zapowiadał się ciepły dzień. Niektóre łodzie już ruszyły w rejs, a inne dopiero otrząsały żagle ze snu. Tu również wszystko otaczała mgła, ale teraz zniknęła już prawie całkowicie, utrzymywała się jedynie nad najgłębszymi strumieniami, tam gdzie tuż nad wodą rosły drzewa. Nad moją głową krążyły i skrzeczały mowy, zaś daleko na północy helikopter młócił śmigłami powietrze.

W szafce znalazłem zardzewiałą lornetkę i rozejrzałem się po stojących na kotwicy jednostkach. Wiedziałem, czego szukam, ale podświadomie liczyłem, że tego nie zobaczę.

I wtedy stało się. Na mostku wielkiego jachtu motorowego ujrzałem mężczyznę

i kobietę. Machali rękoma. Za ich plecami, daleko w głębi łądu, widziałem dom Charliego. Dzieci niedługo wyjdą do przedszkola, a Yvonne będzie się zastanawiać, gdzie się podział Charlie.

Mężczyzna i kobieta znów pomachali. Wyglądali razem na tak szczęśliwych, jak kochankowie, których marzenia się spełniły. Ich jacht połyskiwał biało we wschodzącym słońcu, tym samym, które odbijało się w szybie sterówki „Wichrzyciela mgieł” i nie pozwalało tej parze rozpoznać mnie za błyszczącym szkłem. Widzieli tylko zbliżającą się fortunę, swoją cholerną, wielką fortunę, przywiezioną z Wysp Normandzkich do Salcombe dzięki magicznemu odbiornikowi Decca.

– To oni – pospieszył z pomocą Peel, ale nie odpowiedziałem mu. Nie było o czym mówić.

Odczekałem, aż zbliżymy się do nich na odległość pięćdziesięciu jardów i włączyłem radiostację. Wziąłem do ręki mikrofon.

– Harry Abbott?

Zgłosił się natychmiast.

– Czy to ty, Johnny?

– Jestem w pobliżu Frogmore Creek, Harry. Płynę „Wichrzycielem mgieł”, a dranie, których chcesz przyskrzynić, siedzą na wytwornym jachcie zwanym „Baraterią”. Przyjedź tu i ich zgarnij.

Wyłączyłem silnik „Wichrzyciela mgieł” i delikatnie przybiłem do burty jachtu mojego najlepszego przyjaciela. Charlie czekał na rufie „Baraterii” z bosakiem w ręku. Przyciągnął nim kuter do swego jachtu.

– Dobra robota! – zawołał. – Mówiłem ci, że to będzie łatwe...

Kiedy wyszedłem ze sterówki, głos mu zamarł. Niosłem ze sobą strzelbę i walizkę.

– Witaj, Charlie – powiedziałem.

Elizabeth krzyknęła. Wciąż stała na mostku „Baraterii”. Zerknąłem na nią, po czym ze strzelbą w prawej ręce i pieniędzmi w lewej wszedłem na rufę jachtu Charliego.

– Johnny! – Patrzył na mnie zaszokowany, ale nadal próbował się uśmiechać, jakby to było zupełnie przypadkowe spotkanie przyjaciół.

– Zamknij się – powiedziałem, po czym dodałem z gniewem: – Na litość boską, zamknij się. – Spojrzałem na Elizabeth. – Zejdź na dół! – Powoli zeszała po

chromowanej drabince. Miała na sobie jedwabny szlafrok, jakby dopiero co wstała z wielkiego łóżka w sypialni „Baraterii”. Zastanawiałem się, od jak dawna są kochankami. – Wy dranie – powiedziałem.

„Wichrzyciel mgieł” z Peelem na pokładzie powoli odpływał. Charlie i Elizabeth spojrzeli na krew na moich nogach i na strzelbę, ale nie odzywali się.

– Dlaczego? – zapytałem Charliego.

Nie odpowiedział, ale nagle zrozumiałem, co musiał czuć będąc kochankiem córki „naszego lorda”. To była ostateczna zemsta, najśłodsza zemsta, jaką można sobie było wyobrazić: syn znenawidzonego robotnika sprawia, że córka księcia jęczy w łóżku z rozkoszy.

– I to ty – rzekłem do Charliego – ukradłeś ten cholerny obraz.

Zawahał się i uśmiechnął.

– To był tylko żart, Johnny. – Czekał, ale nie wiem na co. Żebym się uśmiechnął? Roześmiał? – To był tylko żart! – zaprotestował. – Zrobiłem to dla ciebie!

– Dla mnie, Charlie?

– Zrobiłem to dla ciebie! Pomyślałem, że jeśli twoja matka sprzeda obraz, nigdy nie wrócisz na morze. Staniesz się taki sam, jak twój ojciec! Znenawidziłbyś to, Johnny, bo twoje miejsce nigdy nie było w pałacu. Twoje miejsce jest na morzu, Johnny, na morzu! – Znów przerwał, ale ja nie odzywałem się, więc Charlie uczynił gest, jakby chciał dać do zrozumienia, że przy pewnej dozie humoru i wyrozumiałości uda się zażegnać cały bałagan. – To był tylko żart – powtórzyłem, ale niepewnie.

Nie śmiałem się.

Spojrzałem na Elizabeth. Trudno dostrzec urodę własnej siostry, ale tego ranka Elizabeth była piękna. Piękna i zraniona. Wydaje mi się, że wstydziła się, nie z powodu obrazu, ale dlatego, że znalazłem ją z Charliem. Tę grę prowadziła potajemnie, a ja wszystko odkryłem.

– Wiedziałaś – oskarżyłem ją. – Wiedziałaś, że nie ukradłem tego obrazu! Musiałaś wiedzieć już wtedy, kiedy Garrard dotarł do Charliego!

Wzruszyła ramionami, jakby chciała dać do zrozumienia, że moja niewinność nie miała znaczenia.

– Dlaczego nie poszłaś na policję, kiedy Garrard znalazł Charliego? – zapytałem.

– Bo po śmierci matki pieniądze wciąż należałyby się tobie, a ona nie chciała,

byś je dostał. Nienawidziła cię! Zniszczyłeś naszą rodzinę, a ja zamierzałam ją ocalić! – Elizabeth rzuciła mi w twarz te słowa, a ja uświadomiłem sobie, że moja siostra, podobnie jak matka, nienawidziła mnie i zrozumiałem, jak bardzo ucieszyło ją poróżnienie mnie z moim najlepszym przyjacielem. Omal nie zwyciężyła, nie zostawiając mi niczego, nawet przyjaciela.

Spojrzałem ponownie na Charliego. Teraz wydawało się to takie oczywiste i musiało się wydawać oczywiste Garrardowi, który w poszukiwaniu obrazu, wciąż wierząc w moją winę, udał się prosto do mojego najlepszego przyjaciela.

– Dlaczego nie zażądałeś okupu? – zapytałem Charliego. – Czy naprawdę wart był czyjeś życia?

– To nie tak, Johnny! – zaprotestował energicznie Charlie. Wciąż liczył na to, że urok osobisty i przyjaźń pomogą mu się wywinąć z tej opresji. – Nikomu nie miał spaść nawet włos z głowy!

– Ale Garrardowi spadła cała głowa – powiedziałem brutalnie. – Odstrzeliłem mu ją. Reszta ciała znajduje się na kutrze. – Odwróciłem głowę w kierunku dryfującego „Wichrzyciela mgieł”, ale kiedy mówiłem, patrzyłem na Elizabeth i stwierdziłem, że zupełnie nie zareagowała na tę wieść. – Nie obchodzi cię to? – zapytałem ją. – Sypiałaś z nim, tak jak z Charliem. Wiedziałaś, Charlie, że pieprzyła się też z Garrardem?

Nie odpowiedział, ale z twarzy zniknął mu cały urok i energia, jakby nagle piorun w niego strzelił. Nie wiedział o tym i poczuł się zraniony. Myślał, że wykorzystuje Elizabeth, a w końcu okazało się, że to ona jego wykorzystywała.

Twarcz Elizabeth nie zdradzała żadnych uczuć. Mój Boże, pomyślałem, ależ ona wyzyskiwała mężczyzn. Wykorzystała Garrarda, by zabił, Charliego, by opracował sprytne rendez-vous za pomocą odbiorników Decca. A Charlie, przebiegły Charlie, z zimną krwią polecał ze mną na Guernsey i wysłał mnie na śmierć, po czym wodził mnie po elektronicznym labiryncie i odleciał do domu, by czekać na spotkanie. Sprytny Charlie. Odciągnąłem kurki strzelby.

Charlie rozpaczliwie pokręcił głową.

– Próbowalem cię ostrzec, Johnny! Ileż to razy próbowałem cię ostrzec? Ile razy mówiłem ci, żebyś stąd spadał! – Ani o jotę nie zmieniłem wyrazu twarzy. – Na litość boską, nawet wczoraj próbowałem cię zatrzymać! Nie chciałem, żebyś

zginął! Chciałem cię po prostu wykurzyć na morze, usunąć z drogi! Wielki Boże, Johnny, nawet wyremontowałem ci jacht! Chciałem tylko okupu, ale to Garrard powiedział, że powinniśmy cię zabić, żeby sprzedać ten obraz! To był pomysł Garrarda, a nie mój!

Taka była jego wersja prawdy, wygłoszona z pasją, by zabrzmiała wiarygodnie. Zresztą, być może na początku Charlie jako jedyny z tej trójki nie chciał mojej śmierci. Pomyślałem, jak bardzo musieli się przerazić Elizabeth i Garrard, kiedy wróciłem, i gdy znaleźli Jennifer na pokładzie „Słonecznika”. Musiało im się wydawać, że to Charlie ich zdradza, zaś Charlie musiał walczyć o moje życie, starając się, by ograniczono się jedynie do wypłoszenia mnie z Anglii. I być może, pomyślałem, chciał tylko okupu, kombinując zapewne, że jeśli obraz się odnajdzie i sprzedam go, podzielę się z nim zyskiem. Ale ja oddałem obraz za darmo i przyjaźń skorodowała, przeżarta chciwością i pożądaniem. Wtedy wszedł na pokład „Słonecznika” i odkręcił gaz. Spojrzałem mu w oczy, aby to zrozumieć.

– Opowiedz mi o gazie, Charlie.

Nie miał o czym mówić. Bo cóż mógł powiedzieć? Że żałuje tego? Na pewno żałował, ale bardziej żałował straty pieniędzy. Popatrzyłem ponad głowę Charliego, ponad dziobem „Baraterii” i ujrzałem, że zbliżają się do nas dwie motorówki. Patrzyłem na mojego najlepszego przyjaciela, wciąż próbując zrozumieć jak mógł jednego dnia próbować mnie zabić, a już następnego hojnie obdarzać wszystkim, czego chciałem. Spałem u niego w domu, ale oczywiście tam byłem bezpieczny, ponieważ Charlie nie chciał, by moja śmierć wyglądała na morderstwo, a raczej na wypadek. W ten sposób miał uniknąć niebezpieczeństwa.

– Mój Boże, Charlie – odezwałem się ze smutkiem – ależ z ciebie skurwysyn.

– Przypomniałem sobie Jennifer i podniosłem lufy na wysokość jego oczu.

Ale nie mogłem go zabić. Kiedyś ocalił mi życie, cały czas podśpiewując podczas zabójczego sztormu na Morzu Tasmana. Patrzyłem na niego przez muszki strzelby.

– No to gdzie jest obraz, Charlie?

Nie odpowiedział, dopóki nie potrząsnąłem bronią. Wzruszył ramionami.

– W piwnicy, Johnny. Zapakowany i bezpieczny.

– I jest mój! – Elizabeth niemal krzyknęła na mnie. – Matka mnie go zostawiła! Jest mój!

– A idźcie do diabła – powiedziałem. – Idźcie oboje do diabła. – W tej chwili do „Baraterii” przybiła pierwsza motorówka z której wyskoczyli rośli mężczyźni. Rzuciłem strzelbę i pieniądze na pokład i odwróciłem się, by spojrzeć na wschód słońca.

Przyjaźń. Czy mogło być coś gorszego od zdrady przyjaźni? Tyle że kochankowie mają przewagę nad przyjaźnią, gdy więc Charlie znalazł swoją damę, był w stanie nawet zabić najlepszego przyjaciela, aby wzbogacić ją, a przy okazji także i siebie. Zamknąłem oczy. Nie z powodu słońca, ale dlatego, że wróciłem do domu i płakałem.

Epilog

Woda leniwie uderzała o kadłub „Słonecznika”. Słońce świeciło jasno, bezlitośnie, wysoko, ale białe płótno rozpięte nad pokładem chroniło mnie przed jego promieniami. Właściwa nazwa mego keczu brzmiała „Słonecznik II”, lecz kiedy malowałem ją na rufie, pominąłem rzymską cyfrę. Chciałem nazwać go „Jennifer”, ale Jennifer Pallavicini nie pozwoliła mi na to. Podyktowała list ze szwajcarskiego szpitala, w którym poinformowała mnie, że nie chce, bym nazywał jacht jej imieniem. Nie rozumiałem jej, ale była uparta, więc nadałem mu nazwę „Słonecznik II”. Nowy „Słonecznik” był dobrym jachtem: miał stalowy kadłub dłuższy o osiem stóp od poprzednika, a w komorach kadłuba zamontowano czujniki gazu. Zwodowano go przed pięcioma miesiącami, a teraz cumowałem na Wyspach Zawietrznych. Był sam środek dnia, gorąco jak w piekle, ale mnie chroniło białe płótno i orzeźwiało chłodne piwo, które wyjąłem z lodówki w kambuzie. Nigdy jeszcze nie miałem na jachcie lodówki, ale też nigdy nie otrzymałem od milionera książeczki czekowej z przeznaczeniem na budowę łodzi. Dzięki niej udało mi się zbudować dobry morski jacht. W czasie długiego skoku z Madery do Indii Zachodnich wciąż się bujał, ale na szlaku każdy jacht się kołysze. Mimo długiego kilu i ciężkiego kadłuba „Słonecznik II” okazał się szybką jednostką. Właściwie nic poważnego się nie zepsuło: szorstka wanta, krzywy szew żagla, czy źle dopasowane deski w pokładzie, słowem nic, czego nie potrafiłbym sam naprawić i co mogłoby powstrzymać ten piękny, długi jacht przed rejssem dookoła świata. Naprawdę „Słonecznik II” to był kawał dobrej roboty. Wstrętny Ulf pewnie znalazłby w nim kilka usterek, ale nie było go w pobliżu.

Byłem tylko ja, „Słonecznik II” i dziewczyna na drugim końcu pomostu wchodzącego do niemożliwie niebieskiej wody.

Widziałem, jak wysiada z jeżdżącego po wyspie autobusu. Kiedy odjechał z rykiem, spojrzała w stronę jachtu i zawahała się. Niosła cztery siatki na zakupy, które chyba były dla niej za ciężkie, gdyż dwie zostawiła pod palmą, zaś pozostałe chwyciła lepiej i powoli ruszyła pomostem w kierunku jachtu. Ładne nogi, pomyślałem z uznaniem, bardzo ładne nogi. Widziałem to dokładnie, bo miała na sobie krótkie spodenki. Piękne ciało, doprawdy. Pomyślałem, jak wspaniale wyglądałoby w bikini. Dziewczyna miała krótkie czarne włosy i opaloną skórę, a kiedy podeszła bliżej, ujrzałem równie piękny uśmiech.

– Mogłeś mi pomóc, draniu – pozdrowiła mnie.

Pomachałem do niej nonszalancko puszką z piwem.

– Obserwowałem cię i rozmyślałem, jakim jesteś doskonałym członkiem załogi.

– A ty będziesz doskonałym niewolnikiem w kambuzie. – Rzuciła mi siatki na kolana. – W tym małym sklepiku mieli nawet amerykańską sałatę. Co prawda drogą jak nie wiem co, ale nie mogłam się oprzeć, a to znaczy, że wreszcie zrobimy surówkę z prawdziwego zdarzenia. Kupiłam też jakąś dziwną roślinę, nie mam pojęcia, co to za чудо, ale ta urocza pani, która zawsze wybucha śmiechem na twój widok, powiedziała, że przecina się to na pół, wydłubuje środek i je na surowo. No i oczywiście wcześniej trzeba to obrać. – Jennifer, hrabina Stowey weszła do kokpitu i z wdzięcznością usiadła w cieniu pod płótnem. – Dwie ciężkie torby zostały na końcu pomostu – dodała. – Idź i je przynieś.

– Kupiłaś mi tytoń?

– Oczywiście, że ci kupiłam tytoń, ty straszny człowieku. Aha, na poczcie był do nas list. Mama i tata przyjeżdżają na Antigüę i chętnie spotkaliby się z nami. Wynajęli tam dom, więc moglibyśmy się wreszcie wykapać jak należy. – Zamknęła oczy w udawanej ekstazie. – Porządna kąpiel!

– Niestety – powiedziałem – wiatry zupełnie nie sprzyjają kursowi na Antigüę.

– Wiatry – rzekła stanowczo Jennifer – są bardzo sprzyjające. A mama przywiezie Georginę. – Siostra Felicity zmarła, ale w jakiś sposób Helen lady Buzzacott zyskała zaufanie Georginy. U mojej młodszej siostry nastąpiła wyraźna poprawa. W pensjonacie Lovelace miała własnego konia i terapia hippiczna połączone z przyjaźnią Helen dała jej wiele szczęścia.

Moje główne źródło szczęścia zabrało mi puszkę piwa i wypiło resztę.

- A teraz idź i przynieś zakupy – poleciała.
- Tak jest, proszę pani.

Jenny miała jeszcze kilka blizn, ale poza tymi na rękach, żeby je znaleźć, trzeba było naprawdę uważnie się przyglądać, a ja nie chciałem, by ktokolwiek poza mną przyglądał się tak blisko mojej żonie. Sir Leon chciał ją zabrać z powrotem do Szwajcarii, na kolejne operacje plastyczne, ale na razie sprzeciwiłem się, więc stanie się to dopiero po naszej rocznej podróży dookoła świata. Buzzacott uczy się, że lord znaczy więcej niż sir. Jednak wcale nie ma mi tego za złe, bo on dostał z kolei swój obraz. „Słoneczniki” ze Stowey wisiały teraz w jego galerii. Kiedyś pojedę i znów je zobaczę, ale jeszcze nie teraz. Mam żonę, jacht i wielkie szczęście, choć czasami, kiedy patrzę w niebo, by odnaleźć jakąś gwiazdę wśród milionów świetlnych punktów, wspominam przyjaciela, jego śmiech, i zastanawiam się, dlaczego to wszystko się popsulo.

Ale nie wszystko się psuje. Jest jeszcze miłość i nawet jeśli wiąże się z koniecznością jedzenia od czasu do czasu surówek, to naprawdę się sprawdza. „Słonecznik” to porządny jacht, Jennifer znów jest szczęśliwa, oceany są wielkie, a miłość najwyraźniej wygładza każdą ich falę. Krótko mówiąc: kawał dobrej roboty.